

WYDZIAŁ
KSIĄŻEK

HARLEQUIN®
na życzenie

3 POWIEŚCI
TYLKO 14⁹⁹

Zimowe opowieści

JOAN ELLIOTT PICKART JESSICA HART CAROLE MORTIMER

Harlequin - NIE PRZEKAZUJEMY CIENISZKI - 4,99 ZŁ W TYTUŁOWEJ CENIE

Zimowe opowieści

JOAN ELLIOTT PICKART
JESSICA HART
CAROLE MORTIMER

Joan Elliott Pickart
Ślub na święta

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Stojąc u stóp szerokich schodów wiodących do bogato rzeźbionych drzwi kościoła, Luke St. John uniósł wzrok na wysokie mury, eleganckie łuki, piękne witraże.

To naprawdę majestatyczna budowla, pomyślał. Nic dziwnego, że jego brat, Robert, i Ginger Barrington wybrali ten właśnie kościół na swój jutrzejszy ślub. A miał to być ślub roku, taki, o jakim Ginger zawsze marzyła.

Nad zaplanowaniem ceremonii pracowano już od wielu miesięcy, a Ginger, nie musząc się liczyć z kosztami, bo ojciec po prostu wręczył jej czek in blanco, bez przerwy zmieniała zdanie co do ustalonych już szczegółów. Robert wyznał kiedyś Luke'owi, że chwilami organizatorka ślubu ma chyba już tego dość i sprawia takie wrażenie, jakby chciała udusić jego narzeczoną.

Luke uśmiechnął się, otwierając drzwi kościoła. Ginger Barrington, pomyślał, to śliczna i sympatyczna dziewczyna, chociaż trochę roztrzepana.

Ale co tam! Ludzie z towarzyskich kręgów Barrhigtonów i St. Johnów byli przyzwyczajeni do tego rodzaju ekstrawagancji. Najważniejsze, że Ginger i Robert są tak

bardzo w sobie zakochani, wprost świata poza sobą nie widzą.

A on, patrząc, jak rozwija się ich miłość, czasami czuł ukłucie zazdrości. I to go trochę niepokoiło. Przecież nie pragnął stałego związku, na randki umawiał się z kobietami niezależnymi, oddanymi karierze zawodowej, i jak do tej pory całkiem mu to wystarczało. Mimo to jednak...

Potrząsnął głową, by uporządkować splątane myśli, i spojrzął na zegarek.

Spotkanie w interesach po tej stronie miasta skończyło się szybciej, niż przewidywał, i na próbę ślubu przyszedł za wcześnie. Nie szkodzi. Posiedzi sobie tu spokojnie i odpocznie.

Wybrał miejsce w jednej ze środkowych ław i z przyjemnością rozglądał się po pięknym kościele. Po chwili zauważył, że otwierają się boczne drzwi przy ołtarzu.

Weszła przez nie jakaś kobieta, w rękach niosła ogromne kartonowe pudło. Przyglądał się jej, gdy szła do nawy, a potem ustawiła pudło na pierwszej ławie i wyciągnęła z niego wielką kokardę z żółtej satyny.

Nagle poczuł ból w piersi. Uświadomił sobie, że w chwili, gdy ta kobieta weszła do kościoła, zapomniał o oddychaniu. Zaczerpnął tchu, pochylił się do przodu i chłonał ją wzrokiem.

Jest piękna, pomyślał oszołomiony. Nie, to nieodpowiednie słowo. Piękne starały się być te robiące karierę kobiety, z którymi się spotykał. Prawda, że dbały o perfekcyj-

ne ubranie, fryzury, makijaż, ale przez to były wszystkie tak bardzo do siebie podobne.

A ta kobieta, która teraz przywiązywała kokardę z boku pierwszej ławy, jest... urocza. Tak, o to właśnie chodzi. Urocza. Przywodzi na myśl zdrowie, świeży powiew powietrza, promień słońca w pochmurny dzień. Założyłby się o każdą sumę, że w ogóle nie ma makijażu, a jej jasne włosy opadają na ramiona w naturalnych lokach. I te oczy! Wielkie, piwne oczy łani. Prześliczne. A w tej zwyczajnej różowej letniej sukience wyglądała fantastycznie.

Śmieszne, ale poczuł, jak mu przyspiesza serce. Ta kobieta wywarła na nim niesamowite wrażenie. Nigdy jeszcze nic takiego mu się nie zdarzyło. Nigdy.

Przywiązywała teraz zieloną kokardę z boku drugiej ławy, a potem zrobiła to samo przy obu ławach po drugiej stronie nawy. Zapewne w ten sposób oznaczała miejsca dla rodziny państwa młodych.

Najprawdopodobniej to właśnie ta organizatorka ślubu, którą Ginger doprowadziła na skraj szaleństwa. Wydawała się bardzo młoda jak na tak poważne zajęcie, miała może dwadzieścia cztery, najwyżej dwadzieścia pięć lat. No i dobrze. On ma trzydzieści dwa, więc nie jest dla niej za stary.

Doskonale. Po prostu doskonale.

Ale... organizatorka ślubów? Dlaczego ktoś decyduje się na taką pracę? Bo jej własny ślub był tak cudowny, że chce dzielić to błogosławieństwo z innymi? Nie. To niemożli-

we. Ona nie jest meżatką. Tego by nie zniósł. Zajmuje się tym, bo jest romantyczną, staroświecką dziewczyną, która uwielbia śluby i jest bardzo dobra w radzeniu sobie z milionem szczegółów w jednej chwili. Tak. To o wiele lepsza odpowiedź.

Musi ją poznać. Koniecznie. Musi usłyszeć jej głos, spojrzeć głęboko w te jej niewiarygodne ciemne oczy. Musi nawiązać z nią kontakt, zanim zniknie z jego życia tak samo nagle, jak się w nim pojawiła. Musi...

Człowieku, opanuj się! Nie wiedział, co się z nim dzieje, ale było to lekko przerażające. Tego jednego przynajmniej był pewien.

Od drzwi doleciał szmer głosów. Luke wyszedł z ławy i wtedy akurat kobieta odwróciła się w jego stronę. Sapnęła i cofnęła się o krok.

- Przepraszam - powiedział, podchodząc do niej. - Nie chciałem pani przestraszyć. Przyszedłem za wcześnie, siedziałem tu i... - Stał przed nią, spojrzał jej w oczy i całkowicie zapomniał, co chciał powiedzieć.

- Ja... - odezwała się kobieta - jestem... - Też zamilkła, bo zabrakło jej słów.

Te jego oczy, te ciemne, bezbrzeżne jeziora, w których kobieta mogłaby się zanurzyć i nawet nie walczyć o wypływanie na powierzchnię. I ten głos... taki męski i dźwięczny, a mimo to łagodnie ją otulał jak miękki, zmysłowy aksamit, wywołując dreszcz...

Był wysoki, miał szerokie ramiona, długie nogi, wyrazi-

ste rysy twarzy i lśniąca czarna włosy. Wyglądał tak, jakby tu przyszedł prosto z castingu.

- Pani jest...? - spytał Luke, lekko się ku niej pochylając.

- Kto? Ja? Och! Tak. Oczywiście. Jestem Maggie Jenkins, właścicielka firmy „Róże i Marzenia”. Zdobywamy sobie całkiem przyzwoitą reputację w organizowaniu ślubów. Bo to właśnie robię. Ja... organizuję śluby. I za dużo paplam. Ale, widzi pan, jestem już trochę zmęczona. A kim pan jest?

Zachwycająca, pomyślał Luke, a na jego twarzy wykwitł uśmiech. Maggie Jenkins. Podobało mu się jej imię. Pasowało do niej, naprawdę pasowało. Och, tak, witaj, Maggie, która - dzięki Bogu - nie nosisz obrączki.

- Luke St. John - przedstawił się. - Brat tego stremowanego pana młodego i jego świadek.

- Miło mi pana poznać - powiedziała Maggie, odwracając od niego spojrzenie. - Chyba wszyscy już przyszli. Lepiej pójde się z nimi przywitać i zaczniemy próbę, żeby zmieścić się w czasie, bo po próbie mamy zarezerwowaną salę na kolację.

Luke patrzył, jak szybko idzie nawą do drzwi. Ale on nie poszedł, by przyłączyć się do przybyłych. Jeszcze nie. Po prostu stał i chłonał oczami Maggie.

Stając przed rozgadana grupką weselników, Maggie powstrzymała ziewnięcie zmęczenia i uzbroiła twarz w sztuczny uśmiech.

Czyżby czuła ciepło na plecach? - pomyślała nagle. Czy to Luke St. John patrzy na nią? Maggie, przestań! - skarciła się. Już zdążyła wyjść przed nim na kompletną idiotkę, przesadnie reagując na jego męski magnetyzm. Ale jest tak straszliwie zmęczona, nie myśli jasno. Gdy odpocznie, Luke St. John nym mężczyzną, których przecież jest tak wielu.

- Witam wszystkich - powiedziała raźnie.

- Och, Maggie - rozpromieniła się Ginger. - Nareszcie się doczekaliśmy! To już jutro! Nie mogę wprost uwierzyć!

Nie tylko ty, pomyślała Maggie, uśmiechając się do tej niewysokiej blondynki o opalonej na złoto skórze, ubranej w jedwabne spodnium w kolorze królewskiego błękitu.

- Maggie, pytałam cię już, czy znalazłaś kogoś, kto by dostarczył te jogurty, o które mi chodziło, wyłącznie Jasnożółte i w kolorze miętovej zieleni, do orzechowych babeczek z migdałami?

- Tak, pytałaś. I znalazłam. Musiałam zamówić dodatkowe babeczki, a potem poszukać jogurtów w tym kolorze, ale wszystko jest tak, jak chciałaś. -I zajęło mi to czas aż do drugiej w nocy, dodała w myśli. - A co mam zrobić z migdałami, których nie zużyjemy?

- Go chcesz - odpowiedziała Ginger, machając obojętnie ręką. - Gdzie jest mój najmilszy? Och, Robert, tu jesteś, skarbie. Czy zdajesz sobie sprawę, że już niedługo będziemy w drodze do Grecji? Będziemy mieli cały miesiąc na... Co się stało?

Przystojny młody mężczyzna, około dwudziestopięcioletni, objął Ginger za ramiona.

- Mój brat jeszcze nie przyszedł - wyjaśnił. - Nie możemy odbyć próby bez mojego świadka.

- Twój brat czeka tu już od jakiegoś czasu - uspokoiła go Maggie. - No to idę powiedzieć wielebnemu Masonowi, że jesteśmy gotowi.

Gdy szła do zakrystii, Luke z uśmiechem za nią patrzył.

- Luke! - zawołał go Robert.

- Tak? - Luke nie odrywał oczu od Maggie.

- Co się z tobą dzieje? Stoisz tyłem do wszystkich. Na miłość boską, nie mógłbyś zachowywać się trochę uprzejmiej?

Luke odwrócił się do brata.

- Tak, oczywiście. Przepraszam. Ale powiem ci, że zaimponowało mi to, co Maggie Jenkins zrobiła dla ciebie i Ginger. Jest taka młoda, a już ma własną firmę. A co ciekawsze, tak doskonale to wszystko zorganizowała, jakby sama miała fantastyczny ślub, a przecież chyba nie jest mężatką?

- Nie zaszkodzi upewnić się u kogoś, kto powinien to wiedzieć, pomyślał.

Robert tylko wzruszył ramionami, ale z wyjaśnieniem pospieszyła Ginger.

- Pytałam ją o to. Ona mówi, że uwielbia wyzwanie, jakim jest zaplanowanie doskonałej ceremonii aż do najmniejszych szczegółów, chociaż własnego ślubu nie będzie

miała. Tak mi powiedziała. Nigdy nie zamierza wyjść za
mąż.

- Dlaczego nie? - spytał zdziwiony Luke.

- Ach, mój drogi, nie byłoby grzecznie ją o to pytać. Słowo daję, mężczyźni też powinni pochodzić trochę na lekcje savoir-vivre'u tak jak my, kobiety. Skarbie - zwróciła się do Roberta - a jeżeli gościom nie będą smakować migdały w jogurcie? Jak myślisz, mogłabym poprosić Maggie, żeby jednak zmieniła do jutra nadzienie w orzechowych babeczkach?

- Lepiej nie - powiedział szybko Luke. - Nie zauważyłaś, że ona ma podkrażone oczy? Musi być wykończona. A na twoich lekcjach savoir-vivre'u na pewno uczono was, że trzeba zważać na potrzeby innych ludzi. Poza tym jestem od ciebie starszy, uczestniczyłem już w wielu przyjęciach ślubnych i zapewniam cię, że ludzie uwielbiają migdały w jogurcie.

- Naprawdę? - rozpromieniła się Ginger.

- Tak. Więc nawet nie myśl o tym, by kazać Maggie zmieniać nadzienie w babeczkach.

- No, skoro tak twierdzisz... - Ginger już zamierzała wyrazić kolejne wątpliwości, ale w tym momencie otworzyły się drzwi zakrystii. - Och, jest już Maggie z pastorem. Pójdę się z nim przywitać.

Pobiegła nawą, a Robert przyjrzał się starszemu bratu.

- Od kiedy stałeś się ekspertem, jeśli chodzi o popularność migdałów? - spytał ze zdziwieniem. - I skąd wiesz, że Maggie jest zmęczona? Powiedziała ci o tym?

- Jestem prawnikiem - wyjaśnił Luke. - A dobry praw-

nik musi zauważać najdrobniejsze niuanse w zachowaniu innych ludzi, bo mają wielkie znaczenie dla wyniku rozpraw sądowych.

- Co za bzdura! - roześmiał się Robert.

- No... tak - zająknął się Luke. - Zapomnij o tym.

- Nagle stałeś się taki... opiekuńczy. Tak, właśnie. Opiekuńczy wobec Maggie. Co się za tym kryje?

- A co miałoby się kryć? - Luke na chwilę zamilkł. - Wiesz, Robert, zazdroścę ci tego, co macie ty i Ginger. Obserwowałem was przez minione miesiące, widziałem, jak się w sobie zakochujecie, robicie plany na przyszłość. Cieszę się, że jesteście szczęśliwi. Ale przyznaję, że trochę wam zazdroścę.

- Ty mi zazdrościsz? - zdumiał się Robert. - Trudno mi w to uwierzyć. Kobiety ustawiają się w kolejce na twoim progu. Zawsze szukałeś takich, które pragną zabawy, a nie ustatkowania się.

Luke patrzył na Maggie, która podchodziła do nich z pastorem i Ginger.

- Wszystko z czasem się zmienia - powiedział spokojnie.

Wielebny Mason przywitał się z gośćmi i wyjaśnił, że odtworzą najważniejsze momenty ceremonii, tak by jutro wszystko poszło gładko.

- A więc - zarządził - Ginger, stań z ojcem w progu kościoła i zaczekaj, aż druhny ruszą w stronę ołtarza. Wtedy...

- Och, nie. - Ginger energicznie potrząsnęła głową. - Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego? - Robert był przerażony. - Chyba nie odwołujesz ślubu?

- Kotku, nie bądź głupi! - roześmiała się i pocałowała go w policzek. - Ale wiesz, że to przynosi pecha, gdy pan młody widzi pannę młodą dzień przed ślubem? No więc takiego samego pecha przynosi, gdy państwo młodzi grają swoje role na próbie. Nie wiedziałeś o tym?

- Nie, rzeczywiście nie wiedziałem - odparł Robert, wzdychając z wielkiej ulgi. - Więc co zrobimy?

- Ty i ja usiadzimy w ławce i będziemy uważnie obserwować - wyjaśniła Ginger - żebyśmy jutro wiedzieli, co robić.

- Kogo obserwować? Przecież to my będziemy nowożeńcami.

- Zastępców, głupku - wyjaśniła Ginger. - No, zobaczmy. Doskonale. Twój ojciec odegra rolę świadka i uda, że podaje obrączki, Luke będzie panem młodym, a... - rozejrzała się - tak, oczywiście. Maggie będzie panną młodą!

- Z przyjemnością - ucieszył się Luke.

Maggie pobladła.

- Nie wydaje mi się, by był to dobry pomysł - zaprotestowała. - Nie. To bardzo zły pomysł. Ja muszę... Tak. Muszę zostać w tyle kościoła i dopilnować, by drużny, idąc nawą w kierunku ołtarza, zachowywały właściwy odstęp.

- A jaki ma być ten odstęp? - spytał Luke uprzejmie.

- Trzy rzędy ław, ale...

- Moje panie, zrozumiałyście? - zwrócił się Luke do druhen.

Wszystkie skinęły głowami.

- W porządku - kontynuował. - Wobec tego jesteście wolna. Możesz iść za nimi z tatą Ginger i być... panną młodą. A ja będę panem młodym.

- Świetnie - skostatował wielebny Mason. - Proszę zajmować swoje miejsca. Drużbowie powinni stanąć przed ołtarzem, ze świadkiem i panem młodym. Szanowne mamy, proszę siadać w wyznaczonych ławach. Ginger i Robercie, usiądźcie tak, żebyście mogli wszystko dobrze widzieć i słyszeć.

- Ale... - zaczęła Maggie.

- Do szybkiego zobaczenia, przyszła żono - powiedział Luke, uśmiechając się do niej.

-Ale...

- Idziemy... Ginger - poleciał pan Barrington, chichocząc, i wziął Maggie pod rękę.

Nie chcę być panną młodą, myślała Maggie z rozpaczą, gdy ojciec Ginger prowadził ją na koniec kościoła. Nie. To nie tak. Chciała, ale wiedziała, że to się nigdy nie zdarzy. Nie może na to pozwolić, bo... Nie, nie jest panną młodą. I nigdy nią nie będzie.

A całą sprawę pogarszał jeszcze fakt, że zastępczym panem młodym był Luke St. John, mężczyzna, przy którym z wrażenia brakowało jej tchu.

- Organy właśnie zaczynają grać utwór, który wybraliście. Udawajcie, że to słyszycie - komenderował tymczasem wielebny Mason. - Drużny zaczynają marsz do ołtarza.

Gdy orszak ruszył, ojciec Ginger nachylił się do Maggie.

- Mam nadzieję, że Ginger będzie wyglądała jutro na szczęśliwszą niż ty teraz. Przecież to świetna zabawa, nie sądzisz, Maggie?

- Nie nazwałabym tego zabawą - odparła, usiłując się uśmiechnąć.

- Dlaczego? Zobacz, przy ołtarzu czeka na ciebie Luke, którego wszystkie panie z naszego miasta uważają za wspaniałą zdobycz. W tej chwili wzbudzasz zazdrość tłumu kobiet. Czy ta myśl ci się nie podoba?

- Nie bardzo - odparła Maggie ponuro.

- No to przynajmniej udawaj. Moja córka jest taka przesądna w sprawie tych wszystkich nonsensów, że dostanie ataku hysterii, jeżeli będziesz wyglądała tak, jakbyś właśnie przechodziła kanałowe leczenie zęba. Na miłość boską, to ślub, a nie pogrzeb. Uśmiechnij się! - rozkazał.

Maggie przybrała tak szeroki uśmiech, że aż rozboleły ją policzki.

ROZDZIAŁ DRUGI

Słyszę marsz weselny, pomyślał Luke. Wiedział, że to niemożliwe, ale przepiękna muzyka naprawdę wypełniała kościół.

A tam, w oddali, wsparta na ramieniu ojca Ginger szła miarowym krokiem Maggie, jego panna młoda. Taka uroczą i piękną... Podchodziła coraz bliżej, a jemu serce głośno łomotało na sam jej widok.

W końcu Maggie i pan Barrington stanęli przed pastorem.

- Teraz spytam - powiedział wielebny Mason - kto oddaje tę kobietę w małżeństwo. A pan, panie Barrington, odpowie: „Jej matka i ja”. Potem weźmie pan rękę córki i włoży ją w rękę Roberta.

- Jej matka i ja - zadudnił pan Barrington.

Nawet nie zdając sobie sprawy, że się poruszył, Luke wystąpił do przodu i wyciągnął rękę. A gdy pan Barrington umieścił rękę Maggie w dłoni Luke'a, ich spojrzenia się spotkały, i czas się zatrzymał.

Dobry Boże, pomyślała Maggie, niezdolna do odwró-

cenia wzroku od hipnotyzujących głębi oczu Luke'a. Luke obejmował jej dłoń tak zaborczo, a jednocześnie łagodnie. Ciepło jego ręki przesunęło się wzdłuż jej ramienia, przez piersi, aż wreszcie ogarnęło ją całą, powodując napływ gorąca, które rozplómiło rumieńcem policzki.

Musi cofnąć rękę. I cofnie ją. Za chwilę.

I musi przestać patrzeć Luke'owi w oczy. Tak robi. Teraz. Za moment.

- Zebraliśmy się tutaj - oświadczył wielebny Mason - by połączyć tego mężczyznę i tę kobietę świętym węzłem małżeńskim.

Tak, pomyślał Luke. Właśnie po to tu są. Ten mężczyzna, czyli on, i ta kobieta, Maggie, zaraz zostaną połączeni świętym węzłem małżeńskim, będą mężem i żoną, dopóki śmierć ich nie rozłączy.

Nigdy w życiu nie czuł tego, co teraz. Otulało go łagodne ciepło spokoju, w jakiś sposób przemieszane z wprowadzającym w zamęt żarem pożądania. Teraz już wiedział, że ten dreszcz, którego tak często doznawał, był dreszczem samotności. Ale już ustał, odszedł w zapomnienie i więcej nie wróci, bo jest z nim Maggie. Czekał na to całą wieczność, czekał na nią, na drugą połowę swojej duszy. I wreszcie tu była. Maggie. Jego Maggie.

Do licha, to czyste wariactwo, myślał, nie mogąc przestać się uśmiechać. Przecież jest prawnikiem, ma do czynienia z suchymi faktami, dowodami, absolutami, sprawami, które mogą być tylko albo czarne, albo białe. A mimo

to nagle dał się ponieść, rzucił się na łeb, na szyję w dziwny nowy świat romantyzmu.

Och, tak, to szaleństwo. Cudowne szaleństwo.

Maggie Jenkins na zawsze ukradła mu serce. A on wcale nie chce, by mu je zwróciła. Kocha ją. To takie proste, a jednocześnie skomplikowane. Podniecające i przerażające razem. To nie powinno być prawdą, nie mogło być prawdą, ale było.

Kocha Maggie na całą wieczność.

- Gdy zapalicie tę pojedynczą świecę tymi dwiema, które tu stoją - wyjaśniał wielebny Mason - zdmuchnijcie je i ustawcie z powrotem w świecznikach. Ta pojedyncza paląca się świeca symbolizuje wasz związek, to, że staliście się jednym.

Tak, pomyślał Luke. Staliśmy się jednym.

Tak, pomyślała Maggie w rozmarzeniu. Czyż to nie jest słodkie?

Słowa wielebnego Masona dźwięczały jak z oddali, podobne bzyczeniu roju pszczół, a Maggie i Luke patrzyli sobie w oczy. Potem nagle pastor powiedział głośno i wyraźnie:

- Możesz pocałować żonę.

Luke objął twarz Maggie rękami, przez długą chwilę patrzył na nią, a potem pochylił głowę i uwięził jej usta w pocałunku, który był tak czuły, tak pełen szacunku, tak... naturalny, że jej wzrok przesłoniła mgiełka łez. Rozkoszowała się tym pocałunkiem i marzyła, by nigdy się nie skończył.

Wielebny Mason odchrząknął.

- No tak, to już wszystko. Dziękuję, Luke, Maggie, za tak przekonujące odegranie waszych ról.

Luke uniósł głowę i oboje spojrzeli na pastora tak, jakby nie wiedzieli, kim jest.

- Teraz - kontynuował pastor - przedstawię młodych państwa St. John kongregacji, a potem zabrzmia organy i rozpocznie się powrót. Macie jakieś pytania?

Ginger zerwała się na nogi.

- Nie, nie mamy. Och, to będzie piękne! Już nie mogę się doczekać jutra! Bardzo panu dziękuję, pastorze. Teraz jedziemy do restauracji na kolację. Pan i pańska małżonka przyłączycie się do nas tak, jak planowaliśmy, prawdą?

- Z wielką przyjemnością - odparł pastor, rzucając jeszcze jedno spojrzenie na Maggie i Luke'a.

Patrzyli na niego nieprzytomnie, na ich twarzach malowało się oszołomienie.

Wreszcie Maggie lekko potrząsnęła głową, jakby chciała się uwolnić od zaklęcia, które przeniosło ją daleko stąd. Odsunęła się od Luke'a, a potem z trudem przywołała uśmiech na usta, na których ciągle jeszcze czuła jego smak, jego dotyk.

- Ginger, pójdę do restauracji sprawdzić, czy wszystko jest przygotowane, a potem wracam do domu.

- Ale miałaś zjeść z nami - nadała się Ginger uroczo.

- Jadłam lunch. I nie jestem głodna. Naprawdę.

- Moja droga, nie bądź niemądra - wtrącił się pan Barington. - Wiemy, jak ciężko pracowałaś przez te wszyst-

kie miesiące, żeby ślub Ginger wypadł idealnie. Nalegam, żebyś poszła z nami na kolację, nawet jeżeli nie zjesz dużo. A ja umieram z głodu. Chodźmy już.

- Ale... - zaczęła Maggie.

- Idziemy, pani St. John - rozkazał Luke, obejmując ją za ramiona.

- Co?! - Oczy Maggie zrobiły się wielkie jak spodki. - O kim mówisz?

- Och, przepraszam. Chyba jeszcze ciągle odgrywam swoją rolę. Przecież pobraliśmy się kilka minut temu. Maggie St. John. To ładnie brzmi, prawda?

- Ginger St. John brzmi ładnie - odparowała. - Zapomniałeś, że tylko ją zastępowałam? A ja jestem Maggie Jenkins i przy tym nazwisku zamierzam pozostać.

- Ach...

- Co ma znaczyć to „ach”?

- Tylko tyle, że żadne z nas nie ma kryształowej kuli, żeby poznać przyszłość, Maggie Jenkins. Kto wie, co jeszcze może się zdarzyć? Idziemy?

Nie odpowiadając na to pytanie, Maggie chwyciła pudło na kokardy i ruszyła nawą do wyjścia.

Wsiadła do swojej starej, dziesięcioletniej furgonetki i, zajmując miejsce na końcu sznura samochodów jadących do restauracji, wydała z siebie głębokie, drżące westchnienie.

Nie myśl o tym, nakazała sobie. Nie zastanawiaj się nad tym, co się zdarzyło w kościele. Nie przeżywaj wciąż od nowa tego pocałunku. Nie rób tego, Maggie.

Ale, do licha, co tam się właściwie stało? Nigdy w życiu nie doznała niczego tak... cokolwiek to było. Zupełnie jakby zniknęło całe otoczenie, pozostawiając ją i Luke'a samych w jakimś cudownym, bajecznym miejscu. Panna młoda. Pan młody. Pocałunek. To nieokreślone coś, co w swojej intensywności przekraczało wszelkie wyobrażenie.

Znów westchnęła, a na jej ustach pojawił się słodki uśmiech. Ale już w następnej chwili gniewnie uderzyła ręką w kierownicę.

-Maggie, przestań! - krzyknęła. - Po prostu natychmiast przestań. Zachowujesz się jak idiotka.

To dziwne, jakim osłem może się stać człowiek tylko dlatego, że jest wykończony. Oto wyjaśnienie. Przesadna reakcja spowodowana przemoczeniem. To takie proste teraz, gdy się uspokoiła i zaczęła myśleć jak rozsądna istota ludzka.

A Luke? On po prostu postąpił tak, jak po nim oczekiwano, gdy grał rolę pana młodego. To ona popadła w jakieś dziwaczne otumanienie. Luke zwyczajnie udawał, że jest Robertem, i potraktował ją tak, jakby była Ginger. Koniec historii.

Postanowiła, że w restauracji spróbuje jakiejś potrawy, a potem wyjdzie, gdy tylko zwykła uprzejmość na to pozwoli.

Maggie zarezerwowała na tę kolację prywatną salę w pięciogwiazdkowej restauracji.

A obsługa stanęła na wysokości zadania. Na stole błyszcząca zastawa z cienkiej porcelany, skrzyły się srebrne sztucce, na niepokalanie białym koronkowym obrusie rozsypały się płatki różowych róż.

Zadowolona, skinęła głową, bo nastrój był w najwyższym stopniu romantyczny, i poszukała sobie krzesła przy drzwiach, by wymknąć się, gdy tylko nadarzy się okazja. Już siadała, gdy nagle stanął obok niej Luke i wziął ją pod rękę.

- Maggie, zastępcza panna młoda i zastępczy pan młody powinni usiąść jak najbliżej prawdziwych państwa młodych. To część przesądu.

- Nieprawda - oburzyła się.

- Ależ oczywiście, że tak. Chyba nie chcesz zdenerwować Ginger. Starasz się, żeby cała impreza wypadła idealnie, spędzasz całe godziny, wybierając kolor jogurtu, a teraz jednym nieprzemyślanym krokiem zamierzasz wszystko zepsuć?

- Staram się, bo celem „Róż i Marzeń” jest spełnić wszystkie życzenia klienta.

- No właśnie - przytaknął Luke, ciągnąc Maggie ku środkowi stołu. - I dlatego ty i ja usiadziemy blisko państwa młodych.

- Ale ja nie zostanę długo i...

- No, siadamy tutaj - oznajmił Luke, odsuwając krzesło dla Maggie. - Dokładnie naprzeciwko szczęśliwej młodej pary.

Maggie tylko spiorunowała Luke'a wzrokiem, ale usiadła już bez dalszych protestów.

Kelnerki zaczęły nalewać wino, przyniosły zupę, potem sałatki. Przy pieczeni Maggie nie mogła już powstrzymać ziewania.

- Jedz - nakazał Luke.

- Jestem za bardzo zmęczona.

- Jeżeli nie będziesz jadła, Ginger wystraszy się, że coś poszło źle z planami ślubu i dlatego jesteś zdenerwowana. A nie chcę nawet myśleć, co ona by wtedy zrobiła.

Maggie westchnęła i pogrzebała widelcem w talerzu.

Rozmowy i śmiechy przy stole stawały się coraz głośniejsze, wszyscy świetnie się bawili, a Maggie powoli zapadała w sen.

Kilka łyków wina dokonało reszty i nagle nie mogła już utrzymać oczu otwartych. Zaczęła się zsuwać z krzesła. Luke akurat na nią spojrzał. Szybko ją objął. Maggie zamrużyła.

- Idzie kelnerka z kawą. Napijesz się? Tak, oczywiście, że się napijesz.

- Poproszę - zgodziła się Maggie. - I zabierz rękę.

- Gdy tylko wypijesz kilka łyków kawy, moja panno młoda.

- Nie jestem twoją panną młodą - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - A twoje ramię mi przeszkadza.

-Tak?

- Tak. Jest ciężkie. I za ciepłe. O wiele za ciepłe. Gorące.

- Gorąco ci? - spytał Luke z niewinną miną. - Gorąco ci,

bo ja cię obejmuję? Bo jestem tak blisko ciebie, a ty jesteś blisko mnie? Czyż to nie jest interesujące?

Kelnerka nalała kawy. Maggie pochyliła się, by sięgnąć po filiżankę, a ramię Luke'a poszło za jej ruchem.

- No, już mi lepiej - oznajmiła po kilku łykach. - Jestem całkowicie rozbudzona. Możesz zabrać rękę. Dziękuję ci za pomoc.

- Cieszę się, że mogłem ci usłużyć - powiedział Luke i powoli, bardzo powoli, zaczął się odsuwać. - Maggie, powiedz, dlaczego kobieta, która organizuje tak wspaniałe śluby, sama nie chce pójść za przykładem swoich klientek? Ktoś mi wspomniał, że nie zamierzasz wyjść za mąż. Jestem bardzo ciekawy, co cię skłoniło do takiej decyzji.

- To długa historia.

- Więc mi ją opowiedz. Mamy mnóstwo czasu.

- Raczej nie chcę o tym rozmawiać. - Maggie odepchnęła krzesło i wstała. - Dziękuję za uroczą kolację - zwróciła się do Ginger i Roberta. - Do zobaczenia jutro w kościele.

- Hej, zaczekaj! - zawołał Luke, zrywając się na nogi. - Chyba najlepiej będzie, jeżeli odwiozę cię do domu. Możesz zasnąć przy kierownicy.

- Och, nie. Teraz, po tej kawie, czuję się bardzo dobrze.

Gdy Maggie szybko szła do wyjścia, żegnana chórem serdecznych „do widzenia” i „do jutra”, Luke z ponurą miną opadł z powrotem na krzesło.

- Cholerna kawa - wymruczał, patrząc na pustą filiżankę Maggie.

- Co ci się w niej nie podoba? - spytała Ginger, zaglądając do własnej filiżanki.

- Wszystko z nią w porządku, kochanie - wyjaśnił jej Robert, a potem uśmiechnął się do Luke'a. - Po prostu wpływa na ludzi orzeźwiająco, a to niektórym psuje szyki.

- Nie rozumiem - zdziwiła się Ginger.

- Ach, nic takiego - zachichotał Robert. - To sprawa między nami, mężczyznami. No, wiesz, chodzi o Luke'a i Maggie. On był dziś panem młodym, a Maggie panną młodą. Nie sądzisz, że ich widok jako pary po prostu zbijał z nóg?

- Jeżeli zaraz się nie zamkniesz, przy najbliższej okazji porozmawiamy sobie o zbijaniu z nóg - mruknął Luke.

Robert tylko się roześmiał.

W końcu towarzystwo zaczęło się zbierać do domu.

- To była wspaniała kolacja - powiedział Luke, wstając.
- Właściwie cały wieczór był fantastyczny. Zdecydowanie zapadający w pamięć.

- Co ty powiesz? - zakpił Robert.

Luke ułożył rękę na kształt pistoletu i wycelował w brata, który śmiał się tak serdecznie, że aż dostał czkawki.

Firma „Róże i Marzenia” mieściła się na parterze starej wiktoriańskiej willi, którą Maggie wynajęła w handlowej dzielnicy Phoenix. Ona sama mieszkała na piętrze.

Klientów przyjmowała w salonie na parterze. Na ścianach porozwieszała zdjęcia ze ślubów, postarała się o ład-

ne stoliki i wygodne fotele, by klienci czuli się komfortowo i chętnie przedłużali rozmowę.

Ale jej najulubiejszym sprzętem była ogromna wanna na lwich łapach w łazience na piętrze, w której mogła się wylegiwać, zanurzona aż po szyję.

Godzinę po wyjściu z restauracji, przebiwszy się przez zatłoczone jezdnie, rozsiadła się wygodnie w rozkosznie ciepłej wodzie z bąbelkami, oparła głowę na poduszce, którą sobie podłożyła na krawędzi wanny, i zamknęła oczy

Dobry Boże, pomyślała, co to był za wieczór! Okropny, po prostu okropny. Luke St. John stanowi dla niej prawdziwe zagrożenie. Tak, to właściwe słowo. Zagrożenie. To bardzo *niebezpieczny przedstawiciel męskiego gatunku*. *Zagraża* spokojowi jej umysłu i wyczynia dziwne rzeczy z jej ciałem. Ogólnie rzecz biorąc, z jej kobiecością. Obudził w niej niepotrzebne pragnienia, a tak bardzo pracowała nad sobą, by je uśpić. Zdecydowanie jest niebezpieczny.

Nic dziwnego, że kobiety aż się wychylały z ław, by przyciągnąć jego uwagę. On bezsprzecznie ma w sobie coś, co budzi w kobiecie zmysłowość.

Ale ona już o tym wie i będzie uważała. Zresztą z całą pewnością jej przesadna reakcja na niego była spowodowana przemęczeniem. Mimo to dręczyło ją nieprzyjemne przeczucie, że nawet gdy porządnie odpocznie, nadał będzie reagowała na to, co on w sobie ma.

A więc: jutro, podczas ślubu i przyjęcia zrobi wszystko, by trzymać się z daleka od pana St. Johna. Nie będzie wię-

cej spojrzeń w te jego nieprawdopodobne oczy. Żadnych więcej ciepłych, silnych ramion wokół jej kibici. I niech Pan Bóg ją strzeże przed takimi pocałunkami jak ten podczas próby, który niestety odwzajemniła, i który, co więcej, wzbudził w niej chęć zdercia z niego ubrania tam, przed samym wielbnym Masonem.

A więc postanowione. Ma plan. Jutro wieczorem będzie się trzymała z daleka od Luke'a, ślub i przyjęcie przemina, a potem już nigdy w życiu go nie zobaczy.

Otworzyła oczy i zmarszczyła czoło.

Ma już nigdy nie zobaczyć Luke'a? Nigdy? Przenigdy? Ależ oczywiście, że tak właśnie będzie. On należy do śmietanki towarzyskiej, a ona do tych, którzy nie są pewni, czy będzie ich stać na czynsz za następny miesiąc. Po prostu nie zdarzy się już żadna okazja, by ich drogi się skrzyżowały.

Tylko dlaczego to ją wpędza w depresję?

- Och, Maggie, przestań! - powiedziała na głos, znów zamykając oczy. - Dziś dobrze się wyśpij, a jutro obudzisz się świeża i bez głupich myśli.

Morzył ją sen, zaczęła się powolutku zsuwać. Niżej i niżej, aż zniknęła pod pianistą wodą.

Wyskoczyła na powierzchnię, wylewając strugę wody na podłogę.

W ustach miała mydło, całą głowę w pianie.

Och, jest taka zmęczona, a zamiast iść do łóżka, musi teraz umyć głowę i wytrzeć podłogę! Sięgnęła po ręcznik, który sobie przygotowała na brzegu wanny. Był mokry i...

Wybuchnęła płaczem.

Płakała, bo wystraszyła się, zanurzając się tak nagle pod wodę. I dlatego, że piana smakowała okropnie i teraz ją mdliło. I jeszcze dlatego, że była za bardzo zmęczona, żeby myć głowę i wycierać podłogę i zrobić coś z mokrym ręcznikiem i...

Płakała, bo chociaż tak bardzo się starała, nie mogła zapomnieć, co czuła, gdy Luke ją całował, i nie wiedziała, jak sobie poradzić z tym nowym i dziwnym uczuciem.

Płakała, bo po jutrzejszym wieczorze już nigdy nie Zobaczy Luke'a. Wiedziała, dobrze wiedziała, że tak będzie dla niej najlepiej, ale czasami to, co najlepsze, jest takie smutne.

Płakała, bo... bo, do licha, musiała sobie popłakać.

Woda w wannie wystygła, włosy wyschły i zmieniły się w jakąś gumowatą pokrywę, a głowa bolała coraz bardziej.

Jeszcze raz załkała, wygramoliła się z wanny, mokry ręcznik wrzuciła do wody, poczłapała do sypialni i wsunęła się pod kołdrę.

I całą noc, spędzoną w wilgotnej pościeli i na lepkiej poduszce, śniła o Luke'u St. Johnie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Po tym niezwykłym, pełnym wrażeń wieczorze Luke nie potrafił zasnąć. W końcu się poddał. Wstał i zaczął się snuć bez celu po swoim penthousie. Wreszcie zatrzymał się przy oknie i z zachwytem zapatrzył w światła miasta, ciągnące się w nieskończoną dal.

W głowie myśli kłębiły mu się jak oszalałe. Przycisnął ręce do pulsujących skroni, ale to nie pomogło.

Maggie, wymówił w duchu jej imię. Była taką kobietą, o jakiej zawsze marzył. Znał ją zaledwie od kilku godzin, ale już wiedział, że to właśnie ona, ta jedyna kobieta na całym świecie, jego życiowa partnerka.

Chciałby wykrzyczeć ponad dachami tę radość, powiedzieć światu, że jest zakochany, że znalazł drugą połowę swojej duszy.

Jednak gdzieś w głębi porażał go strach. A jeżeli ona nigdy nie poczuje tego samego do niego, jeżeli wyśliznie mu się jak piasek przesypujący się przez palce?

Bo Maggie z jakichś nieznanых mu powodów postanowiła nigdy nie wychodzić za mąż. Dlaczego podjęła taką decyzję? Czy jakiś mężczyzna w przeszłości ją skrzywdził?

Och, niechby on tylko dostał drania w swoje ręce, a rozdarłby go na strzępy! Albo by go... Stop! Nie warto tracić energii na takie rozważania.

Może Maggie była tak skupiona na karierze, że nie widziała w swoim życiu miejsca dla mężczyzny?

Nie znajdował odpowiedzi na to pytanie. Ale wyglądało to tak, jakby Maggie zbudowała wokół siebie potężny mur. Luke obawiał się, że nie będzie w stanie go zburzyć i zdobyć dla siebie jej serca.

Jedyną nadzieję pokładał w tym, że przy ołtarzu Maggie odpowiedziała na jego pocałunek. Jej wielkie, ciemne oczy patrzyły na niego z pożądaniem. Pożądała go. Właśnie jego.

Ale nawet gdyby tym pocałunkiem zaczął kruszyć mur, którym Maggie się otoczyła, czeka go jeszcze bardzo długa droga.

W pierwszej chwili, kierowany impulsem, chciał ją zaprosić na randkę, na kolację z winem, i zalecać się w klasyczny sposób. Zaraz jednak sobie uświadomił, że ona na pewno odrzuci jego zaproszenie. Była zdenerwowana, wprost przerażona swoją reakcją na pocałunek, i uciekła z restauracji, gdy tylko nadarzyła się pierwsza okazja.

A więc nie. Tradycyjny sposób - kwiaty, czekoladki i romantyczne kolacje - nie zadziała. Zresztą Maggie nawet nie dałaby mu szansy, by tego popróbować.

Potrzebuje nowego, innowacyjnego planu. I musi go wymyślić bardzo szybko, bo jeżeli czegoś nie zrobi, zobaczy

się z Maggie jeszcze tylko podczas ślubu i przyjęcia. Potem, gdyby próbował nawiązać z nią kontakt, mógł już się spodziewać jedynie odmowy.

Maggie, dlaczego? - pomyślał przygnębiony. Dlaczego nie chcesz się zakochać, wyjść za mąż, być panną młodą na ślubie, który byś tak fantastycznie zorganizowała?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Nie wiedział też, jak zdołałby stawić czoło pustej przyszłości, gdyby przyszło mu żyć bez Maggie.

Ale on się nie podda. W jakiś sposób, chociaż jeszcze nie wie jaki, zburzy mur i będzie z nią dzielił jej słoneczny świat aż do końca czasu. Dokona tego. Jakoś.

Wczesnym przedpołudniem następnego dnia Maggie przyszła do małego domku swojej matki. Od razu w drzwiach wręczyła jej wielką plastikową torbę.

- Co mi przyniosłaś, kochanie? - spytała Martha Jenkins.

- Babeczki orzechowe z migdałami - odparła Maggie, siadając przy stole w kuchni. - A migdały są polane jogurtem we wszystkich kolorach tęczy oprócz żółtego i zielonego.

Martha roześmiała się i otworzyła torbę. Była przystojną kobietą, chociaż na ulicy może nikt by się za nią nie obejrzał. Jej ciemne włosy przetykały pasma siwizny, której nie zamierzała ukrywać, i już dawno temu zrezygnowała z prób zgubienia co najmniej dziesięciu nadprogramowych kilogramów.

- Właśnie tego moje pulchne ciało potrzebowało. Ale

co tam! Zjem je wszystkie, aż do ostatniej. Czy to resztki po czymś, co przygotowałaś na dzisiejsze przyjęcie? - spytała, biorąc od razu babeczkę.

- Tak. Rozumiesz, moja kapryśna panna młoda uparła się, żeby polewa była wyłącznie w kolorach żółtym i zielonym, więc ten jogurt się nie nadaje. - Zamilkła na chwilę.

- Chociaż nie, to nie tak. Ginger wcale nie jest kapryśna. Po prostu chce, żeby jej ślub był idealny. I przecież ma prawo tego pragnąć.

- To prawda - przyznała Martha. - Niestety idealny ślub nie stanowi gwarancji na idealne małżeństwo. Najlepszym przykładem jest to, że rozwiodłam się z twoim ojcem. Miałaś wtedy dziesięć lat, a on sobie poszedł i więcej go nie widziałyśmy. - Wzięła następną babeczkę. - Och, pycha!

- Myślę, że Ginger i Robert będą szczęśliwi do końca życia - stwierdziła Maggie. - Gdybyś mogła ich zobaczyć razem. .. Och, nieważne.

- Maggie, martwię się o ciebie. Jak to się stało, że zajęłaś się organizacją ślubów, kiedy jest tyle innych zawodów, które mogłabyś wykonywać? Dlaczego tak się torturujesz, urządzając te cudowne ceremonie dla obcych ludzi, podczas gdy sama...

- Podczas gdy wiem, że nigdy nie wyjdę za mąż? - dookończyła za nią Maggie.

- Właśnie - przyznała Martha, poklepując córkę po rękę.

Przed oczami Maggie pojawił się nagle żywy obraz Luke'a. Przebiegł ją dreszcz.

- Może masz rację - powiedziała spokojnie. - Może naprawdę popełniłam błąd. Przez ostatnie pięć lat wszystko było w porządku, z radością organizowałam śluby innym ludziom, ale... - Zamilkła i pokręciła głową.

- Czy ten ślub jest inny? Coś cię w nim wzburzyło?

- Nie, właściwie nie - odpowiedziała szybko Maggie, zmuszając się do uśmiechu. - To po prostu najbardziej okazały ślub, jaki do tej pory organizowałam. I po tylu miesiącach przygotowań chyba będę miała jakieś poczucie straty. Przykro mi będzie rozstawać się z tymi wszystkimi ludźmi.

- Pewnie tak - zgodziła się Martha.

- Oczywiście mam nadzieję, że dzięki temu ślubowi moja firma zyska sobie dobrą reputację i posypią mi się zlecenia na eleganckie, dystyngowane ceremonie. Tego właśnie chcę. Och, nie zwracaj na mnie uwagi. Jestem w dziwnym nastroju. Mamo, częstuj się. Jogurt jest bardzo zdrowy.

- Ale orzechy tuczą - roześmiała się Martha.

- Jak ci idzie w sklepie? - spytała Maggie, by zmienić temat rozmowy.

- Po staremu. - Martha wzruszyła ramionami. - Nadal kieruję działem dziecięcych ubrań. Ani tego nie kocham, ani nie nienawidzę. Po prostu w ten sposób zarabiam na utrzymanie. Nie mogę się skarżyć, kochanie.

- Ja też jestem z ciebie dumna.

- Tak dotrwam do emerytury. To już niedługo. - Martha przerwała na chwilę. - A czy ty czujesz się tak samo

w swojej firmie? Widzisz siebie prowadzącą ten interes jeszcze przez wiele lat?

- Nie jestem pewna. Jak ci mówiłam, czuję się jakoś nie-swojo po tym, jak przez tyle miesięcy przygotowywałam ten ślub. Ale gdy dziś wszystko się skończy i wreszcie się wyśpię, pewnie będę wiedziała lepiej, czego chcę. Teraz jestem wykończona i to nie jest odpowiednia chwila na analizowanie moich uczuć.

- Masz rację. - Martha westchnęła. - Och, Maggie, tak bym chciała, by wszystko potoczyło się inaczej. Chciałabym mieć nadzieję, że któregoś dnia zaplanujesz wspaniałe ślub dla siebie, ale... To nie wydaje się uczciwe, prawda? Wiem, wiem, nikt nie twierdzi, że życie jest uczciwe.

- Nie - odparła Maggie spokojnie. - Nikt tak nie twierdzi.

Wiele miesięcy temu Maggie zaszalała i kupiła sobie to, co nazywała Strójem. Była to szyfonowa garsonka z haftowanym żakiecikiem w odcieniu morskiej zieleni i spódniczką mieniącą się wszystkimi kolorami tęczy, sięgającą akurat za kolana. Do tego miała sandały z paseczków na siedmiocentymetrowych szpilkach. Jeżeli ślub odbywał się w zimie, która w Phoenix zawsze jest łagodna, okrywała ramiona białym koronkowym szalem po babci.

Ubrana w Strój, zjawiała się w kościele godzinę przed ceremonią. Sprawdziła, czy dostarczono kwiaty, upewniła się,

że dwie świece stojące przed ołtarzem są żółte, a ta symbolizująca związek Ginger i Roberta - zielona.

Patrząc na świece, wspominała, jak to wielebny Mason wyjaśniał ich znaczenie, podczas gdy ona i Luke odgrywali role panny młodej i pana młodego.

Wiedząc, że to głupie, Maggie mimo wszystko wyjęła jedną żółtą świecę ze świecznika, a potem spojrzała na prawo, wyobrażając sobie Luke'a z drugą świecą. Oczami duszy widziała, jak jednocześnie podchodzą do tej większej świecy pośrodku i zapalają ją. Zdmuchnęła nieistniejący płomień, który symbolizował jej paniński stan, i wtedy zobaczyła - naprawdę zobaczyła! - migoczące światełko świecy stojącej pośrodku. Maggie, przestań! - nakazała sobie ostro i z powrotem włożyła na miejsce żółtą świecę. Wystarczy tych głupstw!

Odwróciła się i aż podskoczyła. Luke stał przy drzwiach kościoła z torbą na ubranie przewieszoną przez ramię i przyglądał się jej.

Wyprostowała ramiona, uniosła dumnie brodę i podeszła do niego.

- Cześć, Luke! - powiedziała, patrząc gdzieś ponad jego głową. - Właśnie sprawdzałam, czy świece są dobrze osadzone. Szczegóły, szczegóły, szczegóły. Zawsze wolę sama wszystkiego dopilnować. Nie uwierzysz, ile spraw trzeba mieć zawsze na uwadze przy takiej ceremonii. I właśnie na tym polega moja praca: na sprawdzaniu wszystkich szczegółów i...

- Wyglądasz pięknie. - Głos Luke'a był niski, głęboki i tak bardzo męski, że Maggie poczuła dreszcz. - Jesteś piękna jak panna młoda.

- Och, dziękuję. - Nadal wołała nie patrzeć mu w oczy. - To przez Strój. Chciałam powiedzieć... nieważne. W tej torbie masz smoking? Wiesz, że Ginger trzy razy zmieniała decyzję co do koloru smokingów? W końcu wybrała jasnoszary. Spodziewam się, że nie masz nic przeciwko plisowanym koszulom, bo ona nie wyobrażała sobie ślubu, jeżeli panowie będą w zwykłych koszulach. No i tak. Doskonale. Lepiej pójdę do gotowalni panny młodej i...

- Maggie, spójrz na mnie - powiedział spokojnie Luke.

- Słuchaj, muszę pędzić...

- Maggie, spójrz na mnie - powtórzył nagłaco.

Maggie powoli uniosła wzrok i natychmiast poczuła zawrót głowy.

- Tak? - spytała cicho.

- Czy podczas przyjęcia zatańczysz ze mną?

- Nie mogę. Nie idę tam w charakterze weselnego gościa. Będę się kręciła na zapleczu, pilnując tych wszystkich do- kuczliwych szczegółów, o których ci mówiłam. No, muszę lecieć. Na razie.

- Maggie, czy ja cię wprawiam w zdenerwowanie?

- Ty? - parsknęła, machając ręką w powietrzu. - Nie bądź niemądry. To nie ty, to ten cały wieczór, który mam przed sobą. Od tego, czy wszystko pójdzie dobrze, zależy reputacja mojej firmy. Więc wszystko musi pójść idealnie.

- Czyli powinnaś się starać, żeby wszyscy goście byli zadowoleni, prawda?

- Jasne. Oczywiście, że tak.

- No to obiecaj, że ze mną zatańczysz. Tylko jeden taniec, Maggie. Chyba nie proszę o zbyt wiele? Przecież nie chcesz, żeby świadek pana młodego był podczas przyjęcia w złym humorze?

Maggie przymrużyła oczy.

- Zawsze dostajesz to, na czym ci zależy?

- Kiedy to jest dla mnie bardzo ważne, to owszem, dostaję - powiedział Luke, nadal patrząc jej w oczy. - A więc umowa stoi? Jeden taniec?

- Jezu, Luke, niech ci będzie. Ale jeżeli podczas tego tańca coś pójdzie źle, to będzie twoja wina.

- Uczciwe postawienie sprawy - odparł, uśmiechając się.

- Do zobaczenia na parkiecie.

Maggie była przygotowana na to, że będzie musiała sobie radzić ze stremowaną, maksymalnie podenerwowaną Ginger. Tymczasem, ku jej zdziwieniu i niewypowiedzianej uldze, Ginger, wchodząc do garderoby w kościele, była całkiem spokojna.

- Naprawdę dobrze się czujesz? - upewniła się Maggie, uważnie jej się przyglądając.

- Maggie, za chwilę biorę ślub z mężczyzną, którego kocham całym sercem - powiedziała Ginger miękko. - I tylko o tym potrafię teraz myśleć. To dziwne, prawda? Tyle ma-

radziłam w sprawie kolorów jogurtu i innych rzeczy, i nagle okazało się, że to wszystko nie jest ważne.

- Myślę, że to cudowne - odparła Maggie, uśmiechając się. - I jesteś piękna w tej sukni. Mam nadzieję, że ty i Robert będziecie razem bardzo szczęśliwi.

- Och, tak. Będziemy bardzo szczęśliwi.

Ale czy na zawsze? - pomyślała Maggie.

- Mamo - odezwała się Ginger, sprowadzając Maggie z powrotem na ziemię. - Musisz przestać płakać, bo inaczej na zdjęciach będziesz miała całą twarz w plamach.

- Wiem, wiem - zachlipała pani Barrington, wycierając nos którąś już z kolei chusteczką. - Ale jesteś moją małą dziewczynką i... och, nie wiem, jak ja to przeżyję.

- Już czas - wtrąciła się Maggie, patrząc na zegarek.

Maggie, jak zwykle, siedziała w ostatniej ławce. Ceremonia toczyła się idealnie, w tej chwili nic od niej nie zależało, więc pozwoliła sobie patrzeć na Luke'a St. Johna.

To grzech tak wyglądać, myślała rozmarzona. Jasnoszary kolor smokingu podkreślał czerń włosów i złocistą barwę opalonej twarzy. Szyta na miarę marynarka uwydatniała szerokie jak skalny blok ramiona. I te silne, ale delikatne ręce, podające obrączki...

A od uśmiechu, jakim rozjaśniła się jego twarz, gdy Robert pocałował swoją żonę, Maggie przebiegł delikatny dreszczyk.

Potem cały orszak skierował się ku drzwiom kościo-

ła. Gdy Luke z honorową drużyną przechodzili obok ławki Maggie, ich spojrzenia się spotkały i Maggie oblała się żarem.

Serce jej waliło, wzrok się zaćmił. Jak, u licha, ona przetrwa ten taniec, który u niej zamówił? Obietnica jest obietnicą, ale... Jeżeli będzie bardzo zajęta doglądaniem wszystkich szczegółów i uda jej się trzymać z daleka od Luke'a, może zdoła go uniknąć. Będzie ją to kosztowało trochę biegania i musi cały czas się pilnować, wiedzieć, gdzie w każdej chwili Luke się znajduje, ale powinna sobie poradzić.

- Dobry plan - mruknęła do siebie. - Maggie, jesteś genialna.

Przyjęcie odbywało się w ekskluzywnym klubie podmiejskim. Gości powitał zastawiony smakołykami stół, a w wielkiej sali balowej porozstawiano mnóstwo kilkusobowych okrągłych stolików, przykrytych na przemian zielonym albo żółtym obrusem. Na środku każdego z nich stała kontrastująca kolorem świeca w szklanym cylindrze. Zespół dziesięciu muzyków w czasie kolacji miał grać spokojne melodie, a potem, po wzniesionych szampanem toastach i pokrojeniu czteropiętrowego tortu, który następnie rozniesie cała armia kelnerów, zaczną przygrywać do tańca.

Ponieważ wszystko toczyło się jak w zegarku, Maggie powoli się uspokajała. Usiadła z talerzem przekąsek w ciemnym kącie sali i z radością przyglądała się wynikowi wielu miesięcy pracy.

Udało się. Może mieć nadzieję, że jej firma utorowała sobie drogę do śmietanki towarzyskiej Phoenix. Widziała, jak goście chowają do portfeli czy kieszeni karty wizytowe jej firmy, które podłożyła pod świeczniki. Fantastycznie!

Odstawiła talerz na tacę przechodzącego obok kelnera. Właśnie w tej chwili Ginger i Robert wychodzili na parkiet, by otworzyć bal. Jacy oni ładni, pomyślała. I jacy szczęśliwi. Uśmiechnęła się z rozrzewnieniem.

Nagle aż się wzdrygnęła. Tańce! Inne pary też już wchodziły na parkiet. Gdzie jest Luke?

O, tam. Tańczy z Ginger. A teraz ze swoją matką. Doskonale. No, no, jego taniec to czysta poezja, porusza się bardzo wdzięcznie jak na tak solidnie zbudowanego mężczyznę. Och. Lekko się skłonił i włożył rękę matki w rękę swojego ojca i - och, nie! - idzie prosto do kącika, w którym ona się ukryła. Trzeba uciekać!

Maggie skoczyła na równe nogi. Pobiegła dać zbędne instrukcje kelnerom, bez potrzeby sprawdziła stoliki, potem popędziła do kuchni, by zobaczyć, jak idzie sprzątanie. Gdzie jeszcze mogłaby się ukryć? - zastanawiała się gorączkowo. Ach, tak! Damska gotownia.

Szybko utorowała sobie drogę przez tłum i weszła do dużej łazienki. Pod jedną z obwieszonych lustrami ścian stały toaletki, przy nich foteliki, wszystkie zajęte przez poprawiające makijaż kobiety. Inne czekały na swoją kolej. Panował tu gwar, co chwila rozlegał się śmiech, najwyraźniej panie dobrze się bawiły.

Maggie przejrzała się w lustrze, ale właściwie nie miała co tu robić, bo torebkę zostawiła w zamkniętej na klucz szafce w kuchni. No ale przecież może chyba stąd spokojnie wyjść, bo nawet jeżeli Luke zgadł, gdzie przed nim uciekła, na pewno nie będzie na nią czekał przed damską go-towalnią. Bogaci ludzie na ogół przestrzegają towarzyskich form.

Zadowolona, że jak do tej pory dobrze się jej udaje trzymać od niego na bezpieczną odległość, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

I zderzyła się z twardą pierśią Luke'a.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- No i proszę. Jednak się spotkaliśmy - powiedział.
 - Luke, nie możesz kręcić się przed damską toaletą. To wcale nie jest zabawne ani uprzejme. Twoja matka byłaby zdruzgotana.
 - Mojej matki tu nie ma, a ty jesteś. Od chwili, gdy zaczęli grać do tańca, skaczesz po całym lokalu jak pingpongowa piłeczka. Odnoszę wrażenie, że nie zamierzasz dotrzymać słowa i zatańczyć ze mną. Mówisz, że moja matka byłaby zdruzgotana. A co pomyślałaby twoja matka, wiedząc, że jej córka nie dotrzymała słowa?
- Maggie otworzyła usta, by coś powiedzieć w swojej obronie, ale zaraz zdała sobie sprawę, że Luke ma rację. Obiecała, a teraz robi wszystko, byle tylko się wykrecić.
- Och, Luke, nie mam czasu, muszę dopilnować każdego drobiazgu...
 - Nieprawda. Wszystko idzie jak po maśle. W tej chwili na pewno nie musisz niczego pilnować.
 - No tak. Właśnie. Więc poszłam odświeżyć makijaż.
 - Tak? A gdzie jest twoja kosmetyczka? Nie masz przy sobie torebki, a więc i nie masz kosmetyczki.

- Hm...

- Maggie. Nie chcesz ze mną zatańczyć? - spytał spokojnie.

- Chcę. Tylko że...

- No to dobrze. Idziemy. - Wziął Maggie za rękę.

- Ale...

Drzwi gotowalni otworzyły się i na korytarz wyszły trzy młode kobiety.

- O, Luke St. John - uśmiechnęła się jedna nieśmiało. - Co ty robisz przed naszym cichym prywatnym schronieniem? Zgubiłeś się, ty, taki wspaniały mężczyzna?

- Nie - odpowiedział Luke, zaciskając mocniej dłoń na ręce Maggie, która usiłowała się uwolnić. - Nie zgubiłem się. Przeszedłem zabrać moją partnerkę do następnego walca. Uważałem, że byłoby bardzo uprzejmie towarzyszyć jej w drodze na parkiet.

- Czyż to nie słodkie? - wykrzyknęła inna kobieta.

- Obowiązkiem mężczyzny jest eskortować partnerkę - wyjaśnił Luke. - Chodź, Maggie.

- Maggie, jesteś szczęściarą - powiedziała trzecia kobieta, wzdychając z rozmarzeniem. - Ja na wszystkie sposoby od lat staram się „zabrać” Luke'a, ale żaden nie zadziałał. Co ty wiesz takiego, czego ja nie wiem?

- Nie mam pojęcia - wyznała ostrożnie Maggie.

- Miłej zabawy, moje panie - powiedział jeszcze Luke i ruszył korytarzem, ciągnąc Maggie za sobą.

Gdy weszli na salę balową, orkiestra właśnie skończyła

grać poprzedni kawałek. Zabrzmiały tony powolnego, romantycznego walca.

- Idealnie - ucieszył się Luke.

I nagle Maggie znalazła się w jego objęciach, kołysząc się w takt muzyki. Mocno ją przytulił, a ona uciszyła uporczywy głosik w umyśle, który mówił jej, że znajduje się w niebezpieczeństwie, natychmiast powinna się odsunąć, zachować dystans.

- Mmm - westchnął Luke. - Ślicznie pachniesz. Co to za perfumy?

- Mydło.

Luke zaśmiał się, a Maggie, słysząc ten seksowny dźwięk, zadrżała.

- Zimno ci? - spytał, przyciągając ją jeszcze bliżej.

- Nie... nie jest mi zimno.

- Maggie, tak dobrze trzymać cię w ramionach. Idealnie tu pasujesz, po prostu idealnie.

- Ach... - Nawet za cenę życia Maggie nie potrafiłaby znaleźć inteligentnej odpowiedzi.

A muzyka grała dalej.

Otoczający ich tłum zniknął, nawet sama sala już nie istniała. Byli tylko oni dwoje, otuleni zmysłową mgiełką, i ten powolny, przepiękny walc.

Luke chciał, by ten taniec trwał zawsze. Trzymając ją w ramionach, czuł się jak w niebie. Pasowała do niego doskonale. Była jego drugą połową i kochał ją bardziej, niż potrafiłby to wyrazić.

Wymyśli solidny plan, który pozwoli mu regularnie widywać się z Maggie.

Tylko jak to zrobić?

Myśl, St. John. Myśl! Twoje szczęście zależy od tego nieopracowanego jeszcze planu.

Muzyka umilkła.

- Luke? - szepnęła Maggie.

- Tak?

- Czy moglibyśmy zatańczyć jeszcze raz?

- Tak. - Mógłby z nią tańczyć przez całe życie. - Z przyjemnością.

Rozległy się tony następnego walca i znów wirowali w upajającym rytmie muzyki.

Co, u licha, ją napadło, żeby prosić Luke'a o jeszcze jeden taniec? - pomyślała Maggie, a na jej policzki wypłynął gorący rumieniec wstydu. Zachowuje się doprawdy głupio.

Ale czuła się przy nim tak cudownie. Jak on przyjemnie pachnie! I jakim jest wspaniałym tancerzem! W końcu nie stanie się nic złego, jeśli przetańczą jeszcze ten jeden kawałek. Po tym wieczorze już nigdy się z nim nie zobaczy, więc dlaczego nie mogłaby mieć wspomnień o tych dwóch bajecznych tańcach zamiast tylko o jednym?

To było coś jak historia Kopciuszka, tyle że ten przystojny książę nie będzie szukał po całym królestwie Phoenix nóżki, na którą pasowałby szklany pantofelek. Ma tylko tę jedną chwilę i sama myśl o tym była tak smutna, że mogłaby zacząć wylewać fontanny łez.

Orkiestra umilkła. Za szybko, o wiele za szybko. Maggie westchnęła, wysunęła się z ramion Luke'a i odstąpiła o krok.

- Dziękuję - powiedziała, uśmiechając się trochę smutno. - Było mi bardzo miło. Ja... muszę iść dopilnować ekipy sprzątajacej. Do widzenia.

I już torowała sobie drogę przez tłum na parkiecie, a Luke jeszcze swojego stołu. Usiadł obok ojca, dystyngowanego mężczyzny o szpakowatych włosach.

- Wspaniały wieczór, nie sądzisz? - odezwał się George St. John. - Twój brat i Ginger muszą być bardzo zadowoleni.

- Mhm. - Luke, z rękami skrzyżowanymi na piersi, huśtał się na tylnych nogach krzesła.

- Mama ciągle jeszcze tańczy. Doskonale się bawi - kontynuował George.

- Mhm.

- A tak dobrego tortu weselnego jeszcze w życiu nie jadłem.

- Mhm.

- Wydaje mi się, synu, że w Maggie Jenkins znalazłeś swoją drugą połowę. Masz wszelkie oznaki mężczyzny, któremu ziemia usunęła się spod nóg.

- Mhm - mruknął Luke, a potem zamrugał i z hukiem postawił krzesło na wszystkich czterech nogach. - Co takiego?

George roześmiał się.

- No, tak przypuszczałem, że w ten sposób zwrócę na

siebie twoją uwagę. Obserwowałem cię, Luke. Przepadłeś. Zaczynałem już myśleć, że w Phoenix nie znajdzie się żadna kobieta, która by cię zainteresowała, ale Maggie Jenkins najwyraźniej się to udało. Nie rozumiem tylko, dlaczego jesteś taki ponury.

- To bardzo proste, tato. Maggie potrafi organizować fantastyczne śluby, ale sama nie chce wyjść za mąż. Nie wiem, czy wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia, ale to właśnie mi się przydarzyło. Jestem zakochany w kobiecie, która nie życzy sobie być z nikim.

- Ach, wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia. Zakochałem się w twojej matce w siódmej klasie, gdy puściła klamerka jej gumowego paska i trafiła mnie prosto w oko. A jeśli chodzi o Maggie, uważam, że musisz wypracować jakiś plan.

- Och, tato - jęknął Luke. - Wiem. Już od dłuższego czasu wysilam umysł, ale nic mi nie przychodzi do głowy. Maggie nie da się znęcić zwyczajowymi kolacyjkami z winem. Jeżeli tylko zacznę się zalecać, ucieknie gdzie pieprz rośnie. Dosłownie widzę te mury, które wokół siebie wzniosła.

- Więc je zburz. Przecież poradzisz sobie. Jesteś St. John. A my, St. Johnowie, zawsze zwyciężamy. Nawet nie znamy słowa „klęska”.

- Tak, na sali sądowej. Ale poradzenie sobie z kobietą to zupełnie inna sprawa. Trzeba rozumieć jej sposób myślenia, a wcale nie jestem pewny, czy mężczyzna jest do tego zdolny.

- Masz rację. Ja nawet po tylu latach małżeństwa nie potrafię zrozumieć tych wspaniałych istot. No, to masz przed sobą wyzwanie, co?

- Najważniejsze w całym moim życiu - przyznał Luke.
-I naprawdę potrzebuję jakiegoś pomysłu.

- Więc rusz głową i powiedz mi, gdy coś wymyślisz.

- Jasne. Ale póki nic nie wykombinuję, napijmy się szampana. Może w tych bąbelkach znajdzie się jakaś magiczna odpowiedź.

George roześmiał się i podał synowi butelkę.

- Tutaj znajdziesz tylko kaca, który już czeka, by cię dopaść.

- Trudno - odrzekł Luke i napełnił swój kieliszek aż po brzegi.

Późnym rankiem następnego dnia Luke otworzył oczy i jęknął. Znów je zamknął, przycisnął rękę do pulsującego bólem czoła, a potem ze złością walnął pięściami w materac.

Wydawało mu się, że umiera. Jakiś idiota grał mu w głowie na bębnie, bolał go każdy ząb, a nawet włosy. Gdyby tak można było ściąć sobie głowę i wyhodować nową!

- Och, nienawidzę szampana - powiedział głośno. - Już nigdy nie wypiję tego świństwa. To wszystko wina Maggie Jenkins. Niech to szlag!

Jak on się dostał do domu? Czy ktoś go przywiózł? Pamiętał tylko jak przez mgłę, że Ginger i Robert wyszli wcześniej

z przyjęcia, by zdążyć na samolot do Grecji. Miesiąc miodowy. Państwo Ginger i Robert St. Johnowie. Byli tacy szczęśliwi, że na sam widok aż zbierało się na mdłości.

A on im zazdrościł. I zazdrościł swoim rodzicom. Zazdrościł wszystkim szczęśliwym parom.

No, no, patrzcie, Luke St. John zakochał się! I upił jak szewc, bo kobieta, której pragnie, zamknęła przed nim swoje serce. Cholerny świat!

Luke wstał i poczłapał do łazienki. Bardzo długo stał pod gorącym prysznicem. Potem połknął cztery aspiryny, popił je czterema filiżankami kawy i poczuł, że powoli zaczyna wracać do życia.

Ułożył się na kanapie w bawialni, wpatrzył w sufit, a po głowie zaczęły mu się snuć luźne myśli.

Ciekawe, ile osób po zobaczeniu wczorajszej wspaniałej ceremonii zdecyduje się na ten wielki krok i weźmie ślub? Czy w biurze Maggie telefon zaczął dzwonić już od samego rana? Bo on na pewno by się do niej zgłosił, żeby mu zaplanowała ślub nad ślubami i...

Luke zerwał się na równe nogi. O to właśnie chodziło. Ma plan!

- Tak! - wykrzyknął, celując pięścią w powietrze.

Maggie spędziła niedzielę, nadrabiając zaległości w papierkowej robocie, potem sprzątnęła dom, poszła po zakupy, ugotowała pracochłonny obiad na kilka dni. Starła się być na tyle zajęta, by nie myśleć.

Obudziwszy się rano, podjęła silne postanowienie, że nie będzie rozmyślać na temat Luke'a St. Johna. Nie będzie od nowa przeżywać pocałunku przed ołtarzem podczas próby ślubu, ani tańca. Nie pozwoli sobie na wspomnienie o tym, jak płonęła, gdy jego usta dotknęły jej ust i gdy tańczyła wtulona w niego.

Odegna nasuwający się jej nieustannie obraz ciemnych oczu, jego gęstych włosów, które aż się prosiły, by wsunęła w nie palce, jego szerokich ramion i tych silnych, choć tak delikatnych rąk.

Przez cały dzień uwijała się jak mróweczka i była bardzo dumna ze swojego opanowania i powściągliwości.

Luke i sukces ślubu Barrington-St. John należą już do historii. Skończone, przeminęło. Teraz musi zwrócić myśli ku przyszłości „Róż i Marzeń”. Miała nadzieję, że wiele osób przeczyta jej karty wizytowe, które podłożyła pod świeczniki na stołach, i wkrótce ludzie zaczną wydzwaniać i zamawiać u niej organizację swoich ślubów.

Następnego ranka Maggie siedziała w pokoju biurowym i ponuro patrzyła na telefon. Odkąd zeszła na dół, nie zadzwonił ani razu.

Była zmęczona, niewyspana, a to wszystko z winy Luke'a. Myślała o nim przez cały wczorajszy dzień, ale na pewno nie zapraszała go do łóżka. A on, gdy tylko wreszcie zdołała się zdrzemnąć, natychmiast nawiedził ją we śnie. Co za natrętny i bezwzględny człowiek! Niech

to lichy! Kazała mu odejść, ale on stał przy jej łóżku jak przymurowany.

Nagle rozległ się dzwonek u drzwi. Ktoś wszedł do biura. Maggie zerwała się na równe nogi, mało nie przewracając przy tym krzesła.

Nakazała sobie przybrać profesjonalną postawę, wzięła uspokajający oddech, przygładziła bluzkę i poszła do pokoju recepcyjnego.

Otworzyła drzwi i zastygła, zapominając nawet o oddychaniu.

- Cześć, Maggie - powitał ją Luke.

Mam halucynacje, pomyślała przerażona. Ten przystojny *mężczyzna w dżinsach i rozpiętej pod szyją szarej koszuli* to tylko jakaś zjawa.

- Maggie? - Luke podszedł i zmarszczył czoło. - Co się dzieje?

- Ciebie tu nie ma - wyjąkała. - Odejdź, maro! Znikaj!
- Zaczekała chwilę, a potem, gdy zjawa się nie rozplynęła, ostrożnie, czubkiem palca, dotknęła nieistniejącej piersi Luke'a. Nieistniejącej, ale twardej jak skała. Oczy jej się rozszerzyły, gdy spojrzała mu w twarz. - Ojej, ty naprawdę tu jesteś. Dlaczego?

Luke skrzyżował ręce na piersi, a ramiona mu zadrżały od tłumionego śmiechu.

Och, pomyślał, jak ja kocham tę kobietę. Tak bardzo ją zaskoczyło jego niespodziewane przyjście. A to dobry znak. Bardzo dobry. Gdyby nie wywarł na niej wielkie-

go wrażenia, potraktowałyby jego przyjście z całkowitą obojętnością.

Była poruszona i nie wiedziała, jak to ukryć. Jakie to sympatyczne. Tak bardzo pragnęłaby ją wziąć w ramiona i...

- Panie St. John - odezwała się w końcu. - W czym mogę panu pomóc?

- Mnie już nic nie pomoże - powiedział, a w jego oczach rozbłyły iskiereki wesołości.

- Słucham?

- Nie, nie. Nic takiego. - Luke zmusił się do przybrania poważnej miny. - Owszem, panno Jenkins. Może mi pani pomóc. Rozpaczliwie potrzebuję pani profesjonalnej opinii.

I o to właśnie chodzi, pomyślał, czując nagle, jak po plecach spływa mu strumyczek potu. Zaczyna wprowadzać w życie swój plan. I plan zadziała. Musi zadziałać.

- Mojej opinii? - zdumiała się. - Na jaki temat?

- Ślubów. Muszę zorganizować ślub, cały, od pierwszej do ostatniej chwili. Koszt nie gra roli.

Nie, pomyślała Maggie, czując, jak z jej twarzy odpływa krew. Luke St. John się żeni. Jak może? Przecież wczoraj nawet nie przyprowadził ze sobą żadnej kobiety. Chciało jej się płakać. Łzy już kręciły się pod powiekami.

- Dobrze się czujesz? - spytał Luke, marszcząc czoło. - Nagle tak strasznie pobladłaś. Chodź, usiądziemy na tej ślicznej sofie.

- Ja usiądę na sofie - rzuciła ostro. - A ty usiądziesz w tym fotelu.

Luke uniósł ręce w geście poddania.

- Dobrze, dobrze. Jak sobie życzysz.

Gdy już oboje siedzieli, Maggie wpatrzyła się w nieistniejący pyłek na nogawce swoich białych spodni.

- Luke, muszę powiedzieć - zaczęła - że jestem bardzo zdziwiona. To znaczy, na wczorajszy ślub przyszedłeś sam i... Właściwie jak do tego doszło? Twój młodszy brat jest taki szczęśliwy, więc i ty uznałeś, że musisz się ożenić? I jak wybrałeś narzeczoną? Wrzuciłeś kartki z nazwiskami kobiet do kapelusza i po prostu jedną wyciągnąłeś? - Zamilkła. - Przepraszam. To było niegrzeczne. Bardzo niegrzeczne. - Odchrząknęła. - No, więc chcesz, żebym ci zorganizowała ślub. Doceniam twoje zaufanie. To trochę niezwykle, że sam wszystko załatwiasz, bo tradycyjnie zajmuje się tym narzeczoną... No, nic. Każdy postępuje tak, jak mu najwygodniej. Ile osób zapraszasz?

Luke założył nogę na nogę i miło się uśmiechnął.

- Dużo.

- Mógłbyś to sprecyzować?

- Nie w tej chwili. Na razie przyjmijmy, że będzie cały tłum gości.

- A na kiedy planujesz to wielkie wydarzenie?

- Im szybciej, tym lepiej. Ale dokładnej daty nie mogę ci teraz podać.

- Rozumiem. - Maggie zmarszczyła czoło. - Nie, prawdę mówiąc, nie rozumiem. Może i jestem głupia, ale to nie ma najmniejszego sensu. Chcesz, żebym ci zorganizowała

ślub, a potem przyjęcie dla wielkiej, choć nieznannej liczby osób, a wszystko ma się odbyć im szybciej, tym lepiej, ale nie masz pojęcia kiedy.

Luke skinął głową.

- Rzeczywiście. Tak to z grubsza wygląda.

Z ust Maggie wydarł się histeryczny chichot.

- A czy w ogóle jesteś pewny choć jednej rzeczy? Na przykład imienia narzeczonej?

- Och, tak. Jej imię jest jak wyryte w kamieniu.

- To miło - powiedziała żałośnie. — Chodzi mi o t o — Właściwie nie wiem, o co mi chodzi. To wszystko jest bardzo niezrozumiałe.

- Doprawdy? - Na twarzy Luke'a widniał wyraz czystej niewinności. - Chcę, żeby mi zorganizowano ślub, a ty jesteś organizatorką ślubów. - Wzruszył ramionami. - Wydawało mi się, że przyszedłem do właściwej osoby, zwłaszcza po tym, jak widziałem, jaką fantastyczną robotę wykonałaś przy ślubie Ginger i Roberta.

- Ale Ginger wiedziała, czego chce i na kiedy wszystko ma być przygotowane! - wykrzyknęła Maggie. - Zmieniała zdanie w tysiącu spraw, ale w ogólnych zarysach wiedziała. Miało być około trzystu gości, ślub był przewidziany na lato, chciała siedmiu druhen, babeczek orzechowych z migdałami z jogurtową polewą.

- O to ci chodzi... No więc ja nie potrafię podać ci takich szczegółów. Jedno tylko wiem na pewno: nie chcę żadnych migdałów w jogurcie.

- Doskonale. Taka informacja całkowicie mi wystarczy, bym mogła zabrać się do pracy - zakpiła Maggie. Pokręciła głową. - To czyste szaleństwo.

- Maggie, powiedz, ile czasu potrzeba, żeby zorganizować taki ślub, jaki mieli Ginger i Robert?

- Przynajmniej pół roku, i to pracując pełną parą.

- Naprawdę? Aż tyle? Fatalnie. Ale cóż. Jeżeli szybciej nie potrafisz... Powiedzmy, że ślub odbędzie się w Boże Narodzenie. Jak ci to pasuje?

Jasne, pomyślała Maggie, czując, jak rozdziera jej się serce. Wesołych Świąt, Maggie Jenkins. Spędzi święta, patrząc, jak Luke się żeni. Hura!

A jaką to jej robi właściwie różnicę? Czy rozsypie się na kawałki tylko dlatego, że Luke nagle postanowił się ożenić? Przecież z nią osobiście to nie ma nic wspólnego, a jej firmie wyjdzie tylko na dobre.

Więc dlaczego jest taka smutna?

Dlaczego chce się wczołgać do łóżka i płakać?

Nie myśl o tym. Natychmiast przestań, nakazywała sobie. Zachowujesz się po prostu śmiesznie i idiotycznie.

- Maggie! Czy ta data ci pasuje?

- Tak - odparła, patrząc ponad głowę Luke'a. - Ślub na Boże Narodzenie będzie piękny i wyjątkowy. Na zawsze pozostanie w pamięci.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Świetny pomysł, prawda? - oświadczył Luke z entuzjazmem. - Ślub w święta. Bardzo romantycznie, nie uważasz?

- Co takiego? Ach, tak, bardzo romantycznie - przyznała Maggie i westchnęła w rozmarzeniu. - To w ogóle magiczny czas. A jeszcze do tego brać właśnie wtedy ślub! Niczego więcej nie można by sobie wymarzyć.

- No właśnie. - Luke nie odrywał wzroku od Maggie. - Przekażę im dobrą wiadomość.

- Im? To znaczy komu? Waszym rodzinom?

- Nie. Państwu młodym.

- Komu?

Luke strzelił palcami.

- Chyba przedtem nie wyraziłem się jasno. Bardzo cię przepraszam, Maggie. Chodzi o ślub mojego kuzyna i jego narzeczonej.

- Co? - Maggie zamrugwała. - Chcesz powiedzieć, że to nie...

- Najlepiej zacznę jeszcze raz, od samego początku. Mój kuzyn... Clyde...

Jeżu, co za imię! Powinien był wcześniej się nad tym zastanowić. A narzeczona... Do diabła, co tu wymyślić?

Rozpaczliwie rozejrzył się po pokoju i jego spojrzenie padło na obrazek wiszący na ścianie. Przedstawiał wazon z wiązanką małych czerwonych różyczek.

- ... a miłość jego życia to... Rose - kontynuował. - Pracują w Departamencie Stanu i zostali oddelegowani do Londynu.

- Clyde i Rose - powtórzyła Maggie.

- Tak, w każdym razie postanowili, że lepiej będzie pobrać się tutaj, w Phoenix, bo inaczej rodziny ich zamordują. Jednak zostaną w Londynie, jak długo się da, żeby podszkolić swoich następców. Tak więc widzisz, że ślub za pół roku wszystkich urządzi. Jesteś zadowolona?

- Jestem wprost zachwycona! - wykrzyknęła.

Luke się nie żeni. Nie żeni się! Co za szczęście, bo... Właśnie. Bo co? Nie wiedziała, ale czarna, gęsta chmura, która ją otaczała, nagle się rozpuściła.

- Jestem zachwycona, bo... bo to wspaniała wiadomość dla... „Róż i Marzeń”.

- Oczywiście - zgodził się. - A teraz chciałbym postawić sprawę bardzo jasno. Rose jest niezwykłą młodą kobietą. O wiele bardziej wolałaby wyjść za Clyde'a w ratuszu, ubrana zwyczajnie, w dżinsy i koszulkę, ale ani jej matka, ani matka Clyde'a nie darowałyby im tego. Tak więc, gdy rozmawiałem z nimi wczoraj przez telefon, zaproponowałem, że zatrudnię ciebie do zorganizowania tego, a wtedy

oni będą się musieli tylko tu pojawić w odpowiednim momencie. Byli zachwyceni. Rose powiedziała, że zgadza się na wszystko, co postanowisz. A co do Clyde'a, mężczyznom te wszystkie przygotowania są raczej obojętne. To sprawa kobiet.

- Więc twierdzisz, że mam zaplanować ślub i wesele według swoich upodobań? Ale co z ich matkami? Matki nigdy by mi na to nie pozwoliły. Będą chciały same o wszystkim decydować.

- W żadnym razie - zaprzeczył Luke. - One tak się między sobą różnią jak noc i dzień. Gdy tylko się zdarzy, że moja ciotka i mama Rose przypadkiem się spotkają, od razu wybucha wojna. *Przed matkami państwa młodych trzeba zachować absolutną tajemnicę.* Dostaną pocztą zaproszenie, tak jak wszyscy inni goście. Przez chwilę będą się złościć, ale szybko zaczną myśleć o wnuczętach i wszystko skończy się dobrze.

- To jakieś szaleństwo - westchnęła Maggie.

- Nie. I w ten sposób właśnie to zrobimy. - Luke pochylił się w fotelu tak, że jego twarz była oddalona tylko o centymetry od twarzy Maggie, i spojrzał jej w oczy. - Maggie, udawaj, że to twój wymarzony ślub. Zrób wszystko tak, jak tobie by się najbardziej podobało.

- Och... naprawdę? - szepnęła.

- Tak. I jeszcze jedno. Clyde i Rose aż do samego dnia ślubu chcieliby być informowani, co robisz, w razie gdyby matki potem ich pytały, dlaczego coś urządzili tak, a nie

inaczej. Na przykład gdybyś chciała ich pożenić w lecącym balonie, chcą mieć do opowiedzenia wiarygodną historię, jak go wynajmowali i tak dalej. Rozumiesz?

-Ja...

- Dlatego będę stale się z tobą kontaktował, żeby poznać wszystkie szczegóły i móc je im przekazywać. Mój ojciec zgodził się zastępować mnie w kancelarii, żebym miał więcej wolnego czasu, bo Clyde jest jego ukochanym siostrzeńcem. Ojciec jest już częściowo na emeryturze, ale przy tej okazji chętnie przepracuje dodatkowe godziny.

-Ale...

- No, to załatwione, prawda? Pamiętaj, że nie musisz się liczyć z kosztami. Ach, jeszcze jedna sprawa: Rose nosi mniej więcej ten sam rozmiar co ty, więc nie będzie kłopotu z mierzeniem jej ślubnej sukni, to znaczy, jeżeli zaplanujesz tradycyjną suknię. Masz jakieś pytania?

- Ja... nie wiem - wyjąkała Maggie. - Ledwo to wszystko do mnie dociera, bo jest takie... nawet nie potrafię znaleźć słowa, by to określić.

Genialne, podpowiedział jej Luke w duchu. Plan jest genialny. Maggie zorganizuje ślub swoich marzeń. A on urządzi wszystko tak, by móc często się z nią widywać i przy każdej okazji próbować nadkruszyć emocjonalny mur, jaki wokół siebie wybudowała.

I w końcu ona go pokocha tak, jak on kocha ją. Boże, musi się w nim zakochać, chcieć wyjść za niego i spędzić z nim resztę życia. Ach, Maggie, proszę!

- No więc jak? Podejmiesz się tego? - spytał.
- Tak, oczywiście, że tak.
- Doskonale. Nawet lepiej niż doskonale. Maggie, dziękuję ci z głębi serca. To znaczy, Rose i Clyde będą ci bardzo wdzięczni. - Luke na chwilę zamilkł. - Rozumiem, że ty nigdy nie chcesz wyjść za mąż, ale przecież musiałaś myśleć o tym, jaki ślub chciałaś mieć, gdybyś jednak... nawet jeżeli... nie zamierzasz wyjść za mąż. Prawda? Czy mówię z sensem?

- Chyba tak - odparła, marszcząc lekko czoło. - Rozumiem, o co ci chodzi. I rzeczywiście, zastanawiam się nad tym za każdym razem, gdy organizuję komuś ślub. To z powodu natury ludzkiej, jeśli wiesz, co mam na myśli. Na przykład, gdy Ginger w końcu zdecydowała się, że jednym z kolorów będzie jasnozielony, nie mogłam się powstrzymać od myślenia, że przy tylu blond druhnach lepszy byłby jakiś ciemniejszy odcień. Oczywiście nic Ginger nie powiedziałam, ale myślałam o tym.

- Właśnie o to chodzi - zgodził się Luke. - O tym właśnie mówiłem. A czy już kiedyś organizowałaś ślub na Boże Narodzenie?

- Nie.

- Więc nie będą na ciebie miały wpływu decyzje innych panien młodych. Będziesz mogła się całkowicie skoncentrować na Clydzie i Rose, prawda?

- „Róże i Marzenia” skupią na ich ślubie całą swoją uwagę - obiecała Maggie.

- Wspaniale. - Luke zmarszczył czoło. - Hm... Kościół. Który byś wybrała?

- Ja? No więc ja należę do Kościoła episkopalnego. ale...

- Doskonale! Czyli możesz zarezerwować ten sam kościół, co dla Roberta i Ginger.

- Jasne. Tak. Okay. Dobry Boże, w głowie mi się kręci. To wszystko jest lekko przerażające, bo jest takie... niezwykle. A co z druhnami? Ich suknie muszą być uszyte na miarę.

- A kogo ty byś wybrała na swoje drużny? - spytał, chcąc zyskać na czasie.

- Ja? Siostrę i moją najlepszą przyjaciółkę.

- Tylko dwie?

Maggie roześmiana się.

- Nie każda panna młoda ma siedem druhen, tak jak Ginger.

- Rzeczywiście. A więc dwie. Przekażę to Rose. Dowiedz się, jakie sukienki chciałyby mieć twoja siostra i przyjaciółka, a potem krawcowa może w ostatniej chwili dopasować je na figury druhen Rose.

- Nie jest to najlepsze rozwiązanie, ale jeżeli jej drużny będą nosiły zbliżony rozmiar, nie powinno być większych kłopotów. Moja siostra, Janet, nosi dwunastkę, a Patty dziesiątkę.

- A ty?

- Ja? Ósemkę.

- Dobrze. Powiem o tym Rose. - Luke zastanowił się, co jeszcze trzeba ustalić. - To by chyba było wszystko- Wiesz,

Maggie, stanowimy dobry zespół. - Spojrzał w jej duże, ciemne oczy. - Bardzo dobry zespół. Ty i ja. Razem.

- Razem... - szepnęła.

Ma zabrać się do planowania ślubu ze swoich fantazji, rozmyślała w rozmarzeniu. Ślubu, którego nigdy nie będzie miała, ale o którym tak często marzyła. A Luke St. John będzie szedł z nią krok w krok po tej drodze, jakby to on był panem młodym, a ona panną młodą. Bardzo dziwaczne.

I bardzo, ale to bardzo niebezpieczne.

Musi twardo stąpać po ziemi przez te wszystkie miesiące, nie pozwolić, by poniosły ją uczucia. To po prostu niecodzienne zlecenie dla „Róż i Marzeń”. Nic więcej.

Panną młodą jest Rose, panem młodym Clyde. Musi o tym pamiętać w każdej chwili.

- No, dobrze - odezwała się tak głośno, że Luke aż podskoczył, i wstała na znak, że spotkanie dobiegło końca. - Jako właścicielka „Róż i Marzeń” chciałbym ci serdecznie podziękować za zaufanie, jakie pokładasz w mojej firmie. Dołożę wszelkich starań, by Rose i Clyde mieli idealny ślub.

- Cieszę się - powiedział Luke, również wstając. - A tak z ciekawości, czy mogę cię spytać, od czego zaczniesz?

- Od wyboru kolorów. Jest tyle szczegółów, które trzeba ustalić, ale najpierw muszę mieć pewność właśnie co do kolorów. - Maggie roześmiała się. - To, że Ginger tak ciągle zmieniała decyzję, bardzo mi utrudniało sprawę.

- Ale tym razem nie musisz się o to martwić - odparł

Luke z uśmiechem. - Będziesz organizowała w pewnym sensie własny ślub.

- Tak, w pewnym sensie. Ale nie naprawdę. No, może częściowo, bo to ja będę decydować, jak wszystko ma się odbyć. Chciałabym tylko wiedzieć... no, zresztą, nieważne. Planowanie tego jedyne, najważniejszego wydarzenia w życiu i tak zajmie mi sporo czasu.

-I tym właśnie ślub powinien być, prawda? Tym najważniejszym wydarzeniem w życiu. Czymś, co zdarza się tylko jeden jedyny raz - powiedział Luke bardzo poważnie.

- Oczywiście. - Maggie westchnęła. - Ale w naszych czasach wiele par nie przejmuje się tym „na zawsze” i „dopóki śmierć nas nie rozłączy”.

- W mojej rodzinie, jak daleko sięgamy pamięcią, nie było ani jednego rozwodu.

Maggie spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Chyba żartujesz! To niemożliwe.

- Nie żartuję. Wierzę, że St. Johnowie potrafią słuchać swojego serca, wiedzą, co jest słuszne i dobre, więc zakochują się w osobach, które nadają na tej samej fali. Mój tato zakochał się w mojej mamie, gdy byli w siódmej klasie.

- Nadzwyczajne. W siódmej klasie? I w twojej rodzinie nie było ani jednego rozwodu? Po prostu trudno w to uwierzyć. Może jednak niektórym parom było ze sobą źle, ale nie chcieli się rozwieść, żeby nie przełamać tego czaru?

- Nie. Absolutnie nie. Wszystkie małżeństwa bardzo się

kochały. Ginger i Robert też będą się razem starzeli i mimo upływu lat będą tak samo szczęśliwi jak w dniu ślubu. I tak samo będzie z... Rose i Clydeem.

- Jakie to piękne - szepnęła Maggie.

- A jak jest w twojej rodzinie? - spytał Luke.

- My... - wymruczała jakieś niezrozumiałe słowa.

- Słucham?

- Nie, nic takiego - rzuciła szybko. - No dobrze, wszystko ustaliliśmy i mogę się zabierać do pracy. A pierwszą rzeczą będzie wybranie kolorów na ślub w Boże Narodzenie.

- Więc zostawiam cię z tym zadaniem, ale wkrótce się odezwę. Na razie, Maggie, i dziękuję.

- Och, Luke, to ja ci dziękuję. Do widzenia.

Gdy wyszedł, Maggie opadła na kanapę, wzięła głęboki oddech i zaczęła rozmyślać nad tym, co się właśnie wydarzyło. Jej spojrzenie padło na stolik, na którym leżał album ze zdjęciami ze ślubów, jakie organizowała.

Gdy zakładała swoją firmę, postanowiła zawsze trzymać na tym stoliku wazon z czerwonymi różami, które były jej ulubionymi kwiatami. Niestety finanse jej na to nie pozwoliły.

Róże... Będzie miała bukiet z czerwonych róż przyozdobiony gipsówkami.

Nazwała swoją firmę „Róże i Marzenia”, bo ta nazwa miała dla niej tajemne znaczenie. Jej marzenia, chociaż takie zwyczajne, nigdy się nie spełnią. A chciała po prostu

mieć męża, dzieci, dom. Żyć u boku mężczyzny, który by ją kochał i którego ona by kochała.

Róże... Byłaby panną młodą idącą nawą z bukietem róż, które potem zasadziłaby w ogrodzie koło domu. Radowałaby całą rodzinę. Uśmiechnęła się.

A teraz musi wybrać kolory na bożonarodzeniowy ślub. To wcale nie było trudne. Czerwone róże i druhny w ciemnozielonych sukniach, z wiązkami czerwonych i białych goździków.

Świece, którymi zapali tę jedną, symbolizującą związek małżonków, będą białe, a środkowa czerwona.

A jej suknia? Będzie biała jak świeży śnieg, prosta, ale elegancka, z trenem i welonem delikatnym jak mgiełka, welonem, który Luke w odpowiednim momencie uniesie, żeby pocałować pannę młodą i...

- Stop! - wykrzyknęła i zerwała się na nogi. - Natychmiast z tym skończ! Przypomnij sobie, o czyj ślub naprawdę chodzi.

To będzie ślub Rose i Clyde'a. Suknia Rose. Welon Rose. To Clyde pocałuje swoją świeżo poślubioną żonę.

- No, już lepiej - powiedziała jeszcze, siadając z powrotem. - I żebyś się nie ważyła znowu pograżać w te fantazje. Pamiętaj, że planujesz ślub Clyde'a i Rose, a nie swój!

Luke uważnie manewrował swoim autem w potoku samochodów, ale z jego twarzy ani na chwilę nie schodził radosny uśmiech.

Dokonał tego, pomyślał, stukając palcami w kierownicę. Ułożył genialny plan i puścił go w ruch.

Maggie zorganizuje ślub swoich marzeń. Swoich własnych marzeń. I jeżeli wszystko pójdzie tak, jak pragnął i miał nadzieję, ślub się odbędzie. W Boże Narodzenie Maggie Jenkins za niego wyjdzie.

Oczywiście przed nim jeszcze długa droga. Maggie musi się w nim zakochać, tak jak on zakochał się w niej. Ale już nie był jej obojętny. Pociągał ją, niepokoił, coś do niego czuła. Tego był pewny.

I jeszcze musi mu zaufać, pozwolić, by zburzył te obronne mury, którymi się otoczyła. A wtedy sięgnie po nią i *weźmie ją w ramiona... na zawsze.*

Tak, zadanie będzie bardzo trudne, ale Maggie jest warta każdego trudu. Musi zwyciężyć i zwycięży!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wieczorem Maggie i jej najlepsza przyjaciółka, Patty, siedząc na podłodze w bawialni Maggie i zajadając się pizzą, przeglądały magazyny dla panien młodych.

Przyjaźniły się od pierwszej klasy szkoły podstawowej i teraz, w wieku dwudziestu pięciu lat, żadna nie mogła nawet sobie wyobrazić, że bez wsparcia przyjaciółki zdołałaby uporać się ze wzlotami i upadkami, jakie przynosiło życie.

- Dziwnie jest tu z tobą siedzieć i przeglądać te magazyny - powiedziała Patty. - Wszystko w nich jest takie piękne! Muszę sobie ciągle przypominać, że to nie ty wychodzisz za mąż.

- Wiem. - Maggie westchnęła. - Ale to wyjątkowa okazja. Nigdy nie będę bliżej własnego ślubu niż właśnie teraz. I to będzie taki ślub, jaki wymarzyłabym dla siebie. Nikt mi się nie będzie wtrącał. Ani narzeczona, która najchętniej wzięłaby ślub w dzinsach i podkoszulku, ani matki państwa młodych. Mogę wszystko zaplanować według własnego uznania. Chyba nigdy więcej nie będę miała takiej szansy. Jedyną osobą, której muszę składać sprawozdania, to Luke St. John.

- Luke St. John - szepnęła Patty w rozmarzeniu. - Wi-

działam jego zdjęcia w gazetach. Jaki on przystojny! I seksowny! Pomyśleć, że tańczyłaś w jego ramionach! Musiałaś czuć się jak w niebie.

- Prawie. Fantastycznie tańczy, miałam wrażenie, że płynę na chmurce i... - Nagle na jej policzkach wykwitł uroczy rumieniec. - Ach, skończmy z tym. Posłuchaj, Patty, czy w tych zielonych sukienkach druhny nie będą wyglądały jak prowincuszki? Może powinnam to jeszcze przemyśleć i w doborze kolorów nie sugerować się Bożym Narodzeniem?

- Och, nie! - wykrzyknęła Patty. - Ludzie będą się spodziewać jakichś świątecznych akcentów. Poza tym wszystko ma być tak, jak ty będziesz chciała, prawda?

- No... tak.

- Więc ustalone. Motywem przewodnim są święta, ale nie przesadzaj z tym. A co na to wszystko twoja siostra?

- Janet uważa, że to czyste szaleństwo - uśmiechnęła się Maggie. - Ale jest zachwycona, że tę piękną suknię dla druhny szyje się na jej miarę, nawet mimo że nigdy jej nie włoży.

- A twoja mama? Musi myśleć, że Rose ma nieźle pokręcone w głowie.

- Stan umysłu Rose mało ją obchodzi, natomiast obawia się o mnie. Boi się, że po spędzeniu tylu miesięcy na planowaniu ślubu moich marzeń, popadnę w depresję, bo potem do tego ślubu pójdę nie ja, lecz ktoś inny. I w ogóle martwi ją zawód, jaki sobie wybrałam. Mówi, że moje życie będzie bardzo smutne. Planowanie ślubów ciągle będzie mi przypominało, że... och, sama wiesz.

- Wiem. Niestety chyba nigdy nie uda mi się ciebie przekonać, że nie powinnaś się tak zarzekać.

- Więc nawet nie próbuj. Och, spójrz na to zdjęcie! - Maggie wskazała jeden z magazynów. - Bukiet panny młodej z czerwonymi świeczkami i, na miłość boską, są zapalone!

Parry serdecznie się roześmiała.

- To już przechodzi ludzkie pojęcie! Gorący bukiet, co? Ale, ale, a propos gorąca. Zaraz pomyślałam o Luke'u St. Johnie. Mówiłaś, że to naprawdę miły człowiek, bogaty jak Midas, i na dodatek nie jest snobem?

- Tak. Jest bardzo, ale to bardzo miły.

-I ma poczucie humoru, i kocha swoją rodzinę, i tańczy jak anioł, i jest mu tak samo do twarzy w dżinsach jak w smokingu... Maggie, musisz być bardzo ostrożna podczas nadchodzących miesięcy. Będiesz się z nim często widywać, a on mi wygląda na złodzieja dziewczęcych serc. Nie chciałabym, żeby i tobie je ukradł.

- Wierz mi, ja też bym tego nie chciała - powiedziała poważnie Maggie. - Jestem świadoma jego... zalet. Ale nie bój się, włączyłam czerwony alarm, bariery ochronne są podniesione, drzwi zaryglowane. Nie ma szans, bym się zakochała na zabój w panu St. Johnie. Nie, to się nie zdarzy.

- A teraz - powiedział Luke - muszę tylko sprawić, by Maggie zakochała się we mnie na zabój.

George St. John roześmiał się.

- No, tak. To jest niezbędne, jeżeli chcesz się z nią ożenić, mieć z nią gromadkę dzieci, a potem razem się zestarzeć.

- Właśnie - przyznał Luke i wziął ogromny kęs kotleta.

Siedzieli w klubie George'a. Luke, mimo ciągłych namów ojca, nie zamierzał się tu zapisywać. Już parę lat temu dobitnie wyjaśnił, że nie życzy sobie być członkiem klubu, do którego nie wpuszcza się kobiet.

- Luke, muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem planu, jaki wymyśliłeś. Jest po prostu genialny. I z prawdziwą przyjemnością zastąpię cię w pracy, gdy będziesz prowadził swoją intrygę.

- Bardzo ci dziękuję, tato. Ale pamiętaj, ani słowa mamie. Ona nie potrafiłaby dotrzymać tajemnicy, nawet gdyby od tego zależało jej życie. Poza tym ciągle by mi chciała radzić, jak zdobyć serce Maggie.

- O, tak, na pewno, kochana kobieta, niech ją Bóg błogosławi. - Nagle George głośno się roześmiał, ściągając na siebie niechętne spojrzenia innych stołowników.

- Przestań - napomniał go Luke - bo zaraz nas stąd wyrzucą.

- Staram się, ale... - Znów zachichotał. - Clyde i Rose?

- Nie pomyślałem wcześniej o imionach fikcyjnych państwa młodych, a u Maggie byłem pod taką presją, że nic lepszego nie wpadło mi do głowy.

- A jak Clyde się nazywa? - spytał George. - Jest jednym z St. Johnów? Clyde St. John. - Znów parsknął śmiechem.

- Tak. No, dobrze, zobaczymy, jak to jest. Matka Clyde'a jest twoją siostrą i wyszła za... Za kogo?

- Za Johna Smitha.

- Bardzo oryginalnie - zakpił Luke. - Ale niech będzie. Więc Clyde Smith żeni się z Rose... Peterson.

- Rose Peterson - powtórzył George z rozbawieniem. - Doskonałe. I ślub w Boże Narodzenie. Bardzo romantycznie. Jaki jest następny krok?

- Muszę się skoncentrować na Maggie i doprowadzić do tego, by pozwoliła sobie się we mnie zakochać.

- Aha.

-Tato, między nami już dzieje się coś wyjątkowego. Wiem, że tak jest. Ona coś do mnie czuje, zależy jej na mnie. Muszę tylko to podsycać, sprawić, by rosło, by zaczęła mi ufać i pokochała mnie tak, jak ja kocham ją, a potem zgodziła się zostać moją żoną i być ze mną na zawsze.

-Aha.

Luke spiorunował ojca wzrokiem.

- Czy mógłbyś powiedzieć coś więcej niż tylko „aha”? Bardzo przydałaby mi się twoja rada.

George odłożył sztućce na talerz i skrzyżował ręce na piersi.

-Miłość to skomplikowana sprawa - zaczął spokojnie. - Ale jednocześnie bardzo prosta. - Pokręcił głową.
- Trudno to wytłumaczyć. Stawiacie razem solidny fundament i potem, z upływem lat, budujecie na nim wspólne życie. A jednym z kamieni tego fundamentu, Luke, jest

uczciwość. A tymczasem twój plan zdobycia serca Maggie zasadza się na oszustwie.

-Ale...

- Wiem, wiem. - George uniósł rękę. - Jesteś przekonany, że gdybyś zaczął zalecać się do Maggie w konwencjonalny sposób, uciekłyby od ciebie jak najdalej. Rozumiem, dlaczego stworzyłeś sobie właśnie taki plan. Ale czy Maggie też to zrozumie, gdy pozna prawdę? Kobiety nie lubią być oszukiwane. I wtedy cały plan mógłby się zwrócić przeciwko tobie.

- Naprawdę wprawiasz mnie w depresję - powiedział Luke.

- No, szczerze mówiąc, nie widzę, byś miał jakiś inny wybór, niż tylko kontynuować to, co zacząłeś. Ponieważ Maggie nie da się złowić na scenariusz z romantycznymi kolacyjkami, musiałeś wykombinować jakiś inny sposób. I muszę przyznać, że bardzo sprytny. Tylko z imionami narzeczonych ci się nie udało - roześmiał się George. - Luke, pragnę, żebyś był szczęśliwy. I mam nadzieję, że twoje marzenie, by spędzić resztę życia z Maggie, się spełni.

- Dziękuję, tato. Ten plan zadziała. Musi. Nie wyobrażam sobie przyszłości bez Maggie. I zdobędę jej miłość.

O pierwszej po południu następnego dnia Maggie weszła do eleganckiej śródmiejskiej restauracji i natychmiast schroniła się w damskiej toalecie.

Była zdenerwowana i jednocześnie wściekła na siebie za

te nerwy. Luke zadzwonił do niej wczesnie rano i spytał, czy nie sprawiłoby jej kłopotu, gdyby spotkała się z nim na lunchu. Chciał jej opowiedzieć o swojej rozmowie telefonicznej z Rose i Clydeem. Tłumaczył się, że nie może przyjść do niej do firmy, bo czeka na telekonferencję dotyczącą sprawy, którą prowadzi, a po południu musi wprowadzić ojca w bieżącą pracę.

- Och, jasne - powiedziała Maggie na głos, wpatrując się ze złością w swoje odbicie w lustrze. - Lunch? Co za problem?

Rzeczywiście, żaden problem prócz tego, że miała nerwy w godnym pożałowania stanie. I to jest takie głupie. Głupsze niż głupie. Luke jest jej klientem. Tylko tyle. Razem pracują nad zorganizowaniem ślubu jego kuzyna. Koniec. Kropka.

Ale tym, co najbardziej ją upokarzało, był fakt, że wiedziała, czemu perspektywa spotkania Luke'a wprawia ją w takie drżenie. Zeszłej nocy miała szalenie erotyczny sen o nich dwojgu.

- Natychmiast przestań! - nakazała sobie ostro. Odwróciła się na pięcie od lustra i wybiegła z toalety. - Jesteś żaloszna!

Podawała swoje nazwisko hostessie, która zaprowadziła ją do stolika przy końcu sali. Luke na jej widok wstał.

Dzięki Bogu, pomyślała Maggie w oszołomieniu, ma na sobie ubranie. Ładny garnitur. Bardzo prawniczy. A czy ona, w białych spodniach i bluzce w kwiaty, nie wygląda przy nim jak jakaś sierotka? Może powinna była włożyć

garsonkę albo sukienkę? Ale nie chciała odsłaniać nóg...
Och, już sama nie wiedziała, co ma myśleć.

- Witaj, Maggie - powiedział Luke, uśmiechając się. -
Miło cię widzieć.

Maggie spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Widzieć mnie? - Pokręciła głową i usiadła. - Tak, oczywiście, widzieć mnie. Mnie też jest miło cię widzieć, Luke. Bardzo mi się podoba twój garnitur. Doskonały. Jestem taka zadowolona, że nosisz garnitur.

Luke zmarszczył czoło.

- Dobrze się czujesz?

- Co? Och tak, oczywiście. - Maggie gorączkowo zajęła się rozkładaniem serwetki na kolanach. - Po prostu źle spałam i... jestem głodna.

- No, temu można od razu zaradzić. - Luke dał znak kelnerce. - Zamów, co chcesz.

Gdy kelnerka podeszła, Maggie zamówiła pierwszą rzecz z menu, jaka wpadła jej w oko. Luke poprosił o stek i frytki.

- Naprawdę jestem ci wdzięczny, że odbyłaś tę całą drogą aż do śródmieścia - powiedział, gdy kelnerka odeszła.

- Nie ma za co. Załatwiłeś już tę rozmowę, na którą czekałeś?

- Rozmowę? O, tak. - Luke napił się wody.

Do licha, jestem okropnie nieudolny w tej całej hecy, skarcił się. Zapomniał o wymyślonym telefonie. Chciał nagiąć trochę swoje szczęście i spotkać się z Maggie w neutralnym miejscu, a nie w jej firmie. Rozmowa międzymia-

stowa byłaby doskonałym pomysłem, gdyby tylko pamiętał, że takiego właśnie pretekstu użył.

- Co chciałeś mi przekazać po tym, jak się skontaktowałeś z Clydeem i Rose? - spytała Maggie.

- Może najpierw spokojnie zjemy lunch, a potem załatwimy interesy? - zaproponował.

- Ale mówiłeś, że przez całe popołudnie jesteś bardzo zajęty.

- Tak, mówiłem. - Rzeczywiście jestem do niczego, zbeształ się Luke. - No więc tak: Rose i Clyde przyjadą do Phoenix w połowie grudnia, czyli ślub w święta będzie w sam raz.

Maggie uśmiechnęła się.

- Świetnie. Skoro to już jest pewne, wybiorę jakieś akcenty świąteczne. Pytałeś Rose o rozmiary sukien dla niej i jej druhen?

- Pytałem. Są dokładnie takie same, jak twój, twojej siostry i twojej najlepszej przyjaciółki.

- Niesamowite! - wykrzyknęła Maggie.

Kelnerka przyniosła potrawy i Maggie ze zdumieniem stwierdziła, że zamówiła łososia z grilla i jarzyny gotowane na parze. Nie były to jej ulubione dania, ale mogło się trafić gorzej.

- A więc - odezwał się Luke, gdy zaspokoiли pierwszy głód - Clyde i Rose powiedzieli, że po podróży z Londynu do Stanów nie chcą od razu znów pakować walizek, żeby jechać na miesiąc miodowy. Według mnie to ma sens.

Maggie spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Nie chcą mieć miodowego miesiąca?

Natychmiast to odkręć, głupku! Wymyśl coś, żeby odwlec decyzję. Bo miesiąc miodowy będą planować razem z Maggie, gdy już przyjmie jego oświadczyzny.

- Pojadą później - wyjaśnił, mrużąc oczy w koncentracji.
- Tak więc trzeba by poszukać apartamentu dla nowożeńców tutaj, w Phoenix, na kilka dni po ich ślubie.

Maggie skinęła głową.

- Rozumiem. Nie znam tutejszych hoteli, bo moje pary zawsze wyjeżdżały zaraz po weselu. Obejrzę sobie kilka apartamentów i zdam ci sprawozdanie.

- Myślałem, że zwiedzę je razem z tobą. Będę miał czas, gdy tato już przejmie moje sprawy w kancelarii, a jak mówi stare przysłowie, co dwie głowy, to nie jedna. Nie będzie ci przeszkadzało, że chodziłbym tam z tobą?

Oglądać apartamenty dla nowożeńców z Lukiem! Apartamenty na miesiąc miodowy! To nie jest dobry pomysł. Zły pomysł. Bardzo zły. I głupi, i niebezpieczny, i...

- Maggie?

Ale jaki rozsądny pretekst mogłaby wymyślić, żeby się od tego wykręcić? Przykro mi, Panie-Który-Zawrócił-Mi-W-Głowie, ale mogłoby się zdarzyć, że w tak romantycznym otoczeniu zedrę z ciebie ubranie, dokładnie jak w moim śnie. Nie, nie mogę się na to zgodzić.

- Maggie, jesteś jeszcze tutaj? - spytał Luke, pochylając się do niej.

- Co? Och, tak, jasne. Możemy iść razem. Ale nie sądzisz, że to będzie dla ciebie trochę nudne?

- Absolutnie nie. - Luke uśmiechnął się. - Wcale mnie to nie znudzi.

- Dlaczego?

Bo oczami duszy będzie widział ich dwoje w każdym z tych apartamentów, świeżo poślubionych, rozpoczynających swój miodowy miesiąc tutaj, w Phoenix, zanim wyjadą w podróż swoich marzeń. Nie, to nie będzie nudne. Absolutnie nie.

- Dlaczego? - Szybko, wymyśl coś, nakazał sobie. - Bo tak samo jak ty nigdy nie widziałem apartamentu dla nowożeńców, Będę miał okazję dowiedzieć się czegoś nowego. A zawsze, gdy jest okazja do poznania nowych rzeczy, powinno się z niej skorzystać. To robi dobrze na szare komórki. - Poklepał się po czole. - Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Niezupełnie - odparła Maggie - ale wierzę ci na słowo. No, dobrze. Umówię się z dyrektorami hoteli i dam ci znać.

- Świetnie. Będę czekał. I mówiłaś, że już wybrałaś kwiaty na ślub. Można wiedzieć jakie? Albo nie, zaczekaj. Niech zgadnę. - Luke zaczął stukać palcami w stół. - Hm. Nazywałaś swoją firmę „Róże i Marzenia”. Założyłbym się, że panna młoda będzie miała róże, czerwone z jakąś bożonarodzeniową zielenią, i tymi delikatnymi kwiatkami, które wyglądają jak płatki śniegu.

- Gipsówki - podpowiedziała Maggie szeptem.

- Tak, te. Udało mi się odgadnąć?

- Właśnie taki bukiet wybrałam. Ale skąd wiedziałeś?

Luke sięgnął przez stół i przykrył ręką dłoń Maggie. Spojrzał w jej wielkie ciemne oczy, a gdy się odezwał, jego głos był taki... męski. Zadrżała.

- Wiedziałem, bo jesteś Maggie. Moją Maggie. Na zawsze.

- Och. - Zabierz rękę, Maggie Jenkins, mówiła sobie. Ciepło płynące z dłoni Luke'a rozprzestrzeniało się wzdłuż jej ramienia, do piersi, które nagle zaczęły boleć i... Maggie, zabierz tę głupią rękę. Zabiorę, na pewno, kiedyś... - Co takiego? Wiedziałeś dokładnie, jakie kwiaty wybiorę tylko dlatego, że jestem Maggie? To nie ma sensu.

- Dla mnie ma - powiedział, zaciskając mocniej palce na jej ręce. - Tak, dla mnie to ma wiele sensu.

Do stolika podeszła kelnerka.

- Życzą sobie państwo deser?

Maggie spojrzała na kelnerkę.

- Deser - powiedziała, czując, że zaraz zabraknie jej tchu. - Deser to dobra rzecz. Tak, bardzo dobra, ale najadłam się po uszy, więc już nie dam rady. Nie. Dziękuję.

Bingo, pomyślał Luke. Maggie jest zaniepokojona. Był pewny, że gorąco, które sam czuł, trzymając ją za rękę, udzieliło się także jej. Policzki miała delikatnie zaróżowione, a jej głos lekko drżał. Fantastycznie.

- A pan? - spytała kelnerka. - Mamy dziś pyszny tort czekoladowy.

- Prawdziwy mężczyzna nigdy nie odmawia czekoladowego tortu - oznajmił Luke. - Proszę o kawałek. I poproszę

o dwa widelczyki, gdyby pani zmieniła zdanie i postanowiła jednak go skosztować.

- Na pewno się nie oprze - stwierdziła kelnerka. - Zraz wracam.

Po chwili była z powrotem. Postawiła talerzyk z wielkim kawałem tortu na środku stołu, a potem rozłożyła widelczyki, jeden przed Maggie, drugi przed Lukiem.

- Maggie, poczęstuj się - zachęcił ją. - Spójrz na to cudo. Czekolada przełożona bitą śmietaną i te wiśnie opadające po bokach jak skrzący się wodospad. Nie ulegniesz takiej pokusie?

Jak Luke to sprawił, że zwykły opis kawałka tortu brzmi tak zmysłowo? Ten człowiek nigdy nie daje za wygraną, pomyślała żałośnie.

- No, dobrze. Zjem troszkę - zgodziła się. Nabiła na widelczyk kawałek tortu z wielką słodką wisienką. - Mmm, pyszne.

- Och! - wykrzyknął Luke i sięgnął po serwetkę. - Masz tu kropelkę soku.

Pochylił się nad stołem i delikatnie, bardzo delikatnie, musnął serwetką jej usta, a potem spojrzał jej prosto w oczy.

Maggie nie mogła oderwać wzroku od oczu Luke'a. Przecież w tym, że starł jej kropelkę soku z ust, tak jakby była małym dzieckiem, nie ma nic zmysłowego, ale... do licha, to było bardzo zmysłowe. Chyba zaraz zsunie się z krzesła...

- Już dobrze - powiedział cicho. - Tort ci smakuje?

- O, tak - odparła rozmarzonym głosem. - Najlepszy tort, jaki jadłam w życiu. Pyszny.

- No to ja też spróbuję.

Maggie patrzyła, jak Luke nabija porcję tortu na widelczyk, wkłada ją do ust, zamyka usta - te usta, które tak chciałyby całować...

Westchnął, zamknął oczy i rozkoszował się smakiem.

Nie wytrzymam tego, pomyślała gorączkowo. Zaraz zapłonie, spali ją wewnętrzny żar. Nigdy w życiu jeszcze niczego takiego nie doznawała.

Luke odłożył widelczyk i sięgnął przez stół po obie ręce Maggie.

- Maggie... - wyszeptał. - Co ty ze mną robisz? Czym jest to, co narasta między nami? To miłość, Maggie. Prawdziwa miłość, która będzie trwała zawsze. I ty to czujesz. Jestem pewny, że czujesz.

- Nie. Nie czuję - powiedziała, próbując wyrwać ręce, ale Luke tylko zacieśnił chwyt. - No, dobrze, czuję, ale to tylko pociąg fizyczny między dwojgiem ludzi, którzy... czują do siebie fizyczny pociąg. Nazwałabym to żądzą, ale to brzydkie słowo... Luke, możesz puścić moje ręce?

- Za chwilę. Tak więc przyznajesz, że pociagam cię fizycznie?

- No... tak.

- Pragniesz mnie? Pragniesz, Maggie? Żądza to brzydkie słowo. Ale pragnienie to zupełnie co innego.

- To tylko niuanse semantyczne.
- Nie, Maggie, to uczucia. Uczucie jest nieodłączne od pragnienia. Ja szczerze w to wierzę. Problem polega na tym, by wiedzieć, co to za uczucie, co znaczy, a potem odwijać je warstwa po warstwie, jak cudowny prezent.
- To bardzo poetyczne - powiedziała miękko Maggie.
- Nie staram się być poetyczny. Po prostu mówię to, co czuję. Chcę wiedzieć, co ten prezent ma dla nas w zanzardzu. A ty nie?

Maggie uwolniła ręce i pokręciła głową.

- Nie. Nie mogę.
- Dlaczego?
- Luke, ty nic nie rozumiesz.
- Więc wytłumacz mi. Proszę, Maggie. Czego się boisz? Dlaczego tak stanowczo postanowiłaś, że nigdy nie wyjdiesz za mąż? Że będziesz organizowała śluby dziesiątkom panien młodych, ale nigdy dla siebie? Dlaczego wybudowałaś ten wysoki, solidny mur wokół swojego serca? To coś, co dzieje się między nami, mogłoby się stać bardzo ważne, ale gdy tylko o tym mówię, ty natychmiast się cofasz. Powiedz mi, dlaczego. Proszę.

Maggie zacisnęła ręce na podołku i patrzyła na niego przez długą chwilę. Potem powoli skinęła głową.

- Dobrze - zgodziła się, a jej głos lekko drżał- - Może powinnam ci wyznać prawdę o sobie i wyjaśnić, dlaczego żaden z tych ślubów, które organizuję, nie będzie moim ślubem, dlaczego nigdy nie będę panną młodą.

Serce Luke'a waliło szaleńczo.

- To dzieje się w naszej rodzinie od zawsze, a wiemy o tym, bo zdołaliśmy prześledzić jej historię sporo pokoleń wstecz - zaczęła Maggie z namysłem. - Nie ma od tego ucieczki ani powodu, by sądzić, że nie będzie trwało całą wieczność. - Westchnęła. - Och, wielu starało się temu przeciwstawić - moja matka, siostra, brat - ale to po prostu beznadziejna sprawa.

- Mój Boże, Maggie! - wyszeptał Luke z pobladłą twarzą.
- Czy to jakaś nieuleczalna choroba?

- Nie, nie nazwałabym tego chorobą, chociaż nie ma na to lekarstwa. To się powtarza ciągle i ciągle, nieuchronnie. Jest straszne, łamie serca. A ja nie pozwolę, by to się przydarzyło także mnie. I dlatego nigdy nie wyjdę za mąż.

- Ale co to właściwie jest? Czy to ma jakąś oficjalną nazwę?

- Tak, ma nazwę. Jesteśmy przeklęci. Byłabym szalona, gdybym wierzyła, że mnie ta klątwa ominie, bo tak się nie stanie. Moja matka, siostra, brat, wszyscy oni myśleli, że im się uda, ale... - Pokręciła głową.

- Ale co to jest? - spytał jeszcze raz, pochylając się do niej. - Maggie, nie dręcz mnie! Co to jest?

Maggie wzięła drżący oddech, a potem zamrugła, by powstrzymać łzy.

- To... - załkała - to pech Jenkinsów.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Chwilę potrwało, zanim to dziwaczne stwierdzenie przebiło się do świadomości Luke'a. Otworzył usta, by coś odpowiedzieć, potem je zamknął i jeszcze raz spróbował przyswoić sobie te słowa.

Pech Jenkinsów? - pomyślał oszołomiony. O czym ona w ogóle mówi? Maggie nie wyjdzie za mąż z powodu jakiegoś tam pecha? Czyżby w naszych czasach ludzie jeszcze wierzyli w takie rzeczy? I na czym polega ten pech? Och, to czyste wariactwo!

Na pewno go nabiera. Zaraz się roześmieje i powie, że żartowała, a potem wyjawi mu prawdziwy powód swojej niechęci do małżeństwa.

Ale Maggie wyglądała teraz jak obraz rozpacz, w jej wielkich brązowych oczach lśniły łzy. Nie, wcale nie żartowała. Mówiła całkiem poważnie!

- Maggie - odezwał się w końcu - musimy porozmawiać o tym... tym czymś Jenkinsów, ale widzę, że jesteś wzburzona, więc chodźmy już stąd. Odwiozę cię do domu i tam pogadamy, dobrze?

- Mówiłeś, że po południu będziesz bardzo zajęty - przypomniała mu.

Pociągnęła nosem, a potem wytarła go w serwetkę.

- Wiesz, po co mamy telefony komórkowe? Żeby szefowie mogli zadzwonić do swoich sekretarek i odwołać umówione spotkania. A ojciec tylko się ucieszy, że ma wolny czas i może iść na partyjkę golfa.

- Ale przyjechałam swoją furgonetką, więc nie możesz mnie odwieźć.

- Potem cię przywiozę po furgonetkę, albo możesz od razu nią jechać, jeżeli czujesz się na siłach. A tej rozmowy nie możemy odłożyć na później.

Maggie poddała się.

- Wiedziałam, że to powiesz. Pojadę swoją furgonetką. Spotkamy się u mnie. - Wstała i wybiegła z restauracji.

Luke rzucił kilka banknotów na stół i wyszedł za nią.

Maggie jechała niemal na oślep. Gdyby tylko mogła cofnąć się w czasie! Nie trzeba było mówić Luke'owi o pechu Jenkinsów. Po co tak się z tym spieszyła?

Gdyby mu nie powiedziała, mogłaby się cieszyć jego towarzystwem aż do ślubu Rose i Clyde'a. A teraz wszystko się skończy. Gdy już mu wyjaśni, na czym polega pech, pewnie zacznie jej unikać, bo jest kobietą przeklętą, tak jak cała jej rodzina.

Po jej policzku spłynęła łza.

- Jest mi tak smutno... - powiedziała na głos, parkując przed domem. - Tak bardzo, bardzo smutno.

Gdy Luke przyjechał, zawiesiła na drzwiach wywieszkę „Zamknięte” i poprowadziła go na piętro, do bawialni. Tam wskazała mu kanapę, sama opadła na bujany fotel i przez długą chwilę w milczeniu się huśtała, wpatrzona w przestrzeń.

- Maggie - odezwał się w końcu Luke. - Nie możesz udawać, że mnie tu nie ma.

- Wiem. - Spojrzała na niego ze smutkiem. - Masz prawo dowiedzieć się, czym jest pech Jenkinsów. - Wzięła głęboki oddech. - Mówiłam ci, że to się ciągnie od wielu pokoleń.

Luke skinął głową.

- W mojej rodzinie wszyscy musieliśmy stawić czoło faktowi, że z niewiadomych powodów nikt z nas nie może być szczęśliwy po tym, jak wybierze sobie partnera. Tak się po prostu nie zdarza. I to właśnie jest pech Jenkinsów.

Luke pochylił się do niej.

- Słucham?

- Słyszałeś.

- Tak, słyszałem, ale nie mogę sobie wyobrazić, że wierysz w pecha, klątwę, czy jak to nazwać, rzuconą na całą rodzinę.

- Ale faktem jest, że ona wisi nad nami jak czarna chmura.

- Maggie, daj spokój. Takie rzeczy nie istnieją. Możliwe, że kilka małżeństw się rozwiódło, ale...

- Wszyscy się rozwiedli.
- Wszyscy?
- Tak. Cofnęliśmy się tak daleko w przeszłość naszej rodziny, jak tylko się dało. Wszyscy się rozwodzili.
- Co za dziwna sprawa - mruknął Luke, odchylając się na oparcie kanapy.
- To właśnie jest pech Jenkinsów - stwierdziła Maggie.
- Nikt nie wie, dlaczego na nas ciąży, dlaczego los nam tak fatalnie potasował karty, ale to fakt. Och, wielu miało nadzieję przełamać klątwę, skończyć z tym raz na zawsze. Byli tacy zakochani, wierzyli, że ich małżeństwo będzie udane. A potem - puf! - wszystko się rozpadało i trzeba było płacić jakiemuś uszczęśliwionemu adwokatowi za poprowadzenie sprawy rozwodowej. Moja matka szła do ślubu z oczami lśniącymi ze szczęścia jak gwiazdy - kontynuowała Maggie. - Ojciec zostawił nas, gdy miałam dziesięć lat. Moja siostra dwa razy się rozwodziła, brat jeden raz. Moi dziadkowie, pradziadkowie... Och, mogę się tak cofać w czasie, zawsze działało się to samo. W końcu musieliśmy uznać, że jesteśmy przeklęci.
- Ale...
- I właśnie z tego powodu nie zamierzam nigdy się zakochać i wyjść za mąż. Nie chcę, by moje marzenia się roztrzaskały, nie chcę mieć złamanego serca. Dlatego organizuję śluby jak z bajki dla innych ludzi... żeby zaspokoić moją romantyczną duszę. Jednak zaczynam się zastanawiać, czy „Róże i Marzenia” to nie był głupi pomysł, bo ta-

ka praca tylko ciągle mi przypomina o tym, czego ja nigdy nie będę miała.

- Ale organizujesz ślub swoich marzeń dla Rose i Clyde'a - zauważył.

- Tak, i chociaż uważam, że to szaleństwo, chcę sobie zrobić taki prezent, zanim zdecyduję, czy mam kontynuować tę pracę, czy nie.

Luke wstał i w zdenerwowaniu zaczął przemierzać mały pokój od ściany do ściany. Ze zmrużonymi oczami zastanawiał się, co ma teraz robić. W końcu stanął przed Maggie, pochylił się i chwycił oparcie fotela.

- Nie! - powiedział.

- Co nie? - spytała świadoma, tak bardzo świadoma tego, że jego usta są tylko o centymetry od jej ust.

- Nie wierzę w to - powiedział. - Może rzeczywiście w twojej rodzinie jest więcej rozwodów niż w innych, ale, Maggie, nie istnieje coś takiego jak klątwa czy pech.

- To samo twierdził drugi mąż mojej siostry - na początku.

- Jesteś inteligentną kobietą. - Luke mówił coraz bardziej nerwowo. - Jak możesz wierzyć w takie bzdury?

- Fakty są faktami. - Też podniosła głos. - Mieliliśmy nadzieję, że znajdziemy chociaż jedno małżeństwo, które pozostało razem. Ale nie znaleźliśmy. Ani jednego, Luke. Pech jest prawdziwy i nie pozwolę sobie myśleć, że to ja właśnie mogłabym go przełamać, sprawić, że zniknie. Tak już jest i nic na to nie poradzę.

- To niemożliwe - powiedział o wiele za spokojnie. - Pech to przesąd, to... Do licha, to najbardziej frustrująca rozmowa, jaką w życiu prowadziłem!

- Bardzo cię za to przepraszam - parsknęła. - Ale fakty są faktami i nie da się im zaprzeczyć.

- Nie? Jeszcze zobaczymy! - Luke też już był wściekły.

Do tej pory zaciskał ręce na poręczach fotela tak mocno, że pobieleły mu kostki palców. Teraz chwycił Maggie za ramiona, poderwał ją na nogi i... pocałował.

Maggie zastygła w szoku, ale gdy pocałunek stawał się coraz delikatniejszy, gdy Luke po chwili objął ją w pasie i przyciągnął do siebie, wtuliła się w niego. Objęła go za szyję, a palce wplotła w jego gęste włosy.

Pocałunek był coraz gorętszy, wzbudzał jakieś nienazwane uczucia, miał dość mocy, by na tę jedną chwilę odepchnąć w kąt myśl o pechu, a im pozwolić poznać smak, dotyk, samą esencję każdego z nich.

Luke w końcu się odsunął, bo zabrakło mu tchu. Maggie popatrzyła na niego z rozmarzoną miną, jej wilgotne, rozchylone usta znów go wabiły.

- Ach, Maggie - szepnął namiętnie. - Tak bardzo chcę się z tobą kochać. Od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem, ja... Maggie, czy ty też mnie pragniesz? Chcesz się ze mną kochać?

- Tak - szepnęła. - Ale.

- Zapomnij na razie o pechu. Uporamy się z nim później... tak, później. Maggie, nigdy nie chciałbym cię wyko-

rzystać, wywierać na ciebie presji, zmuszać cię do czegoś, czego byś potem żałowała. - Zamilkł na chwilę. - Chyba chcę powiedzieć, że decyzja należy do ciebie.

Tylko jak ona może decydować, skoro w ogóle nie potrafi zebrać myśli? No, już dobrze. Zaczyna odzyskiwać kontrolę nad sobą. Nie będzie zwracała uwagi na to, że jest wtulona w podniecone ciało Luke'a, że on obejmuje ją mocnymi ramionami. Pomyśli. Tak, już myśli.

I pragnie go.

Chce się z nim kochać, bo tak bardzo jej na nim zależy, a jemu tak bardzo zależy na niej. Wiedziała, że tak jest.

I dlatego, że gdy Luke wreszcie uwierzy, że pech Jenkinów to prawda, odepchnie ją. Nie będzie chciał *mieć nic* wspólnego z przekłętą kobietą.

I jeszcze dlatego, żeby mieć to cenne wspomnienie, które będzie musiało jej wystarczyć na całe życie, bo nic więcej jej nie czeka.

- Maggie?

- Luke, kochaj się ze mną - powiedziała miękko, patrząc mu w oczy. - Nie będę żałowała. Obiecuję. Nie ma dla nas wspólnej przyszłości. Ten pech to prawda i muszę się z tym pogodzić. Nic, co byś powiedział albo zrobił, nie zmieni mojej decyzji. Ale teraz? Pragnę cię. Więc proszę, kochaj się ze mną.

Z jękiem, który wydobył się z głębi jego piersi, Luke jeszcze raz przywarł do jej ust w upajającym pocałunku, a ona wtopiła się w niego w całkowitym oddaniu.

Wreszcie Luke uniósł głowę i porwał Maggie na ręce. Wskazała palcem drzwi sypialni. Ruszył tam długimi, stanowczymi krokami.

Postawił ją koło łóżka. Bezwiednie zauważył, że pokój jest bardzo kobiecy. Kapa na łóżku miała wzór z bladoróżowych różyczek, tak samo jak falbanka otaczająca mały okrągły stolik, na którym stał zegar i telefon. Zasłony były różowe, a toaletka z białej wikliny. Maggie odsunęła kapę i kołdrę, odsłaniając pościel w maleńkie pączki różowych róż, a potem odwróciła się do Luke'a.

- Jestem bardzo stremowana - powiedziała. - Nie mam tego rodzaju doświadczenia, a ty na pewno jesteś przyzwyczajony do...

- Cii - szepnął, kładąc palec na jej ustach. - Maggie, zobaczysz, będzie nam cudownie.

Powoli wracali na ziemię z tego ekstatycznego lotu. Luke ostatkiem sił zsunął się z Maggie i przygarnął ją do siebie, nie zdejmując ust z jej wilgotnego czoła. Ona trzymała rękę na jego szerokiej piersi. Pod jej ręką jego serce jeszcze chwilę biło jak szalone, a potem powoli się uspokoiło.

- Dziękuję ci - powiedział Luke.

- A ja dziękuję tobie - szepnęła Maggie - za to, że będę miała piękne wspomnienie.

Powieki jej się zamknęły i zasnęła, szczęśliwa, nasycona, z miłym uśmiechem na ustach. Luke obejmował ją, gładząc delikatnie po jasnych włosach.

Boże, jak ja kocham tę kobietę, pomyślał, czując w piersi dziwny ból. Oddała mu się tak radośnie, tak szczerze. Zależy jej na nim, był tego pewny, może nawet się w nim zakochuje tak, jak on całą duszą pokochał ją.

Nie może jej stracić. Sama myśl o tym to było więcej niż potrafił znieść. Ale teraz znał imię wroga: pech Jenkinsów. Nieważne, że dla niego cała ta sprawa była wariactwem, ważne było jedynie, że Maggie w to wierzy i dlatego postanowiła nigdy nie wyjść za mąż, by chronić swoje serce przed złamaniem.

Pole walki zostało wytyczone. Luke dosłownie walczył o życie, o swoje szczęście, o swoją przyszłość. I zwycięży. Dla siebie, dla Maggie, dla tego wszystkiego, co będą mieli razem, dopóki śmierć ich nie rozłączy i nawet potem.

Zwycięży. Musi.

- Maggie, kocham cię - szepnął, mocniej ją przytulając.
- Jesteś moim życiem. Moją żoną. Jesteś moja.

Godzinę później Maggie przeciągnęła się i otworzyła oczy. Luke, pomyślała, jeszcze niezupełnie przytomna.

Odwróciła głowę. Luke'a obok niej nie było. Ale zaraz usłyszała szum wody w łazience. Ułożyła się wygodnie i naciągnęła kołdrę pod brodę.

Kochała się z Lukiem. I to było fantastyczne, przekraczało jej najbardziej dzikie fantazje. Czy żałuje tego, co zrobiła? Nie!

Doświadczyła czegoś wyjątkowego z tym niezwykłym

mężczyzną. To będzie jej skarb, który na zawsze przecho-
wa w sercu.

Luke wrócił do sypialni całkowicie ubrany, włosy miał wilgotne po prysznicu. Usiadł na brzegu łóżka i uśmiechnął się.

- Dobrze się spało?

- Wspaniale - odparła, odwzajemniając uśmiech.

- Jesteś śliczna, gdy śpisz, taka spokojna... - Zamilkł na chwilę i spojrzał na nią z niepokojem. - Maggie, nie żałujesz tego, co się stało?

- Nie, Luke. Nie żałuję. To było cudowne i ja... Nie, nie żałuję. Oboje rozumiemy, że to nie będzie trwało wiecznie, bo moje życie jest, jakie jest... bo ciąży nade mną pech. Wiem, że jeszcze mi nie wierzysz, ale to prawda. Nigdy nie zmienię zdania. To byłoby głupie z mojej strony i tak się nie stanie, chociaż bardzo mi z tego powodu smutno.

- Ach, o tym jeszcze porozmawiamy. A teraz chyba już pójdę. Zawiadomisz mnie, gdy już się umówisz na oglądanie apartamentów dla nowożeńców?

- Tak, oczywiście. Zadzwoń do ciebie.

- Dobrze. - Luke pochylił się i szybko pocałował ją w usta. - Będę niecierpliwie czekał. Zadzwoń jak najszybciej.

- Tak - odparła, czule się do niego uśmiechając.

Luke przesunął palcem po jej ustach, a potem wstał i wyszedł.

- Pa - szepnęła.

Przebiwszy się przez zatłoczone jezdnie, Luke dotarł do swojej eleganckiej kancelarii.

- Dzień dobry, panie St. John - powitała go recepcjonistka.

- Mhm - odpowiedział Luke nieprzytomnie, idąc do swojego gabinetu.

Przystanął przy biurku sekretarki, pulchnej kobiety po pięćdziesiątce.

- Betty, potrzebuję kilku danych - oznajmił. - Proszę, poszukaj ich wszędzie, gdzie się tylko da.

Sekretarka wzięła pióro i notatnik.

- Już zapisuję. Czego szukamy?

- Przesądów.

- Słucham?. Przesądów? Jakich?. Czy to ma jakiś związek ze sprawą, którą teraz pan prowadzi?

- Niezupełnie - odparł Luke, chowając ręce do kieszeni. - Powiedzmy po prostu, że to najważniejsza sprawa, jaką kiedykolwiek przedsięwziąłem, i niech tak zostanie, dobrze? Zaczynaj od przesądów związanych z pannami młodymi, ślubami, weselami i tak dalej, a potem zajmij się przesądami w ogólności.

- Panny młode? Chodzi o takie rzeczy jak *to*, że pan młody może zobaczyć pannę młodą w ślubnej sukni dopiero wtedy, gdy idzie do niego do ołtarza?

- Właśnie. - Luke pokręcił głową. - Czyżby *ktoś* wierzył w takie głupstwa?

- Nie mam pojęcia, ale ten przesąd istnieje od zawsze.
- Postukała piórem w notatnik. - Dobrze. Mniej więcej

wiem, czego mam szukać w związku ze ślubami. A potem mam się zająć takimi rzeczami jak pech, którego się doznaje, gdy się przejdzie pod drabiną albo gdy drogę przebiegnie czarny kot?

- Tak. O to mi chodzi.
- Na kiedy pan tego potrzebuje?
- Na wczoraj.

Gdy nadszedł wieczór, Luke siedział na kanapie w swojej bawialni i przeglądał stertę notatek na temat przesądów, jaką dostał od sekretarki.

Przy niektórych marszczył czoło ze zdumienia, inne rozśmieszały go do łez. Mimo to czytał uważnie każdy opis, starając się jak najwięcej zapamiętać.

W końcu odłożył papiery na stolik, zaplótł ręce nad głową i wygodnie się wyciągnął.

Plan jest już na etapie realizacji, rozmyślał. Maggie wierzy, że organizuje ślub kuzyna Clyde'a i Rose.

Jednak teraz, gdy już poznał jej tajemnicę i tę sprawę z pechem Jenkinsów, to nie wystarczy. Musi wysilić cały swój prawniczy kunszt, rozbudować plan i doprowadzić do tego, by Maggie sama uznała, że jej pech to zwykły przesąd. Nie będzie łatwo. Przydałaby się jakaś pomoc.

Ojciec! Ojciec mu pomoże. On wie o planie i rozumie, dlaczego Luke musiał go stworzyć.

Spojrzał na zegarek. Do licha! Już za późno na telefon. Trudno, porozmawia z ojcem jutro z samego rana.

O, tak, doskonale. To jest następny krok w bitwie, która przybliży go do wygrania całej wojny.

Luke z powrotem rozsiadł się na kanapie i *i* zadowoleniem się uśmiechnął. Tak, na Boże Narodzenie będzie ślub.

Maggie Jenkins i Luke St. John na zawsze połączą się świętym węzłem małżeńskim, będą mężem i żoną, jedną duszą w dwóch ciałach, partnerami w życiu i partnerami w tym cudzie, jakim będzie ich wielka miłość, trwająca przez całą wieczność.

Moja panna młoda pod choinkę, pomyślał Luke. Moja Maggie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Maggie spędziła następne dwa dni nad papierkową robotą. To była najmniej przyjemna część obowiązków, więc często marzyła, by było ją stać na sekretarkę.

Westchnęła, czytając po raz kolejny jeden z rachunków. Nic z niego nie rozumiała. A dlaczego? Bo jej myśli wracały ku tamtemu boskiemu popołudniu, gdy kochała się z Lukiem.

Powinna była uporać się z rachunkami za ślub Ginger i Roberta w jeden dzień, a tymczasem jest już późne popołudnie drugiego dnia, a ona jeszcze nad tym siedzi, bo jej myśli ulatują w inne strony.

Nie, dziś nic z tego nie będzie, uznała. Wsparła się łokciem o biurko, brodę ułożyła na dłoni i zatraciła się we wspomnieniach tamtego dnia i w marzeniach.

Jak by to było, gdyby wyszła za Luke'a, gdyby noc po nocy się kochali... Oczywiście małżeństwo to coś więcej. Ona i Luke śmialiby się razem, rozmawiali, razem jedli posiłki, chodziliby po zakupy, dyskutowali o wiadomościach podanych w dzienniku o szóstej. Razem wybraliby swój dom - willę albo mieszkanie, meblowaliby kolejno pokoje, może

nawet czasami sprzeczałyby się, a w razie konieczności szli na kompromis.

I, oczywiście, jeden z tych pokoi byłby pokojem dla dziecka, które ich miłość sprowadziłaby na świat. Czy to byłby chłopiec? A może dziewczynka? Nieważne. Potem, za jakiś czas, zdarzyłby się następny cud narodzin. Luke byłby fałszywym bliźniakiem, czy...

A każdego wieczoru, po tym, jak już poczytaliby małżeństwu bajeczki i zmówili z nimi pacierz, nadchodziłby czas dla dorosłych, czas Maggie i Luke'a. W swoim małżeńskim łóżu radośnie braliby się w ramiona, bo pragnienie nigdy by nie zwiędło, z każdym mijającym rokiem ich miłość stawałaby się coraz głębsza i silniejsza. Ich usta by się spotykały i...

- Maggie?

Spojrzała w kierunku, z którego dochodził głos. Luke. Stał przed biurkiem w całym swoim męskim splendorze.

Jego tu nie ma, powiedziała sobie. To tylko wytwór jej wyobraźni, wyczarowany fantazjami, jakie snuła. Nie, nie ma go tu.

Wstała, chwyciła zjawę za krawat, przyciągnęła ją do siebie i mocno pocałowała w usta.

Ale w chwili, gdy ich usta się spotkały, straszliwie upokorzona uświadomiła sobie, że jednak to nie zjawka, lecz Luke z kr...

krzesło. Pragnęła zniknąć, rozplątać się w powietrzu i nigdy więcej już go nie zobaczyć.

- No, no - uśmiechnął się Luke, wygładzając krawat. - Co za powitanie. Ja ciebie też witam, Maggie.

- Cześć - mruknęła, patrząc na środkowy guzik jego koszuli.

- Potrafisz sprawić, by mężczyzna poczuł się jak ktoś wyjątkowy, okazać, że cieszysz się na jego widok.

- Mogę to wyjaśnić - odparła, w końcu decydując się spojrzeć mu w oczy. Ale zaraz westchnęła. - Nie, dajmy temu spokój. Ubawiłbyś się. - Przerwała na chwilę, po czym podjęła: - Pewnie przyszedłeś, bo nie odezwałam się jeszcze do ciebie w sprawie apartamentów dla nowożeńców. Przepraszam cię, ale utonęłam w papierkowej robocie i nie miałam czasu się tym zająć.

- Nie. Przyszedłem, bo tęskniłem za tobą - powiedział Luke, siadając.

- Naprawdę? - Maggie rozjaśniła się w radosnym uśmiechu. Jednak natychmiast udało jej się poskromić tę radość i przyjąć obojętny ton. - Czyżby?

- Tak - roześmiał się Luke. - A sądząc po obecnym stanie mojego krawata, ty też za mną tęskniłaś.

- No... - Maggie zamachała ręką w powietrzu. - Coś w tym rodzaju.

Teraz Luke przyjrzał jej się uważnie.

- Słuchaj, dziwię się, że ubrałaś się na niebiesko, chociaż

dziś jest czwartek. Ale chyba nie posunęłaś się do tego, by brać rano prysznic albo się wykapać?

- Co takiego? - Maggie popatrzyła na swój sweter, potem na Luke'a. - O czym ty właściwie mówisz? - spytała zdumiona.

Luke rozparł się wygodnie w fotelu.

- W niektórych kulturach - wyjaśnił - ludzie wierzą, że niebieski kolor jest symbolem oceanu, morza. Ci ludzie uważają też, że czwartek jest pechowym dniem. Dlatego, kusząc los tym niebieskim swetrem, narażasz się na wypadek w wodzie, może nawet utonięcie.

- To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam! - wykrzyknęła.

- Nie dla tych, którzy w to wierzą.

- Pewnie z trudem można by się ich doliczyć trzech na krzyż. Na miłość boską, Luke, nieodpowiedni kolor, pechowy dzień i tracisz życie? Co za absurdalny przesąd!

Luke tylko wzruszył ramionami.

- Poza tym wzięłam dziś rano długą kąpiel w mojej wspańskiej wannie i jakoś tak się dzieje, że nadal żyję!

- Naprawdę? No, dobrze, może rzeczywiście ten przesąd to jakieś głupstwo - powiedział Luke w zamyśleniu. - Właściwie nie mam dowodów na poparcie jego prawdziwości.

Maggie pochyliła się ku niemu.

- Ten twój krawat, który zgmiotłam, też jest niebieski, nawet w kolorze morza. Brałeś dziś prysznic?

-Tak.

- Widzisz? Ten przesąd to czysty nonsens - oświadczyła.

- A teraz wróćmy do powodu twojej wizyty.

Jeden zero dla mnie, pomyślał uszczęśliwiony Luke.

- Słuchaj, nie przyszedłem po to, by cię popędzać w sprawie tych apartamentów. Po prostu jeden z moich klientów pilnie potrzebował konsultacji, więc musiałem włożyć służbowy garnitur i umówić się z nim na długi, nudny lunch. A ponieważ on wybrał restaurację w pobliżu twojego domu, wpadłem przywitać się z tobą i powiedzieć, że za tobą tęsknię. - Jeszcze raz spróbował wygładzić pognieciony krawat. - I chyba jeszcze po to, żeby poddać krawat torturom.

- Chętnie bym ci go odkupiła, ale obawiam się, że mój budżet na to nie pozwoli. A właściwie ile on kosztował?

- Sto pięćdziesiąt dolarów.

- Sto pięćdziesiąt za jeden krawat? - pisnęła. - Nie wierzę!

- To jedwab importowany z Włoch.

- Czy mogę ci to spłacać w ratach?

Luke roześmiał się.

- Coś ci powiem. Zgodzisz się pójść dziś ze mną na kolację i będziemy kwita.

- Och, nie wiem.

- Jestem w nastroju na pizzę, jeśli nie masz nic przeciwko temu, więc nie musisz się specjalnie ubierać. Tylko nie wkładaj nic niebieskiego, dobrze?

- Pizza będzie doskonała. Ale, Luke, musisz przestać się przejmować tym przesądem, bo to naprawdę głupie.
- Postaram się - obiecał z dramatycznym westchnieniem.
- Przyjdę po ciebie o ósmej. A teraz nie będę ci już dłużej przeszkadzał w pracy. Do zobaczenia.

Luke, nie zatrzymując się przed żadną ze znanych pizzerii, uparcie jechał dalej, na odległy kraniec Phoenix.

- Musisz naprawdę lubić ten lokal - zauważyła Maggie, gdy już usiedli w czerwonej winylowej łoży.

- Dają tu najlepszą pizzę w Phoenix - stwierdził Luke, zerkając na nią.
- Chcesz?

- Cokolwiek prócz anchois.

-I wodę mineralną?

-Tak.

Po chwili Luke wrócił i położył na stole kwitek.

- Dobrze, że dziś jest czwartek, a nie piątek - stwierdził.

- Mamy trzynasty numer. A zapewne wiesz, że trzynastka i piątek razem nie mogą przynieść nic dobrego. - Znowś spojrzał na zegarek.

- Nie przyniosłyby nic gorszego niż utopienie się w wannie, bo ubrałeś się na niebiesko - powiedziała Maggie sucho. - Luke, co się stało, że tak nagle przejmujesz się przesądami?

- Wcale nie nagle. Zawsze byłem przesądny, tyle że wolę to ukrywać, bo ludzie by się ze mnie śmiali. Ale, widzisz,

Maggie, długo myślałem o tym, co mi powiedziałaś o pechu Jenkinsów. W pierwszej chwili chciałem ci powiedzieć, że to bzdura. Śmiałem się z ciebie, i teraz bardzo cię za to przepraszam. Pech, przesady, zabobony - coś w tym jest. Chcę, żebyś wiedziała, że rozumiem twoją wiarę w waszego rodzinnego pecha.

- Naprawdę? I nie zamierzasz mi tego wyperswadowywać? Mówić, że to stek bzdur? Próbować mnie przekonać, że mogę wyjść za mąż jak każda inna kobieta?

- Nie zamierzam.

- O...

To bardzo dobrze, pomyślała. Po prostu wspaniale. Tylko dlaczego poczuła taki smutek? To, że Luke przyjął do wiadomości istnienie pecha Jenkinsów oznacza, że po ślubie Rose i Clyde'a więcej się nie zobaczą. I tak będzie dobrze. Tylko dlaczego boli ją żołądek? I serce? Do licha, co się z nią dzieje?

- Luke, mój chłopcze! - zagrzemiał za nimi niski głos i Maggie wróciła na ziemię.

- O, tato! Co ty tu robisz? - spytał Luke ojca, który stał przy stoliku.

- Mama miała ochotę na pizzę, więc zamówiłem ją przez telefon i przyszedłem odebrać. To najlepsza pizzeria w Phoenix.

- Tak, i masz szczęście, że mieszkasz tak blisko - zgodził się Luke. - Pamiętasz Maggie?

- Oczywiście. Moja droga, miło cię znów zobaczyć.

- Mnie również miło pana widzieć - odparła Maggie.

- Luke, stało się coś strasznego - powiedział George.

- Och, co takiego? Ojczy, błagam, powiedz mi.

Ojczy, błagam? Co to za styl? - zdziwiła się Maggie. Z jakiegoś powodu wydawało jej się, że Luke i jego ojciec rozmawiają tak, jakby czytali tekst scenariusza.

- Zgubiłem mój kasztan - powiedział George drżącym głosem.

Co takiego? - zdumiała się Maggie.

- Ach, ojczy, chyba już nic gorszego nie mogło cię spotkać!

- Wiem, wiem - przyznał George, kładąc rękę na sercu. - Mamie nie powiedziałem, że pojedę samochodem, nie mając przy sobie kasztana. Bardzo by się o mnie lękała.

-I miałyby powód. Ale nie martw się. Ja zawsze mam przy sobie dwa. - Luke wyciągnął kasztany z kieszeni dzinsów i podał jeden ojcu. - Proszę.

George z widoczną ulgą zacisnął pięść wokół kasztana, potem włożył go do kieszeni i położył Luke'owi rękę na ramieniu.

- Niech cię Bóg błogosławi, synu. A teraz cieszcie się swoją pizzą. Dobranoc, Maggie. Do zobaczenia, Luke - pożegnał się i ruszył do wyjścia.

Kelnerka akurat przyniosła im wodę mineralną. Gdy odeszła, Maggie pochyliła się ku Luke'owi, spodziewając się wyjaśnień ich dziwnego zachowania. Ale Luke rozejrzał się po restauracji.

- Tłoczno tutaj, prawda? Zresztą to całkiem zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że podają...

- Najlepszą pizzę w Phoenix - dokończyła za niego Maggie. - Czy mógłbyś mi wytłumaczyć, co się tu przed chwilą działo?

- Tu? Kelnerka przyniosła nam wodę mineralną - odparł Luke obojętnie. - O, właśnie wywołują jedenasty numer. Zaraz nasza kolej. Nareszcie, bo padam z głodu.

- Luke! - Maggie uderzyła ręką w stół. Luke się wzdrygnął. - Co wy kombinujecie z tymi kasztanami?

- Ach, to. Chyba już wywołują dwunasty numer.

- Luke! - przywołała go do porządku, bębniąc palcami w blat. - Co z tymi kasztanami? O co w tym wszystkim chodzi? Odpowiedz!

- A, kasztany... To bardzo proste. Noszenie kasztana przynosi szczęście. My, St. Johnowie, od zawsze mamy je przy sobie. Od lat. Nigdy nigdzie nie idziemy bez kasztana. Więc sama rozumiesz, że mój biedny ojciec był zdemotywany. Zgubił swój, a nie chciał, by mama się o tym dowiedziała. Ale - uśmiechnął się - uratowałem go, bo ja na wszelki wypadek zawsze mam przy sobie dwa. To takie ubezpieczenie, rozumiesz?

Maggie odchyliła się w krześle i skrzyżowała ręce na piersi.

- Co za głupota - stwierdziła.

- Wcale nie. Gdybyśmy nie nosili kasztanów, prześladowałby nas pech. Przypomnij mi, żebym znalazł też jeden

dla ciebie. No. Wreszcie wywołują trzynastkę. To my. Zaraz wracam.

- Ale... - zaczęła Maggie, jednak Luke'a już nie było.

Czy wszyscy St. Johnowie są tacy przesadni? - pomyślała w oszołomieniu. Inteligentni, wykształceni ludzie, a uważają, że ich los zależy od kasztana? Dziwaczne.

Luke przerwał jej rozmyślania, stawiając na środku stołu wielką, pachnącą pizzę. Potem usiadł i zatarł ręce.

- Wygląda apetycznie. - Uśmiechnął się. - Zabieramy się do jedzenia. Smacznego.

- Tak, ale... Luke, jeśli chodzi o te kasztany... Twój ojciec nie powiedział, że spotkało go coś złego, mimo że nie miał ich przy sobie, prawda?

Luke zjadał z apetytem, więc tylko skinął głową.

- Zatem - kontynuowała Maggie - czy to nie sugeruje, że przesąd dotyczący kasztanów jest bezpodstawny? Że to właśnie tylko zwykły przesąd, sympatyczny i trochę śmieszny, ale niepoparty żadnym dowodem?

Luke wpatrzył się w przestrzeń.

- Może i coś w tym jest. Gdy byłem mały, zostawiłem kiedyś mój kasztan w kieszeni dzinsów i mama je uprała. Z kasztana została tylko papka. Jakiś czas potrwało, zanim znalazłem następny, bo to była nie ta pora roku. I nic złego mi się nie stało oprócz tego, że zawałem dyktando. Ale to była moja wina, bo się nie przygotowałem.

Maggie wzięła kawałek pizzy i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Widzisz?

- Przemyślę to - obiecał Luke. Och, idzie mu doskonale, nawet lepiej, niż się spodziewała.

Maggie słodko się uśmiechnęła.

- Ta pizza jest naprawdę pyszna. Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś.

- Nie ma za co. - Luke zmarszczył czoło. - To z kasztanami jest trochę niepokojące. Nie mam właściwie żadnych konkretnych dowodów, że taki talizman działa albo nie. Naprawdę przemyślę wszystko. Jeszcze wody mineralnej?

- Nie, dziękuję. I nie bądź dla siebie taki surowy, Luke. Przez całe życie wierzyłeś w ten przesąd, więc teraz trudno by ci było w jednej chwili przestać wierzyć. Moim zdaniem postąpiłeś bardzo szlachetnie - i to jest właściwe słowo - zgadzając się, że to tylko zwykły przesąd.

- Masz rację. I muszę ci podziękować za to, że wykazałaś mi, jaki śmieszny byłem, wierząc w takie bajki. - Zaszługuje na Oscara za aktorstwo, pomyślała. - A teraz skupmy się na pizzy. Na dziś dość o przesądach.

- Dobrze. Chcesz porozmawiać o ślubie Rose i Clyde'a?

- O, tak - ucieszył się. - Maggie, nawet nie możesz sobie wyobrazić, ile on dla mnie znaczy.

- No więc zarezerwowałam salę na przyjęcie - zaczęła entuzjastycznie - a w przyszłym tygodniu spotykam się z szefem kuchni, żeby ustalić menu. Ale co z zaproszeniami? Myślisz, że oni będą woleli takie tradycyjne, gdy na

ślub zapraszają rodzice państwa młodych, czy też nowocześniejsze, gdy oni sami zapraszają?

Luke ugryzł kawałek pizzy, by dać sobie chwilę na zastanowienie. Na zaproszeniach nie mogą figurować nazwiska Rose i Clyde'a. Przecież ci ludzie w ogóle nie istnieją. St. John, myśl!

- Eee... może jeszcze trochę się wstrzymać? - powiedział w końcu. - Niech oni sami zdecydują.

- Dobrze. Spytaj ich też, co myślą o ozdobieniu zaproszeń wzorkiem z jagód ostrokrzewu. Moim zdaniem to by nadało im bożonarodzeniowy charakter.

- Przypuszczam, że się zgodzą. Masz na pewno jeszcze setki rozmaitych szczegółów do ustalenia, żeby ślub był taki jak w twoich marzeniach, prawda?

- Tak, i zajmie mi to całe miesiące - roześmiała się. - A potem piętnaście minut i uroczystość się kończy. - Nachmurzyła się. - W naszej rodzinie niektóre małżeństwa właśnie tyle trwają.

Trzeba zmienić temat, nakazał sobie Luke gorączkowo. Nie chciał, by Maggie znów myślała o pechu Jenkinsów.

- Wiesz co? - powiedział. - Nie widziałaś jeszcze mojego mieszkania. Właśnie sobie przypomniałem, że mam w zamrażarce lody miętowe z biszkoptami w czekoladzie. Chciałabyś do mnie przyjść na deser?

- Och, Luke, masz lody i czekoladowe biszkopki?

- Mam.

- Chyba zabraknie mi siły woli, by się temu oprzeć.

- Podejrzewałem, że musisz je lubić. - Luke był wyrażnie z siebie zadowolony. - Widzisz, jak dobrze zaczynam cię znać?

Tak, pomyślała. Zaczynają być sobie bliscy, nadawać na tej samej fali i... Nieważne. Nie będzie teraz o tym myśleć. Teraz czeka ją uczta, miętowe lody z biskoptami w czekoladzie. Życie jest piękne!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Ach! - wykrzyknęła Maggie, wchodząc do ogromnego salonu Luke'a. - To niesamowite, po prostu nadzwyczajne! Nigdy jeszcze nie byłam w penthousie. I ten widok z okien. Bajeczny! Ja chyba siedziałabym tu godzinami, wpatrując się w światła miasta. Pewnie wieczorem nie możesz się już doczekać powrotu do domu.

Rzeczywiście, tak do niedawna było, pomyślał Luke, patrząc na zachwyconą twarz Maggie. Teraz jednak mieszkanie stało się po prostu pustym miejscem, które czeka, by Maggie wypełniła je swoją radością, śmiechem, po prostu sobą.

- Gotowa na lody?

- Jasne. Mogę zobaczyć kuchnię?

Luke roześmiał się.

- Chodź. To dziwne doświadczenie, widzieć swój dom cudzymi oczami.

Gdy Maggie zachwycała się fantastycznie urządzonej kuchnią, Luke wyjął z zamrażarki lody, a potem sięgnął do szuflady po łyżeczki.

- Cholera! - sapnął, bo jedna mu upadła.

Usiedli przy stole naprzeciwko siebie i Maggie zabrała się do jedzenia. Dopiero po chwili zauważyła, że Luke patrzy gdzieś w przestrzeń.

- Co się stało? - spytała.

- Zastanawiam się, co za dziecko ma tu przyjść, ale nic mi nie przychodzi do głowy.

- O czym ty mówisz? - zdziwiła się Maggie.

- Upadła mi łyżeczka, a to znaczy, że odwiedzi nas dziecko. Widelec sprowadza kobietę, a nóż mężczyznę.

- Co za bzdura! - parsknęła Maggie.

- To prawda. - Luke pochylił się do niej. - W zeszłym miesiącu upadł mi nóż i - bingo - Robert wpadł do mnie bez żadnego powodu oprócz tego, że był akurat w mojej dzielnicy.

- Robert jest twoim bratem. Nic dziwnego, że chciał skorzystać z okazji i zobaczyć się z tobą. To nie ma nic wspólnego z nożem, który ci upadł.

- Och, naprawdę? No więc co powiesz na to: któregoś dnia upadł mi widelec i - możesz mi wierzyć albo nie - zanim jeszcze zdążyłem włożyć wszystkie naczynia do zmywarki, przy drzwiach już dzwonił dzwonek. To była mama, przyniosła mi czekoladowe ciasteczka, które właśnie upiekła. - Chwilę milczał. - Ciekawe, co to za dziecko. Może harcerki sprzedają ciastka albo coś w tym rodzaju?

- Posłuchaj. - Maggie uniosła rękę. - Czy Robert wcześniej nigdy nie przychodził bez zapowiedzi?

- Tak, ale...

- A czy twoja mama nigdy przedtem nie wpadła, żeby ci przynieść domowe ciasteczka?
 - No, tak, ale...
 - A więc widzisz. Masz tu kolejny przesąd, którego powinien się wyzbyc. Przecież to tylko zwykły zbieg okoliczności, że akurat przed ich przyjściem spadły ci sztucce.
 - Tak myślisz?
 - Jestem tego zupełnie pewna. - Maggie wzięła następną porcję lodów. - Pyszne. Jedz, zanim się stopią.
 - Zaczynasz rozbijać w puch wszystkie moje przesady - zauważył Luke.
 - Uważaj, bo mogą zacząć rządzić twoim życiem, jeśli nie będziesz ostrożny.
- Luke roześmiał się.
- Może nie. Bo niektóre dotyczą wyłącznie kobiet. Na przykład ten: jeżeli w miejscu publicznym widać kobiecie majtki, to znaczy, że jej ojciec kocha ją bardziej niż matka.
 - Nie, Luke. To znaczy, że albo ma za długie majtki, albo za krótką spódniczkę.
 - Może i masz rację. Muszę to jeszcze przemyśleć. Ale nie teraz. Teraz nastawię jakąś muzykę. Zaraz wracam.
- Chwilę później, gdy rozległa się muzyka, Maggie zniechęciła się.
- Och, Boże, pomyślała, to walc, który ona i Luke tańczyli na weselu. Piękna melodia przywołała te wyjątkowe chwile, które chciała zachować w pamięci na zawsze. Czy on pa-

mięta, że właśnie przy tej melodii tańczyli, czy też przypadkowo nastawił tę właśnie płytę?

Luke wrócił do kuchni.

- Poznajesz tego walca? Tańczyliśmy go na weselu. Zapytałem dyrygenta, co to za melodia, i kupiłem płytę, żebyśmy mogli jej słuchać, gdy do mnie przyjdiesz.

- Naprawdę? - Maggie poczuła, jak policzki jej zaczynają pałać. - Naprawdę tak zrobiłeś? Oczywiście, że pamiętam, ale pomyśleć, że zadałeś sobie tyle trudu... Nie wiem, co powiedzieć.

Wyciągnął do niej rękę.

- Zatańczymy?

Jak w transie wysunęła rękę na spotkanie dłoni Luke'a, a w następnej chwili już była w jego ramionach. Przytulił ją i w takt muzyki wyprowadził z kuchni do salonu, wypełnionego muzyką płynącą z głośników umieszczonych we wszystkich czterech kątach wielkiego pokoju.

Położyła głowę na ramieniu Luke'a, upajając się jego bliskością, jego zapachem, siłą. Złączeni w jedno, wirowali wokół pokoju.

Było to takie romantyczne, że w oczach zakreśliły jej się łzy, płonęła z pragnienia, nie mogła jasno myśleć.

Gdy walc się skończył, zatrzymali się przed wysokim oknem sięgającym od podłogi do sufitu, z którego rozpościerał się magiczny widok, istna powódź światła miasta. Z płyty rozległ się następny kawałek, ale oni się nie poruszyli, po prostu stali przytuleni. Potem Luke odwró-

cił się do Maggie, łagodnie uniósł jednym palcem jej brodę i pocałował ją.

Pocałunek był tak delikatny i czuły, tak idealny dla zakończenia tego pamiętnego walca, że po jej policzkach spłynęły dwie łzy. Luke pogłębił pocałunek, a ona cała mu się oddała, poruszona do głębi tą chwilą, muzyką i jego bliskością.

Potem powoli, bardzo wolno, położył ją na grubym dywanie, sam wyciągnął się obok niej, wsparł na łokciu i palcem zebrał jej łzy.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał. - Marzyłem, byś była tutaj, w moim domu, byśmy stanęli razem przy tych oknach, przed którymi rozpościera się świat, jakby należał tylko do nas. Ach, Maggie, ja... - Kocham cię całym sercem, duszą, całym sobą na zawsze, na wieczność, pomyślał żarliwie. - Ja... chciałbym się z tobą kochać. Tak bardzo bym tego chciał.

- Tak - szepnęła.

Płynęli gdzieś w przestrzeni, smakując, rozkoszując się, szepcząc swoje imiona. To była czysta ekstaza, wybuch uczuć, jakiego żadne z nich jeszcze nigdy nie doznało. Minęła wieczność, zanim wrócili na ziemię.

Luke zsunął się z Maggie i ułożył się z nią tak, by mogli patrzeć przez okno. Na długą chwilę wtulił twarz w jej pachnące włosy, a potem wsunął sobie jej głowę pod brodę.

Maggie wydała drżące westchnienie, zdusiła szloch, który wyrywał jej się z gardła.

Dobry Boże, pomyślała, kocham go. Jestem zakochana w Luke'u St. Johnie. Nie mogła temu zaprzeczyć, nigdzie nie mogła się ukryć przed tą prawdą, nie miała gdzie uciekać. Kocha go. Był wszystkim, spełniał jej najgorętsze fantazje o znalezieniu mężczyzny, który na zawsze ukradłby jej serce, gdyby rzeczy miały się inaczej. Gdyby nie była przeklęta. Kocha go, ale nie będzie go miała, i to było nieprawdopodobnie smutne.

Ale teraz? Teraz jest jej. Aż do ślubu Rose i Clyde'a. Będzie się radowała każdą sekundą, jaką z nim spędzi, ignorując tykanie zegara, aż do chwili, gdy wybije godzinę ich rozstania.

- To było... - odezwał się Luke i zamilkł. - Nie, nie mam słów.

- Ja też nie - odparła Maggie miękko - ale wiem, że... Luke, nigdy nie zapomnę tych chwil.

- Ani ja. - Roześmiał się. - Nasze lody pewnie się roztopiły.

- To ja się roztopiłam.

Czas przestał istnieć, a oni leżeli nasyceni, w przyjaznym milczeniu, aż wreszcie Maggie westchnęła.

- Chyba zaraz zasnę - powiedziała. - Lepiej wrócę do domu.

- Ach, Maggie, zostań. Proszę. Będziemy spać z głowami na tej samej poduszce, w moim łóżku, a rano zjemy razem śniadanie.

- No, nie wiem...

-Proszę.

Właściwie dlaczego nie? - pomyślała Maggie. Dlaczego sobie tego odmawiać? Była beznadziejnie zakochana w Luke'u. Szkoda już się stała, gdy to wszystko się skończy i tak będzie miała złamane serce. Dlaczego nie wykorzystać każdej sekundy, jaka jeszcze jej została?

- Tak - powiedziała. - Zostanę.

-Dziękuję. - Luke wstał i wyciągnął do niej rękę. - Chodź. Moje łóżko jest o wiele bardziej miękkie niż podłoga.

W sypialni Luke zapalił lampkę na nocnej szafce i odchylił kapę.

-Poczekaj! - zawołał. - Zapamiętaj, z której strony wchodzisz do łóżka, bo rano musisz wstać po tej samej stronie. Inaczej spotka cię pech.

- Znów zaczynasz! - Maggie przewróciła oczami. - To kolejny przesąd St. Johnów?

- No, cóż, przynajmniej nie koncentruję się na jednym, tak jak ty.

- Ale nasz pech jest poświadczony przez całe pokolenia.

- Może i masz rację. Jednak skoro ty zdołałaś w wielkim stopniu podważyć moją wiarę w przesady, wykazałaś, że jest miejsce dla wątpliwości, zastanów się, czy w twojej wierze w waszego rodzinnego pecha też nie znajdzie się jakiś słaby punkt.

- Nie - oświadczyła stanowczo. - Nie zamierzam nawet

brać pod uwagę, że tego pecha można przełamać. Widziałam, jak cierpią ci, którzy myśleli, że to jest możliwe.

- Już dobrze. - Luke na znak poddania podniósł rękę. - Zapomnij, że to mówiłem. Nie chciałem cię denerwować w tę tak cudowną noc. Madame? - zapraszającym gestem wskazał łóżko.

Maggie ułożyła się z westchnieniem zadowolenia.

- Och, jest boskie.

- Zgaszę światła w tamtych pokojach i wyrzucę lody. Zraz wracam.

- Dobrze - mruknęła, ziewając.

Luke roześmiał się i wyszedł. Gdy po chwili wrócił, Maggie spała jak suseł. Ostrożnie położył się obok niej i wsparł się na łokciu tak, by móc na nią patrzeć.

Jaka urocza, myślał. I nareszcie tutaj, z nim, tu, gdzie jest jej miejsce. Gdyby tylko miała na palcu złotą obrączkę, symbolizującą, że jest jego żoną, jego partnerką w życiu!

Ale on jest na dobrej drodze. Odnosi drobne zwycięstwa za każdym razem, gdy Maggie mu wykazuje, że jego przesady są bezsensowne i powinien się ich pozbyć. Zdecydowanie robi postępy.

Dwa tygodnie później Maggie i Luke stali w apartamencie dla nowożeńców na najwyższym piętrze jednego z ekskluzywnych hoteli Phoenix.

- Luke, to jest po prostu okropne! - wykrzyknęła Maggie ze śmiechem. - Łóżko w kształcie serca! Cały pokój w czer-

wieni, meble, nawet pościel. Lśniaca czerwona wanna. Co za kiczowaty wystrój!

- Och, nie wiem - uśmiechnął się Luke. - To chyba zależy od tego, czy lubi się czerwony kolor.

- Dyrektor mówił, że ten apartament ma wielkie powo-
dzenie. - Maggie pokręciła głową. - Przerazające.

- Owszem. Jest nawet gorszy niż ten, w którym widzie-
liśmy pluszowe kupidynki. Policzyłem je. Czterdziestu
dwóch pucołowatych facecików gotowych do wystrzelenia
strzał. Koszmarne!

- A więc ten apartament też skreślamy. - Maggie spoj-
rzała na zegarek. - Muszę pędzić. Umówiłam się z Janet
i Patty w sklepie dla młodych par na pierwszą przymiar-
kę ich sukienek.

- A ty oglądałaś już suknie ślubne?

- Nie. Jeszcze nie. Ale jestem pewna, że znajdę tam też
idealną suknię dla... dla Rose, bo mają wielki wybór. To
ten sam sklep, w którym Ginger kupiła swoją. Tyle że są
okropnie drodzy.

- Żaden problem. W ogóle nie zastanawiaj się nad kosz-
tami. Masz limit do nieba albo jeszcze wyższy. Kupuj
wszystko, co najlepsze.

- Dobrze. Chodźmy już stąd. Ta czerwień przyprawia
mnie o ból głowy.

- Na pewno nie możesz dziś do mnie przyjść? - spytał
Luke, gdy szli do drzwi.

- Nie, Luke. Dziś pójdę do mamy. Zjemy razem kola-

cję, pogadamy. Czuje się opuszczona i ma rację. Długo już u niej nie byłam.

- Będę za tobą tęsknił. Tak mi dobrze, gdy mogę zasypiać z tobą każdej nocy i widzieć cię rano, gdy się budzę. To takie przyjemne. Nawet bardziej niż przyjemne.

Maggie nacisnęła klamkę, a potem zawahała się i uśmiechnęła.

- Tak - powiedziała. - Zgadzam się z tobą. To bardzo przyjemne. - Roześmiała się. - A tak przy okazji. Pamiętasz ten przesąd, o którym mi powiedziałeś wieczorem? No więc dziś rano celowo najpierw włożyłam lewy but, a potem dopiero prawy, i nie spotkał mnie żaden pech.

Luke przycisnął ręce do drzwi, żeby Maggie nie mogła wyjść.

- A więc stajesz się ryzykantką?

- Wcale nie. Po prostu te wszystkie przesady są fałszywe. I ty też krok po kroku będziesz odzyskiwał poczucie wolności, gdy każdy z nich zostanie sprawdzony i skreślony z twojej listy. Nie przypuszczam, żebym z tego powodu cokolwiek ryzykowała.

- Ciekawe - powiedział, w zamyśleniu marszcząc czoło.
- Tak więc twierdzisz, że podstawą przesądów, guseł, wiary w pecha, jest długotrwała głupota?

- No, niezupełnie. Mówiłam tylko o przesadach. Istnieją pewne rodzaje pecha, co do których udowodniono ich prawdziwość.

- A może to nie pech, lecz tylko zła ocena sytuacji? Mia-

łem w college'u kolegę, który twierdził, że ma pecha przy kupowaniu używanych samochodów. Gdy tylko jakiś kupił, okazywało się, że to najgorszy wrak. Wreszcie zrezygnował i powiedział, że nigdy więcej już tego nie zrobi. Jeździł na rowerze, autobusami, taksówkami. Co za niewygodna!

- Ale mądrze postąpił.

- Jednak ja nie uwierzyłem w jego pecha. Namówiłem go, by spróbował jeszcze raz. Poszliśmy razem, obejrzał kilka aut i jedno z nich uznaliśmy za nadające się. Wzięliśmy je na próbną jazdę i pojechaliśmy do innego kumpla, który był mechanikiem samochodowym.

- A on powiedział, że to marny gruchot? - spytała Maggie.

- Wcale nie. Powiedział, że to świetny samochód, przejedzie jeszcze tysiąc kilometrów, więc mój kolega go kupił.

- Naprawdę?

- Tak. Gdy ostatnio widziałem tego kolegę, ciągle jeszcze jeździł tym samym samochodem. Powiedział mi, że ciarki go przechodzą na myśl o tym, jakie niewygodne miałyby życie, gdyby wtedy nie zaryzykował.

-Ale...

- Maggie, przemyśl to. - Luke wycisnął całusa na jej ustach. - No, idziemy, bo się spóźnisz na przymiarki.

- Na co? - spytała nieprzytomnie. - Och! Suknie dla druhen. Muszę pędzić.

Gdy się rozstali, Luke triumfalnie wyrzucił pięść w powietrze. Znow zdobył kilka punktów. Historia o koledze, który uważał, że ma pecha, była po prostu genialna, tym

bardziej że wymyślił ją w jednej chwili. Teraz Maggie będzie się nad tym zastanawiała. A widział, że bajeczka wywarła na niej wrażenie, bo przecież nawet zapomniała o umówionym spotkaniu.

Zmierza w dobrym kierunku. A od tego, czy Maggie porzuci swoją wiarę w pecha, zależy cała jego przyszłość. I jej przyszłość.

- Teraz tylko zafasteryguję dół - oznajmiła krawcowa.
- Podszyjemy go, gdy druhna przyjdzie na ostatnią przymiarę.

- Och, jak bym chciała być tą druhną - rozmarzyła się Janet. - Taka cudowna suknia. Uwielbiam ten odcień zieleni.

- Parry mówiła to samo - powiedziała Maggie. Siedziała w obitym aksamitem fotelu i popijała herbatę. - Twierdzi, że skazałam ją na prawdziwe tortury, bo każę jej mierzyć piękną suknię, która jednak nigdy nie będzie do niej należała.

- I ma rację - mruknęła Janet. - Jesteś okrutna.

- No, na dziś koniec - powiedziała krawcowa. - Pomogę pani zdjąć suknię.

- Nie, chcę w niej zostać! - wykrzyknęła Janet i roześmiała się. - Czy pozwolilibyście mi na to, gdybym dostała ataku nerwowego?

- Obawiam się, że nie - uśmiechnęła się krawcowa.

Ostrożnie przewiesiła suknię na ręce i wyszła z pokoju.

- Janet - odezwała się Maggie, gdy zostały same. - Czy mogę cię o coś spytać?

- Jasne.

- Czy gdy wychodziłaś za Rogera, wierzyłaś, że to ty będziesz tą, która raz na zawsze przełamie pecha Jenkinsów?

Janet usiadła obok Maggie.

- Chcesz poznać prawdę? No to ci powiem. Tak go kochałam, że byłam ślepa. Nie zwracałam uwagi na sygnały, które powinny mnie zaalarmować.

Maggie odstawiła filiżankę na filigranowy stolik i wyprostowała się.

- Naprawdę? Nie wiedziałam.

- Nikt nie wiedział. - Janet westchnęła. - Wierzyłam, że wpłynę na niego, że przy mnie się zmieni. Odwieczna głupota kobiet. A on lubił hazard, przez całe życie nie potrafił utrzymać się w tej samej pracy dłużej niż rok, mówił, że pieniądze są po to, by je wydawać, i nie ma co przejmować się przyszłością. Nawet gdy urodziły się dzieci, nic się nie zmieniło. To było tak, jakbym miała jeszcze jedno dziecko, którym musiałam się opiekować. Gdy się z nim rozwiodłam, właściwie nikt nie pytał mnie o powody. Rodzina po prostu uznała, że to pech Jenkinsów.

- A twój drugi mąż, Bill? - spytała Maggie. Serce mocno jej biło.

- O, to była prawdziwa klęska. Byłam sama, załamana, śmiertelnie się bałam tego, że zostałam sama z dziećmi i muszę żyć od wypłaty do wypłaty, i rzuciłam się na Billa.

Pół roku później obrzydł mi do cna przez te swoje zdrady. No i drugi rozwód Janet.

- Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś, że pech Jenkinsów nie miał nic wspólnego z twoimi rozwodami?

- Tak było łatwiej. Po co mówić wszystkim, że byłam taka głupia, popełniłam idiotyczne błędy i teraz za to płacę? Cała rodzina tak bardzo mi współczuła, bo zostałam kolejną ofiarą pecha, więc wolałam trzymać buzię na kłódkę.

- Czyli właściwie nie wierzysz w pecha Jenkinsów? - spytała Maggie, wstrzymując z napięcia oddech.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Czy to pech powoduje, że nikomu z nas nie wiedzie się w małżeństwie? A może to nie pech, tylko wszyscy przy wyborze partnera popełniamy błędy w ocenie? - Janet przyjrzała się uważnie siostrze.

- A dlaczego pytasz? Od lat nie rozmawialiśmy o pechu.

- Ja... pytam, bo... - płątała się Maggie. - O, właśnie. Z powodu mojej firmy. Chodzi o to, że cały czas mam do czynienia ze szczęśliwymi pannami młodymi i... Mama uważa, że nie powinnam była otwierać tego rodzaju interesu, bo to mi tylko ciągle przypomina o tym, czego ja nigdy w życiu nie będę miała. Ona naprawdę wierzy w naszego pecha. A prowadzenie mojej firmy powoduje, że myślę o tym więcej, niż gdybym jej nie miała.

- Maggie, nigdy nie umiałaś kłamać. Siostrzyczko, co się z tobą dzieje? No, mów.

Maggie gwałtownie wstała.

- Nie mam nic do opowiadania. - Spojrzała na zegarek.

- Och, jak późno. Muszę iść. Szczegóły, szczegóły - lista spraw do załatwienia przed ślubem ciągnie się w nieskończoność.

- Przed ślubem, jaki ty sobie wymarzyłaś - dodała Janet i też wstała.

- Opowiadałam ci, w jakiej sytuacji są Rose i Clyde. Ale tak, to będzie taki ślub, jaki ja bym miała, gdyby nie pech. A ty teraz mówisz, że może on wcale nie istnieje i... - Uderzyła się ręką w czoło. - Przez to wszystko głowa mi już pęka.

- Maggie, niezależnie od tego, co mówi mama, nie ma sposobu, by udowodnić, że pech jest prawdziwy.

- Ale wierzymy w niego od zawsze. Nie możemy udawać, że go nie ma. Przecież w całej historii rodziny nie było ani jednego szczęśliwego małżeństwa!

- Tyle że dla każdego rozwodu mogłoby istnieć jakieś wyjaśnienie, tak jak istnieje wyjaśnienie dla moich dwóch. A jeśli chodzi o mamę i tatę? Pech? Maggie, daj spokój. To był klasyczny przypadek faceta, który dostał bzika na punkcie seksownej sekretarki i myślał, że przy niej może odzyskać młodość. Więc rzucił żonę i troje dzieci i odszedł. To nie pech, to nawała hormonów.

-Ale...

- Nie wiem - powiedziała Janet, załamując we frustracji ręce. - Może któregoś dnia ktoś z Jenkinsów pozostanie w szczęśliwym związku małżeńskim przez pięćdziesiąt lat i pech zniknie. Prawdziwa miłość ma wielką moc. Może

tym pierwszym Jenkinsem będzie któreś z moich dzieci?
A może to będziesz ty?

- Ja? - Głos Maggie zabrzmiał jakoś dziwnie piskliwie. -
Na pewno nie. Nie jestem wystarczająco odważna, by testować na sobie naszego pecha. Wolę nie ryzykować. Nie chcę mieć złamanego serca. Nie. Ja na pewno nie.

- A jeżeli się zakochasz?

Już się zakochałam, pomyślała. Ale muszę się pogodzić z tym, że mój czas z Lukiem St. Johnem potrwa tylko do ślubu jego kuzyna.

- Lepiej zmieńmy temat - powiedziała. - Chcesz usłyszeć coś śmiesznego? Istnieje taki przesąd, że gdy zobaczysz karetkę pogotowia, musisz zacisnąć palcami nos i tak trzymać, dopóki nie zobaczysz czarnego psa, bo inaczej spotka cię coś złego.

Janet roześmiała się.

- To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam.

- Wiem. A posłuchaj tego. Złota rybka w basenie w ogródku przynosi szczęście, ale ta sama złota rybka trzymana w akwarium w domu sprowadza nieszczęście.

- Skąd bierzesz takie bzdury?

- A jeżeli swędzą cię podeszwy, czeka cię podróż - kontynuowała Maggie.

- Mnie zaraz czeka podróż do domu - stwierdziła Janet - zanim wylejesz na mnie jeszcze więcej tych bzdur. - Przesady są takie głupie.

- A wiara w pecha? - spytała Maggie, nagle poważniejąc.

- Czy wiara w pecha Jenkinsów jest tak samo bezsensowna jak te przesady, o których ci opowiedziałam?

Janet westchnęła.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Ktoś w naszej rodzinie musi się zakochać, wysłuchać, co mówi jego serce i... do licha! Patrz, jak już późno. Muszę pędzić po dzieci. - Uści-
skała Maggie. - Dziękuję, że pozwoliłaś mi zagrać Kop-
ciuszką w tej pięknej sukni. Pa.

- Pa - odpowiedziała Maggie i z powrotem opadła na fotel.

Mam w głowie całkowity mętlik, pomyślała.

Tak, zakochała się w Luke'u. Ale nie może, po prostu nie może zaryzykować tylko po to, by odkryć, że jednak ta klątwa wisząca nad rodziną jest prawdziwa. Z drugiej strony Janet twierdzi, że jej dwa nieudane małżeństwa nie mają nic wspólnego z pechem. Tyle że...

- Proszę pani - odezwała się od progu krawcowa.

- Słucham. - Maggie ucieszyła się, że przerwano jej tę gonitwę myśli.

- Czas ucieka i nawet się nie obejrzymy, a nadejdzie dzień ślubu. Czy pani chce dziś obejrzeć nasze piękne suknie dla panien młodych?

- Nie, nie dzisiaj. - Maggie poczuła w sercu ból. - Jestem wykończona.

- Rozumiem - odparła krawcowa. - Ale zajmie się pani tym wkrótce, prawda?

- Tak - odparła Maggie cicho.

Będę miała swoje pięć minut, tak jak Kopciuszek, a potem zdejmę suknię i zacznę odliczać dni do chwili, kiedy będę musiała pożegnać się z Lukiem i znów być zwykłą Maggie Jenkins. Samotną Maggie Jenkins.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W następnych tygodniach Maggie czuła się tak, jakby w jej ciele przebywały dwie zupełnie różne osoby.

Jedna była beztroska, szczęśliwa i bardzo zakochana w Luke'u, ciesząca się każdą chwilą, jaką spędzali razem. A tych chwil było wiele. Często szli do restauracji na kolację i potem do kina, innym razem brali kosz z lunchem i urządzali sobie pikniki, pływali łódką w parku Encanto, spacerowali po deptakach i robili zakupy, uczęszczali na interesujące wykłady w Uniwersytecie Stanowym Arizony. Razem gotowali - co prowadziło do radosnych katastrof - i ustalali szczegóły ślubu i wesela Rose i Clyde'a.

Drugą Maggie za każdym razem, gdy patrzyła na kalendarz i widziała, jak czas ucieka, porażała rozpacz.

Uczcili specjalną kolacją dzień, w którym wreszcie wybrali apartament dla nowożeńców, w tym samym hotelu, w którym miało się odbyć weselne przyjęcie. Apartament był urządony w dobrym guście, rozciągał się z niego wspaniały widok na światła miasta, obok sypialni znajdowało się jacuzzi, a w salonie kominek.

Rose i Clyde'owi na pewno się spodoba, ale serce Mag-

gie aż drżało z bólu, że to nie świeżo poślubieni państwo St. John przyjdą tu po weselu.

Jej życie, pomyślała kiedyś, nadaje całkiem nowe znaczenie staremu powiedzeniu o śmiechu przez łzy.

Na automatycznej sekretarce Maggie prawie codziennie pojawiała się wiadomość od krawcowej, przynagląca do wyboru sukni dla panny młodej. A Maggie wymyślała coraz to inną wymówkę, żeby tylko nie iść do sklepu, bo bała się, że przepłacze cały ten czas. Potrafiła zalać się łzami na samą myśl o wyborze sukni i przymierzaniu jej. Bo przecież to nie ona pójdzie w niej do ślubu.

Ginger i Robert wrócili z podróży poślubnej i wybrali się we czworo na kolację. Widząc, jak jaśniejają szczęściem, Maggie musiała przyznać sama przed sobą, że zżera ją zazdrość.

Gdy październik dobiegał końca i wystawy sklepowe były pełne strojów na Halloween, Maggie po raz kolejny przypomniała Luke'owi, że już najwyższa pora zamówić zaproszenia na ślub, jeśli chce, by zostały wydrukowane na czas.

- Luke - powiedziała któregoś wieczoru, gdy oglądali film na wideo w jej malutkiej bawialni - kiedy wreszcie uzgodnisz z nimi tekst, jaki ma figurować na zaproszeniach?

- Zadzwoń do nich - obiecał, nie odrywając oczu od ekranu.

- Kiedy? - nalegała. Nie miała prawa go popędzać, bo sama jeszcze nie wybrała ślubnej sukni. Ale, oczywiście, Luke o tym nie wiedział. - Musimy wysłać zaproszenia w takim

terminie, by ludzie mogli odpowiedzieć, czy przyjdą. Bez tego nie zdołam ustalić, ile jedzenia i napojów przygotować na przyjęcie. - Popatrzyła na niego. - Luke, czy ty w ogóle mnie słyszysz?

- Co? - Popatrzył na nią, potem z powrotem na ekran.
- Jasne, słyszę cię. Zajmę się tym. Zadzwonię do nich jutro. .. albo pojutrze.

- Obiecujesz?

- Maggie, popatrz tylko na ten samochód Jamesa Bonda. Ma największe koła, jakie w życiu widziałem. Wszystko jedno, ile razy oglądam te filmy, zawsze dostaję bzika na punkcie jego samochodów. One to mają zryw!

- Mhm - mruknęła Maggie.

- Gdyby w Detroit kiedyś zaczęto je produkować, byłbym pierwszy w kolejce do kupna.

- Luke - powiedziała Maggie spokojnie. - Zaczynam mieć wątpliwości co do pecha Jenkinsów.

- Tak? To dobrze. Zamówiłbym sobie czerwony, z chromowymi okuciami tak lśniącymi, że... - Luke nagle zamilkł, zastygł bez ruchu, a potem gwałtownie odwrócił głowę od ekranu i spojrzał na Maggie. - Co ty powiedziałaś?

- Nic... - Machnęła ręką. - Nie zamierzałam mówić na głos. Po prostu mam taką gonitwę myśli, że mi się wymknęło.

Luke chwycił Maggie za ramiona.

- Powtórz to! Proszę, powiedz to jeszcze raz. Masz wątpliwości co do waszego pecha? Nie masz pojęcia, jak bardzo chcę to usłyszeć!

- Kiedy sama już nie wiem, co myśleć - powiedziała. -
Gdy próbuję zastanawiać się nad tym, czuję się jak chomik
w kołowrotku i nie dochodzę do żadnych wniosków.

- Mów dalej - poprosił.

- Mama opowiedziała nam o pechu po tym, jak ojciec
nas opuścił - mówiła Maggie, a głos lekko jej drżał. - Wy-
rastałam, wierząc w niego, zwłaszcza po tym, jak zapozna-
liśmy się z historią rodziny. Ale ostatnio rozmawiałam z Ja-
net o obu jej małżeństwach i po raz pierwszy powiedziała
mi, że nie jest całkowicie przekonana, czy naprawdę roz-
padły się z powodu pecha. Zaczyna się zastanawiać, czy
przypadkiem nasze rodzinne klęski małżeńskie nie są spo-
wodowane złą oceną kandydatów na współmałżonka. Och,
może to właśnie z powodu pecha niewłaściwie ich ocenia-
my. Ale Janet czuje, że można udowodnić, że nie ma czegoś
takiego jak pech Jenkinsów, jeżeli któreś z nas zakocha się
prawdziwie, szczerze i na zawsze, i będzie żyło w szczęśli-
wym małżeństwie do końca swoich dni.

- Tak! Ma rację! Słusznie myśli. Wspaniale! - słowa wy-
pływały strumieniem z ust Luke'a. - Masz bardzo mądrą
siostrę.

- Ona ma taką nadzieję, że może jedno z jej dzieci udo-
wodni, że nie ma czegoś takiego jak pech Jenkinsów, albo
że to mogłoby chodzić....

- Mogłoby chodzić? - przynaglił ją.

- O mnie - szepnęła.

- Maggie, tak, to na pewno chodzi o ciebie! - wykrzyk-

nał Luke radośnie. - Maggie, tak cię kocham. Jestem całkowicie, absolutnie i na zawsze zakochany w tobie. Chcę się z tobą ożenić, mieć z tobą dzieci, budzić się rano i widzieć cię obok siebie. Ciebie. Moją żonę.

- Och... - wyszeptała Maggie i załkała.

- Maggie, kochasz mnie? Powiedz.

- Tak. Tak, Luke, kocham cię, bardzo cię kocham. Nie chciałam się w tobie zakochać, nie zamierzałam, ale tak się stało. Ciagle jeszcze niepokoi mnie sprawa z tym naszym pechem, bo wtłoczono mi to do głowy, gdy byłam małą dziewczynką. I teraz w jednej chwili myślę, że już w niego nie wierzę, a w następnej boję się i... Mam straszny mętlik w głowie. Ale wiesz, co mi dodaje odwagi? Co jest dla mnie liną ratunkową? Ty. Ty i twoje przesady. Jak mówisz, twoja rodzina wierzyła w nie od zawsze, a mimo to ty tak bardzo chcesz się od nich uwolnić, więc ryzykujesz, że może ci się stać coś złego, bo włożyłeś w nieodpowiedniej kolejności buty albo zapomniałeś zabrać ze sobą kasztan, czy też... Jesteś taki odważny, taki silny, tak bardzo pragniesz iść do przodu i odrzucić wszystkie te absurdalne przesady i...

Luke nagle pobladł. Ręce, którymi do tej pory trzymał Maggie za ramiona, bezsilnie opadły.

- Jeżeli ty możesz się zdobyć na taką odwagę - zakończyła Maggie, a po jej policzku spłynęła łza - ja też będę odważna, nie będę się ukrywała za swoimi lękami, za moją wiarą w pecha Jenkinsów.

- Maggie. Posłuchaj - powiedział Luke drżącym głosem.

- Muszę ci coś wyznać. Ale gdy to usłyszysz, pamiętaj, że się kochamy. Naprawdę się kochamy. Mamy przed sobą cudowną przyszłość, która zacznie się, gdy tylko zostaniemy małżeństwem. Będiesz o tym pamiętała?

- Tak, będę. Luke, co się dzieje? Stałeś się nagle taki... Co chcesz mi powiedzieć?

Luke wstał, obszedł pokój, potem znów usiadł i wziął ją za rękę.

- Maggie, moja ukochana Maggie - zaczął, patrząc jej w oczy - ja nigdy,.. nigdy nie wierzyłem w te przesady.

- Słucham?

- O większości z nich nawet nigdy nie słyszałem. Moja sekretarka znalazła je w Internecie.

- O czym ty mówisz? Nie rozumiem.

- Byłem zrozpaczony! - wykrzyknął, potrząsając jej rękami. - Nie wiedziałem, jak dotrzeć do ciebie, jak zburzyć ten mur, którym się otoczyłaś w obronie przed pechem Jenkinsów. Myślałem, że jeżeli bez przerwy będziesz widziała, jak odrzucam przesady, w które rzekomo wierzyłem przez całe życie, pomyślisz, że mogłabyś tak samo odrzucić wiarę w swojego pecha.

- Nie wierzyłeś, że hodowanie złotej rybki w domu przynosi nieszczęście?

- Maggie, w dzieciństwie miałem koło łóżka całe akwarium złotych rybek.

- Ty... ty kłamałeś? O tych wszystkich przesadach? Przez cały ten czas karmiłeś mnie kłamstwami?

- To niezupełnie były kłamstwa. To był mistrzowski plan, jaki sobie wymyśliłem, żeby zdobyć twoją miłość, odesłać w zapomnienie pecha Jenkinsów, żebyśmy mogli na zawsze być razem. Ojciec mi pomógł. Wiesz, tego wieczoru w pizzerii, gdy mówił o kasztanie, i...

- Nie wierzę - sapnęła. - I co jeszcze mi powiesz? O czym jeszcze kłamałeś?

- Wolałbym, żebyś nie używała tego słowa - skrzywił się Luke. - To był plan. Plan. - Wziął głęboki oddech, a potem powoli wypuścił powietrze. - O ślubie - powiedział.

- Jakim ślubie?

- Rose i Clyde'a.

- Co z nim?

- Nie ma... nie ma Rose i Clyde'a. Ja ich wymyśliłem. Musiałem znaleźć jakiś sposób, żeby być z tobą po tym, jak na ślubie Ginger i Roberta w jednej chwili skradłaś mi serce. Więc stworzyłem plan. Miałaś zaplanować ślub swoich marzeń, a ja chciałem na każdym kroku towarzyszyć ci przy jego organizowaniu. Miałem nadzieję, że zakochasz się we mnie tak, jak ja w tobie, i wszystko byłoby gotowe na taki ślub, o jakim zawsze marzyłaś.

- To dlatego zwlekałeś z zaproszeniami na ślub Rose i Clyde'a. - Maggie z trudem mogła wydobyć z siebie głos. - Nie mogłeś ich spytać o tekst, bo oni nie istnieją. I... i... nie wybieraliśmy apartamentów na ich miesiąc poślubny. Wybieraliśmy je dla.

- Dla nas. Chciałem, żeby nasz ślub był idealny, dokład-

nie taki, jakiego pragnęłaś dla siebie. I byłby taki, bo to ty dopilnowałabyś wszystkich szczegółów zgodnie ze swoją wolą. Zrobiłem to dla nas. Dla ciebie. - Luke nerwowo przeczesał ręką włosy. - Maggie, proszę, powiedz, że rozumiesz, że zrobiłem to wszystko z miłości do ciebie.

- Przede wszystkim zrozumiałam jedno - powiedziała, wstając i ciasno obejmując się ramionami. - Zrozumiałam, że jesteś kłamcą. Podłym kłamcą. Oszukałeś mnie. Och, jak musiałeś się śmiać, zdając ojcu sprawozdanie z wielkich postępów we wprowadzaniu w życie twojego wspańskiego planu.

- Nie, to nie było tak! - zawołał. - Osiągnąłem cel, bo zaczynasz mieć wątpliwości co do tego, że twoją rodzinę prześladowuje pech...

- Nie. Nie mam żadnych wątpliwości - przerwała mu.

Uniosła buntowniczo brodę, nie zwracając uwagi na dwie łzy, które spłynęły jej po policzkach.

- Słucham? - wyszeptał Luke, zrywając się na nogi.

- Nie mam żadnych wątpliwości co do pecha Jenkinsów - powtórzyła dobitnie. - Jak mogę je mieć, skoro stałam się jego najnowszą ofiarą? - Głos Maggie drżał. - Zakochałam się w nieuczciwym mężczyźnie, kłamcy, intrygancie, graczu, w cholernym planiście!

- Nie! Zakochałaś się w mężczyźnie, który tak bardzo cię kocha, że zrobiłby wszystko, byle tylko zdobyć twoją wzajemność. Kłamstwa? Nie, to nie były kłamstwa. No dobrze, w pewnym sensie, ale...

-Zabieraj się stąd - powiedziała Maggie, zaciskając ręce na ramionach. - Zabieraj się z mojego domu i mojego życia.

- Maggie, nie! Nie rób nam tego. Nie każ mi odejść. Kochamy się, mogłoby nas czekać cudowne życie. Przesady nie są prawdziwe, nie istnieją. Jesteś wolna i możesz kochać... mnie.

Luke wziął drżący oddech i wyciągnął rękę do Maggie.

- Proszę - błagał. - Wyjdź za mnie. Proszę cię.

Maggie nie miała już siły ustać na nogach. Osunęła się na kanapę, w gardle narastał jej szloch.

To się nie dzieje, mówiła sobie gorączkowo. Och, proszę, to nie może się dziać. Luke zabawiał się w jakieś gierki z nią, z jej uczuciami. Nie ma Rose i Clyde'a? Jak ludzie tak realni mogą nie istnieć? I wszystkie te głupie przesady stanowiły tylko element wstrętnego, podłego planu?

Jak Luke mógł jej to zrobić? Kłamał dzień po dniu, noc po nocy, kłamał, gdy się kochali? Nie jest taki, jak jej się wydawało. Jest kłamcą i oszustem.

- Maggie?

- Zostaw mnie samą - wycodziła i zakryła twarz rękami.

Luke skulił się jak człowiek ugodzony w samo serce. Przegrał tę wojnę. Walczył dzielnie, wygrał kilka potyczek, ale ostatecznego zwycięstwa nie osiągnął. Maggie każe mu odejść.

Znów ukryła się za murem, kurczowo trzymając się wiary w rodzinnego pecha. To koniec. Nie pozostało mu już

nic do zrobienia. Jedyna kobieta, jaką w życiu kochaś nie będzie do niego należała. Teraz już rozumiał, czym jest złamane serce. To najgorszy ból, najstraszliwsza strata, jakiej można doznać.

- Przepraszam - powiedział. - Za nic nie chciałem, żebyś przeze mnie płakała. Nie chciałem cię zranić. Zrobiłem to wszystko z miłości do ciebie, żebyśmy mogli na zawsze być razem. Zrobiłem wszystko źle i tak mi cholernie przykro.
- Ciężko przełknął ślinę. - Żegnaj, Maggie.

Odwrócił się i powoli wyszedł z pokoju. Maggie słyszała, jak schodzi po schodach, a potem cicho zamyka za sobą frontowe drzwi.

Oderwała ręce od twarzy, zacisnęła je na kolanach i dopiero wtedy pozwoliła sobie na płacz. Kołysała się w przód i w tył, łzy płynęły niepowstrzymanym strumieniem, a szloch odbijał się echem od ścian pokoju.

Wreszcie zasnęła, śniły jej się kasztany, złote rybki i róże. Róże, które wędły, a ich płatki opadały i znikwały w zapomnieniu, aż już nic nie zostało.

Nic.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Po trzech dniach płaczu Maggie miała dość własnego ponurego towarzystwa. W sobotę po południu zadzwoniła do Patty i zaprosiła ją do siebie. Patty przyszła godzinę później, zobaczyła blade policzki i zaczerwienione oczy przyjaciółki i spytała, co się właściwie dzieje.

- Powiedz mi wszystko - zażądała, siadając na kanapie.

I Maggie jej opowiedziała. Krztusząc się łzami, mówiła o oszustwie Luke'a, o jego diabolicznym planie, o niekończącym się łańcuchu kłamstw, jakimi ją raczył.

- Kocham go - szlochała - a on się mną bawił.

Patty słuchała jej z zapartym tchem.

- Wiem, że muszę odwołać wszystko, co już przygotowałam na ślub Rose i Clyde'a - załkała Maggie na koniec.
- Ale za każdym razem, gdy biorę do ręki słuchawkę, wybucham płaczem. Och, Patty, jestem zdruzgotana. Nigdy się nie pozbieram. Tak mi smutno.

- Nie dziwię się - powiedziała Patty. - Ach, to wszystko jest... Posłuchaj, Maggie. Na pewno nie spodoba ci się to, co powiem, ale moim zdaniem ta intryga, plan, czy jak

to nazwać, wymyślone przez Luke'a, to najbardziej romantyczna sprawa, o jakiej w życiu słyszałam.

- Co takiego? - Maggie zerwała się na równe nogi.

- Siadaj - nakazała Patty, wskazując ręką kanapę.

Maggie usiadła.

- Patty, jak ty w ogóle możesz tak mówić? Romantyczna?

Ha! W kłamstwie nie ma nic romantycznego. A on kłamał i kłamał jak najęty. Luke absolutnie nie jest przesądny, ale sprawił, że... Romantyczna? Chyba oszalałaś!

- Uspokój się. Przyjrzyjmy się całej sprawie po kolei. Ty i Luke spodobaliście się sobie od pierwszej chwili.

-Tak, ale...

- Gdyby na weselu Ginger i Roberta zaproponował ci, byście się spotykali, sprawdzili, jak daleko to wzajemne przyciąganie może was doprowadzić, odmówiłabyś. Tak by było?

- Tak, oczywiście - odparła Maggie. - Między nami zdarzyło się coś bardzo poważnego. Ale nie zaryzykowałabym widywania się z nim. Przecież gdybym się zakochała, skończyłoby się to złamanym sercem, tak jak u wszystkich w naszej rodzinie. W żadnym wypadku bym do tego nie dopuściła.

- A Luke - kontynuowała Patty - jest mądry. Uświadomił sobie, że po to, by móc się z tobą widywać, musi podejść do sprawy w jakiś niekonwencjonalny sposób. Bo, Maggie, on tego pragnął całym sercem. Pomyśl o czasie i energii, jakie musiał poświęcić, tworząc ten swój plan, wprowadzając go w życie i dbając, by działał.

- Owszem, jego kłamstwa utrzymywały plan przy życiu
- parsknęła Maggie, piorunując Parry wzrokiem.

- Pomyśl jeszcze o jednej rzeczy. Taki mężczyzna jak Luke nie
i ma tyle kobiet, ile zechce. Ale on chciał ciebie, Maggie,
i bardzo ciężko pracował, żeby cię zdobyć. To, moja droga
przyjaciółko, jest niewyobrażalnie romantyczne.

-Ale...

- Och, Maggie, kochanie, ten człowiek jest tak w tobie
zakochany, że na samą myśl serce mi topnieje. A ty nie zo-
stawiłaś mu żadnego wyboru. Musiał zastosować jakiś pod-
stęp, zrobić wszystko, co tylko się dało i co przyszło mu
do głowy, żeby być przy tobie. I udało mu się, bo ty też się
w nim zakochałaś. A co ty zrobiłaś? Nawymyślałaś mu od-
łajdaków i kazałaś się wynosić. Powinnaś iść sobie zbadać
głowę.

- Jak możesz tak mówić? Po czyjej jesteś stronie? - wy-
buchnęła Maggie. - Myślałam, że jesteś moją najlepszą
przyjaciółką. Moją, rozumiesz, a nie Luke'a! Ja ci opowia-
dam o tym, jak mnie okłamywał, i...

-I o miłości - szepnęła Parry w rozmarzeniu. - O ro-
mantycznej miłości, miłości na zawsze. O miłości, która
prowadzi do ślubu. O miłości w jej najczystszej, najpięk-
niejszej postaci, i...

- Stajesz się cikliwa - mruknęła Maggie. - Robi mi się od
tego niedobrze.

- A ty jak byś to nazwała? Maggie, przemyśl to. Napraw-

dę przemyśl sobie wszystko, co Luke zrobił, żeby zdobyć twoje serce. To po prostu nie mieści mi się w głowie. Do licha, człowiek był tak zdesperowany, że nawet poprosił ojca o pomoc.

Maggie zmarszczyła czoło i wpatrzyła się w przestrzeń.

- Może masz rację - zaczęła po chwili. - On rzeczywiście spędził mnóstwo czasu, szukając ze mną idealnego apartamentu dla nowożeńców, chociaż jest zapracowany. I zapamiętał te wszystkie przesady, żeby móc mi je przytaczać przy każdej okazji. I cały czas mówił, żebym zaplanowała ślub Rose i Clyde'a tak, jakbym go wymarzyła dla siebie, bo...

- Bo miał nadzieję, i modlił się o to, by to był naprawdę twój ślub z nim - dokończyła Parry. - Nareszcie zaczynasz rozumieć. I musisz przyznać, że cała ta sprawa jest niesamowicie romantyczna.

Maggie przycisnęła ręce do twarzy.

- Mój Boże, co ja najlepszego zrobiłam! Widziałam tylko, że kłamał, grał jakąś rolę, żeby zrealizować swój plan. I natychmiast uwierzyłam, że padłam ofiarą pecha, bo zakochałam się w niewłaściwym mężczyźnie. Widziałam tylko to, co zrobił, a nie dlaczego to zrobił. I kazałam mu się wynosić. Och, Patty. Kocham Luke a tak bardzo i on tak mnie kocha, a straciłam go, bo nie umiałam przezwyciężyć strachu. Byłam dla niego taka okropna, taka podła. Wszystko przepadło. Koniec, stało się. I to tylko moja wina. Jestem taka głupia!

- Tak - przytaknęła Patty. - Masz rację.
- Bardzo ci dziękuję.
- I co? Teraz będziesz tu siedziała i do końca życia wylewała wiadra łez?
- Tak.
- Doskonale. - Patty wstała. - Ale jedna rzecz jest całkiem jasna.
- Co?
- Nie kochasz Luke'a tak bardzo, jak on ciebie.
- Jak możesz tak mówić? - parsknęła Maggie z furją.
- Zwyczajnie. - Patty wzruszyła ramionami. - Zresztą co innego mogłabym pomyśleć? Luke stawał na głowie, żeby zdobyć twoje serce. Wymyślił plan. A ty? Ty tylko załamujesz ręce i uzalasz się nad sobą. On walczył o ciebie. Natomiast ty od razu zrezygnowałaś i zamierzasz iść przez życie z opuszczoną głową i oczami czerwonymi od płaczu. A więc nie. Nie kochasz go tak bardzo, jak on kocha ciebie.
- Kocham go. Kocham go całym sercem! Myślisz, że ja też mogłabym stworzyć jakiś plan, żeby go odzyskać, żeby mi wybaczył? No więc patrz! Zabieram się do dzieła!
- Nareszcie. - Patty z powrotem usiadła. - Czas na burzę mózgow. Stawką jest twoje przyszłe szczęście i szczęście Luke'a. Myśl. Stwórz... plan.
- Niech diabli porwą plan! - wykrzyknął Luke. - Przez niego straciłem ukochaną kobietę! A myślałem, że jest taki wspaniały, taki genialny.

- Próbowałem cię ostrzec, że kobiety są naprawdę drażliwe na punkcie oszustwa, synu - powiedział George St. John ze smutkiem.

Jedli lunch w klubie George'a. Luke jak rzadko kiedy nie miał apetytu.

- Tak, ostrzegałeś mnie - przyznał posepnie. - Ale czy ja cię posłuchałem? Nie. Rzuciłem się na łeb, na szyję w realizację mojego planu i teraz za to płacę. Na samą myśl, że już nigdy nie zobaczę Maggie, nie będę miał z nią wspólnej przyszłości, nie zostanie moją żoną i matką moich dzieci, wszystkiego mi się odechciewa... Och, tato, to prawdziwe piekło.

- Rzeczywiście - przyznał George. - Zamówimy jakiś deser?

- Nie, dziękuję. Nie jestem głodny. Nie mogę spać, i starzeję się w oczach. Jestem ruiną człowieka.

- Luke, przyjąłbyś radę od swojego staruszka?

- A czy w ogóle po tym nieszczęściu, do którego, zresztą sam doprowadziłem, znajdziesz dla mnie jakąś dobrą radę?

- Tak. Uważam, że powinieneś dać Maggie trochę czasu. Zostaw jej wolną przestrzeń i czas, żeby wszystko przemyślała. Luke, jeśli chodzi o mądrość, kobiety, niech Bóg je błogosławi, biją mężczyzn na głowę. Ich rozumowanie sięga głębiej, jest bardziej szczegółowe i emocjonalne. Pozwól jej zastanowić się nad tym, co się wydarzyło, co zrobiłeś i dlaczego to zrobiłeś. Bądź cierpliwy i czekaj.

- Jak długo? - spytał Luke z rozpaczą. - Aż Maggie od-

wiedzi mnie w domu dla starców i powie, że nadal uważa mnie za człowieka godnego pogardy?

- Zabawny pomysł - roześmiał się George.

- Nie ma w tym nic zabawnego. Przecież ja straciłem kobietę, którą kocham!

- Tak mogłoby się wydawać. Ale jeszcze nie jestem tego pewny. Czas, Luke. Przestrzeń. Cierpliwość. To twój nowy plan.

- Słowo „plan” powinno zostać wykreślone z języka - parsknął Luke z niesmakiem.

- No więc taka jest właśnie moja rada, synu. Och, i zrób mi przysługę. Mieliliśmy popracować nad tą sprawą, o której mówiliśmy, ale nie wracaj dziś po południu do kancelarii. Chyba nie zniosę dłużej twojego radosnego nastroju. Idź na spacer, do kina, upij się, rób, co chcesz, ale oszczędź mi twojej obecności.

- Bardzo ci dziękuję - obruszył się Luke.

Następny tydzień włókł się Luke'owi w nieskończoność.

Wczesnym popołudniem w piątek siedział w swoim gabinecie i gapił się w przestrzeń. Zresztą głównie na tym właśnie w ostatnich dniach upływał mu czas.

Pomyślał, że sam powinien się wyrzucić z pracy za brak wydajności. Nie potrafił skoncentrować uwagi na niczym prócz Maggie i tej okropnej finałowej sceny w jej bawialni. Czas? Przestrzeń? Cierpliwość? Jak na razie przez to wszystko dostawał już szału. Maggie nie odezwała się do niego ani razu i bardzo się obawiał, że tak już zostanie.

Nagle zabrzączał dzwonek interkomu. Patrzył na niego długą chwilę, zastanawiając się, czy odebrać. Interkom znów zadzwonił. Luke z westchnieniem przycisnął klawisz.

- Tak, Betty?

- Luke, dzwoni kobieta, która przedstawiła się jako Patty. Mówi, że jest najlepszą przyjaciółką Maggie Jenkins i ma do ciebie bardzo ważną sprawę.

- Odbiorę! - krzyknął Luke i z walącym sercem podniósł słuchawkę. - Patty? Cześć. Tu Luke. Dlaczego dzwonisz? Coś się stało Maggie? Jest chora? Mów!

- Powiedziała bym, gdybyś mnie dopuścił do głosu - roześmiała się Parry.

- Och, tak, jasne. Przepraszam.

- Tak ogólnie, nic złego się z nią nie dzieje - kontynuowała Patty - prócz tego, że jest okropnie poruszona. Nie-szczęśliwa. Smutna. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Tak, rozumiem. W ostatnich czasach smutku jest więcej, niż można znieść.

- Ale nie dlatego dzwonię. Jestem teraz w sklepie dla młodych panien. Myśmy tutaj z Janet przymierzały sukienki jako rzekome druhny. Pomagam Maggie odwołać wszystkie przygotowania, które robiła dla Rose i Clyde'a.

- I?

- No więc, właścicielka sklepu mówi, że za te dwie sukienki dla druchen trzeba zapłacić dziś i zamówienia nie

można już odwołać, bo sukienki są gotowe na ostatnią przymiarę. Ja nie mam pieniędzy i wiem, że Maggie też nie ma. Nie powiedziałam jej, że do ciebie dzwonię, bo nie chcę jej jeszcze bardziej denerwować. Czy mógłbyś tu wpaść i załatwić te rachunki?

- Oczywiście. Przynajmniej tyle mogę zrobić. Podaj mi adres. - Przerwał na chwilę. - Patty, kocham Maggie. Naprawdę ją kocham. Myślisz, że istnieje jakaś nadzieja, że ona mi przebaczy?

- Ach, Luke, nie wiem, co ci powiedzieć. Nigdy jej jeszcze nie widziałam w takim stanie. Jest taka zrozpaczona, że gdy patrzę na nią, serce mi się kraje.

- Och - westchnął. - To źle. Po prostu fatalnie. Wygląda na to, że upływ czasu nie zadziałał.

- Słucham?

- Nie, nic takiego - powiedział i jeszcze raz głęboko westchnął. - Podaj mi adres tego sklepu i powiedz właścicielce, że już jadę.

- Bardzo ci dziękuję.

- Załatwię też rachunki z pozostałymi dostawcami. Tak bym chciał, żeby to wszystko potoczyło się inaczej. Chciałbym... Nieważne. To wszystko moja wina. Zadzwoń do mnie, gdyby pojawiły się jeszcze jakieś kłopoty.

- Dobrze. Jasne. Ale nie wszystko można odwołać. Pewnie skończy się na tym, że sami zjemy te piękne różyczki z białej czekolady, które miały leżeć w małych koszykach przy każdym nakryciu.

- Róże i marzenia - powiedział cicho Luke.
- Tak. No, to na razie.
- Na razie, Party.

Miedziany dzwonek nad drzwiami obwieścił wejście Luke'a do salonu dla młodych par. Gdzieś z oddali jakaś kobieta zawołała, że zaraz przyjdzie. Luke, z rękami w kieszeniach, obszedł bogato urządzone pokój. Potem zatrzymał się pośrodku i zmarszczył brwi.

To jest sklep dla ludzi z najlepszego towarzystwa, pomyślał. Przez swój cholerny plan zmusił Maggie, by tu przychodziła, wybierała suknie na wymarzony ślub, wierząc, że wybiera je na ceremonię dla Rose i Clyde'a.

To samo dotyczyło apartamentu dla nowożeńców, menu na przyjęcie, każdego najmniejszego szczegółu, jak na przykład białe czekoladowe różyczki w maleńkich koszykach. I Maggie musiała się tym wszystkim zająć.

Jego plan nie był genialny. Był okrutny.

On, Luke St. John, jest podłym nędznikiem i nie zasługuje na przebaczenie.

Tak, niezaprzeczalnie jest godny pogardy. Nie ma żadnej szansy, by jego ukochana Maggie przebaczyła mu to, przez co musiała przejść.

- Przepraszam, że musiał pan czekać. - Do pokoju weszła ładna kobieta koło czterdziestki. - Jestem Selina Simone, właścicielka salonu. A pan?

- Luke St. John.

- Ach, tak. Patty mówiła, że pan przyjdzie. Mam nadzieję, że pan rozumie, dlaczego muszę prosić o zapłatę za sukienki, które Maggie zamówiła.

- Oczywiście. Zaraz wypiszę czek. Chciałbym, żeby Patty i Janet zatrzymały te suknie. Czy mogłaby pani tego dopilnować?

- Z przyjemnością. Są piękne. Maggie ma taki doskonały gust i była taka podekscytowana, gdy znalazła dokładnie ten odcień zieleni, jaki chciała na swój... na bożonarodzeniowy ślub, który organizowała. Jestem pewna, że Janet i Patty ucieszą się z prezentu.

- Tak - przytaknął Luke ponuro. - Będzie miło wiedzieć, że przynajmniej ktoś się uśmiecha. Czy jest jeszcze coś, czym muszę się zająć?

- Owszem, jest coś takiego. Dodatki, rozumie pan. Satynowe wstążki do bukietów i inne takie rzeczy.

- Oczywiście. Zapłacę za wszystko, co zostało zamówione.

- Zechciałby pan przejść ze mną do biura? Tam trzymam dokumenty i będzie mi łatwiej sprawdzić formularze zamówień.

- Jasne.

- Przepraszam, ale muszę jeszcze coś załatwić. Za chwilę do pana dołączę. Proszę, niech pan przejdzie do tamtego pokoju i zaczeka.

To czysta tortura, pomyślał Luke. Każda sekunda, jaką spędzał w sklepie, coraz dobitniej mu uświadamiała, jakie

trudne i bolesne musiało to być dla Maggie. Tak, zasługuje na to całe cierpienie, powiedział sobie.

Wszedł do średniej wielkości pokoju. Podłogę przykrywał gruby różowy dywan. Fotele w kolorze żurawiny ustawiono w półkole przed arkadą z białej wikliny, ozdobioną sztuczną zielenią i kwiatami. Pod ścianą stało wielkie trójdzielne lustro. Z niewidocznych głośników płynęła słodka, łagodna muzyka.

Człowieku, popatrz tylko na to miejsce, pomyślał Luke. Z każdą chwilą dzieje się coraz gorzej. Maggie prawdopodobnie siadywała na tych fotelach i przyglądała się, jak Janet i Parry przymierzają sukienki. Suknie jej marzeń. Wierzyła, że będą je nosić druhny Rose.

A suknia ślubna? Boże, czy i ją Maggie musiała już wybrać? Przymierzać? Ślubną suknię, którą miałyby na sobie, gdyby to ona była panną młodą? Powinno się go powiesić za kciuki za to wszystko, co zrobił Maggie.

Luke wzdrygnął się, gdy muzyka stała się trochę głośniejsza. To był marsz weselny.

Dlaczego grają go właśnie teraz? Na czoło wystąpiły mu krople potu. Dłużej tego nie zniesie. A Maggie na pewno musiała choć raz słyszeć ten utwór, przebywając tu, w sklepie... Gdzie jest właścicielka? On musi się stąd wydostać.

Gorączkowo się rozejrzał w nadziei, że Selina Simone się pojawi, a potem jego uwagę zwrócił jakiś ruch za śliczną arkadą.

Spojrzał w tamtą stronę i oddech zamarł mu w piersiach.

- Mój Boże - szepnął. Serce waliło mu jak oszalałe. - Maggie!

Szła ku niemu, na sobie miała przepiękną długą białą ślubną suknię w staroświeckim wiktoriańskim stylu, z wysokim kołnierzem i mnóstwem perełek naszytych na staniuku. Ściśle przylegała do jej szczupłej talii, a potem rozszerzała się aż do ziemi w miękkich lśniących fałdach. Cienki jak pajęczyna welon opadał na ramiona. Był odrzucony i odsłaniał twarz.

I ona się uśmiechała.

- Maggie? - wyszeptał Luke.

W takt marsza weselnego szła do niego miarowym krokiem panny młodej, idącej nawa do ołtarza, by złączyć się z narzeczoną. W końcu zatrzymała się przed nim, a on wpatrywał się w nią olśniony.

- Witaj, Luke - odezwała się miękko.

- Jesteś... - Musiał odchrząknąć. - Maggie, jesteś najpiękniejszą panną młodą, jaką w życiu widziałem. Ale nie rozumiem...

- Wyjaśnię ci. Usiądźmy.

- Tak, dobrze.

Maggie usiadła i starannie rozpostarła spódnicę. Luke przyciągnął drugi fotel, usiadł naprzeciwko niej, pochylił się, oparł łokcie na kolanach i cały zamienił się w słuch.

- Luke - zaczęła, patrząc mu w oczy. - Mam nadzieję, że

przebaczysz mi te okropne rzeczy, jakie mówiłam, gdy opowiedziałeś mi o swoim planie.

- Przebaczyć? Tobie! - wykrzyknął. - To ja chcę cię błagać o przebaczenie za to, że byłem taki... okrutny i bezmyślny, karmiąc cię tymi wszystkimi kłamstwami i... To, że byłem zrozpaczony, przerażony, że cię stracę, nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Myślałem, że jestem taki sprytny, taki... Maggie, przepraszam.

- A więc, jeśli chodzi o plany, jesteście kwita - powiedziała, uśmiechając się czule. - Bo ja, razem z Patty i Seliną, też stworzyłam plan, żeby cię tu dziś ściągnąć.

- Zaplanowałyście to sobie? - zdziwił się.

- Luke, straszliwie przesadziłam z reakcją, gdy mi powiedziałeś o Rose i Clydzie, o tym, jak chciałeś, żebym zorganizowała ślub moich marzeń i... Usłyszałam jedynie, że mnie okłamałeś i nie jesteś tym, za kogo cię uważałam. Mogłam myśleć tylko o tym, że popełniłam okropny błąd, zakochując się w tobie, i że padłam ofiarą pecha Jenkinsów.

-Nie, ja...

- Proszę, wysłuchaj mnie do końca.

Luke skinął głową.

- Tak się nad sobą użalałam - kontynuowała Maggie. - Czułam się zdradzona i... Ale Patty uświadomiła mi, że to, co zrobiłeś, nie jest wstętne i podłe, lecz przeciwnie, jest niewyobrażalnie romantyczne, bo zrobiłeś to wszystko z miłości do mnie i dlatego, że z całego serca pragniesz się ze mną ożenić i urządzić ślub moich marzeń.

- Tak! Właśnie tak było! - zawołał Luke. - Dlatego to zrobiłem. Ale potem byłem przekonany, że na zawsze cię straciłem, że znów się ukryjesz za tym swoim murem i nigdy nie zdołam cię odzyskać.

- Luke, mur już nie istnieje. Po rozmowie z Patty poszłam na długi spacer i słuchałam, co mi mówi moje serce. A ono mi powiedziało, że miłość, prawdziwa miłość, miłość na zawsze, jest silniejsza niż przesady czy pech. Wiem, że to, co nas łączy, będzie trwało w dobrych i złych chwilach, w chorobie i zdrowiu, dopóki śmierć nas nie rozłączy, a może i nawet potem.

- Ach, Maggie - wyszeptał Luke przez ściśnięte gardło.
- Tak bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham - powiedziała i nagle w jej oczach pokazały się łzy. - Opracowałyśmy z Patty i Seliną plan. Postanowiłyśmy cię tu sprowadzić, żebyś mnie zobaczył w tej sukni, którą chciałabym mieć na sobie podczas naszego ślubu. Chciałam ci udowodnić, że już nie wierzę w pecha ani w żadne przesady, na przykład takie jak ten, że pan młody nie może zobaczyć narzeczonej w sukni ślubnej przed ceremonią. Chciałam ci udowodnić, że jestem wolna, by żyć i kochać, i że chcę spędzić z tobą resztą życia jako twoja żona. .. jeżeli ty też tego pragniesz.

Luke wstał i drżącymi rękami podniósł Maggie na nogi.

- Maggie Jenkins - powiedział, próbując nie dopuścić, by zbierające mu się w oczach łzy spłynęły na policzki. - Czy

uczynisz mi zaszczyt i zostaniesz moją żoną? Maggie, wyjdiesz za mnie? Maggie, proszę.

- Tak - odpowiedziała, uśmiechając się przez łzy radości. - Och, tak!

Luke objął rękami jej twarz i pocałował ją delikatnie, z wielką czcią, by przypieczętować tę obietnicę.

I wtedy, jakby dano sygnał, muzyka zmieniła się. Rozległy się dźwięki walca, ich walca. Luke objął Maggie i zaczęli wirować wokół pokoju, jakby płynęli na obłokach, patrząc sobie w oczy, widząc w nich zrozumienie i przebaczenie, miłość i szczęście, które będą dzielić przez wiele, wiele lat.

Przyjęcie weselne państwa St. Johnów trwało już od paru godzin. Wreszcie świeżo poślubieni małżonkowie uznali, że mogą się dyskretnie ulotnić i zniknąć w apartamencie dla nowożeńców.

- Och - jęknęła Patty w rozmarzeniu - to było takie piękne. Łącznie z moją prześliczną sukienką. Po prostu idealne. Każdy szczegół, szczegół, szczegół, jak powiedziałyby Maggie. I łącznie z tymi pysznymi różyczkami z białej czekolady. Jaka doskonała para są Maggie i Luke. I jacy są szczęśliwi! Myślę, że nadają temu słowu całkiem nowe znaczenie.

- Tak - zgodziła się Martha, matka Maggie. - Masz rację. Widzieć ich razem... Powiem tylko, że chyba już nigdy więcej nie będzie mowy o pechu. Maggie i Luke przełamali tę okropną klątwę. W głębi serca wiem, że tak właśnie jest.

- Zgadza się z tobą, mamó - odezwała się Janet. - I po-

wiedziałabym, że mój brat też się z tobą zgadza. Przez cały wieczór tańczył z tą sympatyczną dziewczyną, którą tu poznał. - Przerwała na chwilę. - Podobały wam się ślubne prezenty, jakie wymienili Maggie i Luke? Małeńki złoty kasztan na delikatnym złotym łańcuszku dla Maggie od Luke'a, i złote spinki do mankietów w kształcie kasztanów dla Luke'a od Maggie. Powiedziała mi, że to symbole wszystkiego, co się wydarzyło i doprowadziło do dzisiejszej uroczystości. Och, Boże, to takie romantyczne, że ledwo się powstrzymuję od płaczu.

- Ja już sobie popłakałam - wyznała Parry ze śmiechem.

- Mogą sobie dawać w prezencie złote kasztany, ale na szczęście przestali zajmować się przesadami - stwierdziła Martha z radością. - I koniec z „Różami i Marzeniami”, Maggie zlikwidowała firmę. - Uśmiechnęła się. - Powiedziała, że dzięki tej firmie wszystkie jej marzenia się spełniły, więc teraz myśli o otwarciu butików z rzeczami dla dzieci. Ma nadzieję, że w ten sposób przyspieszy nową radość, jaką byłoby przyście na świat pierwszego małego St. Johna.

- Mój Boże! - wykrzyknęła Patty. - Nie brzmi to jak kolejny przesąd? No, no, coś takiego! Czyżby cała ta karuzela zaczynała się kręcić od nowa?

Jessica Hart

Gwiazdkowi nowożeńcy

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nic.

Thea z westchnieniem zamknęła lodówkę i zaczęła przeszukiwać szafki, lecz w nich również nie znalazła niczego, z czego dałoby się przyrządzić śniadanie. Co za początek wakacji! Koszmarna podróż, antypatyczny sąsiad, mniej niż cztery godziny snu, a na dobitkę nic do jedzenia.

– Dwa tygodnie na Krecie dobrze ci zrobią – powtórzyła nieco ironicznym tonem słowa siostry. – Potrzebujesz odpoczynku. Zobaczysz, będziesz zadowolona. Nie będziesz miała nic do roboty, będziesz mogła odpoczywać, czytać do woli... I umrzeć z głodu – dokończyła.

– Co robisz, ciociu? – rozległ się głos Gary.

Thea odgarnęła z twarzy potargane włosy i obejrzała się. Siostrzenica stała u dołu schodów. Mimo niewyspania wyglądała rozkosznie w dużym różowym T-shircie. Żadna sztuka wyglądać rozkosznie po męczącej podróży, gdy ma się brzoskwiniovą cerę i ani grama tłuszczu na sobie. Thea w żadnym momencie swego życia nie mogła poszczycić się brzoskwiniovą cerą i szczupłą sylwetką.

– Szukam czegoś do jedzenia.

– Oj, to dobrze! Jestem głodna.

– Ja też – mruknęła ponuro.

Tak, od razu było widać, że są spokrewnione. Normalny człowiek, kładąc się o piątej rano, a wstając o dziewiątej, w dodatku mając za sobą mrozącą krew w żyłach nocną jazdę przez zakręty śmierci w obcym kraju, nie odczuwałby od razu po wyjściu z łóżka wilczego głodu, ponieważ stres zazwyczaj odbiera apetyt, nie zaostrza.

Martindale'om apetyt zaostrzało wszystko. Gdyby ku Ziemi właśnie pędził asteroid i katastrofa była nieunikniona, Thea nadal myślałaby o jedzeniu. Dziewiąta rano, a ja jeszcze nic nie jadłam, nic dziwnego, że nie mam humoru. Przed końcem świata zdążę jeszcze wrzucić coś na ząb. Zacznę od jajecznicy na bekonie, po niej na osłodę dnia wezmę sobie rogalika. I oczywiście podwójne cappuccino.

To w sumie było niesprawiedliwe. Nawet po rozstaniu z Harrym nie straciła na wadze. Wszystkie jej przyjaciółki szczupłały podczas kryzysów emocjonalnych, a ona nie.

– W całej kuchni nie ma zupełnie nic do jedzenia – powiedziała Clarze. – Najpierw musimy zrobić zakupy.

Buzia dziewczynki wyciągnęła się.

– Ale tu nie ma żadnych sklepów! Trzeba jechać do tego miasta, które mijaliśmy w nocy. Ono jest tak daleko! Skręci nas do tej pory!

– Wiem. – Thea westchnęła, przypominając sobie, jak ze zjeżonym włosom pokonywała upiornie krętą drogę wśród wzgórz, a trwało to w nieskończoność. – Zresztą chwilowo nie mam siły na ponowne pokonanie tych wszystkich serpentyn. Nie z pustym żołądkiem.

– To co robimy?

– Chyba najpierw zadzwonimy do twojej mamy i spytamy, czemu wynajęła nam domek

na zupełnym odludziu, zamiast obok ładnej plaży i sklepów.

Jednocześnie spojrzały w stronę okna, z którego roztaczał się piękny widok na skaliste wzgórza i gaje oliwne, a dalej widniały malownicze szczyty gór. Tego ranka Thea oddałaby to za widok na supermarket albo tanią samoobsługową restaurację.

W zamyśleniu przygryzła kciuk. Co tu robić? Bez porannej kawy jej umysł nie funkcjonował najlepiej.

– Pójdziemy zapytać sąsiadów, czy nie poratowaliby nas jakimś chlebem albo czymś, zanim nie pojedziemy na zakupy – zdecydowała wreszcie.

– Ale chyba nie tego okropnego pana? – zaniepokoiła się Clara, doskonale pamiętając okoliczności ich przybycia.

– Jest tu jeszcze jeden domek, zaczniemy od niego. Może tamci ludzie będą miłsi.

Siłą rzeczy musieli być miłsi od tego typu, z którym miały do czynienia o piątej rano, niemniej Thea wolałaby nie zaczynać wakacji od zebrania o chleb i wodę.

Ubieranie się zajęło im moment, gdyż Clara narzuciła świeży T-shirt na strój kąpielowy, a Thea wskoczyła w szorty, włożyła bluzeczkę, i były gotowe. Wyszły na zewnątrz i na moment aż zapomniały o głodzie. Zatrzymały się na tarasie, rozglądając się dookoła. Trzy zbudowane z kamienia domki stały ukryte wśród kwitnących krzewów, pośrodku zaś znajdował się basen, w którym cudownie błękitna woda połyskiwała zapraszająco w promieniach greckiego słońca.

– Ojej! – zachwyciła się Clara. – Mogę popływać po śniadaniu?

Dookoła panowała cisza i spokój, powietrze było przesycone wonią ziół.

– Mmm... Czujesz ten zapach? Tymianek i oregano – mruknęła z rozmarzeniem Thea. – Na kolację mogłybyśmy zjeść jagnięcinę...

– Najpierw pomyślmy o śniadaniu – zarządziła przytomnie dziewczynka.

Niechętnie łypnęły w prawą stronę i pomaszerowały w lewą. Zapukały do drzwi. Cisza.

– Dzień dobry! – zawołała Thea. Cisza.

– Nikogo nie ma – wyszeptwała Clara.

Odwróciły się. Z tego miejsca miały lepszy widok niż ze swojego tarasu na domek gburowatego sąsiada, ujrzały więc, że mężczyzna siedzi przy stole pod pergolą, którą bujnie porasta winorośl. Towarzyszyła mu kilkuletnia dziewczynka.

Thea zagryzła wargi. Iść tam czy nie iść? Już raz doświadczyły wyjątkowo nieprzyjemnego przyjęcia, więc po co się ponownie narażać? Jeśli ma odrobinę godności, nie poprosi go nawet o szklankę wody, tylko weźmie kluczyki i pokona tę koszmarną trasę do miasteczka, pełną zakrętów śmierci.

Ze zmagania między dumą a żołądkiem zwycięsko wyszedł ten drugi.

Jak zawsze.

– Pewnie już mu trochę przeszła złość na nas – powiedziała z nadzieją do siostrzenicy. – Albo jego żona zwróciła mu uwagę, że nieładnie się zachował. W końcu nie narobiłyśmy aż takiego hałasu, przyjeżdżając.

– Ale była piąta rano – mruknęła ponuro Clara. – I wjechałaś w jego samochód, ciociu.

– Oj, bez przesady, tylko trochę go zarysowałam.

– Lepiej jedźmy do miasta – zaproponowała dziewczynka, przypominając sobie wściekłą awanturę.

Thea może dałaby się przekonać, lecz nagle coś spostrzegła i wyprężyła się cała jak pies myśliwski, który wytropił zwierzynę.

– On ma tam cały dzbanek kawy! Idziemy! W obecności córki na pewno będzie grzeczniejszy.

Clara nadal obawiała się tego okropnego pana, lecz ciocia wyraźnie nie zamierzała ustąpić.

– Ale ty wszystko załatwiasz, ciociu – ostrzegła. – Ja się nie odzywam.

Thea, rozpaczliwie spragniona kafeiny, przyspieszyła co prawda przy basenie, lecz im lepiej widziała ponurą twarz sąsiada, tym wolniej szła. Mężczyzna nie zauważył ich jeszcze, siedział pogrążony w rozważaniach i na pewno nie myślał o niczym przyjemnym. Dziewczynka obok niego miała naburmuszoną minę i zdecydowanie się nudziła.

Znalazły się niemal przy schodach na taras, gdy Thea przystanąła.

– To jednak nie jest dobry pomysł – wyszeptęła cichuteńko.

Tym razem siostrzenica okazała determinację.

– Idź! – popchnęła ją. – Zaraz umrę z głodu. Dziewczynka zauważyła je. Pociągnęła ojca za rękaw i wskazała je palcem. Nie wyglądał na uradowanego widokiem gości, więc Thea najchętniej wycofałaby się, lecz na to było już za późno.

Weszła po schodach, udając opanowaną i pewną siebie. Za nią z ociąganiem podążęła Clara.

– Dzień dobry – rzekła Thea z tak życzliwym uśmiechem, jakby ten człowiek ledwie parę godzin wcześniej nie krzyczał na nią w gniewie.

Jej uprzejmość zaskoczyła go. Podniósł się zza stołu.

– Dzień dobry – odparł dość chłodno, lecz całkiem grzecznie.

Nie jest tak źle, pomyślała. Co prawda nie powitał ich z entuzjazmem, lecz przynajmniej nie wrzeszczał.

– Witaj – zwróciła się do dziewczynki, która odpowiedziała jedynie niechętnym spojrzeniem, w ogóle się nie odzywając.

Widać latorośl wdała się w tatusia, jeśli chodzi o miły charakter...

– Chciałam... – Thea zająknęła się, a jej spojrzenie bezwiednie pobiegło ku stojącemu na blacie dzbankowi. Zmusiła się, by popatrzeć z powrotem na gospodarza. – Chciałam przeprosić za to, co się stało rano. Za to, że narobiłyśmy tyle hałasu i że wjechałam w pański samochód.

Ku jej ogromnemu zaskoczeniu antypatyczny typ natychmiast złagodniał.

– To ja przepraszam. Nie powinienem był podnosić na panią głosu i mówić tego, co powiedziałem. Niestety, miałem wczoraj ciężki dzień. – Łypnął na wciąż nadąsaną córkę. – I jeszcze gorszy wieczór, no i w rezultacie byłem w paskudnym nastroju. Nie można jednak odreagowywać na innych swoich frustracji.

Jego przeprosiny były ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała, więc kompletnie zbiły ją z tropu.

– Mimo wszystko miał pan sporo racji... W końcu narobiłyśmy dużo zamieszania, i to o piątej rano... Ale widzi pan, miałyśmy pecha od samego początku podróży. Najpierw opóźnił się wylot, potem nasze bagaże gdzieś się zapodziały i czekałyśmy na nie w nieskończoność, przez co leciałam z nóg, jeszcze zanim znalazłyśmy wypożyczalnię samochodów. A na koniec musiałam pokonać te wszystkie zakręty w zupełnej ciemności.

– Tak, trudno się tu jedzie, nawet w środku dnia – zgodził się.

Oczywiście przytaknął wyłącznie z uprzejmości, Thea nie wątpiła ani przez moment, że on bez problemu dałby sobie radę na każdej drodze niezależnie od pory dnia i od warunków pogodowych. Emanowała z niego spokojna pewność siebie, co z jednej strony onieśmiało ją, a z drugiej wydawało się dziwnie krzepiące.

– Wie pan, nie jestem najlepszym kierowcą, częściej korzystam z taksówek, niż prowadzę sama – wyznała. – Nie miałam pojęcia, że to będzie tak daleko i nie rozumiałam, jak przy tak niebezpiecznej drodze można nie postawić barierek ochronnych. Kiedy wreszcie dotarliśmy na miejsce, poczułam taką ulgę, że przestałam się aż tak bardzo koncentrować. Wyjechałyśmy z tego zakrętu... I za późno zobaczyłam pański samochód. Na szczęście nic groźnego się nie stało, ale i tak trochę go zarysowałam, no i to była ta ostatnia kropla, która przepełniła czarę. Zaczęłyśmy się śmiać, bo inaczej zaczęłybyśmy płakać ze zmęczenia i zdenerwowania.

– A ja cały czas zastanawiałem się, co w tym takiego śmiesznego!

– Nic! Śmiałyśmy się histerycznie i dlatego nie mogłyśmy przestać. A kiedy na dobitkę weszłyśmy do niewłaściwego domu, już zupełnie nie mogłyśmy się powstrzymać. To było silniejsze od nas.

Faktycznie, chichotały bez opamiętania aż do momentu, gdy gospodarz zbiegł na dół, dosłownie rycząc na nie i żądając wyjaśnień. Thea pewnie też dostałaby szału, gdyby ktoś o piątej rano obudził ją potwornym hałasem, stuknął w jej samochód, a potem włamał się do jej domu, najwyraźniej znakomicie się przy tym bawiąc.

– Naprawdę ogromnie mi przykro – powtórzyła. – To efekt całej serii niefortunnych zbiegów okoliczności.

– Mnie też przykro. Gdybym wczoraj nie miał złego dnia, potraktowałbym to wszystko z większym poczuciem humoru. Proponuję więc udawać, że w ogóle jeszcze się nie spotkaliśmy i zacząć wszystko od nowa – zaproponował. – Co pani na to?

– Bardzo chętnie. – Z uśmiechem wyciągnęła rękę. – Thea Martindale, a to moja siostrzenica Clara.

– Rhys Kingsford, bardzo mi miło.

Miał zdecydowany, pewny uścisk, nie za silny, nie za słaby. Nie ścisnął sugestywnie palców. Sama przyjemność.

Dopiero w tym momencie przyjrzała mu się uważniej. Szerokie ciemne brwi, surowe rysy... całkiem atrakcyjne. Nie był aż tak przystojny jak Harry, ale na litość, ilu facetów mogło pobić Harry'ego na tym polu? Doprawdy niewielu.

Hm, szkoda, że nie uczesała się porządnie i nie ubrała się jakoś ładniej.

Rhys wskazał na dziewczynkę, która nadal siedziała naburmuszona przy stole i nie zwracała uwagi na to, co się dzieje.

– Moja córka Sophie.

– Cześć, Sophie – rzekła serdecznie Thea, a Clara uśmiechnęła się przyjaźnie.

Dziewczynka ledwo ruszyła jednym ramieniem, dając znać, że słyszała.

– Przywitaj się – przykazał ojciec z lekką pogrózką w głosie.

Wymamrotała niechętnie pod nosem coś, co zabrzmiało jak „dźń bry”.

Rhys zacisnął zęby, lecz do Thei odwrócił się już z uśmiechem, starając się ukryć frustrację.

– Może ma pani ochotę na kawę? Jeszcze jest gorąca.

Już się bała, że on nigdy tego nie zaproponuje. Właściwie powinna się pożegnać i wycofać, zostawiając tych dwoje, by doszli ze sobą do ładu, lecz głód kofeiny okazał się – jakżeby inaczej? – silniejszy od delikatności.

– Z największą przyjemnością. Właściwie... – ciągnęła, gdy Clara szturchnęła ją znacząco – ... właściwie przyszłyśmy zapytać, czy nie zechciałby nas pan poratować jakimś prowiantem? W domku nie ma nic do jedzenia, a do miasta jest spory kawałek drogi.

– Ależ oczywiście! Sophie, idź do kuchni i przynieś coś dla naszych gości. Aha, nie zapomnij o filiżance dla pani.

Dziewczynka ściągnęła brwi, robiąc dokładnie taką samą minę jak jej ojciec, gdy mu się coś nie podobało.

– Nie wiem, gdzie są filiżanki.

– To zajrzyj do szafek – poradził z irytacją. – Chleb i dżem znajdziesz na stole. Spytaj Clarę, co by chciała do picia.

– Może ja pójdę pomóc – zaofiarowała się szybko Clara, gdy druga dziewczynka już otwierała usta, by zaprotestować.

Sophie łypnęła na nią podejrzliwie, potem spojrzała na ojca, a widząc jego nieustępliwą minę, z najwyższą niechęcią zsunęła się z krzesła i powłócząc nogami, weszła do domu. Za nią podążyła Clara, która nie przejmowała się niczym z wyjątkiem tego, by wreszcie coś zjeść.

Przez chwilę panowało kłopotliwe milczenie, wreszcie Rhys wskazał Thei krzesło.

– Proszę usiąść. Przepraszam za jej zachowanie, przechodzi przez trudny okres.

Zapach kawy doprowadzał Theę niemal do szaleństwa. Niech one jak najszybciej wrócą z tą filiżanką!

– Ile ma lat?

– Osiem.

– Clara ma dziewięć. Zaraz się wspaniale dogadają.

– Niestety, moja córka chwilowo nie dogaduje się z nikim.

– Nie zna pan mojej siostrzenicy, już ona każdego potrafi przekabacić na swoją stronę – rzekła wesoło. – Nawet pan się nie obejrzy, jak zostaną przyjaciółkami.

Nie wydawał się przekonany.

– Wygląda na bardzo miłą dziewczynkę – odparł tylko.

– Taka też jest – zapewniła. – Przeszkadza mi u niej tylko to, że czasem mówi rozsądniej ode mnie, ale poza tym nie narzekam, przeciwnie. Z przyjemnością wybrałam się z nią na

wakacje, jest wspaniałym towarzyszem podróży. Naprawdę łatwo zapomnieć, że ma dopiero dziewięć lat. Wybierała się tu z nią moja siostra, Nell, lecz miała wypadek – Coś poważnego?

– Poślizgnęła się na schodach, ma połamane kości nadgarstka i śródstopia. Myślała o odwołaniu rezerwacji, ale Clara byłaby rozczarowana... Ojciec nigdy nie zabiera jej na wakacje. – Spochmurniała. – Widzi pan, on założył nową rodzinę, a jego druga żona nie znosi Clary. Chyba jest zwyczajnie zazdrosna.

Na jego twarzy odbiło się zdumienie.

– Jej rodzice rozwiedli się? Dziwne, nie wygląda na dziecko z rozbitej rodziny. Jest bardzo pogodna.

– Dobrze to zniosła, ponieważ rozwód miał miejsce, gdy była jeszcze bardzo mała, więc dla niej to naturalne, że rodzice nie mieszkają ze sobą. Widuje ojca regularnie, a Nell stara się nie mówić przy niej nic złego na tatusia.

– Proszę, czyli jednak ona i Sophie mają coś wspólnego – mruknął.

Ach! Thea zastanawiała się od dobrej chwili, czemu ojciec przyjechał na wypoczynek tylko z córką.

– Przepraszam, czy pan też... ? Skinął głową, twarz mu sposepniała.

– Tak, jestem rozwiedziony. Sophie miała wtedy dwa lata, więc również nie pamięta rodziców mieszkających razem, a jednak zniosła to znacznie gorzej niż Clara. – Zapatrzył się gdzieś w dal. – Ze względu na moją pracę, musiałem często przebywać na pustyni. Lynda uważała, że to nie miejsce dla małego dziecka. Faktycznie, musiało być jej trudno... – Zamilkł, zamyślił się, wreszcie wzruszył ramionami. – W końcu wróciła do domu i wystąpiła o rozwód. Nadal pozostajemy w przyjaźni, nie poszło przecież o kogoś innego, nie robiliśmy sobie awantur, jedynym problemem była moja praca.

– W sumie to najmniej traumatyczny rodzaj rozstania – zauważyła Thea. – Najmniej bolesny dla dziecka.

– Problem w tym, że prawie wcale nie widywałem córki – wyznał. – Siedziałem w Maroku jeszcze przez pięć lat, zjawiałem się czasem z prezentami i znowu znikalem. Podczas ostatniej wizyty dotarło do mnie, co się dzieje. Ona traktuje mnie jak kogoś obcego. Postarałem się więc o pracę w Londynie i zamieszkałem niedaleko byłej żony, od kilku tygodni staram się być dla Sophie prawdziwym ojcem, ale... Sam nie wiem.

– Moim zdaniem postąpił pan słusznie – poparła go.

– Ale za późno. Ona boczy się na mnie, nie chce ze mną rozmawiać.

Thea usłyszała żal w jego głosie, może nawet urazę.

– Potrzebuje trochę czasu – zauważyła łagodnie. – Musi się do pana przyzwyczaić.

Westchnął i ze znużeniem przeciągnął dłońmi po twarzy.

– Rozumiem to i dlatego specjalnie zabrałem ją na wakacje. Mieliśmy chodzić na długie spacerunki po plaży i nagadać się za wszystkie czasy, przynajmniej tak to sobie wyobrażałem. Ale ona powtarza tylko, że się nudzi.

– A nie ma tu jakichś innych dzieci?

– W tamtym domu mieszkają dwaj chłopcy, bardzo dobrze wychowani. Oni też ją nudzą.

– Och, już Clara zajmie się całą trójką – obiecała wesoło Thea, ożywiając się, gdyż

Sophie wyszła z domu, niosąc filiżankę.

– Proszę. – Prawie wepchnęła ją Thei w ręce.

– Dziękuję ci bardzo.

– A gdzie spodek? – zdenerwował się Rhys, ale Sophie już zawróciła do domu.

– Nie ma potrzeby, naprawdę – zaprotestowała pospiesznie Thea, gdy chciał iść za córką.

Po co jej spodek, niech wreszcie dostanie kawy!

Rhys sięgnął po dzbanek i nalał kawy do podsuniętej filiżanki.

– Jak pachnie... – Thea upiła łyk, z błogością na moment przymknęła oczy. – I jak smakuje!

Spojrzała na gospodarza i uśmiechnęła się tak cudownie, że aż zamarł.

– Marzyłam o tym przez cały ranek – wyznała.

Ocknął się z zapatrzenia.

– Miło spotkać kobietę, której pragnienia można tak łatwo zaspokoić – skwitował nieco cierpko.

W tym momencie po raz pierwszy spostrzegła, jak niezwykle miał oczy – zielonkawobrazowe, bardzo jasne w zestawieniu ze spaloną na brąz skórą. Zajęta swoim odkryciem, dopiero po chwili uświadomiła sobie, co powiedział. Zarumieniła się lekko i odwróciła wzrok.

– Nie wszystkie, lecz niektóre na pewno.

Zapadła cisza. Thea delektowała się kawą, jednocześnie zastanawiając się, co powiedzieć, by przerwać niezręczne milczenie. Na szczęście pojawiły się obie dziewczynki, przynosząc chleb, dżem, miód, wspaniały grecki jogurt i soczyste brzoskwinie.

– Och, Sophie, co za wspaniałości! – pochwaliła Thea, która oczywiście wiedziała, że to Clara musiała zadbać o wszystko. Córka Rhysa była bladym, mizernym dzieckiem, które najwyraźniej nie lubiło jeść. – Bardzo ci dziękujemy.

Dziewczynka znowu ledwie ruszyła ramieniem i z powrotem usadowiła się na swoim krześle, lecz tym razem wreszcie coś ją zainteresowało, mianowicie śledziła spod opuszczonych rzęs, jak nowe znajome z absolutną rozkoszą pochłaniają śniadanie.

Rhys również im się przyglądał, a na jego twarzy pojawił się wyraz lekkiego rozbawienia.

– W dzisiejszych czasach kobiety nieczęsto mają tak zdrowy apetyt – skomentował, patrząc, jak Thea nalewa Clarze pełną miseczkę jogurtu, do którego hojnie dodaje miodu, a potem przyrządza taką samą porcję dla siebie.

– Ostatni raz jadłyśmy wczoraj w samolocie – usprawiedliwiała się Thea. – Umieramy z głodu, prawda, Claro?

Siostrzenica bez słowa pokiwała głową, ponieważ miała pełną buzię.

– Pycha! – stwierdziła, gdy tylko mogła mówić. – Będziemy codziennie jadły na śniadanie jogurt z miodem?

– Tak, zrobimy sobie zapasy, gdy będziemy panu odkupywać to, co zjadłyśmy.

– Nie trzeba – zaoponował z pewną rezygnacją. – Kupiłem to głównie dla córki, ale ona nie chce. Ani razu nie tknęłaś jogurtu, prawda? – zwrócił się do Sophie.

Wydeła wargi.

– Mama nie je rzeczy z mleka. Ja też nie.

– Jak to? Nie jecie nabiału? – Thea spojrzała na nią ze zgrozą. – Żadnego sera? Masła? Mleka?

– Do tego żadnych ziemniaków, chleba, czerwonego mięsa, soli... – wyliczał ze znużeniem Rhys.

Jej oczy zrobiły się okrągłe. Co w takim razie pozostawało?

– A co ze słodyczami? Z czekoladą? – Z rozpedu omal nie dodała: „Z winem?”.

– Żartuje pani. Lynda w kółko stosuje jakieś diety, liczy kalorie, uważa na każdy kęs. To praktycznie obsesja.

Thea już rozumiała, czemu Sophie przyglądała im się z takim zaintrygowaniem, gdy z radością rzuciły się na śniadanie.

– Musi mieć wspaniałą figurę – rzekła z westchnieniem i pożałowała, że nie zjadła trochę mniej jogurtu.

– Jest zdecydowanie za chuda – zaproponował Rhys. Thea spróbowała sobie wyobrazić, że ktoś powiedziałby coś podobnego o niej. Nie, jej wyobraźnia nie sięgała tak daleko. Z równym powodzeniem można by twierdzić, że George Clooney jest zdecydowanie za brzydki.

Tylko czy naprawdę chciałaby coś podobnego o sobie usłyszeć? To znaczy, kiedyś tak, ale... Ale wyglądało na to, że Rhys wołał, gdy kobieta miała więcej ciała niż wieszak na ubrania. To dobrze.

Chwileczkę, a co to za myśli i skąd się wzięły? Przecież jego preferencje wcale jej nie obchodzą!

– Chciałabym mieć równie silną wolę – wyznała. – Moje próby stosowania diety kończą się tak, że już pierwszego dnia w południe sięgam po batoniki, żeby sobie powetować śniadanie składające się z jednego grejpfruta.

– Nie potrzebujesz diety, ciociu – oznajmiła lojalnie Clara. – Mama zawsze mówi, że masz seksowną figurę i że mężczyźni wołają takie od jakichś patyków.

– Claro! – Thea próbowała kopnąć siostrzenicę pod stołem.

– Przecież nie zmyślam! Mama naprawdę tak mówi – zaproponowała dziewczynka i jeszcze pogorszyła sprawę, zwracając się do Rhysa: – Pan też tak uważa, prawda?

– Claro!!

Rhys bez śladu zakłopotania obrócił się ku Thei i zachowując kamienny wyraz twarzy, przyjrzał się uważnie jej sylwetce.

– Twoja mama ma rację – poinformował z powagą Clare, która uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Widzisz? – powiedziała do Thei, która splonęła rumieńcem i rzekła szybko:

– Jeśli skończyłaś śniadanie, pozwalam ci iść popływać.

– Super! – Clara poderwała się zza stołu. – Sophie, chodź.

– Tato, mogę?

– Oczywiście.

Dziewczynki oddaliły się, a Thea próbowała zasłonić twarz filizanką, dopijając resztę

kawy. Wreszcie przemogła się i zerknęła na gospodarza. W zielonkawobrazowych oczach tańczyły wesołe błyski.

– Ona zawsze jest taka bezpośrednia?

– Obawiam się, że tak. Gdybym tak za nią nie przepadała, zamordowałabym ją któregoś razu. – Nie wytrzymała i roześmiała się. – Potrafi być przerażająco szczerą, a do tego uparta. Jeśli kogoś lubi i wbije sobie do głowy, że wie, co dla niego dobre, to koniec. Ma to po matce. Jak one dwie sobie coś postanowią dla czyjegoś dobra, nie ma szans! Najlepiej od razu ustąpić, bo inaczej człowieka zamęczą.

Kąciki jego ust zadrgały.

– A co, gdy ktoś nie lubią? Są równie zdeterminowane w swojej antypatii?

– Niestety, tak. – Spochmurniała nieco, przypomniawszy sobie, jak Nell i Clara od samego początku nie znosiły Harry’ego. Jak można było pałać do niego niechęcią? Nie pojmowała tego. Był taki przystojny i czarujący... – Na pana miejscu starałabym się żyć z nią w zgodzie.

– Będę pamiętał – obiecał, po czym sięgnął po dzbanek. – Ma pani ochotę na świeżą kawę?

Zawahała się. Nie, żeby nie miała ochoty, ale nie chciała wyjść na łakomczucha.

– No, niechże się pani podda swoim pragnieniom. Przecież oboje wiemy, że pani tego chce – kusił i nagle uśmiechnął się do niej po raz pierwszy.

Thea na moment oniemiała z wrażenia. Opanowała się w trudem.

– Cóż... Nie odmówię.

Gdy niedługo potem Rhys wrócił ze świeżo zaparzoną kawą i zajął miejsce na swoim krześle, Thea skorzystała z tego, że zapatrzył się na dziewczynki w basenie i przyjrzała mu się dyskretnie, lecz uważniej niż do tej pory. Naprawdę był całkiem atrakcyjny. Dobrze zbudowany, wręcz muskularny, spalony słońcem, zahartowany. Z łatwością potrafiła go sobie wyobrazić pracującego na pustyni.

Jej spojrzenie powędrowało z jego twarzy ku dłoniom. Przypomniał jej się spokojny, pewny uścisk. Bardzo przyjemny.

Tak, miłe dłonie, ładne oczy... I usta. Szkoda, że często ponuro zaciśnięte. Kiedy się uśmiechały, aż dech zapierało z wrażenia.

Dziwne. Przecież ten człowiek zupełnie nie był w jej typie. Trudno o kogoś bardziej różnego od Harry’ego, a mimo to poczuła przypływ zainteresowania. Nie, to pewnie przez to niewyspanie. Jeszcze nie doszła do siebie po podróży, to wszystko.

– Słyszysz pani? – Wyprostował się gwałtownie, wyrывая Theę z zamyślenia.

– Co takiego?

– Sophie się śmieje.

ROZDZIAŁ DRUGI

Spojrzała w kierunku basenu. Dziewczynki wskakiwały do niego, wychodziły po drabince i znów wskakiwały do wody, chlapiąc, piszcząc i chichocząc.

– Teraz zrobią się z nich papużki-nerozłączki – stwierdziła spokojnie. – Obawiam się, że będzie pan rzadziej widywał Sophie, niż pan planował.

– Nie szkodzi. Najważniejsze, żeby była szczęśliwa. Musiał naprawdę bardzo kochać córkę, chociaż chyba należał do tego typu mężczyzn, który uznaje emocje za niemęskie i woli nie przyznawać się do nich. Thea dopiła kawę i podniosła się zza stołu.

– Ogromnie dziękuję za śniadanie. Teraz, kiedy poratował mnie pan porządną dawką kofeiny, mogę ponownie zmierzyć się z tą koszmarną drogą do miasteczka.

– Tak się składa, że ja też się tam wybieram na zakupy, więc po co jechać w dwa samochody? – spytał, wstając. – Może pani zabrać się z nami, jeśli ma pani ochotę.

Miała wielką ochotę, ponieważ na samą myśl o tych serpentynach robiło jej się słabo, a mimo to zawahała się.

– To bardzo miło z pańskiej strony, lecz to naprawdę byłoby wykorzystywaniem pana... Już i tak zawdzięczamy panu wspaniałe śniadanie, a co pan dostał w zamian? Pobudkę o piątej rano i rysy na lakierze. Kiepsko pan wychodzi na tej znajomości – zażartowała z lekkim zakłopotaniem.

W odpowiedzi osłonił ucho dłonią i znów posłuchał dobiegających znad basenu wybuchów radości.

– Sophie śmieje się po raz pierwszy od tygodnia i chyba naprawdę dobrze się bawi. W porównaniu z tym drobny poczęstunek i zaoferowanie miejsca w samochodzie to naprawdę nic.

– Cóż, skoro tak pan stawia sprawę...

– W takim razie postanowione – skwitował. – Pójdę namówić dziewczynki, żeby na razie wyszły z basenu. Możemy się umówić za pół godziny? Wystarczy pani?

– O, w zupełności.

Konieczność musiała się przebrać, za nic nie usiadł przy nim w samochodzie w tych szortach. Och, mieć zgrabne uda bez śladu cellulitu i nie musieć się przejmować, jak będą wyglądały rozpląszczone na siedzeniu samochodu!

Oczywiście nie było powodu, dla którego Rhys w ogóle miałby patrzeć na jej nogi. Niepotrzebnie się przejmowała. To z pewnością nawyk, wytłumaczyła sobie, wyrzucając wszystko z walizki. Przy Harrym nieustannie musiała dbać o swój wygląd, ponieważ on zauważał każde niedociągnięcie i ciągle wspominał, jak nienagannie prezentuje się Isabelle.

Na myśl o Isabelle skrzywiła się, lecz po raz pierwszy nie poczuła dojmującego bólu. Może Nell faktycznie miała rację, doradzając jej zmianę scenerii?

– Nie możesz siedzieć z nieszczęśliwą miną i czekać, aż Harry wreszcie raczy się zdecydować. Wyjedź dokądś! Poznaj nowych ludzi, zacznij myśleć o czymś innym.

Na przykład o wesołych błyskach w oczach Rhysa... Nie, wcale nie spodobał jej się jako

mężczyzna! To tylko reakcja na kogoś nowego – od roku zaprzętał ją wyłącznie Harry i związane z tym problemy. W dodatku wakacyjny sąsiad, choć sympatyczny, nawet nie był w jej typie.

Co nie oznaczało, że miała przy nim wyglądać byle jak.

– Co mam włożyć? Sukienkę czy spódnicę i bluzkę? – Pokazała ubrania Clarze, która właśnie weszła do pokoju, ociekając wodą z basenu.

– Sukienka jest ładniejsza, ale pognieciona.

– To len, on zawsze jest trochę pognieciony, taka jego uroda – wyjaśniła Thea, zadowolona, że siostrzenica jej doradziła. Miała gust po matce, więc mimo bardzo młodego wieku warto było liczyć się z jej opinią w podobnych sprawach.

– Idziemy gdzieś?

– Pan Kingsford nic ci nie mówił? Podwozi nas do miasta, zrobimy zakupy.

Gara obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem. – I to na zakupy tak się stroisz?

– Wcale się nie stroję, po prostu zakładałam sukienkę.

– Ale umalowałaś usta.

– Przecież często używam szminki – broniła się Thea.

– Tata Sophie jest całkiem fajny, nie?

Tym razem Thea łypnęła na siostrzenicę podejrzliwie, zaskoczona tak nagłą zmianą tematu.

– Owszem, sprawia miłe wrażenie.

– A myślisz, ciociu, że jest przystojny? Cóż, nie mógł się równać z Harrym, ale...

– Brzydki nie jest.

Nie wątpiła, oczywiście, do czego mała zmierza, ponieważ już wielokrotnie próbowała ją swatać, podobnie zresztą jak Nell. Cały czas namawiały Theę na znalezienie sobie kogoś innego. Jeśli Clara uweźmie się, by skojarzyć ciotkę z Rhysem, Theę czeka masa kłopotliwych sytuacji.

– Sophie mówi, że jej tata jest cały czas niezadowolony i się gniewa, ale to chyba nieprawda – ciągnęła niezadowolona Clara. – Ma takie wesołe oczy.

– Nie przyglądałam się – skwitowała Thea, która też to zauważyła.

– Ciociu, weź go sobie na chłopaka – zaproponowała dziewczynka, decydując się postawić sprawę wprost. – Wiem od Sophie, że on nie ma żadnej dziewczyny.

Thea oczywiście zapamiętała tę informację, choć nie zdradziła najmniejszego zainteresowania, gdy bystre oczy siostrzenicy zdawały się przewiercać ją na wylot.

– Nie szukam chłopaka, wciąż kocham Harry’ego. Zresztą nie zmienia się partnera tak z dnia na dzień.

– Ten byłby dla ciebie dużo lepszy!

– Przykro mi cię rozczarować, ale nie jest w moim typie.

– Przynajmniej spróbuj!

– Claro, jedziemy na zakupy, a nie na podryw. Biegnij się przebrać. Aha, nie wygaduj podobnych rzeczy przy panu Kingsfordzie lub przy Sophie, bo będę na ciebie naprawdę zła – zagroziła, co nie wywarło na siostrzenicy najmniejszego wrażenia.

Skoro nie musiała prowadzić, Thea mogła podziwiać malownicze krajobrazy. I podziwiałaby, gdyby jej wzrok co chwilę nie biegł w kierunku Rhysa. Przyjemnie się z nim jechało. Jego dłonie pewnie spoczywały na kierownicy, prowadził płynnie i bardzo spokojnie. Nie to, co ona, której myliły się biegi, która denerwowała się na innych kierowców i wpadała w panikę, nie pamiętając, czy ma jechać normalnie lewą stroną drogi, czy też prawą.

I nie to, co Harry – ten z kolei nie mógł znieść, gdy ktoś jechał przed nim lub próbował wyprzedzić jego wystrzałowy wóz.

Z Rhysem czuła się bezpiecznie. Pewnie dałby sobie radę nawet w odrzutowcu, gdyby obaj piloci zachorowali czy zasłabli. Widziała niedawno taki film. Pasażerowie wpadli w panikę i w końcu to główna bohaterka musiała sprowadzić samolot na ziemię, chociaż nie miała żadnego doświadczenia i bała się bardzo. Gdyby na pokładzie znajdował się Rhys, bez problemu przejąłby stery i spokojnie wylądował.

Tak, ale wtedy film byłby nudny...

Nie, dlaczego? Wystarczyłoby, żeby między Rhysem a bohaterką – w tej roli reżyser powinien obsadzić kogoś podobnego do Thei – zaczęło coś iskrzyć. W którejś ze scen znaleźliby się razem w pokoju hotelowym i okazałoby się, że w recepcji nastąpiła pomyłka, więc w rezultacie muszą spać w jednym łóżku, i żadne z nich nie miałyby piżamy, więc Rhys by powiedział: „Po co marnować okazję?”, na co Thea...

Ratunku, o czym ona myśli? Otrząsnęła się, uświadamiając sobie ze zgrozą, że przez te głupie fantazje przez moment naprawdę... miała ochotę.

– Proszę się nie denerwować, niedługo będzie po wszystkim – odezwał się nagle Rhys, a ona aż podskoczyła.

– Słucham?

Uśmiechnął się do niej uspokajająco.

– Najgorszy odcinek drogi już za nami, zaraz dojedziemy. Bez słowa skinęła głową.

W supermarkecie rozdzielili się. Sophie posnuła się za ojcem, wzruszając ramionami, gdy pytał, co by chciała, podczas gdy Thea i Clara łąpały sobie głowy nad greckim alfabetem, próbując rozszyfrować nazwy produktów.

– Trudno, będziemy się kierować rysunkami – oznajmiła Thea, wrzucając do koszyka puszki z wizerunkiem ryby, która równie dobrze mogła być tuńczykiem, jak sardynką.

– On cię chyba lubi, ciociu – zdradziła Clara teatralnym szeptem. – Widziałam, jak się do ciebie uśmiechał w samochodzie.

– Óóó! – Thea pokazała gestem, że tamci dwoje mogą znajdować się w sąsiedniej alejce, lecz siostrzenica w ogóle się nie przejęła.

– Zaprośmy ich na kolację.

– Nie, to nie jest dobry...

– Mama na pewno by powiedziała, że powinnyśmy się odwdziaczyć za śniadanie – nalegała Clara.

– Naprawdę nie przyjechałam na wakacje po to, żeby stać przy garnkach.

– Ja ci pomogę. I możemy zrobić coś prostego. Tata Sophie na pewno się ucieszy, bo on strasznie lubi domowe jedzenie, ale sam umie przyrządzić tylko trzy potrawy – zdradziła

zdobyte informacje.

W końcu Thea dała się przekonać.

Kiedy cała czwórka zaniósła zakupy do samochodu, Rhys zaproponował pójście na lunch do sympatycznej tawerny na rynku, gdzie stoliki znajdowały się w cieniu rozłożystego płatanu. Thea przyklasnęła pomysłowi, ponieważ zdążyła znowu zgłodnieć. Zamówiła souvlaki, frytki i ogromną porcję sałatki z fetą. Korzystając z okazji, przekazała zaproszenie na kolację.

– Przyjdziemy z największą chęcią – odparł bez namysłu Rhys. – Prawda, Sophie?

– Przynajmniej nie trzeba będzie jeść z tym głupim Damianem i Hugonem – mruknęła.

Ojciec spiorunował ją wzrokiem.

– Z kim? – zdziwiła się Thea.

– To synowie Paineów, którzy wynajmują trzeci domek. Oni również przyjechali tu na trzy tygodnie. Są bardzo gościnni. Według Sophie aż za bardzo.

– Ty też ich nie lubisz – wytknęła mu córka, robiąc nadąsaną minę.

Zaprotestował, oczywiście, lecz nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

– Czy możemy iść z Sophie do kiosku z pocztówkami, zanim przyniosą nam jedzenie? – spytała Clara.

Thea podejrzewała, że tak naprawdę chodziło o to, by ona została sama z Rhysem, lecz przecież nie mogła siostrzenicy nic powiedzieć w obecności tamtych dwojga.

– Dobrze, ale zaraz wracajcie.

Dziewczynki pobiegły, i zostali we dwoje. Zapanowało trochę kłopotliwe milczenie. Stolik, przy którym siedzieli, był malutki, więc spoczywająca na kraciatej serwecie ręka Rhysa znajdowała się tak blisko dłoni Thei, że... że miała ochotę jej dotknąć. Wystarczyłby naprawdę drobny ruch, by przykryć jego dłoń swoją.

O czym ona myślała? Przecież jeszcze poprzedniego dnia zajmował ją wyłącznie Harry, a w obecności nowego znajomego ledwie mogła sobie przypomnieć jego niesamowicie atrakcyjne rysy.

Kelner przyniósł miseczkę z oliwkami i butelkę retsiny. Rhys nalał alkohol do szklaneczek i wzniosł toast:

– Za miłe wakacje... Theo.

– Za miłe wakacje... Rhys.

Ich oczy spotkały się, lecz ona czym prędzej odwróciła wzrok pod pretekstem sięgnięcia po wielką zieloną oliwkę, w którą zaraz wbiła zęby.

– Naprawdę nie lubisz naszych sąsiadów? – spytała po chwili. – Tych, jak im tam? Paineów?

Na jego twarzy odbiło się zakłopotanie.

– Są bardzo... – zastanowił się nad doбором słowa – ... uprzejmi.

– Ale? – przycisnęła go.

– Ale mogliby dać człowiekowi trochę odetchnąć. Zwłaszcza Kate. To jedna z tych osób, które uważają, że każdy musi mieć partnera. Mój wolny stan odbiera jako rodzaj osobistego afrontu, nie wiem, czemu, lecz właśnie takie wrażenie odnoszę. Nawet gdybym chciał

ponownie się ożenić, to niby gdzie, jej zdaniem, miałem sobie znaleźć żonę? Na Saharze? – zakończył z przekąsem.

– O, nie! – Thea jęknęła. – Nie mów mi tylko, że nawet podczas wakacji na Krecie musiałam trafić na ten typ ludzi. Według nich pozostawanie singlem to oznaka złośliwego egoizmu, bo mają przez to kłopot, jak na przyjęciu usadzić gości przy stole, no i jeszcze muszą wymyślić, kogo doprosić w ramach przeciwwagi.

– Widzę, że mamy podobne doświadczenia – zauważył z humorem Rhys.

Odłożyła pestkę na brzeg talerza i sięgnęła po kolejną oliwkę.

– Cóż, dzięki za ostrzeżenie, przynajmniej będę wiedziała, czego się spodziewać. Nie martw się, znajdziemy ci kogoś. Nie możesz tak zwlekać, bo co z dziećmi, przecież zegar biologiczny tyka... – cytowała ponuro.

– Ty chyba nieczęsto słyszysz takie uwagi.

– Skąd to przekonanie? Zdumiał się.

– No jak to? Taka kobieta jak ty na pewno zawsze kogoś ma.

Taka kobieta jak ona? To znaczy jaka?

– Nie, z reguły właśnie nie mam.

Nawet będąc z Harrym, czuła się trochę tak, jakby dalej pozostawała sama... Sięgnęła po szklaneczkę z retsiną i pociągnęła spory łyk.

Rhys przyglądał się chmurze brązowych włosów, która otaczała pełną życia twarz Thei, oczom w ciepłym odcieniu szarości, zmysłowym ustom i bujnym, szalenie kobiecym kształtom.

– Nigdy bym na to nie wpadł.

Zaskoczona, spojrzała na niego, zarumieniła się lekko i czym prędzej odwróciła wzrok. Och, nie powinna tak się peszyć, przecież on tylko starał się być miły. Miał powiedzieć prawdę? „Zrzuć parę kilo i zrób coś z tymi włosami, to może kogoś znajdziesz”.

– Ty przynajmniej jesteś rozwiedziony i masz córkę, więc nie musisz udowadniać, że z tobą wszystko w porządku. Ja w oczach takich ludzi jestem bardzo podejrzana.

– Wcale nie mam lepiej, bo Kate nie przepuści nikomu – sprostował z krzywym uśmiechem. – Co i rusz wyskakuje z jakąś kolejną przyjaciółką, którą koniecznie muszę poznać.

– A nie możesz po prostu odmawiać?

– Gdyby to było takie łatwe! Paineowie od dawna przyjaźnią się z Lyndą i właśnie dlatego znaleźliśmy się tutaj z Sophie. Mieli jechać na wakacje z inną rodziną, wynajęli razem dwa domki, lecz tamci z jakichś powodów zrezygnowali, a wtedy Kate i Nick zaproponowali wspólne wakacje Lyndzie i Sophie. Lynda ma jednak w tym czasie jakąś konferencję, ustaliliśmy więc, że to ja pojedę. Wydawało mi się to całkiem dobrym pomysłem, bo dzięki temu Sophie miała zapewnione towarzystwo znajomych dzieci. Gdybym więcej się nią przedtem zajmował, wiedziałbym, że ona ich nie cierpi...

– Zaczynam rozumieć – mruknęła Thea.

– Jest nawet gorzej, niż myślisz – ciągnął. – Paineowie ciągle starają się nami zajmować i dostarczać nam rozrywek. Co gorsza, moja była żona widać zwierzała się przyjaciółce, bo ta

wie wszystko o moim małżeństwie i rozwodzie. Chyba nie muszę ci mówić, jak się z tym czuję. Ale nie mam jak rozluźnić tej znajomości, jeśli nie chcę obrazić zaufanych przyjaciół Lyndy.

– Koszmar – rzekła ze współczuciem.

Sięgnął po karafkę z retsiną i nalał Thei drugą kolejkę.

– Żebyś wiedziała! Do Kate nie trafia tłumaczenie, że jestem dorosły i potrafię sam zakrzętać się wokół moich spraw. Już sporządziła listę samotnych przyjaciółek, którym mnie przedstawi po naszym powrocie do Londynu. Jak sobie wyobraziłem te niezliczone kolacyjki, w których będę musiał brać udział, poznając kolejne kobiety pod okiem Paine'ów, zrobiło mi się gorąco. Zdradziłem jej więc, że już spotkałem pewną wyjątkową osobę, tylko dotąd nie afiszowałem się z tym.

Zrobiło jej się dziwnie ciężko na sercu, lecz wołała nie roztrząsać przyczyn tego zjawiska. , – Naprawdę spotkałeś? Parsknął niewesołym śmiechem.

– Niby gdzie i kiedy? Przez pięć lat harowałem na pustyni, kilka tygodni temu wróciłem do kraju i cały ten czas zszedł mi na załatwianiu nowej pracy, znalezieniu nowego domu i próbach przekonania mojej córki, by zaczęła ze mną rozmawiać.

– Czyli skłamałeś – stwierdziła, rozpogadzając się ponownie.

– Zostałem do tego zmuszony – bronił się, przybierając minę męczennika.

Thea wybuchnęła śmiechem i sięgnęła po swoją szklaneczkę.

– To w sumie znakomity pomysł, pozwól, że też z niego skorzystam. Gdy Kate będzie chciała porwać mnie w swoje szpony, opowiem jej o kochającym narzeczonym, który czeka w Anglii na mój powrót.

– A może chciałabyś zostać moją dziewczyną?

Zamarła w pół gestu.

– Słucham?

– Skoro i tak mamy oboje przed nią udawać, to połączmy siły. Ona może podejrzewać, że zełgałem, ale jak cię zobaczy, będzie musiała dać mi spokój.

– Przecież będzie wiedziała, że to nie ja – zaoponowała, nie potrafiąc odgadnąć, czy Rhys mówi serio, czy tylko żartuje.

– Skąd? Nie wchodziłem w takie szczegóły, jak imię, wygląd, zawód... Ograniczyłem się do stwierdzenia, że kogoś mam. Nie byli świadkami twojego przyjazdu i naszego pierwszego spotkania. Z samego rana wyjechali na całodniową wycieczkę, nie mają pojęcia, kto wynajął trzeci domek.

Minę miał poważną, lecz oczy mu się śmiały, więc Thea doszła do wniosku, że to tylko żarty. Napila się retsiny i postanowiła dla zabawy pociągnąć ten żart dalej.

– Kate nie uwierzy. Przecież uprzedziłbyś ją o moim przyjeździe.

– Może sam nie wiedziałem? Postanowiłaś zrobić mi niespodziankę.

– Zwalając ci się na głowę podczas wyjazdu, który chciałeś spędzić tylko z córką? Naprawdę chciałbyś mieć tak nietaktowną dziewczynę?

Wciąż starał się zachowywać kamienny wyraz twarzy, lecz kącik ust zadrgał mu podejrzenie.

– Moja dziewczyna ma bardzo dużo wycucia. Pierwotnie mieliśmy spędzić wakacje razem, lecz tobie coś wypadło i nie mogłaś przyjechać. Dopiero teraz ci się udało.

– Czemu jednak wynajęłam osobny domek? Bo przecież sypiamy ze sobą, prawda? – zażartowała.

Spojrzał na jej szerokie usta, wiecznie skłonne do uśmiechu, z trudem powstrzymał się od zerknięcia jej w dekolt.

– O, zdecydowanie.

Thea zarumieniła się po same uszy.

– To świetnie – skwitowała, chociaż nie tak lekkim tonem, jak zamierzała. – Nie chcę, by Kate pomyślała, że nie masz na mnie ochoty.

– Bez obawy.

Thea nakazała sobie odwrócić wzrok. Bezskutecznie.

Natychmiast przestań patrzeć mu w oczy, powtórzyła sobie surowo i z największym trudem posłuchała samej siebie. Przecież tylko żartowali, więc skąd te nagłe trudności z oddychaniem?

– Aha, więc chodzi ci tylko o seks! – Z dezaprobatą potrząsnęła głową, a nieposłuszne włosy zawirowały wokół jej twarzy. – Myślałam, że mnie kochasz!

– Bo cię kocham. Do szaleństwa. Czekałem na ciebie przez całe życie.

Jak mógł mówić podobne rzeczy z taką łatwością i tak spokojnie? Wcale jej się to nie podobało. Wcale a wcale. Ona nie słuchała podobnych słów z równym spokojem.

– To czemu muszę mieszkać w innym domku, skoro tak mnie kochasz? – spytała nieco ostro.

– Ponieważ z powodu wypadku siostry musiałaś zabrać ze sobą Clare i bałaś się, że się nie pomieścimy we czwórkę.

Zmarszczyła nos.

– Po pierwsze, jest dość miejsca, a ja wiedziałam, co wynajmuję. Po drugie, wystarczyłyby nam w sumie tylko dwa pokoje, bo dziewczynki mogłyby dzielić sypialnię. Trzeba by znaleźć inny powód... Mam! – Dramatycznie zawiesiła głos.

Rhys z rozbawieniem uniósł brew.

– Dawaj.

– Nie powiedziałaś o mnie Sophie, bo przecież chcesz ją do siebie przekonać, a bałaś się, jak ona zareaguje na wiadomość, że masz kogoś.

Skinął głową.

– To by mogło być... Mów dalej. Zastanowiła się głęboko.

– Mam dość tej sytuacji. Jeśli naprawdę tak mnie kochasz, jak mówisz, czemu nie miałbyś wreszcie poznać mnie ze swoją córką? Ale ty ciągle powtarzasz, że to za wcześnie.

– Bo jeszcze nie przywykła do mnie, nie można jej bombardować taką ilością nowych wyzwań w tak krótkim czasie.

– W porządku, lecz ja postrzegam trzymanie mnie z dala od Sophie jako typowo męskie uchylanie się od wejścia w naprawdę poważny związek. Chcę ją poznać, chcę stać się częścią twojego życia. Postanowiłam cię przycisnąć, żebyś się wreszcie zdecydował. Ponieważ

jednak nie jestem pewna twojej reakcji, na wszelki wypadek wynajęłam sąsiedni domek. Zmarszczył brwi.

– Nie boisz się, że będę wściekły?

– Postanowiłam zaryzykować. Gdybyś nawet się rozzłościł, nie będziesz mógł mnie zignorować i będziesz musiał przedstawić mnie córce, choćby jako twoją znajomą. – Do tego stopnia wciągnęła się w wymyślaną historię, że prawie poczuła do Rhysa żal o takie trzymanie jej na dystans. – Kiedy zaś dopnę swego, nie będę ci się wcale narzucać, zamierzam chodzić z Clarą na plażę i być zupełnie niezależna. Nie czując dłużej presji, szybko przestaniesz się na mnie złościć. – Popatrzyła na niego z satysfakcją, całkiem dumna ze swej pomysowości. – I co ty na to?

We wzroku Rhysa wyczytała nieklamany podziw.

– Moim zdaniem Kate da się nabrać. A jak ona da się nabrać, inni to już małe piwo!

Wybuchnęli śmiechem, lecz nagle Thea spostrzegła, jak on poważnieje i przygląda jej się dziwnym wzrokiem. Śmiech zamarł jej na ustach.

– Chyba nie mówiłeś tego wszystkiego serio?

ROZDZIAŁ TRZECI

Rhys ocknął się z zapatrzenia.

– Nie, coś ty – zapewnił. – Jak mógłbym cię prosić o coś podobnego? Czekaj, naleję ci jeszcze.

Powinna była zaprotestować, gdyż chyba wypła już wystarczająco dużo. Pewnie to przez alkohol wciąż siedziała z zupełnie obcym człowiekiem przy stoliku, żartując sobie w podobny sposób.

W milczeniu sęczyli retsine, zastanawiając się nad tym zwariowanym pomysłem. Musieliby naprawdę upaść na głowę, zadając sobie tyle trudu tylko po to, by uniknąć nieznośnych uwag osoby, która nic dla nich nie znaczyła.

– Byłoby strasznie głupio, gdyby się wydało, że tylko udajemy – mruknęła Thea, jakby kontynuując na głos rozmowę prowadzoną w myślach.

– Pewnie, ale inaczej trzeba będzie spędzić całe wakacje, kombinując, jak się wykręcić od kolejnego wspólnego obiadu.

– I jak wytłumaczyć, czemu nie mam faceta – dodała ponuro.

Znowu zapadła cisza.

– Naprawdę sądzisz, że dałoby się ich nabrać? – spytała Thea.

– Czemu miałoby się nie udać?

– Musielibyśmy udawać zakochanych.

– No, musielibyśmy.

Spojrzeni na siebie i jednocześnie odwrócili wzrok.

– Właściwie nie jest to chyba aż taki wielki problem – rzekła, starając się przekonać samą siebie. – Nawet gdybyśmy naprawdę byli parą, nie całowalibyśmy się namiętnie przy wszystkich.

– Pewnie, że nie. – Odchrząknął. – Ale od czasu do czasu musiałbym cię objąć albo coś. Nie masz nic przeciw temu?

Thea wzruszyła ramionami, by ukryć nagły dreszcz.

– Jakoś to zniosę – rzuciła z udawaną nonszalancją. Nie, nie miała nic przeciw temu. Nawet była za.

– To co robimy?

– Jeśli jesteś zdecydowany, to ja też.

– Na pewno?

– Tak. W końcu to niewinne łgarstwo, nawet jeśli się wyda, nikomu nie będzie przykro. Chyba, że jest jakaś dziewczyna...? – zawiesiła głos.

– Nie, nie ma. A czy jest jakiś facet, który może się zniecka zjawić i zrobić scenę zazdrości?

Próbowała sobie wyobrazić Harry'ego, który mierzy Rhysa wściekłym spojrzeniem, widząc w nim rywala. Nie udało jej się. Harry w ogóle nie okazywał zazdrości o nią.

– Nie, nie zrobi tego. Rhys milczał przez chwilę.

– Czyli jednak masz chłopaka?

– Nie jestem pewna.

– Jak możesz nie być pewna? – spytał z niebotycznym zdumieniem.

Westchnęła, machinalnie powiodła palcem wzdłuż brzegu pustej już szklaneczki.

– Spotkałam Harry’ego rok temu i zakochałam się z miejsca. Mężczyzna jak marzenie. Niesamowicie przystojny, czarujący, bardzo modny, a do tego bezgranicznie wprost uczciwy i szczerzy. Opowiedział mi o tym, jak zerwał z poprzednią dziewczyną i jak wciąż czuje się z nią związany. Isabelle stanowi moje zupełne przeciwieństwo.

– Spotkałaś ją?

– Nie, ale wystarczająco często o niej słyszałam. Jest drobna i śliczna, ma stresującą pracę w wielkiej korporacji, co zresztą wcale jej dobrze nie robi, bo i tak jest kompletną neurotyczką. – Uśmiechnęła się krzywo. – Oczywiście Harry tak nie mówi, to moja diagnoza.

– Przy takiej osobie jak ty musiał więc odczuć ulgę – stwierdził Rhys, starannie dobierając słowa.

– Faktycznie, na samym początku powiedział mi coś podobnego, lecz podejrzewam, że tak naprawdę wydaję mu się trochę nudna po tych wszystkich scenach i histeriach, które serwowała mu Isabelle. Rozstali się w przyjaźni, obiecując sobie w razie potrzeby wzajemną pomoc, z czego ona cały czas korzysta. Gdy tylko ma jakieś problemy, dzwoni do Harry’ego, a on rzuca wszystko i leci ją ratować. – Wbiła wzrok w blat stołu.

– Na pewno nie jest to dla ciebie łatwe. Wzruszyła ramionami.

– Nie, ale co zrobić? Oni się przyjaźnią, więc Harry chce być w porządku wobec niej.

– Przede wszystkim powinien być w porządku wobec ciebie – zawyrokował stanowczo.

Zaskoczona, uniosła głowę.

– Jakbym słyszała Nell! – Westchnęła, znowu się zgarbiła. – Sama już nie wiem... Chyba wystarczało mi, że zawsze wracał i zapewniał mnie o swoim uczuciu. Dawałam się przekonać, bo chciałam w to wierzyć.

– Co się więc stało, że przestałaś być pewna, czy jesteście parą? – spytał ostrożnie.

– Mieliliśmy jechać razem na wakacje, wyszukałam taki uroczy domek w Prowansji... Na miesiąc przed wyjazdem Harry zaczął mówić o przełożeniu go na inny termin. Co się stało? Otóż Isabelle miała mieć operację stopy. Nic poważnego, lecz zażądała, by podczas jej rekonwalescencji Harry podlewał jej kwiatki, karmił kotka, robił jej herbatkę i generalnie tańczył wokół niej. – Wydeła policzki i głośno wypuściła powietrze, dając ujście frustracji. – Przepraszam, nie chciałam być złośliwa. Na pewno nie zaplanowała sobie tej operacji specjalnie w terminie naszego wyjazdu. Mimo to była to kropla, która przepełniła czarę.

– Kazałaś Harry’emu wybrać między wami?

– Mniej więcej.

Wolałaby nie przypominać sobie tamtego koszmarnego dnia. Była śmiertelnie zdenerwowana czekając ją rozmową. Miała wrażenie, że własnymi rękami niszczyła swoją jedyną szansę na prawdziwe szczęście.

– Harry powiedział, że jest nieustannie rozdarty między nami, czuje się winny oraz przytłoczony sytuacją. Zaproponowała mu więc czas do namysłu. Przystał na to.

– I?

– I z tego, co wiem, nadal się zastanawia.

– A ty jesteś w tym czasie zawieszona w próżni, nie wiedząc właściwie, czy masz faceta, czy nie?

Usłyszawszy w jego głosie ostry ton, zerknęła na Rhysa ze zdziwieniem. Wyglądał, jakby był zły. Ale o co? Przecież ta cała sytuacja nie dotyczyła go w najmniejszym stopniu.

– Cóż, nie mogę go poganiać. Nie pojechałam więc do Prowansji, za to moja siostra wysłała mnie ze swoją córką na Kretę. No i jestem!

– Przykro mi, że wakacje nie ułożyły się po twojej myśli, ale ze względu na siebie jestem ogromnie zadowolony, że jednak trafiłaś tutaj.

Zrobiło jej się przyjemnie ciepło w środku.

– Nie tyle ja, co Clara.

– Ty też. Jeszcze cieplej.

– Ja też się cieszę z przyjazdu. – Objęła gestem malownicze domki, kolorowe kwiaty w doniczkach, Greków o spalonych słońcem twarzach i, zupełnie bezwiednie, swego towarzysza. – Bardzo mi się tu podoba.

– Wiesz, dobrze, że powiedziałas mi o Harrym. To ułatwia sprawę.

– Nie rozumiem.

– Bo dzięki niemu nie istnieje niebezpieczeństwo... No, żadne z nas nie weźmie naszego udawania... na poważnie – wyjaśnił nieco niezdarne, jakby nie był pewien jej reakcji.

– Ach, o to ci chodzi. Nie, skąd! – zapewniła z żarem. – Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

– W takim razie przypieczętujemy umowę. – Z uśmiechem wyciągnął dłoń.

Thea zawahała się. Wolałaby go nie dotykać, nawet w tak prosty i zwyczajny sposób. Bała się, że nie będzie miała ochoty go puścić... Nie miała jednak wyjścia, jeśli nie chciała wyjść na idiotkę. Szybko podała mu rękę i ku zaskoczeniu Rhysa cofnęła ją, nim zdążył ją uścisnąć.

Sięgnął po swoją szklaneczkę i wznosił toast:

– Za szczęśliwe udawanie!

Napili się. Nagle Thea ściągnęła brwi.

– Czekaj, nie przemyśleliśmy sprawy do końca. Musimy też wciągnąć do spisku dziewczynki. O Clarę się nie martwię, ale co z Sophie? Przecież wie, że nie jesteśmy parą.

– Z nią nigdy nic nie wiadomo – rzekł z westchnieniem. – Jeśli pomysł jej się nie spodoba, będziemy musieli z niego zrezygnować. W każdym razie na pewno nie wygada się przed Kate, co planowaliśmy. Nie cierpi jej i bardzo niegrzecznie się do niej odzywa. Częściowo to wina samej Kate – dodał w obronie córki. – Cały czas krytykuje Sophie, najchętniej porównując ją do swoich synów, oczywiście na ich korzyść. – Nagle ożywił się. – O, nasz lunch!

Przy ich stoliku zjawił się kelner z hojnie zastawioną tacą. Clara, która miała szósty, a może nawet siódmy zmysł, gdy chodziło o jedzenie, już pędziła przez rynek. W ślad za nią biegła nowa przyjaciółka.

– Umieram z głodu! – oznajmiła gromko Clara, klapnawszy na krzesło.

Sophie nic nie powiedziała, lecz chwyciła sztucze z niezwykłym jak na nią wigorem i wbiła je w przyrumienione mięso kurczaka. Na jej bladej twarzyczce pojawiły się zdrowe rumieńce, oczy zaczęły żywiej błyszczeć. Rhys przyglądał się temu, lecz rozsądnie powstrzymał się od wszelkich komentarzy na temat lepszego apetytu córki.

Gdy skończyli jeść, niby od niechcienia opowiedział dziewczynkom, co wymyślili podczas ich nieobecności. Thea słuchała go z prawdziwym podziwem. Przedstawił to w taki sposób, jakby podobne machinacje w celu uniknięcia niechętnych sąsiadów były czymś zupełnie naturalnym. Ba, niemal wskazanym.

– Bomba! – zawyrokowała z podekscytowaniem Clara.

– Tylko pamiętajcie, że to nasza wspólna tajemnica. Nie musicie robić nic specjalnego, by plan się powiódł, już my się tym zajmiemy, ale nie wolno wam nas zdradzić – tłumaczył z powagą Rhys. – Co wy na to? Zgadzacie się?

Clarze aż błysnęły oczy.

– No pewnie!

– A ty, Sophie? Nie masz nic przeciwko temu?

Mała wyraźnie nie była pewna, co myśleć, lecz entuzjazm przyjaciółki przechylił szalę na korzyść pomysłu.

– Nie.

Jak na Sophie, która dotąd w ogóle odmawiała udzielania ojcu jakichkolwiek wiążących odpowiedzi, to było naprawdę coś.

– Ale ciocia powinna być pana narzeczoną, a nie dziewczyną – wtrąciła Clara.

– Nie przesadzajmy – zbeształa ją Thea.

– Tak będzie lepiej. Ta okropna pani może pomyśleć, że wy nie chodzicie ze sobą na poważnie i dalej nie da nam spokoju.

Rhys spojrzał na nią z prawdziwym uznaniem.

– Dobrze mówisz. Nie tak łatwo pozbyć się Kate, musimy ją naprawdę zniechęcić do urządzania nam życia na jej modłę. – Podniósł wzrok na Theę. – Właściwie co to za różnica? I tak udajemy, i tak.

Różnica była taka, że to dodatkowo zachęcało Clarę do swatania ich na siłę, co nieuchronnie musiało prowadzić do kłopotliwych sytuacji. Oczywiście Thea nie zamierzała wyjawiać Rhysowi pomysłu swojej siostrzenicy.

– Cóż, skoro powiedziało się A, trzeba powiedzieć B – przyznała z rezygnacją, co wywołało triumfalny uśmiech na twarzy jej siostrzenicy.

Rhys, dla odmiany, zafrasował się.

– Tylko co z pierścieniem? – mruknął i ku zgrozie Thei pytająco spojrzał na Clarę. Na litość Boską, radził się w takich sprawach dziewięcioletniej dziewczynki?

– Zareczyliśmy się dziś rano – zmyśliła na poczekaniu, ubiegając odpowiedź siostrzenicy.

– Tak się ucieszyłeś na mój widok, że łuski spadły ci z oczu, zrozumiałeś, że nie możesz beze mnie żyć i oświadczyłeś się.

Popatrzył na nią, jakby upadła na głowę.

– O piątej rano?

Chyba faktycznie przesadziła, jaki facet wyrzekałby się wolności tak na wariata? Czy zresztą ona chciałaby usłyszeć oświadczyzny, kiedy leciała z nóg po męczącej podróży? Nieumalowana? Nieświeża? W żadnym wypadku.

– W porządku, zaręczyliśmy się rano, gdy byłeś wyspany, wypoczęty i zdążyłeś wszystko przemyśleć i dojść do wniosku, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

Zapadła dziwna cisza, w której ostatnie słowa Thei wydawały się rozbrzmiewać w nieskończoność. Pierwszy opamiętał się Rhys.

– W takim razie to jest nasze przyjęcie zaręczynowe – oświadczył.

– Wszystkiego dobrego! – Gara chwyciła szklanę z sokiem i wzniosła toast.

Ciocia łypnęła na nią, Rhys zaśmiał się i trącił się z dziewczynką swoją szklaneczką, więc Thei nie pozostało nic innego, jak zrobić to samo. Po chwili wahania Sophie przyłączyła się do zabawy. Powtórzyła nawet za Clarą życzenia „wszystkiego dobrego”, a kiedy potem uśmiechnęła się, Thea poczuła się tak, jakby udało im się zdobyć Mount Everest. Postęp był zdumiewający!

– Wiesz, Sophie, mogłabyś udawać, że mnie nie lubisz – podsunęła, starając się wciągnąć dziewczynkę do rozmowy z dorosłymi. – Mogłabyś na mój widok robić taką minę, o!

– Zmarszczyła się straszliwie i spojrzała spode łba. Zaskoczona Sophie zachichotała niepewnie.

– A jak nie będę pani lubić, to czy mogę się bawić z Clarą?

– Ale Sophie nie może cię nie lubić, bo jesteś moją ukochaną ciocią. I na pewno chce, żeby jej tata cię lubił – zaproponowała Clara i zaczęła opowiadać, niby to zwracając się do przyjaciółki, lecz naprawdę co i rusz zerkała na Rhysa: – Ciocia Thea jest super! Szkoda, że mój tata nie ożenił się z kimś takim. Moja macocha jest taka nuuuudna... Jak u nich jestem, to nie wolno bałaganić, przymierzać jej ubrań ani pomalować się jej szminką. Z nią nie da się tak fajnie gadać jak z ciocią Theą. No i nie gotuje tak pysznie. Mówi, że jedzenie ma być zdrowe i chude. Blee... Za to ciocia Thea...

– Dobrze, wystarczy – przerwała jej tę reklamę swojej osoby. Jak ta mała swatka się rozkręci, to za pięć minut zacznie negocjować z Rhysem wysokość posagu ciotki. – Nie zapominaj, że tylko udajemy. Sophie nie musi mnie lubić i chcieć, żeby jej tata mnie lubił.

– Ale ja chcę – powiedziała cichutko i nieśmiało Sophie. Znowu zapadła kłopotliwa cisza, więc Thea przerwała ją czym prędzej:

– Musimy jeszcze ustalić, jak się poznaliśmy, bo oni na pewno o to spytają. Może na przyjęciu?

Rhys z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Nie należę do osób udzielających się towarzysko, Lynda zawsze na to ogromnie narzekała. W dodatku od tygodnia w kółko tłumaczę Paineom, że nie mam zwyczaju nigdzie chodzić, bo chcę mieć pretekst, by odrzucać ich zaproszenia. Lepiej niech to będzie randka w ciemno. Dałaś do gazety ogłoszenie matrymonialne, zobaczyłem je i... Thea aż się zachnęła na ten pomysł.

– O, nie, nie chcę wyjść na tak zdesperowaną. Chyba najnaturalniej byłoby nawiązać

znajomość dzięki kontaktom zawodowym.

– A czym się zajmujesz?

– Tym i owym – wyznała z westchnieniem. – Jakoś cały czas nie zdołałam zdecydować, kim właściwie chciałabym być... Aktualnie pracuję w agencji Public Relations.

– Twarz jej się rozjaśniła. – Właśnie, twoja firma zgłosiła się do nas, żebyśmy opracowali dla was projekt... projekt... Moglibyście na przykład planować zmianę logo. Przyszedłeś do naszej agencji i ledwie na mnie spojrzaleś, wiedziałeś, że jestem tą jedyną. Czemu masz taką minę?

– spytała nagle.

– Zastanawiam się, jak można zmienić logo skał.

– Co?!

– Jestem geologiem. Zajmuję się skałami, które liczą sobie miliony lat. Nie ma nic ważniejszego od geologii.

Trzy towarzyszące mu kobiety wymieniły wymowne spojrzenia, niezależnie od różnicy wieku rozumiejąc się bez słów.

– Jak to nie ma? A zakupy? – spytała niewinnym tonem Thea.

– A lody? – dodała Clara, by nie zostać w tyle. Rhys dał się nabrać aż miło.

– Jak w ogóle możecie to porównywać? – zakrzyknął z niedowierzaniem. – Wszystko, co was otacza, zostało ukształtowane dzięki procesom geologicznym. Gdyby nie one, życie nie rozwinęłoby się w takiej formie – perorował z zapalem. – Jak możecie zrozumieć świat, który was otacza, jeśli nie macie bladego pojęcia o geologii? Powinni jej uczyć w szkołach. Gdybym był ministrem... – Urwał nagle.

Thea i Clara, chichocząc, udawały, że przysypiają z nudów. Zamykały oczy, podpierały głowy rękami, łokcie ześlizgiwały im się ze stołu.

Rhys nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Cóż, widać nie każdego to pasjonuje – przyznał. Thea spoważniała i wróciła do rzeczy.

– Skoro więc miłośnicy skał nie potrzebują usług agencji PR, nie pozostaje nam nic innego, jak jednak poznać się na jakimś przyjęciu. Mój dobry znajomy pracuje w jednej firmie z twoim przyjacielem i tak się złożyło, że któregoś razu znaleźliśmy się na tym samym przyjęciu.

– Zostańmy przy tej wersji, brzmi w miarę prawdopodobnie, a zweryfikować jej nie sposób. Nawet Kate nie ma tyle tupetu, by spytać o nazwiska i adresy.

– Mogę jej za to zrelacjonować, jak zacząłeś mi opowiadać o skałach oraz o procesach geologicznych, które mają decydujący wpływ na moje życie i siła twojej pasji poraziła mnie.

Popatrzył na nią z humorem.

– Ach, więc ty też zakochałaś się we mnie od pierwszego wejrzenia?

Na chwilę odebrało jej mowę.

– Na to wygląda – odparła wreszcie.

Dzwonek budzika wyrwał ją z głębokiego snu. Nie wiedziała, gdzie się znajduje i nie rozumiała, skąd tyle słońca w pokoju, jakby był środek dnia.

Powoli zaczęły napływać do niej obrazy – dłonie zaciśnięte na kierownicy i upiornie kręta

droga bez barier ochronnych, triumfalny uśmiech Clary, która zdołała jej coś udowodnić, Rhys... Rhys!

Thea usiadła gwałtownie. W co ona się znowu wpakowała? Retsina już wyparowała jej z głowy, więc dotarło do niej wreszcie, że bez namysłu zgodziła się przez całe dwa tygodnie udawać narzeczoną zupełnie obcego człowieka, praktycznie skazując siebie i Clarę na jego nieustanne towarzystwo. Co Nell by na to powiedziała?

Pocieszyła ją jedynie myśl, że Rhys – chociaż nie miał za sobą długiej podróży i nieprzespanej nocy – pewnie też uciął sobie drzemkę w czasie sjesty, a gdy się obudził, zastanowił się nad wszystkim na spokojnie i podobnie jak ona ujrzał cały bezsens ich planu.

W pokoju było gorąco i Thea zamarzyła się kąpiel w basenie. Tak, to by ją orzeźwiło. Czowała się nieco skacowana, przesadziła z tą retsiną. Wstała, a ponieważ nie miała siły ubrać się porządnie, wyciągnęła z walizki swój ukochany, stary jak świat sarong i owinęła się nim. Najpierw wyjrzy i dyskretnie sprawdzi, czy ci straszni Paineowie już wrócili. Jeśli nie, pójdzie popływać. Za nic nie chciała, by Kate ujrzała ją po raz pierwszy w stroju kąpielowym, który bezlitośnie odsłaniał jej pulchną figurę.

Zeszła na dół, ostrożnie uchyliła drzwi wejściowe.

– Thea!

Niemal podskoczyła z wrażenia. Rozpaczliwie przytrzymała sarong, by nie rozwiązał się i nie spadł z niej w najmniej stosownym momencie, po czym obróciła się. Ujrzała Rhysa w towarzystwie nieskazitelnie eleganckiej blondynki. Pewnie to ta osławiona Kate. No, to udało jej się wyrzucić dobre pierwsze wrażenie, nie ma co! Nie wystąpiła co prawda w kostiumie kąpielowym, za to pokazała się owinięta jedynie kawałkiem bawełnianej tkaniny, tak spranej, że prawie rozłaziła się w palcach. Na głowie jak zwykle miała siano i pewnie oczy podpuchły jej od spania. Odruchowo przeciągnęła pod nimi palcem i zamarła ze zgrozy, gdy ujrzała na nim ciemne ślady.

W drodze powrotnej ogarnęła ją przemożna senność, więc myślała już tylko o tym, by zwalić się na łóżko i odespać zarwaną noc. Gdy weszła do domu, byle jak wepchnęła zakupy do lodówki, ściągnęła z siebie sukienkę i zapominając o zmyciu makijażu, padła jak długa na łóżko. Z rozmazanym tuszem musiała wyglądać jak panda... Coraz lepiej!

Patrzyła na tamtych dwoje, zastanawiając się, czy po prostu nie wycofać się z powrotem do domu. Rhys i Kate z kolei wyglądali na zaskoczonych jej nagłym pojawieniem się, więc cała trójka przez długą chwilę przyglądała się sobie w milczeniu.

Co się tak dziwią, to ja powinnam się dziwić, pomyślała z lekką irytacją Thea. W końcu to mój taras!

Pierwszy oprzytomniał Rhys.

– Dobrze, że jesteś, kochanie. – Zbliżył się i objął ją z uśmiechem. – Przyszedłem sprawdzić, czy już się obudziłaś. Jak się czujesz?

– Trochę dziwnie, jeśli mam być szczerą – wykrztusiła z trudem.

Trochę? Mało powiedziane!

Otaczało ją ramię obcego mężczyzny, podczas gdy ona była prawie naga – dzielił ich tylko jej cieniuteńki sarong, co okazało się niespodziewanie... podniecające. Ale jak Rhys

mógł działać na nią w podobny sposób? Przecież spotkała go ledwie kilkanaście godzin wcześniej, właściwie go nie знаła. Mimo to żywiła przekonanie, że nie ma nic naturalniejszego niż dotyk Rhysa.

– Właśnie opowiadałem Kate, jak mnie zaskoczyłaś dziś rano swoim przyjazdem. – Leciuteńko uściskał ramię Thei, na wszelki wypadek przypominając jej o ich umowie.

Jakże mogłaby zapomnieć, skoro przyciskał ją do siebie, jakby faktycznie stanowili parę?

– Wspomniałem ci o rodzinie wynajmującej trzeci domek – ciągnął niewinnym tonem. – Poznaj więc Kate Paine. Spędza tu wakacje ze swoim mężem Nickiem i z dwoma synami.

– Hugonem i Damianem – doprecyzowała Kate.

Wyglądała tak świeżo, jakby ją przed chwilą wyjęto z lodówki. Śnieżnobiała bluzka, nienagannie zaprasowane beżowe spodnie, wypastowane buty, fryzura modna i praktyczna zarazem, jasnoniebieskie oczy, które krytycznie zmierzyły Theę od stóp do głów. Thea nie mogła jej winić za sceptyczną minę, gdyż wiedziała, jak wygląda tuż po wstaniu z łóżka. Nie był to szczególnie piękny widok...

Zdobyła się na blady uśmiech.

– Miło mi – rzekła.

– Kate, pozwól, to moja narzeczona, Thea Martindale.

W głosie Rhysa brzmiała radość, a w jego oczach widniał zachwyt, jakby nie miał przy sobie pulchnego śpiocha z rozmazanym tuszem do rzęs, tylko naprawdę piękną kobietę. Thea nigdy by nie przypuszczała, że z geologów są tacy świetni aktorzy.

– Zostaliśmy zaproszeni na dziś wieczór do naszych sąsiadów – ciągnął, znów ostrzegawczo ściskając jej ramię.

– Och, to bardzo miłe...

Nie zdążyła dodać „ale”, a potem jakiegoś wykrętu, gdyż Kate przerwała jej zdecydowanie:

– Rhys mówi, że to dla was specjalny dzień, lecz my też chcemy uczcić wasze zaręczyny. Nie zatrzymamy was długo, zapraszamy tylko na drinka. Najpierw musisz się odświeżyć, umówmy się więc na szóstą.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Czemu nie wymówiłeś się jakoś od tej wizyty? – spytała Thea, gdy tamta oddalała się, donośnie stukając obcasami.

Rhys poczekał, aż Kate zniknie im z oczu, i dopiero wtedy puścił Theę. Dziwne. Przez cały czas, gdy ją obejmował, chciała, by się odsunął, a gdy to wreszcie zrobił, poczuła rozczarowanie.

– Od czasu do czasu jakieś zaproszenie musimy przyjąć, od oficjalnego powitania ciebie i tak się nie wywinimy, więc lepiej miejmy to z głowy – wyjaśnił. – Zobaczyłem z tarasu, jak Kate pruje do twojego domu jak po sznurku, więc pospieszyłem z odsieczą, bo nie chciałem, żeby cię kompletnie zaskoczyła. Zdążyłem jej opowiedzieć wzruszającą historię naszych zaręczyn, zaraz potem wyjrzałaś. W sumie dobrze wyszło.

– No, świetnie – skwitowała z ironią i wskazała na swój sarong. – Strój w sam raz do zawierania znajomości.

– Nie rozumiem. Bardzo ładnie wyglądasz. Zarumieniła się.

– Nie musisz udawać, Paineów tu nie ma.

– Kiedy ja mówię szczerze.

I znowu nastąpił jeden z tych momentów, gdy zapadła między nimi kłopotliwa cisza. Thea próbowała odwrócić wzrok od twarzy Rhysa, lecz pierwszy raz w życiu nie mogła zmusić oczu do posłuszeństwa. Zwilżyła wargi koniuszkiem języka.

– No tak, przecież spędziłeś parę lat na pustyni, pozbawiony towarzystwa kobiet. To wiele wyjaśnia.

Roześmiał się, a Thea nieoczekiwanie pożałowała, że nie był dalej taki antypatyczny jak rano. Wtedy jego obecność stwarzałyby o wiele mniejsze problemy...

– Cóż – rzekła dziarskim tonem. – Chwilowo i tak jesteś na mnie skazany, bo Kate chyba uwierzyła w naszą bajeczkę.

– Na to wygląda. Aha, i nie myśl, że zupełnie nie zadbałem o nasze interesy. Tak naprawdę przyszła z zaproszeniem na kolację, lecz delikatnie napomknąłem o naszych nieco innych planach na wieczór. Na szczęście zrozumiała, że nie wytrzymamy długo bez rzucenia się na siebie i zdarcia z siebie ubrań, więc ustąpiła. Ale i tak zdąży nas nieźle wymaglować.

Thea wołała czym prędzej zapomnieć o opcji rzucania się na siebie i zdzierania ubrań. Spojrzała na zegarek.

– Och, szósta jest już niedługo! Chciałam popływać i ochłodzić się, ale teraz nie zdążę, szkoda. Przy okazji zamierzałam sprawdzić, co robi Clara, miała bawić się przy basenie. Widziałeś ją może?

– Tak, cały czas miałem oko na dziewczynki. Pod wpływem twojej siostrzenicy mali Paineowie w ciągu pięciu minut zmienili się z doskonale ułożonych chłopców w dwóch urwisów, którzy latają dookoła basenu, wskakują, wyskakują, wskakują z powrotem, wrzeszcząc jak opętani. Kate jest zdegustowana takim zdziczeniem.

– Czy mam porozmawiać z Clara?

– Nie, nie rób tego. Ci troje boczyli się na siebie przez cały tydzień, a teraz wreszcie zaczęli się ze sobą bawić. Nauki Kate zdecydowanie przegrywają z pomysłami Clary. I niech tak zostanie.

Roześmiała się.

– Masz rację. W takim razie idę wziąć prysznic, a potem zejdę nad basem i sprawdzę, jak dzieciaki sobie radzą.

– Zatem spotkamy się tam i razem pójdziemy do Paine'ów. Skinął jej dłonią i zbiegł po schodach, zaś Thea została z poczuciem dziwnego rozczarowania. Nawet jej nie pocałował na pożegnanie... Chwileczkę, co też ona myśli? Czy nie za bardzo wczuła się w rolę? Przecież miała złamane serce z powodu Harry'ego, który ciągle nie potrafił wybrać między nią a Isabelle.

Pospiesznie zawróciła do domku, mając nadzieję, że zimny prysznic uleczy ją z niestosownych zachcianek. W łazience rzuciła okiem w lustro i zmartwiała. Wyglądała jak z horroru! Czarne obwódki wokół oczu, każdy włos w inną stronę. Nic dziwnego, że nie wywarła na Kate dobrego wrażenia.

Wskoczyła pod prysznic, umyła głowę, nie żałowała odżywki, a potem kremu, który pomagał opanować niesforne loki, wreszcie wysuszyła włosy suszarką, zamiast jak zwykle dać im wyschnąć na powietrzu. Hm, wyszło nie aż tak źle. Oczywiście nie udało jej się osiągnąć modnego efektu gładziuteńkiej, spływającej lśniącej kaskadą fryzury, lecz chmura miękkich loczków mimo wszystko prezentowała się lepiej niż ta nieszczęsna kopa siana, z jaką pokazała się Rhysowi i Kate.

Zadowolona, że nie ma pod ręką Clary, która niechybnie zadawałaby jej kłopotliwe pytania, starannie umalowała oczy, a potem włożyła ulubioną wiśniową sukienkę. Nie była już najnowsza, lecz Thea nadal bardzo chętnie ją nosiła, gdyż znakomicie tuszowała mankamenty jej pulchnej figury, głęboko wyciętym dekoltem podkreślając pełny biust i odwracając uwagę od bioder i ud. W dodatku uszyto ją z mięciutkiego materiału, wyjątkowo miłego w dotyku. Rozkloszowana spódnica pięknie wirowała wokół nóg i w sumie Thea wyglądała w tej sukience naprawdę seksownie.

To cudo miało jedną wadę – gniotło się bardzo. Na wakacje Thea mogła zabrać suszarkę, ale żelazka nigdy. I za nic nie pożyczycy go od Kate, która z pewnością miała je ze sobą, sądząc po stanie jej ubrań. Cóż, trzeba iść tak. Za jakiś czas zaczną robić się ciemno i zagniecen nie będzie widać.

Zerknęła na zegarek. Szósta!

– Zaraz będę gotowa... – wymamrotała, przerzucając zawartość kosmetyczki. – Szminka... szminka... No, gdzie jesteś? A, tu! Dobrze... Teraz sandały... kolczyki... Właśnie, kolczyki! Boże, gdzie ja je położyłam?

Półprzyciemnie rozejrzała się dookoła. Gdyby przed wyjazdem do miasta nie wyrzuciła wszystkiego z walizki w poszukiwaniu czegoś stosowniejszego niż szorty, teraz byłoby jej łatwiej coś znaleźć. Gorączkowo wysypała zawartość kosmetyczki na łóżko. Naraz przyłapała się na tym, że serce jej wali, brak jej tchu i jest podekscytowana jak przed randką.

– Hej, opanuj się, dziewczyno – przykazała sobie i wzięła kilka głębokich oddechów. W

końcu czekała ją tylko krótka wizyta u nielubianych sąsiadów.

I kolacja z Rhysem, podpowiedział usłużnie jakiś głos w jej głowie.

Tak, to też, lecz głównie chodziło o wywarcie dobrego wrażenia na Kate, bo ta inaczej zacznie powątpiewać, czy Rhys naprawdę mógł zakochać się w takim czupiradle. Thea starała się więc ładnie wyglądać dla dobra sprawy.

Akurat, powiedział głos.

Nie należała do osób pewnych siebie, więc zawahała się. Może faktycznie przesadziła? Krytycznie obejrzała się w lustrze. Trudno, nie może się już przebrać w coś bardziej codziennego, bo i tak jest spóźniona. Zresztą sukienka i makijaż to normalna rzecz, nie paradowała przecież w kreacji wieczorowej i z diademem na głowie.

– Weź się w garść – powiedziała surowo do swojego odbicia i wtedy ujrzała leżące na półeczce pod lustrem kolczyki. Wpięła je w uszy i wyszła.

Już z daleka słyszała piski i śmiechy, co chwilę rozlegał się donośny plusk. Dzieciarnia szalała w najlepsze, i to od kilku godzin. Czy nie byli już zmęczeni? Może powinni wyjść z wody?

Nad basenem stała Kate, ze wściekłym wyrazem twarzy patrząc, jak na przeciwległym brzegu jeden z jej synów bierze rozbieg i po chwili wpada do wody jak bomba.

– Hugo! Damian! Ile razy mam powtarzać? Natychmiast do domu!

Z basenu rozległo się błagalne:

– Maamooo...

Biedni malcy, pomyślała ze współczuciem Thea. Mają wakacje i basen do dyspozycji i nawet nie mogą použíwać.

W rodzinie Paine'ów musiały panować surowe zasady, gdyż Kate wyglądała na głęboko zdumioną nieposłuszeństwem synów. Może po raz pierwszy w życiu nie wypełnili jej polecenia natychmiast?

– Już po szóstej – przypomniała, nie podnosząc głosu, gdyż oczywiście była idealną matką, która nigdy nie traci panowania nad sobą. – Pora na waszą wieczorną kąpiel.

– Ale my się tak fajnie bawimy – zaprotestował któryś z chłopców.

– Dziewczynki też wychodzą, więc zabawa i tak się skończy. – Kate naraz spostrzegła Theę i obróciła się do niej. – O, dobrze, że jesteś. Clara też już powinna wyjść z basenu.

Ponieważ Kate stała teraz plecami do dzieci, dziewczynka skorzystała z tego i dała cioci znak, gwałtownie machając rękami i kręcąc głową.

– Czemu mam jej przerywać, skoro się dobrze bawi? – spytała Thea.

– Bo na pewno jest zmęczona.

– Ale nie musi wstawać rano, są wakacje, więc wszystko odeśni.

Clara uniosła oba kciuki do góry.

– Nie wiem, czy to mądre podejście – skwitowała sceptycznie Kate. – Gdyby była twoją córką, a nie siostrzenicą, nie traktowałabyś jej tak pobłaźliwie. Rodzice doskonale zdają sobie sprawę z tego, że dziecko potrzebuje mieć jasno wytyczone granice.

– Może w domu, lecz wakacje są właśnie po to, żeby trochę odpocząć od dyscypliny. Tak jest dla dzieci zdrowiej – dodała Thea tonem bardzo rozsądnej osoby. Kate odwróciła się do

niej plecami.

– W każdym razie pozostała trójka w tej chwili wychodzi z wody – zażądała z rozdrażnieniem. – Sophie, ciebie to też dotyczy. Twój tata na pewno uważa, że masz już dosyć.

– Dosyć czego?

Thei aż serce podskoczyło do gardła na dźwięk tego głosu. Obejrzała się.

Rhys przebrał się w jasną koszulę z krótkim rękawem i szorty, wyglądał bardzo... zwyczajnie. Nie miał jak Harry włosów godnych cherubina, wielkich szafirowych oczu i cudownych rysów. Normalny mężczyzna – silny, opalony, spokojny, pewny siebie. Czemu więc wszystko w niej tak silnie reagowało na jego obecność? I czemu miała wrażenie, jakby znała go od zawsze, chociaż spotkali się ledwie kilkanaście godzin wcześniej?

I czemu odbierało jej mowę, gdy uśmiechał się do niej w taki sposób?

– Cudownie wyglądasz – powiedział, zupełnie ignorując Kate, po czym objął Theę i nim zdołała się zorientować, co się dzieje, pocałował ją.

Nie był to namiętny pocałunek, lecz czuły i krótki całus na powitanie, lecz wystarczył, by ziemia umknęła jej spod nóg. Dobrze, że otaczało ją mocne ramię Rhysa...

To wszystko trwało przez moment. Kiedy uniósł głowę, ich spojrzenia spotkały się, a wtedy Thea ujrzała, że nie tylko ona była w szoku. Rhys chyba zadziałał zupełnie bez zastanowienia, ponieważ miał minę, jakby nie rozumiał, co się stało.

Kate ze zniecierpliwieniem stuknęła pantoflem o kamienne płyty.

– Cała czwórka powinna wyjść wreszcie z basenu i szykować się do spania – oznajmiła sucho. – Chłopcy za bardzo się rozszaleli, po kąpieli będą musieli posiedzieć spokojnie i trochę poczytać, bo inaczej będą mieli kłopoty z zaśnięciem.

– Nie wydaje mi się, żeby mieli teraz ochotę na lekturę – zauważył Rhys.

Kate zachnęła się.

– To wszystko przez tę głupią zabawę!

– Zabawy rzadko bywają mądre. To zresztą duża część ich uroku, nie sądzisz?

– Sophie zazwyczaj nie chlapie się o tej porze w basenie, prawda? – zareplikowała.

– Tato, ja nie chcę iść już spać – odezwała się błagalnie Sophie. – Ciocia Clary pozwoliła jej jeszcze zostać.

– Zostanie więc sama, bo Hugo i Damian wychodzą – wtrąciła Kate.

Rozległ się przeciągły jęk chłopców. Rhys puścił Theę, podszedł szybko do brzegu basenu, przykucnął.

– Idziemy z wizytą, wy przez ten czas możecie się jeszcze pobawić. Ale umawiamy się, że potem bez żadnych dyskusji pomaszerujecie do łóżek, gdy tylko powiem.

– Dziękuję, tato!

– Clara, ciebie to też dotyczy.

– Dobrze. – By uczyć zwyczajności nad Kate, dziewczynka wykonała swój popisowy numer, mianowicie stanęła na rękach na dnie basenu. Gdy znów się wynurzyła, zawołała:

– Dzięki, ciociu! Dzięki, wujku Rhys!

Thea ledwie zwróciła uwagę na to, jak szybko jej siostrzenica przyjęła obcego człowieka

do rodziny, gdyż ciągle miała nogi jak z waty i potrafiła myśleć tylko o tym pocałunku.

Kate nie kryła dezaprobaty. Gdy Rhys wyprostował się i wrócił do nich, rzekła, zniżając głos, by dzieci nie dosłyszały:

– Nie wiem, czy słusznie postępujesz. Zdaniem Lyndy Sophie potrzebuje dyscypliny, inaczej robi się trudna.

– Znam poglądy Lyndy w kwestii dyscypliny, lecz przez tych parę tygodni ja jestem odpowiedzialny za Sophie i jej dobro. Po raz pierwszy od przyjazdu świetnie się bawi i nie zamierzam tego psuć niepotrzebnymi scysjami – uciał zdecydowanie Rhys. – Czy mi się zdawało, czy ktoś coś mówił o drinkach?

W tonie jego głosu było coś takiego, że Kate, choć niechętnie, ustąpiła.

– Zapraszam. Nick już czeka.

Mąż Kate, zażywny i rumiany, stał na werandzie u szczytu schodów.

– Chodźcie, chodźcie! – wołał z przesadną jowialnością, a potem zaczął wylewnie ścisnąć dłonie Thei. – Jestem Nick. Nick Paine.

– Thea Martindale.

– Ale już niedługo, co? – Zarechotał.

Thea zrozumiała, że ta część wieczoru zapowiada się koszmarnie. Zawsze irytowali ją wesółkowie, którzy śmiali się z własnych dowcipów. I mężczyźni, którzy przy powitaniu miętosili jej rękę w swojej wilgotnej łapie, w dodatku starając się nie wypuścić jej tak długo, jak tylko się dało.

– Skryty człowiek z tego Rhysa – ciągnął, z upodobaniem gapiąc się w dekolt Thei. – Pary z gęby nie puścił na twój temat, a tu nagle, proszę, żeni się!

Uwolniła się wreszcie z jego uścisku i stanęła u boku Rhysa. Kiedy wziął ją za rękę, poczuła ulgę, gdyż jego dłoń była mocna, a spokojny i pewny dotyk budził zaufanie.

– Musimy to oblać! – dokończył Nick.

Kate skrzywiła się nieznacznie, gdyż wybór, jakiego dokonał Rhys, nie przypadł jej do gustu. Owszem, bardzo chciała ujrzeć go na ślubnym kobiercu, gdyż lubiła widzieć wokół siebie wyłącznie pary, lecz zamierzała wyswatać go sama – z kimś, kto odpowiadałby jej wyobrażeniom.

– Przynieś wino – rzuciła, a jej mąż migiem pobiegł spełnić polecenie.

Thea usiadła razem z Rhysem na drewnianej ławie, zastanawiając się, czy Lynda jest podobna do swojej przyjaciółki. Jakoś nie wyobrażała sobie, by Rhys dobrze znosił takie wywarkiwane rozkazy.

– Wasze zdrowie – rzekła uprzejmie Kate, gdy kieliszki zostały już napełnione i wszyscy wznieśli toast. – A teraz opowiedzcie nam, jak się spotkaliście. Długo się znacie?

Zaczynało się więc przesłuchanie...

– Nie, niedługo – odparł Rhys, a Thea pokrótce zrelacjonowała wymyśloną przez nich historyjkę o tym, jak dzięki wspólnym znajomym znaleźli się na tym samym przyjęciu.

Kate ściągnęła brwi, zastanawiając się nad czymś wnikliwie.

– Lynda mówiła mi, że po tylu latach spędzonych za granicą nie masz w Londynie żadnych przyjaciół. Martwiła się tym zresztą po twoim powrocie.

– Niepotrzebnie, jak widać. Parę osób jeszcze mnie pamięta. Gdyby nie oni, nie miałbym teraz Thei.

Położył rękę na oparciu ławki i zaczął pieszczotliwie gładzić kciukiem kark swej towarzyszki, która poczuła, że lada moment straci wątek rozmowy.

– Jednak takie szybkie zaręczyny to trochę dziwne – Kate nie kryła dezaprobaty. – Przecież ledwo się poznaliście.

– To nie ma znaczenia. Gdy tylko ujrzałem Theę, zrozumiałem, że chcę z nią spędzić resztę życia.

Zabrzmiało to całkiem przekonująco, w dodatku Rhys zabrał ramię z oparcia, sięgnął po dłoń rzekomej narzeczonej, podniósł do ust i pocałował.

– Nie trzeba wiele czasu, by się zakochać, chyba się z tym zgodzisz, kochanie?

Potrząsnęła głową i ledwie zdołała z siebie wydusić cichutkie:

– Mhm...

– Powiedziałaś już Lyndzie? – spytała niezbyt taktownie Kate.

– Na razie nie miałem kiedy. Zaręczyliśmy się dziś rano. To była spontaniczna decyzja. Ale z całą pewnością słuszna.

Kate zmierzyła ich podejrzliwym spojrzeniem, a Thea odgadła, że muszą uczynić tę mistyfikację bardziej przekonującą.

– Ślub weźmiemy w Boże Narodzenie – zmyśliła na poczekaniu.

– To raptem za cztery miesiące!

– Owszem, ale zawsze o tym marzyłam – przekonywała Thea, chociaż w rzeczywistości nigdy przedtem nie zastanawiała się nad tym. – Mamy sporo czasu na przygotowanie wszystkiego, nie planujemy żadnych ekstrawagancji. Prawda, kochanie? – Przytuliła się do Rhysa i zajrzała mu głęboko w oczy. – Zaprosimy tylko rodziny i najbliższych przyjaciół, a Sophie i Clara wystąpią jako druhny. Będzie cudownie...

Przybrała rozmarzony wyraz twarzy i chciała jeszcze westchnąć, lecz obawiała się przesadzić.

– Jesteś pewien, że wiesz, co robisz, chłopie? – Nick znacząco trącił łokciem Rhysa, który przez to omal nie oblał się winem. – Ja na twoim miejscu korzystałbym z wolności! Dopiero co wróciłeś z pustyni, dookoła pełno miłych babek...

– Nie zależy mi na miłych babkach, tylko na jednej kobiecie. Właśnie tej.

Delikatnie musnął wargami jej usta. Było to bardzo słodkie. I trwało za krótko.

Odsunęli się od siebie, lecz ledwie ich spojrzenia zetknęły się, ich głowy znów pochylili się ku sobie, usta spotkały się w gorącym, dziwnie desperackim pocałunku. Thea zupełnie zapomniała o obecności gospodarzy. Czowała, jak przyjemne ciepło, które zrodziło się gdzieś w jej wnętrzu, gdy po raz pierwszy ujrzała uśmiech Rhysa, rozlewa się po całym jej ciele.

Było to tak intensywne doznanie, że kiedy on wreszcie przerwał pocałunek, miała szaloną ochotę chwycić go mocno i przyciągnąć z powrotem do siebie, by całował ją dalej. I może by to zrobiła, Rhys jednak wyprostował się, oparł wygodnie i powiedział coś do Nicka, wyraźnie kontynuując konwersację... jakby nic się nie stało!

Nie miała pojęcia, jak zdołał tego dokonać. Ona nie potrafiła pozbierać myśli, każda

komórka jej ciała zdawała się dygotać, serce waliło jej mocno i w ogóle ledwo słyszała, o czym oni mówią. Dopiero gdy cała trójka spojrzała na nią wyczekująco i z lekkim zdumieniem, zorientowała się, że ktoś musiał ją o coś spytać.

– Przepraszam, chyba się zgubiłam – rzekła zmienionym głosem.

Kate uniosła brwi, jakby nie rozumiejąc, jak Rhys mógł zakochać się w takiej gapie, której sprawia problemy zwykła towarzyska konwersacja.

– Pytałam, czym się zajmujesz.

Thea odetchnęła z ulgą. Na to pytanie mogła dać odpowiedź nawet w swoim obecnym stanie kompletnego oszołomienia.

– Jestem sekretarką.

– Sekretarką? – powtórzyła tamta z zaskoczeniem.

– Tak. Właściwie asystentką. W firmie Public Relations. Kate nie starała się ukryć rozczarowania. Przeniosła spojrzenie na Rhysa.

– Ona jest zupełnie różna od Lyndy.

– O, tak. – Otoczył Theę ramieniem. – Zupełnie różna. Ponieważ Kate nie była pewna, czy została dobrze zrozumiana, kontynuowała:

– Lynda zasługuje na prawdziwy podziw. Najpierw pracowała jako prawniczka, potem założyła własną firmę, znakomicie sobie radzi. Jest wyjątkowa, prawda, Rhys?

– Na pewno udało jej się odnieść sukces – odparł dyplomatycznie.

– A ty jesteś tylko sekretarką. – Kate z westchnieniem zwróciła się z powrotem do Thei. – Co za szkoda! Nie myślałaś o zrobieniu kariery w jakimś porządnym zawodzie?

– Brak mi ambicji, obawiam się – wyznała Thea, wciąż z trudnością koncentrując się na rozmowie. – Chyba byłabym zupełnie szczęśliwa, zajmując się domem i dziećmi. Planujemy mieć dużą rodzinę, prawda, kochanie?

– Co najmniej czwórkę dzieci – zapewnił. Kate zesnurowała usta.

– A co z Sophie?

Thea spojrzała jej prosto w oczy – po raz pierwszy bardzo pewnie i spokojnie.

– Będzie częścią naszej rodziny.

Thea i Clara jadły śniadanie na swoim tarasie, lecz jogurt, miód i brzoskwinie nie smakowały im aż tak bardzo jak poprzedniego ranka, kiedy zostały poczęstowane takim samym jedzeniem przez sąsiadów. Wieczorem ustalono, że mimo konieczności utrzymywania pozorów ich czwórka nie musi spędzać całego czasu razem, dlatego siedziały teraz same.

A jednak miło by było, gdyby...

– Ciociu, mogę iść zobaczyć, czy Sophie chce się pobawić? – spytała Clara, ledwo przełknęła ostatni kęs.

– Oczywiście. Aha, gdybyś zobaczyła pana Kings... to jest, wujka Rhysa, powiedz, że zamierzam cały dzień opalać się nad basenem, więc będę miała oko na Sophie, gdyby on chciał się gdzieś przejść lub przejechać.

Brzmiało to tak, jakby nie zależało jej na tym, czy go w ogóle ujrzy tego dnia czy nie. A przecież nie spała przez pół nocy, przypominając sobie wszystkie jego pocałunki oraz wieczór spędzony tylko we dwoje. Nie ugotowała w końcu kolacji z prawdziwego zdarzenia, tylko

zrobiła sałatkę, a Rhys jagnięcinę na grillu. Po posiłku dziewczynki tajemniczo znikły, o co oczywiście postarała się Clara.

Siedzieli więc na tarasie, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo, a Rhys wskazywał różne konstelacje, nazywał je, opowiadał z ożywieniem, jak wyglądają noce na pustyni... Ich krzesła stały obok siebie, oboje oparli nogi na niskim murku i chociaż Rhys nie dotknął jej ani razu, Thea cały czas intensywnie odczuwała jego fizyczną bliskość. Nie rozumiała, czemu puls jej przyspieszał, ilekroć on obracał głowę w jej stronę.

Widać podświadomie próbowała wybić klin klinem, więc zainteresowała się pierwszym mężczyzną, jaki się nawinął. Ale czemu w takim razie nie miał u niej szans Neil, jej kolega z pracy, który już parę razy próbował się z nią umówić, ani Andy, sąsiad z dołu, który ciągle oferował jej pomoc w różnych domowych naprawach?

W takim razie przyczyna była inna – wakacje. Człowiek uwalniał się od obowiązków, wyrывał się z normalnego środowiska, odprężał się, a to wszystko sprzyjało przeżyciu letniej przygody, z założenia niezobowiązującej, kończącej się wraz z urlopem. Tak, to dlatego Rhys tak na nią działał.

Tego dnia postanowiła włożyć po raz pierwszy swój nowy kostium kąpielowy. Oczywiście w jej przypadku o bikini nie było mowy, ale udało jej się nabyć ładny kostium jednoczęściowy, w którym nie wyglądała najgorzej, o ile pamiętała o wciąganiu brzucha i przyjmowaniu bezpiecznych pozycji podczas leżenia i siedzenia.

Gdy Rhys zszedł nad basen, Thea spoczywała we wdzięcznej pozycji na leżaku, zagłębiona w ambitnej książce, którą pożyczyła jej siostra. Wolałaby zabrać na wakacje jakieś dobre czytadło, ale dla świętego spokoju uległa Nell i teraz nie żałowała, ponieważ dzięki temu mogła udowodnić i Rhysowi, i Kate, że wcale nie jest taka ograniczona. Ona też może być wyrafinowana, a co? Pod leżak wsunęła dyskretnie kilka kolorowych magazynów, które zamierzała przejrzeć, gdy nikt nie będzie patrzył.

– Dzień dobry, Theo.

Serce nie fiknęło jej koziółka, lecz całą ich serię. Zsunęła do połowy nosa okulary przeciwsłoneczne i ostrożnie zerknęła na Rhysa – Cześć – powiedziała nieco nieswoim głosem, ale i tak całkiem niezłe jej to poszło, zważywszy, co się z nią działo.

Rhys przysiadł na brzegu sąsiedniego leżaka i z ciekawością zerknął na okładkę książki.

– Podoba ci się?

– Bardzo! – Jak dotąd, nie miała pojęcia, o czym to jest, ponieważ od pół godziny czytała jedną i tę samą stronę, zastanawiając się przy tym, czemu zazwyczaj tak trudno przebrnąć przez książki nominowane do różnych literackich nagród. – Czytałeś? – spytała, mając nadzieję, że on zaprzeczy, był przecież naukowcem, więc pewnie nie pasjonował się literaturą piękną.

Ku jej zgrozie skinął głową. No, jeśli zechce z nią podyskutować na temat lektury, to przepadła!

– Dla mnie to jeden wielki bełkot. Widać jesteś inteligentniejsza ode mnie, bo ja nie zrozumiałem tego ani w ząb. Ale w końcu różni mądrzy ludzie bardzo ją wychwalają, więc chyba faktycznie musi coś w niej być...

Poczuła ogromną ulgę.

– Może jeszcze się zniechęcę, dopiero zaczęłam czytać – odparła. – Zamierzam spędzić tak cały dzień, odpoczywając po wczorajszych przeżyciach i mając oko na dziewczynki, więc jeśli na przykład chcesz wybrać się na jakąś wycieczkę, możesz skorzystać z okazji.

Właśnie, skorzystaj z okazji i powiedz, że wolisz zostać ze mną...

– Rzeczywiście od jakiegoś czasu mam ochotę wybrać się w pewne miejsce, lecz dotąd nie mogłem tego zrobić, ponieważ to za długi spacer jak na możliwości Sophie. Chętnie bym tam dzisiaj wyskoczył, korzystając z twojej uprzejmości.

Czyli ani nowy kostium, ani ambitna lektura nie zdały się na nic, pomyślała ponuro. On myślał tylko o tym, by się gdzieś wyrwać. A może przez tę książkę wyszła w jego oczach na intelektualistkę i tym go spłoszyła? Cóż, przynajmniej będzie to pierwszy mężczyzna, którego zraziła do siebie wysokim poziomem...

– Z drugiej strony czuję wyrzuty sumienia – ciągnął z z troskaniem. – Przyjechałem tu, by spędzić z nią wakacje, a nie biegać sam po okolicy.

Na jego twarzy odmalowała się taka rozterka, że Thea natychmiast zapomniała o sobie. Odłożyła książkę na bok.

– Idź. Zajmowałeś się nią przez cały tydzień, należy ci się parę godzin dla siebie. Ona zresztą ma towarzystwo w swoim wieku i świetnie się bawi. Chyba na tym zależało ci najbardziej, prawda?

Spojrzeli oboje w kierunku basenu, w którym dziewczynki pływały na dmuchanym materacu, opowiadając coś sobie z dużym ożywieniem.

– Dzięki waszemu przyjazdowi jest odmieniona – przyznał Rhys. – Normalnie odzywa się monosylabami, a dziś podczas śniadania w kółko opowiadała, co poprzedniego dnia robiły z Clarą. – Obrócił się ku Thei. – Jak mógłbym wyrazić moją wdzięczność?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Milczała przez moment.

– Ja nic nie zrobiłam, podziękuj Clarze. Zapadła cisza, po czym Rhys podniósł się z leżaka.

– Podziękuję. Naprawdę nie sprawi ci kłopotu, gdy zostawię Sophie pod twoją opieką na cały dzień?

Przybrała minę męczennicy.

– Cóż, będę się okrutnie męczyć, wylegując się na leżaku od rana do wieczora... – dla spotęgowania efektu westchnęła ciężko – ... ale może jakoś zdołam to znieść.

Roześmiał się, zostawił ją i podszedł do basenu, gdzie przykląkł na brzegu, by zamienić dwa słowa z córką. Thea obserwowała go z nadzwyczajną uwagą. Całkiem apetyczny widok. W odróżnieniu od wielu swoich rodaków nieźle się prezentował w szortach.

Clara wtrąciła się do jego rozmowy z córką, tłumacząc mu coś z dużym zapałem, a gdy zakończyła, obie dziewczynki zaczęły chichotać. Rhys wyprostował się i z dziwnym wyrazem twarzy zawrócił w kierunku Thei.

– Mogę? – Wskazał na brzeg jej leżaka.

Zaskoczona, przesunęła nieco nogi, by mógł usiąść. Oboje mieli na sobie tak mało, a znaleźli się tak blisko siebie, że sytuacja zrobiła się dość intymna.

Serce zaczęło jej bić mocno, niemal boleśnie, oddychała z trudnością. Co za szczęście, że miała te ciemne okulary i Rhys nie mógł dojrzeć wyrazu jej oczu. Na pewno miała w nich wypisane wielkimi literami: „Pocałuj mnie!”.

– Czego Clara chciała od ciebie? – spytała, z trudem koncentrując się na rozmowie, gdy jego dłoń znajdowała się tak blisko jej uda, że wystarczyłby niewielki ruch i...

– Powiedziała, że Kate nas podgląda z tarasu.

Thea dyskretnie zerknęła w stronę domku Paine'ów. Faktycznie, Kate siedziała na tarasie, skąd miała znakomity widok na cały basen i jego otoczenie.

– Trudno. Nie możesz jej zabronić tam siedzieć.

– Toteż Clara nie to miała na myśli... – W jego głosie zabrzmiało leciutkie rozbawienie.

Thea łypnęła na niego podejrzliwie. Co też jej siostrzenica wykombinowała tym razem? – A co?

– Że powinienem cię pocałować na pożegnanie, bo to będzie dobrze wyglądać.

Thei odjęło mowę.

– Ona bardzo poważnie podchodzi do tego naszego udawania – ciągnął Rhys.

Bo ma nadzieję wyswatać nas naprawdę, pomyślała, lecz oczywiście nie zamierzała oświecać go w tej kwestii.

– Wiem. Ma wyjątkowo bujną wyobraźnię i sto pomysłów na minutę. Czasem się zastanawiam, skąd przychodzą jej do głowy podobne rzeczy. Podejrzewam wpływ telewizji. Nell narzeka, że mała za często siedzi przed telewizorem, oglądając telenowele... – Urwała, uświadamiając sobie, co robi.

Rhys mówi o pocałowaniu jej, a ona w odpowiedzi nerwowo papla o telewizji!

Odczekał chwilę, jakby chciał się upewnić, czy ona nie zacznie rozwodzić się na jakiś inny temat, po czym spytał ostrożnie:

– I co tym myślisz?

– O tym... pocałunku na pożegnanie?

– Mhm.

– Cóż... Może to nie od rzeczy... Chyba nie do końca udało nam się wczoraj wieczorem przekonać Kate.

– Odniosłem podobne wrażenie. Zapadło milczenie. Całkiem długie.

– Postarajmy się więc, żeby to dobrze wypadło – zaproponował Rhys.

– Słuszna rada – powiedziała, a raczej zamierzała powiedzieć, gdyż z jej ściśniętej krtani nie wydobył się żaden odgłos. Pojęła kolejną próbę: – No to spróbujmy... – Tym razem poszło jej bez porównania lepiej, nawet zabrzmiało to tak, jakby była zupełnie spokojna i niewiele sobie z tego wszystkiego robiła.

Ach, gdyby to jeszcze mogła być prawda!

Rhys pochylił się – bardzo, bardzo powoli. Właściwie miała czas, by się jeszcze wycofać. Ale jak się wycofać, gdy jego dłoń spoczęła na jej udzie, niemal odbierając jej zdolność myślenia? Serce waliło jej jak szalone, wszystko w niej dygotało, z niecierpliwością oczekując na upragniony pocałunek.

A jednak wydawało się, że Rhys się zawahał. A może zamierzał się wycofać, uznając to jednak za zły pomysł? Nie chciała do tego dopuścić. Niemal bez zastanowienia opłotła jego szyję ramionami i przyciągnęła go do siebie, a może wcale nie musiała przyciągać, bo on nagle przestał się wahać? W każdym razie już się całowali, dłonie Thei z lubością przesuwaly się po twardych, umięśnionych plecach Rhysa, zaś ona sama zapomniała o całym świecie, zatracając się w tym słodkim pocałunku.

Na szczęście – a może na nieszczęście – Rhys okazał się bardziej opanowany od niej i w pewnym momencie łagodnie przerwał pocałunek. Nieco odsunął się od Thei, by spojrzeć na nią z trudnym do zdefiniowania wyrazem twarzy.

– Świetnie ci to idzie.

– Staram się wczuć w rolę – odparła trochę nieswoim głosem.

– Masz prawdziwy talent aktorski. – Uśmiechnął się i pogładził ją kciukiem po policzku gestem tak pełnym czułości, że z wrażenia aż przestała oddychać. Wstał. – Lepiej już pójdę. Cześć, dziewczyny! – krzyknął w stronę basenu.

– Cześć! – odkrzyknęły, jakby nic się nie stało.

Ruszył w stronę swojego domku, a Thea została na leżaku, oszołomiona i niezdolna wykonać najmniejszego ruchu. Gdyby to ona miała wstać i dokąś pójść, nogi rozjechałyby się pod nią jak pod niezdarnym szczeniakiem. Ogarnęła ją taka słabość, jak jeszcze nigdy w życiu.

Clara swoim zwyczajem uniosła do góry kciuki w geście triumfu, a Thea łypnęła na nią ponuro, postanawiając poważnie porozmawiać z Nell po powrocie do domu. Ta mała robiła się stanowczo za sprytna...

Podejmując heroiczny wysiłek, zmusiła się do tego, by wyciągnąć rękę po odłożoną książkę i próbowała wrócić do lektury. Nie rozumiała ani jednego słowa. Na ustach wciąż czuła ten pocałunek, paliła ją skóra na udzie, gdzie spoczywała dłoń Rhysa. Nie potrafiła myśleć o niczym innym.

Wreszcie uznała, że koniecznie musi poszukać jakiejś rozrywki, by odwrócić swoją uwagę od tego, co się wydarzyło. Z ulgą odłożyła książkę, wyłowiła spod leżaka kolorowe pismo i przekartkowała je, ponieważ w pewnych sytuacjach ploteczki o znanych osobach i doniesienia o najnowszych trendach w modzie są człowiekowi bardziej pomocne niż wielkie dokonania artystyczne!

Akurat gdy jej spojrzenie trafiło na obiecujący tytuł: „Seks pomoże Ci schudnąć!”, na jej ciało padł czyjś cień. Podniosła oczy.

Kate wymownym wzrokiem obrzuciła kolorowy magazyn, bez słów przekazując informację, że ona takich rzeczy nie czyta. Znowu więc nici z wywarcia dobrego wrażenia.

– Pozwolisz? – spytała i nie czekając na odpowiedź, położyła na sąsiednim leżaku swoją torbę plażową.

– Oczywiście – odparła Thea, bo co innego miała powiedzieć?

Kate zdjęła z siebie elegancko udrapowany sarong, eksponując skąpe bikini, a prócz tego doskonałą, smukłą sylwetkę i zadbaną, idealnie opaloną skórę. Thea w porównaniu z nią natychmiast poczuła się tłusta jak wylegający się na plaży mors. Wystarczy dać jej kły i płetwy, a wtedy nikt nie zauważy różnicy... I pomyśleć, że jeszcze przed minutą była całkiem zadowolona ze swojego wyglądu w nowym kostiumie!

Z urazą popatrzyła na Kate, która nie musiała nawet wciągać brzucha, gdy usiadła na leżaku i zaczęła się niespiesznie smarować oliwką, wyraźnie usatysfakcjonowana uderzającym kontrastem ich wyglądu.

Thea po raz pierwszy poczuła żal do matki za wpojenie córkom zasad uprzejmości i szacunku dla innych. Gdyby nie była taka grzeczna, przeniosłaby się na przeciwną stronę basenu albo wylałaby Kate tę jej oliwkę na nienaganną blond fryzurę. Niestety, mogła na ten temat co najwyżej pofantazjować, gdyż wychowanie kazało jej zostać i prowadzić rozmowę z osobą, która pod każdym względem wpędzała ją w poczucie niższości.

– Gdzie są Hugo i Damian? Spodziewałam się, że przyjdą pobawić się z dziewczynkami w basenie.

– Nick zabrał ich do Heraklionu, do muzeum archeologicznego.

– A czy nie będą się tam nudzić?

– Oczywiście, że nie! Obaj bardzo interesują się historią. Hugo nawet należy do kółka archeologicznego i ma własną łopatkę.

Thea roześmiała się, biorąc to za żart, lecz zrozumiała po minie swojej rozmówczyni, że ta mówiła najzupełniej poważnie.

– Dzieci powinny poznać kulturę kraju, który odwiedzają – ciągnęła z powagą Kate. – Zgodzisz się z tym chyba?

– Tak, jakżeby inaczej? – odparła Thea, która nie miała najmniejszej ochoty na wdawanie się w niepotrzebne dyskusje. Wyobraziła sobie tylko minę Clary, zabranej z basenu do

muzeum archeologicznego...

Kate wyciągnęła się wygodnie na leżaku.

– Rhys nie przyjdzie dotrzymać ci towarzystwa? – zagadnęła, jakby wcześniej nie widziała z tarasu, jak się żegnali.

Na samo wspomnienie tego pożegnania Theę ogarnęło przyjemne ciepło.

– Poszedł na spacer po okolicy.

– Jesteś ogromnie wyrozumiała, skoro pozwalasz mu wypuszczać się samemu w pierwszy dzień po twoim przyjeździe.

Czyżby dalej miała wątpliwości co do ich związku? Trzeba było szybko je rozwiązać.

– Och, znasz go – rzuciła, wzruszając ramionami. – Lubi aktywny wypoczynek, podczas gdy ja wolę się spokojnie poopalać. On nie usiedziałyby beczynn timer godzin.

Nie miała pojęcia, jak Rhys lubi wypoczywać, ale nie sprawiał na niej wrażenia człowieka, który uwielbia wylegiwać się na leżaku.

– To prawda. Lynda mówi, że on zupełnie nie potrafi się relaksować.

Ta uwaga wywołała irytację Thei.

– Nic takiego nie powiedziałam. On po prostu nie lubi się opalać, to wszystko.

Kate nie pociągnęła tego wątku.

– Oboje z Nickiem bardzo się cieszymy, że Rhys wreszcie sobie kogoś znalazł. Lynda martwiła się o niego, ponieważ ogromnie przeżył ich rozwód. Był zdruzgotany, kiedy od niego odeszła, a ona od tej pory żyje z nieustannym poczuciem winy. – Pochyliła się ku Thei i zdradziła konfidencjonalnie: – Z tego, co wiem, to on za nią szalał.

– Doprawdy? – mruknęła znudzonym głosem Thea, starając się zniechęcić Kate do dalszej rozmowy. Nie chciała słuchać o tym, jak Rhys kochał swoją byłą żonę. Trzeba było mieć skórę grubą jak hipopotam, by mówić podobne rzeczy jego narzeczonej.

W nadziei, że tamta zrozumie aluzję, z powrotem otworzyła swój kolorowy magazyn. Niestety, Kate naprawdę mogła konkurować z hipopotamem.

– Tak. On chyba nie pogodził się do końca z ich rozstaniem – ciągnęła pełnym troski tonem. – Gdy tylko wrócił do Londynu, od razu kupił dom w sąsiedztwie.

– Może chciał mieszkać blisko córki? – podsunęła Thea.

– Lynda też miała taką nadzieję, lecz moim zdaniem on próbował odnowić ich związek. Trudno mu się dziwić, ona jest piękna i niezwykle utalentowana.

– Doprawdy? – powtórzyła Thea, tym razem zdecydowanie chłodniej.

Bez skutku.

– Kilka lat temu założyła własną firmę, oferującą terapie alternatywne. Są niezwykle skuteczne, my wszyscy, którzy z nich korzystamy, możemy o tym zaświadczyć. – Obrzuciła spojrzeniem sylwetkę Thei. – Na pewno zdoła pomóc i tobie, znajdzie sposób, który pozwoli ci zrzucić parę kilogramów.

Thea oniemiała. Co za niewiarygodny brak taktu!

– Jest naprawdę niezwykła. Szalenie inteligentna, zdolna, przedsiębiorcza, twórcza... Moim zdaniem mogłaby odnieść sukces w dowolnej dziedzinie, gdyby tylko chciała.

Szkoda więc, że nie przyłożyła się do uratowania swojego małżeństwa, pomyślała Thea,

mająca po dziurki w nosie tych peanów na cześć Lyndy.

– No, ale ja tu gadam, a ty pewnie chcesz wrócić do swojego pisemka – zauważyła Kate.

– Szkoda, że ja też nie przyniosłam sobie czegoś do czytania.

Thea podała jej książkę pożyczoną od Nell.

– Proszę.

Na widok okładki Kate zrobiła okrągłe oczy.

– Masz to? Podobno genialne! – Wyraźnie nie spodziewała się, że Thea w ogóle sięga po książki, w których nie ma obrazków. – Lynda czytała ją dwa razy, jest zachwycona.

Thea uśmiechnęła się słodko.

– Dla mnie to jeden wielki bełkot – zacytowała wcześniejsze słowa Rhysa. – Trzymaj ją, jak długo zechcesz.

Wsadziła nos w magazyn, zupełnie już nie przejmując się tym, co Kate sobie o niej pomyśli. Była zupełnie wytrącona z równowagi i dziwnie rozżalona. Po co tamta jej to wszystko opowiadała? Wolałaby nie wiedzieć, jak wielkim uczuciem Rhys darzył byłą żonę. Wolałaby nie wiedzieć, że może wciąż mu zależało na Lyndzie. W tej sytuacji jej cichutkie pragnienie, by podczas tych wspólnie spędzanych wakacji wydarzyło się między nimi... coś miłego, musiało zostać pogrzebane. Związek z Harrym nauczył ją jednego – nie da się konkurować z przeszłością, która jest wciąż żywa. Thea miała serdecznie dość grania drugich skrzypiec.

Rhys wrócił późnym popołudniem. Już z daleka machał do Thei, siedzącej w cieniu po całym dniu opalania się. Rozpromieniła się i dopiero po chwili przypomniała sobie, że miała nie uśmiechać się tak szeroko na jego widok. Ruszył ku niej, okrążając basen.

– Tato, tato, popatrz! – rozległo się nagle.

Rhys stanął jak wryty, gdy zazwyczaj ignorująca go córka po raz pierwszy tak gwałtownie domagała się jego uwagi. Sophie zrobiła stójkę w basenie, przez chwilę nad powierzchnią wody majtały jej nogi, potem dziewczynka wynurzyła się, parszkając. Miała bardzo dumną minę.

– Widziałeś?

– Oczywiście! To było wspaniałe! Kiedy się tego nauczyłaś? I jak?

– Dzisiaj. Clara mi pokazała.

– Czyli dobrze się bawisz?

– Aha.

Wróciła do zabawy, nie poświęcając ojcu więcej uwagi, lecz ta krótka chwila porozumienia wyraźnie uszczęśliwiła Rhysa. Był cały zakurzony i wyglądał na zmęczonego, ale oczy mu się śmiały, gdy siadał na sąsiednim leżaku.

– Spacer się udał? – zagadnęła Thea, wbrew postanowieniom uśmiechając się do niego promiennie.

– Tak. – Wyciągnął się na leżaku z błogim westchnieniem człowieka, który nieźle dał sobie w kość, czuje więc, że ma prawo trochę odpocząć i nic nie robić. – Męczący, lecz warto było.

– Znalazłeś jakieś interesujące skały? – spytała lekkim tonem, starając się nie myśleć o

tym, że ma ochotę tak się z nim przywitać, jak on się z nią pożegnał. Usiadłaby na brzegu jego leżaka, pochyliła się...

– Całe mnóstwo. Głównie magmowych. Przyniosłem trochę, pokażę je Sophie i Clarze, na pewno chętnie posłuchają o wulkanicznym pochodzeniu Krety. Już sobie przygotowałem taki miniwykład, może przedstawię go po kolacji. Co o tym sądzisz?

Minęła chwila, nim do Thei dotarło znaczenie jego słów i gwałtownie oderwało ją od snucia fantazji, jak to najpierw pocałowałaby go w szyję przy uchu, dokładnie w tym miejscu, gdzie pulsowała mała żyłka. Potem przesunęłaby ustami wzdłuż mocno zarysowanej szczęki... Wykład?!

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – spytała słabo.

– A czemu nie? – odparł z całą powagą, lecz na widok jej miny nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem. – Nie obawiaj się, żartowałem! Nie zrobiłbym im tego. – Założył ręce za głowę. – Spędziły w wodzie cały dzień? Muszą być nią nasiąknięte jak gąbki.

– Po południu wyciągnęłam je na dwie godziny na suchy ląd i zjadłyśmy lunch, ale poza tym faktycznie cały czas taplają się w basenie. Opowiedz mi o twoim spacerze. Widziałeś coś jeszcze oprócz skał?

– Tak, poszedłem w góry i znalazłem piękny wąwóz. Bardzo dziki, bardzo malowniczy. – Zerknął na nią. – Może chciałabyś się tam wybrać któregoś dnia?

Thea, która nie planowała dłuższych spacerów niż dookoła basenu, pomyślała o całym dniu spędzonym w jakimś odludnym miejscu na Krecie, gdzie byłby tylko żar lejący się z nieba, ostre światło i zapach dziko rosnących ziół. I Rhys.

– Może faktycznie bym poszła...

Zapadła cisza.

– Cóż... Cieszę się, że udała ci się wycieczka – rzekła Thea, by przerwać milczenie.

– A jednak nie aż tak bardzo, jak się spodziewałem. Może to zabrzmiało dziwnie, ale brakowało mi ciebie.

– O – zdołała tylko powiedzieć, a i to naprawdę z największym trudem.

W zamyśleniu spojrzął w stronę basenu.

– I za dziewczynkami. Ja, który przywykłem do samotności i bardzo dobrze ją znoszę... Tymczasem dzisiaj podczas spaceru zastanawiałem się, co robicie, a w końcu tak pożałowałem, że nie ma mnie tutaj... – Jego wzrok znów spoczął na twarzy Thei. – Dlatego wróciłem krótszą drogą.

Musiła sobie stanowczo przypomnieć swoją decyzję o nieangażowaniu się. Nie zamierzała konkurować z jakąś kolejną Isabelle.

– Mnie też cię brakowało – rzuciła tak lekkim tonem, jak tylko zdołała. – Musiałam radzić sobie z Kate zupełnie sama!

– Oj! – Skrzywił się, wyrażając w ten sposób zrozumienie i współczucie. – I jak ci poszło?

– Na szczęście nie musiałam dużo mówić, ona gadała za nas obie. Bardzo się cieszy z naszego związku, bo podobno Lyndę ogromnie martwiło, że jesteś sam.

Rhys zachnął się.

– Kate jest ekspertem w moich sprawach, zauważyłaś? Przez cały ubiegły tydzień słyszałem, jak to Lyndę ogromnie martwi sposób, w jaki zajmują się Sophie. Pozwalam jej jeść niewłaściwe rzeczy, oglądać niewłaściwe programy w telewizji, czytam jej niewłaściwe bajki i kupuję jej niewłaściwe prezenty. Rozumiesz, jestem złym ojcem. – W jego głosie zabrzmiała gorycz, której nie udało mu się ukryć.

– Najpierw prawie w ogóle nie było mnie w życiu Sophie, a teraz popadłem w drugą skrajność i na siłę staram się wszystko nadrobić. Najgorsze, że to pewnie prawda...

– Nawet jeśli tak, to Kate nie ma prawa cię pouczać, jakim powinieneś być ojcem.

– Właściwie powtarza tylko to, co słyszałem już dziesiątki razy od Lyndy... – Westchnął.

– Żał mi tych lat spędzonych oddzielnie, tego już nic nie zmieni. Nie znam Sophie tak jak Lynda i nigdy nie będę znał. Mam wyrzuty sumienia.

– Przecież to nie ty je zostawiłeś, tylko żona odeszła od ciebie, zabierając dziecko – przypomniała. – Nie miałeś możliwości regularnie widywać małej.

– Miałem. Wystarczyło wrócić do Londynu, czego żądała Lynda. Ja jednak zbyt kochałem moją pracę i nie umiałem jej rzucić. Po prostu nie umiałem. Ten projekt w Maroku był naprawdę ważny, zależało mi na udziale w nim. Tak więc, wybierając między córką a karierą, wybrałem tę drugą...

Gdyby żona nie postawiła mu ultimatum, w ogóle nie musiałby wybierać, pomyślała Thea. W sumie co tak małemu dziecku szkodziło pobycić parę lat w obcym kraju? Przecież mała nie musiała jeszcze iść do szkoły, więc w czym problem?

Ze znużeniem przeciągnął dłońmi po twarzy.

– Lynda miała dość Afryki, spakowała więc manatki, wróciła do Anglii i od razu przeprowadziła rozwód, żeby móc zacząć od nowa. Tymczasem ja po upływie roku byłem gotów wrócić również, ale ona wtedy wpadła na pomysł rozkręcenia własnego biznesu, by potem móc posłać Sophie do najlepszych szkół i zapewnić jej dobry start. Potrzebowała jednak środków, więc zwróciła się do mnie. W Londynie nie zarobiłbym tyle, co w Maroku, więc zostałem i wysyłałem im pieniądze. Kiedy firma Lyndy zaczęła przynosić zyski, przenieśliśmy się do Londynu. Boję się jednak, że jest już za późno... Nie dam rady nadrobić tych kilku lat. Sophie trzyma się na dystans.

– Daj jej czas. Zobacz, czekała teraz na ciebie, by ci pokazać, jak staje w wodzie na rękach. Właśnie takie małe kroczki potrafią zaprowadzić najdalej. Ona nie zmieni się w kochającą córeczkę z dnia na dzień.

– Masz rację – przyznał z westchnieniem.

– W jednej kwestii muszę przyznać rację Kate – ciągnęła łagodnym tonem. – Nie staraj się aż tak bardzo, nie próbuj niczego nadrabiać. Bądź sobą i pozwól Sophie być sobą. Ona i tak cię kocha, po prostu dlatego, że jesteś jej ojcem, ale jeszcze nie potrafi tego okazać. Pozwól jej więc kochać cię tak, jak umie, nawet jeśli na razie wygląda to tak, jakby umiała tylko dąsać się na ciebie.

Jego twarz rozjaśniła się.

– Mówisz bardzo mądre rzeczy jak na osobę, która nie ma własnych dzieci.

– Czuję się, jakbym miała ich całą gromadkę, ponieważ często zajmuję się pociechami

przyjaciół.

– Szkoda, że przyjechałaś tu dopiero wczoraj. Gdybyś była od początku, zaoszczędziłabyś mi naprawdę trudnego i niewesołego tygodnia.

– Ale wtedy wpadlibyśmy w szpony Kate, nim zdołalibyśmy się obejrzeć – zauważyła przytomnie. – Wtedy byłoby za późno na wymyślenie sprytnego planu. W sumie dobrze się złożyło, że przyjechałam później.

Popatrzył na jej zaróżowioną od opalania twarz, na niesforne, splątane loki, na ciepłe szare oczy, na skłonne do uśmiechu usta.

– Bardzo dobrze – rzekł.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Masz znakomite podejście do dzieci – ciągnął po chwili milczenia. – Chciałabyś mieć własne?

– Tak. Wczoraj u Kate i Nicka mówiłam najzupełniej szczerze, że chciałbym mieć dużą rodzinę. Ale do tego potrzebne są dwie osoby, tymczasem ja wciąż jestem sama, a czas ucieka... – Melancholijnie zapatrzyła się przed siebie. – Wszyscy mi powtarzają, że jestem niepoprawną romantyczką, ale czy ja tak wiele wymagam? Chciałabym tylko, żeby ktoś kochał mnie dla mnie samej, trwał przy mnie również w trudnych chwilach, żeby nie przeszkadzały mu moje wiecznie potargane włosy i parę kilo nadwagi. Ktoś, kto nie będzie kochał mnie ani trochę mniej, jeśli jeszcze przytyję. Ktoś, z kim można się dobrze czuć.

Rhys opuścił nogi na ziemię i usiadł na leżaku przodem do Thei.

– Wszystko się ułoży, zobaczysz. Harry na pewno zrozumie, jak wyjątkowa z ciebie kobieta. Gdybym był na jego miejscu, kupiłbym bilet na samolot i przyleciał tutaj. Kto wie, czy on właśnie nie jest w drodze?

– Nawet nie ma pojęcia, dokąd wyjechałam.

– Wystarczy spytać twoją siostrę.

– Ona go nie lubi.

– Gdyby ją przekonał, że naprawdę mu na tobie zależy, dałaby mu twój adres – zawyrokował z całym przekonaniem. – I jeśli on ma choć trochę oleju w głowie, to powinien się tu zjawić i na kolanach błagać cię o wybaczenie. Przynajmniej ja bym tak zrobił.

Uśmiechnęła się smutno. Harry na kolanach? Może przed Isabelle...

– On nie jest taki jak ty, Rhys.

Wyraz jego twarzy zmienił się w jednej chwili.

– Nie wątpię. Wybacz, nie zamierzałem go krytykować. Kochasz go, a czasami ludzie, których kochamy najbardziej, najmocniej nas ranią.

Czy myślał o sobie i Lyndzie?

– Ale przecież przez to nie przestajemy ich kochać, prawda? – dodał.

Próbowała sobie przypomnieć, jak bardzo kocha Harry'ego, lecz widziała przed sobą dobre, jasne oczy Rhysa i jego usta, o których dotyku marzyła. Nie rozumiała, jak jakaś kobieta mogła go porzucić.

Spuściła wzrok.

– Prawda – rzekła niepewnie, gdyż naraz poczuła się tak, jakby grunt usuwał jej się spod nóg.

– Nie martw się, proszę. – Bez zastanowienia wziął ją za rękę i uściśnął, starając się dodać jej otuchy. – Trzeba mieć nadzieję. Może właśnie dzięki twojej nieobecności Harry zrozumie, ile dla niego znaczysz.

– Może... – mruknęła bez przekonania, skoncentrowana bez reszty na dotyku Rhysa.

– Wiesz co? Wybierzmy się jutro we czwórkę na wycieczkę – zaproponował, puszczając jej dłoń.

Stłumiła westchnienie żalu.

– Dokąd? Do muzeum archeologicznego, jak dzisiaj Hugo i Damian?

– Ciepło, ciepło... – odparł z uśmiechem. – Mam na myśli Knossos. To dość daleko, ale w sumie wstyd być na Krecie i nie zobaczyć słynnego pałacu-labiryntu.

Nell powiedziała to samo.

– Obie z Clarą mamy w nosie jakieś nudne ruiny – odparła jej wtedy Thea. – Wakacje są po to, żeby nic nie musieć! Będziemy się kąpać, opalać, chodzić na zakupy i na tym koniec!

Gdy jednak propozycję zwiedzania jakichś nudnych ruin złożył Rhys, pomyślała, że może wcale nie będzie to takie nudne, więc czemu by nie spróbować?

– Ale to ty bierzesz na siebie wyciągnięcie dziewczynek z basenu na cały dzień – zastrzegła się.

Rhys poruszył kwestię wycieczki przy kolacji. Sophie trochę wydłużyła się buzia, ale Clara ani na moment nie zapomniała o tym, jak nie znosi Harry'ego, za to lubi wujka Rhysa, który świetnie pasuje do ciotki Thei, w dodatku jest tatą jej nowej przyjaciółki, więc zakrzyknęła natychmiast:

– Bomba!

Jak zwykle Sophie uległa entuzjazmowi Clary.

Zwiedzanie Knossos okazało się nawet całkiem ciekawe. Co prawda Thea nie potrafiła docenić walorów architektonicznych pałacu i w ogóle nie pojmowała, na co komu była potrzebna taka gmatwanina pomieszczeń i przejść, jednak sama starożytność tego miejsca zrobiła na niej spore wrażenie.

Rhys w pewnym momencie zauważył ocienione miejsce z dala od głównych atrakcji turystycznych, a więc i od największych tłumów. Usiedli tam, a wtedy opowiedział Sophie i Clarze o tym, jak Dedal na polecenie króla Minosa wybudował labirynt, gdzie zamknięto strasznego, pożerającego ludzi Minotaura, którego w końcu pokonał wielki bohater Tezeusz.

Dziewczynki miały oczy jak spodki. – I to wszystko było... tutaj? – spytała Clara, chyba po raz pierwszy w życiu tracąc pewność siebie.

– Ale tu już nie ma żadnych potworów, prawda? – Przestraszona Sophie przysunęła się bliżej do ojca.

Objął ją, a ona pozwoliła się przytulić.

– Nie, nie ma. I to od dawna – zapewnił.

– Opowiedz nam coś weselszego – zażądała.

Thea przymknęła oczy i nie zwracając uwagi na sens słów, czerpała przyjemność z samego słuchania spokojnego, ciepłego głosu. W odróżnieniu od Harry'ego, który mówił dużo i ze swadą, Rhys był człowiekiem powściągliwym i pełnym umiaru. Harry łatwo się zapalał, miał wiele namiętności. Co wzbudzało namiętność w sercu Rhysa? Oczywiście oprócz skał magmowych...

Zaczęła sobie wyobrażać, jak by to wyglądało, gdyby spędzali te wakacje sami. Żadnych Paine'ów dookoła. Nawet bez dziewczynek Tylko oni i... i wielkie łóżce w jego lub jej domku. Spieszyłby się, nie mogąc się powstrzymać, czy też uwodziłby ją powoli? Wyobraziła sobie, jak całowałby jej ciało, jak ona całowałaby jego. Byliby poważni, czy też uśmiechaliby się

lekkie? Jak by to było poznawać go całego, poczuć go w sobie?

Zrobiło jej się tak gorąco w dole brzucha, że aż wciągnęła powietrze i gwałtownie otworzyła oczy.

Pozostała trójka przyglądała jej się z niepokojem.

– Theo, nic ci nie jest? – spytał z troską Rhys.

Kręciło jej się w głowie, wciąż jeszcze miała wrażenie, że czuje go na sobie, w sobie, nie wiedziała, co odpowiedzieć, przepelniona pragnieniem, rozbudzona...

– Nie, nic. Ja tylko... tylko...

Umilkła bezradnie, niezdolna wykrzesać z siebie nic sensownego. Co takiego było w tym zwyczajnym w sumie mężczyźnie, że mogła myśleć jedynie o tym, by jej dotknął, by ją pocałował, by położył się z nią za murkiem, na którym siedzieli i kochał się z nią wprost na ziemi zasłanej żółtymi sosnowymi igłami?

Przy Harrym nigdy nie odczuwała równie silnego pożądania, które zdawało się przeszywać całe ciało. Uszczęśliwiał ją sam fakt podobania się komuś tak szalenie atrakcyjnemu. Cały czas nie mogła w to uwierzyć, więc nigdy nie pozbyła się obawy, czy to aby nie sen.

To, co właśnie odczuwała w obecności Rhysa, było najzupełniej realne i intensywne prawie do bólu.

– Ten upał musiał ci zaszkodzić – uznał Rhys. – Wyglądasz, jakbyś miała za chwilę zemdleć. Lepiej pochyl się i potrzyмай głowę między kolanami, powinno pomóc.

Wątpiła, by pomogło, lecz posłuchała, gdyż wolała wyjść na nieprzytomną z upału niż z pożądania. Siedziała więc przez ładnych parę minut z pochyloną głową, a Rhys opiekuńczym gestem trzymał dłoń na jej karku – co bynajmniej nie działało na nią uspokajająco!

– Lepiej? – spytał, gdy wreszcie się wyprostowała.

– Tak – skłamała. – Nie wiem, co mi się stało... – Rozejrzała się. – Gdzie dziewczynki?

– Zobaczyły jakieś koty i poleciały do nich. – Wskazał zaciszny zakątek ruin, gdzie zachwycone dziewczynki wydawały z siebie „ochy” i „achy”. – Pewnie są dzikie i mają pchły, ale wytłumacz to tym uparciuchom!

– Nie przejmuj się pchłami, dziewczynki tyle siedzą w basenie, że nawet jeśli zabiorą jakieś na siebie, to szybko je utopiają.

– Oby tylko nie przekazały ich chłopcom Paine’ów, bo Kate da nam popalić!

Wybuchnęła śmiechem, dzięki czemu poczuła się trochę lepiej.

– Żadna pchła nie ośmieli się skoczyć na Paine’a, uwierz mi. Już Kate palnęłyby jej kazanie na temat niestosowności podobnego zachowania!

– Wiesz co? Przy tobie można naprawdę odpocząć – powiedział nieoczekiwanie Rhys.

– Jak to?

– Większość kobiet, jakie znam, natychmiast odgoniłaby dzieci od tych kotów. Bałyby się, że dziewczynki czymś się od zwierząt zarażą albo co najmniej zostaną podrapane, nalegałyby na zwiedzanie z przewodnikiem i obejrzenie wszystkiego, potem miotałyby się, urządzając piknik albo szukając odpowiedniego lokalu, w którym można zjeść lunch, przynaglałyby do powrotu, bo niedobrze jeździć po ciemku... – wyliczał, po czym nagle

uśmiechnął się ciepło.

– Nie masz pojęcia, o ile przyjemniej jest jechać na wycieczkę z kimś takim jak ty. Nie robisz zamieszania, nie wprowadzasz nerwowej atmosfery, siedzisz sobie spokojnie na murku i przyjmujesz rzeczy takimi, jakie są.

– Co po prostu oznacza, że jestem leniwa – skwitowała melancholijnie. – Przynajmniej tak uważa Harry.

Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, jak często Harry wyrzucał jej lenistwo. Równie często, jak próbował wpłynąć na jej wygląd. Chciał, by wyglądała bardziej elegancko, namawiał ją na kupienie sobie nowych ubrań, wyregulowanie brwi, zrobienie balejażu... Krótko mówiąc, miała choć trochę upodobnić się do Isabelle! Czemu wcześniej to do niej nie dotarło?

– Nie wiem, czy jesteś leniwa. Za to na pewno jesteś wyrozumiała, niekonfliktowa, wielkoduszna, spokojna...

Przesadził, zwłaszcza z tym ostatnim, bo spokój był ostatnią rzeczą, jaką mogła odczuwać w jego obecności.

– Nudna jak flaki z olejem... – podsunęła.

Z dezaprobatą potrząsnął głową i podniósł się.

– Theo Martindale, trzeba porządnie popracować nad twoim poczuciem własnej wartości!

– Wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać. – Lepiej trzymaj się mnie, dopóki czegoś nie zrobimy z tym twoim brakiem wiary w siebie.

Jak zwykle ogarnęło ją rozkoszne ciepło, gdy poczuła jego dotyk, a potem poczucie zawodu, gdy Rhys cofnął rękę.

– Masz rację. Będę się ciebie trzymać.

Kiedy później wspominała te dwa tygodnie, każdy z dni wydawał jej się cudownie długi, prześwietlony słońcem, przeniknięty zapachem tymianku, rozwibrowany dzwonieniem cykad.

Clara i Sophie, gdyby to od nich zależało, w ogóle nie wychodziłyby z basenu, lecz czasem dawały się z niego wyciągnąć, oczywiście pod warunkiem, że potem będą mogły znowu iść do wody. Rhys najchętniej chodziłby na długie piesze wycieczki, lecz szarmancko uległ przewadze trzech kobiet żądnych słodkiego letniego nieróbstwa i przesiadywał z nimi nad basenem lub woził je na piękną pustą plażę w urokliwej zatoczce. Raz tylko – i to z wielkim trudem – udało mu się je namówić na pójście w góry. Na początku dziewczynki narzekały, przestały jednak, gdy na dnie dzikiego wąwozu zobaczyły koryto prawie zupełnie wyschniętej rzeki, które okazało się świetnym miejscem do zabawy. Bawiły się w chowanego między głazami i z upodobaniem brodziły w kałużach płytkiej wody.

Urządzili sobie piknik wśród skał i jakichś pachnących krzewów, potem dziewczynki znów zbiegły na dno rzeki, Thea zaś wyciągnęła się wygodnie wprost na ziemi, zupełnie się nie przejmując, czy się nie pobrudzi. Obserwowała profil Rhysa, wpatrującego się gdzieś w dal. W mocnym greckim słońcu doskonale widziała siateczkę zmarszczek wokół jego oczu, kilka srebrnych włosów na skroni, kiełkujący na brodzie ciemny zarost.

W pewnym momencie Rhys spojrział na nią, jego zdumiewająco świetliste oczy były

pełne ciepła.

– Podoba ci się tutaj?

– Bardzo – odparła, czując na jego widok dokładnie to samo, co poprzednio w Knossos. Na szczęście leżała, więc nie było po niej widać, jak słabo jej się zrobiło.

W ciągu tych dni coraz trudniej przychodziło jej pamiętać zarówno o Harrym, jak i o tym, że miała nie angażować się w związek w Rhysem. Nie myślała też o upływie czasu. Wakacje nieuchronnie musiały się skończyć, lecz wciąż jeszcze każdy ranek wstawał pełen słońca, Rhys czekał na tarasie, jedli śniadanie we czwórkę, potem spędzali razem praktycznie cały dzień, a wieczorem robili wspólnie kolację, po której dziewczynki zamykały się w pokoju któregoś z nich, gdzie długo coś sobie opowiadały i chichotały, podczas gdy Thea i Rhys zostawali na tarasie i równie długo rozmawiali na wszelkie możliwe tematy, czasem poważne, czasem nie. Ani razu nie próbował jej dotknąć, zaś ona uparcie tłumaczyła sobie, że tak jest lepiej i że wystarcza jej jego przyjaźń.

Na dwa dni przed końcem pobytu znów pojechali na ulubioną plażę.

– Nie wchodzisz? – zawołał z wody Rhys, gdy zorientował się, że Thea jako jedyna z ich czwórki została na brzegu.

– Wchodzę, tylko na tej płyciźnie są te okropne małe rybki, które lubią człowieka podgryzać – wyjaśniła z ociąganiem. – Poprzednio potraktowały mnie jak obiad i wcale nie było to przyjemne.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że boisz się paru małych rybek?

– Nie, ale... ale nie mam ochoty znowu spotkać tych minipiranii.

Ze śmiechem zawrócił przez płyciżnę i nim Thea zdążyła się zorientować, co on zamierza zrobić, porwał ją na ręce i zaniósł w stronę głębszej wody.

Na poły rozbawiona, na poły zakłopotana, odruchowo otoczyła ramionami szyję Rhysa. Dotyk jego nagiej skóry działał na nią tak, że ledwo mogła myśleć, ledwo mogła oddychać, ale śmiała się również, zarażona jego wesołością.

Płyciżna się skończyła, woda sięgnęła Rhysowi do talii, zatrzymał się. Thea pomyślała, że zamierzał wrzucić ją do morza. Objęła go mocniej.

– Nie rób tego – poprosiła bez tchu.

– To znaczy czego?

– Nie wrzucaj mnie do wody. – Z figlarnym uśmiechem posłała mu przesadnie błagalne spojrzenie. – Zrobię wszystko, co zechcesz, tylko mnie nie wrzucaj.

– Wszystko?

– Tak. Obiecuję.

Rhys spoważniał w ułamku sekundy.

– Będę o tym pamiętał – rzekł dziwnym głosem. Thei śmiech zamarł na ustach.

Nie odrywając wzroku od jej twarzy, Rhys bardzo powolutku zaczął cofać rękę spod jej kolan, tak że w rezultacie Thea równie powoli zsuwała się po jego ciele, aż dotknęła stopami dna. Stali bez ruchu, ramiona Thei nadal oplatały szyję Rhysa, jego dłonie spoczywały na jej plecach, dookoła nich łagodnie kołysały się fale.

Pocałuj mnie, błagała go w duchu, widząc, jak jego oczy ciemnieją. Pocałuj.

Wiedziała, że też tego pragnął, ale przecież nie mógł tego zrobić na oczach Sophie i Clary, które płynęły w ich stronę. Może więc zrobi to wieczorem na tarasie, gdy one pójda spać?

Puścił ją i obrócił się ku dziewczynkom, które stanowczo zażądały, żeby bawił się z nimi w ich ulubiony sposób. Złapał więc Clarę za rękę i nogę, okręcił się dookoła i puścił ją, aż poszybowała i plusnęła między fale.

– Teraz ja! – zapiszczała Sophie.

Tymczasem Thea położyła się na plecach i odpłynęła kawałek dalej, bezskutecznie próbując się uspokoić. Nie było co dłużej mydlić sobie oczu, że wystarczy jej jego przyjaźń. Nie wystarczała. Pragnęła Rhysa do nieprzytomności, chciała dotykać go całego, czuć dotyk jego ust na swojej skórze, wyobrażała to sobie ze szczegółami i tak intensywnie, że jej ciało reagowało bolesnym napięciem, domagając się tego mężczyzny tu i teraz. Już!

To tylko czyste pożądanie, to nic poważnego, tłumaczyła sobie. Pewnie zbyt często widywała go niemal nagiego, stąd leży się podobne fantazje. Gdy się ubiorą, wszystko wróci do normy.

Niestety, gdy siedzieli z powrotem w samochodzie, Thea w sukience, Rhys w długich spodniach i koszuli z krótkim rękawem, nic się nie zmieniło. Umierała z pragnienia, by go rozebrać, całować, czuć, jak jej ciało otwiera się dla niego... Dość tego! Nakazała sobie spokój i kurczowo splótła dłonie, by nie ulec pokusie i nie dotknąć go.

Gdyby przynajmniej okazał, że on też przechodzi przez coś podobnego, byłoby jej łatwiej, lecz on traktował ją najzupełniej zwyczajnie, jakby tamta pełna napięcia chwila w ogóle nie miała miejsca.

– Jest dopiero wpół do czwartej – rzekł, spojrzawszy na zegarek. – A gdybyśmy się wybrali do Agios Nikolaos? To bardzo ładny stary port, możemy tam coś zjeść. Jutro wieczorem jesteśmy zaproszeni do Paine’ów, więc to nasza ostatnia szansa na miłą wspólną kolację.

Ostatnia szansa... Thea zmartwiała. Jak mógł powiedzieć to tak lekkim tonem?

– A są tam sklepy? – zapytała Clara.

– Całkiem sporo.

– Super! Muszę kupić prezent dla mamy.

– Ja też chcę iść po pamiątki! – zadeklarowała Sophie.

– Theo, a ty chcesz jechać?

Bez słowa skinęła głową. Pójście na zakupy mogło jej pomóc zapomnieć o problemach. Zawsze pomagało.

Agios Nikolaos rzeczywiście okazało się urocze. Pomalowane na jaskrawe kolory łodzie rybackie kołysały się przy nabrzeżu, sklepy i sklepiki dosłownie pękały w szwach od pamiątek, z licznych restauracji płynęły kuszące zapachy. Rhys z anielską cierpliwością znosił pomysły opętanych ideą zakupów trzech kobiet, a gdy wszystkie już miały upragnione prezenty, zabrał je do sympatycznej małej tawerny, z której tarasu roztaczał się widok na port.

Dziewczynki przez chwilę siedziały spokojnie, pijąc sok i porównując zakupy, ale zaraz znowu zaczęło je nosić.

– Niebawem wrócimy – przekonywała Clara. – Jak tylko kelner przyjdzie z jedzeniem, będziemy z powrotem.

– A nie możecie raz grzecznie posiedzieć przy stole? – spytała z rezygnacją Thea.

– Oj, ciociu, zgódź się! – przymlała się, ściskając ją mocno. – Będziemy blisko, naprawdę.

– Lepiej niech idą, bo nie dadzą nam spokoju – zawyrokował Rhys.

– Dzięki, tatku. Chodź, Clara – rzekła szybko Sophie i już ich nie było.

Zapanowało milczenie. Rhys nie kwapił się do przerwania go, jakby wcale mu nie przeszkadzało. Siedział, wpatrując się w linię horyzontu. Jego opalona ręka spoczywała na stole, mocne palce obejmowały szklankę z wodą. Thea, nawet nie patrząc na niego, była doskonale świadoma każdego jego ruchu, każdego szczegółu wyglądu. Odbierała jego obecność całą sobą, całym ciałem, każdą komórką, każdym nerwem.

Wyciągnąć rękę, dotknąć go...

– Zupełnie zapomniałam o tym zaproszeniu Paine'ów – rzekła, nie mogąc dłużej znieść tej ciszy. – I nawet nie dotarło do mnie, że to będzie nasz ostatni wieczór tutaj.

– Ja też nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopiero Kate mi to uświadomiła. Lepiej byłoby mieć go dla siebie, lecz nie mogłem odmówić, bardzo nalegała. I tak przez dwa tygodnie udało nam się unikać składania im wizyt.

– Cóż, możemy się poświęcić na jakieś dwie godziny – zgodziła się. – Oby tylko Clara umiała się zachować! Kate już i tak ma ją za małą buntowniczkę, która wywiera zły wpływ na jej synów.

– Fakt, odkąd twoja siostrzenica przejęła ster rządów w swoje ręce, Hugo i Damian przestali być tacy grzeczni.

Zaśmiali się zgodnie, ich spojrzenia spotkały się i znowu zapadła cisza. Thea głowiła się, co powiedzieć tym razem, na szczęście przybiegła Sophie.

– Tato, masz dwa euro? Potrzebne nam dwie monety.

– Po co?

– Tam są „Usta Prawdy”. – Wskazała na drugi koniec tarasu, gdzie Clara niecierpliwie czekała przy wmurowanej w ścianę kamiennej masce. – Czyta przyszłość z ręki i drukuje na komputerze. Można wybrać, czy się chce po grecku czy po angielsku!

Rhys westchnął.

– Sophie, przecież to jest nabieranie naiwnych, jesteś dużą dziewczynką, powinnaś o tym wiedzieć. Na tym wydruku będą bzdury wyssane z palca.

– Tak, tak – przytaknęła, nie słuchając ani słowa. – To co? Dasz nam dwa euro?

Przewrócił oczami, ale sięgnął do kieszeni i po chwili Sophie odbiegła w podskokach. Thea przyglądała jej się z przyjemnością. W ciągu tych dwóch tygodni dziewczynka rozkwitła w oczach. Nabrała zdrowego wyglądu, jadła bez grymasów i znakomicie dogadywała się z ojcem.

Po paru chwilach dziewczynki były z powrotem, wymachując kartkami papieru. Sophie podała swoją ojcu.

– Przeczytasz mi?

Westchnął z teatralną przesadą, wyjął z kieszeni okulary, włożył je na nos i z udawaną srogością popatrzył ponad ich krawędzią na dziewczynki.

I w tym momencie Thea zrozumiała.

Na moment cały świat zamarł – drewniane łódki rybaków, mali chłopcy śmigający po nabrzeżu na deskorolkach, kelner lawirujący pomiędzy stolikami... Wszystko to znieruchomiało i znikło, i został tylko Rhys.

Rhys, w którym nie wiedzieć kiedy zakochała się bez pamięci i bez ratunku.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

A więc to był mężczyzna jej życia.

Zwyczajnie wyglądający, zaczynający siwieć, z okularami do czytania na nosie, geolog zakochany w skałach.

Nigdy przedtem nie przeżyła podobnego olśnienia i nie czuła podobnej pewności. Ten i żaden inny – to było takie oczywiste!

Jej serce wezbrało zachwytem i niedowierzaniem, sama obecność Rhysa, samo patrzenie na niego stało się źródłem radości. Kocham cię, myślała, i było jej z tym dobrze.

Rozejrzała się dookoła. Ku jej zdumieniu świat niczego nie zauważył i wcale nie zamarł, łódki kołysały się na wodzie, chłopcy dalej dokazywali na deskorolkach, kelner postawił na sąsiednim stoliku karafkę z wodą i zniknął z powrotem w kuchni. Dziewczynki chciwie słuchały słów Rhysa. Nikt się nie zorientował, że jej życie odmieniło się w jednej sekundzie i już nigdy nie będzie takie samo.

– „Czasem czujesz się zniechęcona i nic ci nie pasuje, ale czeka cię długie i szczęśliwe życie”. – Rhys skończył czytać przepowiednię przyszłości dla swej córki i zdjął okulary. – No, czyli wszystko dobrze. A co „Usta Prawdy” powiedziały tobie, Claro? – Wesoło mrugnął ponad stolikiem do Thei, nieświadom, jaki to efekt na niej wywarło.

– „Rzucasz się na oślep w różne przygody, niektóre mogą cię poważnie rozczarować. Masz niespożytą energię, cenisz sobie przyjemności życia”. – Wyraz jej buzi zmienił się, gdy czytała następne zdanie. – „Czasami próbujesz być za sprytna, uważaj, bo możesz przedobrzyć”. Ale głupoty! – wykrzyknęła z oburzeniem, a pozostała trójka wybuchnęła śmiechem.

– Zaczynam wierzyć, że jednak coś w tym jest! – podsumował Rhys.

– Tato, ty też musisz poczytać sobie z ręki! – zażądała Sophie.

Clara poparła ją natychmiast:

– Idź, wujku. Ciociu, ty też.

Ulegli dla świętego spokoju, chociaż czuli się dość głupio, wsuwając dłonie w uchylone kamienne usta. Clara zabrała wydrukowane kartki i wrócili do stolika.

– Ciociu, ja ci przeczytam, dobrze? „Jesteś dobra dla innych, pełna serdeczności i ciepła”.

– Z triumfem spojrzała na dorosłych. – Wszystko się zgadza, a wy nie wierzyliście! „Przez długie lata będziesz się cieszyć dobrym zdrowiem. Często szukasz miłości nie tam, gdzie powinnaś”. To o Harrym!

– Kto to jest Harry? – zaciekawiała się Sophie.

– Chłopak cioci Thei. Okropny! – Clara skrzywiła się, jakby zjadła cytrynę. – Bardzo ładnie wygląda i niby mówi miłe rzeczy, tylko że on wcale tak nie myśli!

Rhys zauważył, jak Thea zmieniła się na twarzy, więc powiedział szybko:

– Przeczytaj i moją przepowiednię, bo już schowałem okulary.

To szczęśliwie odwróciło uwagę Clary od Harry’ego.

– Usta Prawdy mówią tak... – zaczęła z namaszczeniem.

– „Jesteś pe... per...” – Odbyła krótką szeptaną konsultację z cicią i powiedziała powoli:
– „Perfekjonistą. W pracy potrafisz obsesyjnie skupiać się na szczegółach”. Wujku, zgadza się?

– Właściwie tak – przyznał niechętnie.

– Och, słuchajcie! – Clara potoczyła wzrokiem po twarzach otaczających ją osób, by upewnić się, czy aby nie uronią ani jednego słowa. – „Należysz do tych nielicznych szczęściarzy, dla których małżeństwo będzie źródłem nieustającej radości”.

– Teraz więc widzicie, ile warte te wasze Usta Prawdy – skwitował. – Nawet nie wiedzą, że jestem rozwiedziony.

– Ale to pewnie chodzi o drugie małżeństwo – zaproponowała Clara.

– Właśnie – przyświadczyła Sophie. – To o tobie i cici Thei.

Przez moment panowała cisza.

– Nie bierzemy ślubu z cicią Theą, Sophie – rzekł Rhys, starannie dobierając słowa. – My przecież tylko udajemy zaręczonych, żebyśmy nie musieli wszyscy ciągle chodzić do Paine’ów.

– Prawda... Cały czas zapominam.

Rhys unikał wzroku Thei.

– Wcale ci się nie dziwię. Ja czasem też o tym zapominam.

– Czy Sophie może zostać na noc? – spytała błagalnie Clara. – To nasza ostatnia szansa! Wujek Rhys mówi, że jutro się nie da, bo skoro wyjeżdżamy tak rano, to wieczorem trzeba będzie się pakować.

Była to też ostatnia szansa Thei porozmawiania z Rhysem. Kiedy dziewczynki pójdą spać, oni zostaną sami i wtedy powie mu o tym momencie, kiedy on włożył okulary, a ona się w nim zakochała. Jeszcze nie wiedziała, jak to robi, lecz taki miała plan, gdyż zachęciła ją tamta chwila w morzu, gdy chciał ją pocałować oraz to, co powiedział Sophie: zdarzało mu się zapomnieć, że tylko udają zaręczonych.

A jeśli zmyślił to na poczekaniu, by Sophie nie poczuła się głupio? Pewność siebie nigdy nie należała do mocnych stron Thei. Przecież właściwie nic nie wskazywało na zaangażowanie ze strony Rhysa. Nie rzucał jej znaczących spojrzeń, nie próbował jej dotknąć niby to przypadkiem...

Przekonawszy cicię do swego pomysłu, Clara popędziła powiadomić przyjaciółkę. Po kilku minutach zjawily się obie, a za nimi szedł Rhys z pościelą Sophie. Thea ucałowała dziewczynki na dobranoc.

– Obawiam się, że będą paplać całą noc – mruknął Rhys, gdy niedługo potem zszedł na dół, po zanieśieniu pościeli córki do sypialni Clary. – Dałem im na gadanie pięć minut, a potem surowo kazałem im spać, ale już widzę, jak posłuchają!

Tak bardzo czekała na ten moment, gdy znajdą się sami, a gdy wreszcie nadszedł, czuła przede wszystkim zdenerwowanie.

– Niech robią, co chcą, w końcu wciąż jeszcze są na wakacjach. My też – dodała z pewnym trudem. – Powinniśmy jak najlepiej wykorzystać czas, jaki nam został.

Czyż mogła dać mu lepszą zachętę, by wziął ją w ramiona i zaczął całować, domagając się przy tym, by została z nim do końca życia?

– Chyba masz rację. – Potarł twarz dłońmi, jakby był ogromnie znużony.

– Chodź, napij się czegoś, odpocznij – zaproponowała. – To był męczący dzień.

Gdy znaleźli się na tarasie, podała mu szklankę z zimnym sokiem.

– Dzięki, właśnie tego było mi trzeba...

Usiedli, zapadła cisza. Thea głowiła się, jak mu powiedzieć o swoich uczuciach. Przecież nie nadmieni mimochodem w trakcie rozmowy: „À propos, zakochałam się w tobie”.

– Jesteś dziwnie milcząca – zauważył. – O czym myślisz? O tym, że cię kocham, pragnę i nie wiem, jak mam dalej żyć bez ciebie.

– O naszym wyjeździe. Nie mogę uwierzyć, że to już koniec.

Kolejna szansa dla niego. Wystarczy przecież, by odpowiedział: „To wcale nie musi być koniec”.

– Tak, te dwa tygodnie zleciały bardzo szybko. – Zdobył się na blady uśmiech. – To były piękne wakacje.

Skoro nie zauważał kolejnych zachęt, Thea musiała zdobyć się na odwagę i sama coś zaproponować. Zacznie od tego, że ma mu coś ważnego do powiedzenia. Wzięła głęboki oddech. Trzy, czte... ry! Teraz!

Rhys dziwnie głośno odstawił szklankę i wstał, akurat wtedy, gdy Thea otworzyła usta.

– Lepiej już pójdę – rzekł z nietypowym dla siebie zakłopotaniem.

Wpatrywała się w niego, kompletnie zbita z tropu. Nie mógł iść! Nie w takim momencie!

– Jak to? – wykrztusiła.

– Nie obawiaj się, to nie ma nic wspólnego z tobą. Nie, to znaczy ma, ale... – Urwał, zaklął, wykonał nerwowy gest.

Nigdy go nie widziała w podobnym stanie i to jej pomogło wziąć się w garść.

– Usiądź, dobrze? – poprosiła opanowanym głosem. Przez chwilę stał bez ruchu, po czym gwałtownie usiadł.

– A teraz powiedz mi, o co chodzi.

– O to, co powiedziałaś – wyjaśnił po dobrej minucie czy dwóch. – O wykorzystanie czasu, jaki nam został. Dzisiaj w morzu bardzo chciałem cię pocałować.

– Czemu tego nie zrobiłeś? – szepnęła.

– Ponieważ pojutrze każde z nas wraca do zwykłego życia i wszystko będzie wyglądać inaczej.

– To znaczy jak? – spytała, chociaż odgadła, co usłyszy.

– Taki wyjazd to jakby czas wyjęty z rzeczywistości. Przeżycia stają się intensywniejsze. Teraz jest cudowna noc, ciepło, gwiazdy, miły powiew, zapach kwiatów... Ale w pewnym sensie to nie jest rzeczywiste. Gdy wrócimy do Londynu, te wakacje wydadzą nam się pięknym, krótkim snem.

– Wiem – rzekła ze smutkiem.

– Wybacz, nie chciałem cię zmartwić! Jesteś taka cudowna, a ja... – Zgnębiony, ukrył twarz w dłoniach. – Pamiętam też o Harrym, pewnie nie możesz doczekać się powrotu i

spotkania z nim.

Chciała mu powiedzieć, że ona sama o Harrym już nie pamięta, lecz Rhys ciągnął dalej:

– W dodatku wróciłem do Anglii dla Sophie. Zaniedbywałem ją przez lata, teraz chcę być dobrym ojcem i oddać jej do dyspozycji cały mój wolny czas.

Wszystko stało się jasne. W jego życiu nie było miejsca dla niej. Nawet jeśli jej pragnął, co jego słowa zdawały się sugerować, to nie zamierzał się w nic angażować. W imię ważniejszych spraw.

Serce ścisnęło jej się boleśnie, a jedyną pociechą stała się myśl, że na szczęście nie zdążyła przyznać się do swoich uczuć. Niestety, nieodwzajemnionych.

Ale przecież przynajmniej chciał ją pocałować. Musiała zrezygnować z marzeń o wspólnej przyszłości, ale czy musiała wyrzekać się nawet kilku pięknych momentów, gdy znajdowali się sami na tarasie, otuleni przyjazną ciemnością? Mogła przeżyć kilka niezapomnianych chwil, a reszta... Cóż, wzorem Scarlett O'Hary pomyśli o tym jutro.

– Tak, zgadzam się, że wakacje to czas poza rzeczywistością, która wygląda zupełnie inaczej... – zaczęła ostrożnie. – Ale dzisiaj w morzu ja też chciałam cię pocałować.

Gwałtownie uniósł głowę.

– Słucham?!

– To nasz ostatni wspólny wieczór. Nie marnujmy go, skoro mieliśmy ochotę na to samo... – Wstała. – To oczywiście nie będzie niczego oznaczać...

– Co to więc będzie? – spytał, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

– Miłe zakończenie wakacji. Kilka chwil tylko dla nas dwojga.

Podeszła do niego.

Rhys ujął ją za rękę i pociągnął łagodnie, by Thea usiadła mu na kolanach.

– Jesteś pewna?

Pochyliła się i dotknęła wargami tego miejsca pod jego uchem, gdzie pulsowała mała żyłka. Marzyła o tym od wielu dni.

– Jestem pewna – szepnęła, całując szyję Rhysa. Otoczyła go ramionami i nie zamierzała go z nich wypuszczać. – Zupełnie pewna. – Przesuwała ustami wzdłuż jego policzka, gładziła dłońmi umięśnione barki.

Obrócił nieco głowę, by ich usta spotkały się. Pocałowali się chciwie, z całą tłumioną od jakiegoś czasu pasją. Po raz pierwszy nie robili tego ze względu na Kate, tylko dla samych siebie i zapamiętali się w tym zupełnie. Obsypywali pocałunkami swoje twarze, w gorączkowym zachwycie dotykali swoich włosów, ramion, pleców, dłoń Rhysa wsunęła się pod sukienkę Thei, zaczęła pieścić jej udo, przesunęła się wyżej.

Przywarła do niego mocniej, starając się nie myśleć o tym, że ten pierwszy raz jest zarazem ostatnim i że to musi się skończyć. Nie, nie może, ona nie pozwoli.

A jednak koniec nastąpił szybciej, niż się spodziewała.

Rhys rozpiął suwak sukienki, jego wargi przesunęły się w gorącej pieszczocie po obojczyku Thei i... i nagle zamarł.

– Dziewczynki!

Co? Jakie dziewczynki? Pocałowała go, spragniona dalszego ciągu.

– Musimy przestać, póki jeszcze mogę – rzekł z trudem. Nie! Wszystko w niej zaprotestowało gwałtownie. Nie przestaną, pójdą na górę, gdzie czeka jej wygodne białe łóżko i będą się poznawać do końca.

Nagle poczuła się tak, jakby rzeczywistość przedarła się przez spowijający ją opar pożądania. Prawda, dziewczynki! Clara i Sophie pewnie wciąż jeszcze gadały w sypialni, więc nie było mowy o żadnym zbliżeniu... Nie będzie kochać się z Rhysem nawet ten jeden jedyny raz.

Wyprostowała się powoli.

– Masz rację, trzeba przestać. – Jakimś cudem zdołała się zdobyć na coś w rodzaju uśmiechu. – Ale było miło.

– Bardzo miło – szepnęła.

Zebrała wszystkie siły, by podnieść się z jego kolan i odsunąć się. Poprawiła sukienkę i podeszła do balustrady, oplecionej pachnącym kapryfolium. Gdy tak stała, obrócona plecami do Rhysa, usłyszała skrzypnięcie krzesła, potem ciche kroki, na koniec poczuła mocne, ciepłe dłonie na swoich ramionach. Zamknęła oczy.

– Jesteś naprawdę wyjątkowa. Mam nadzieję, że Harry będzie na ciebie czekał na lotnisku.

Nie dbała o Harry'ego, zależało jej jedynie na Rhysie, lecz nie mogła mu już o tym powiedzieć. Obiecała przecież, że tych kilka miłych chwil nie będzie niczego oznaczało. Nie mogła zmieniać reguł gry.

– Jutro nasz ostatni dzień – rzekł cicho, opuszczając ręce i cofając się o krok. – Wykorzystajmy go jak najlepiej.

Starali się przyjemnie spędzić ostatni dzień, lecz nic z tego nie wyszło. Dziewczynki były ponure, Sophie oznajmiła, że nigdzie nie wraca, bo nie chce iść do szkoły. Thea próbowała ją pocieszać, ale szybko przestała, ponieważ sama czuła się podle. Nie wiedziała, jak rozmawiać z Rhysem, bo chociaż żadne nie zająknęło się ani słowem na temat poprzedniego wieczoru, to żywe wspomnienie dzielonych pieszczot praktycznie uniemożliwiało normalną rozmowę. W rezultacie nie odzywali się do siebie przez sporą część dnia i każde znalazło sobie jakiś pretekst, by mieć się czym zająć. Rhys sprawdzał stan samochodu, a Thea zbierała porozrzucane po całym domku rzeczy siostrzenicy.

Właściwie sama była sobie winna. Gdyby nie zaproponowała mu pocałunku, ten dzień wyglądałby zupełnie inaczej. , Owszem, nie byłby najweselszy, ale przynajmniej spędziliby go razem – jak przyjaciele.

Niemal z ulgą poszła na pożegnalnego drinka do Paine'ów. Dziewczynki, pouczone, że mają się grzecznie zachowywać, wlokły się za nimi noga za nogą.

– Mogłybyśmy się bawić w basenie... – mruknęła jedna.

– ... zamiast siedzieć przy głupim stole – dokończyła druga.

– Po wizycie możecie iść popływać ostatni raz, ale teraz zrobicie to, co wam każę, inaczej nie będzie żadnego pływania – uciął dziwnie ostro Rhys, a dziewczynki wymieniły wymowne spojrzenia.

Ostatecznie nie musiały siedzieć przy stole, gdyż Kate nie miała ochoty na towarzystwo dzieci i kazała całej czwórce iść do domu i pograć w coś.

– Tylko nie wolno wam się pobrudzić – przykazała synom, wysłała Nicka po wino, a potem obróciła się ku gościom. – To teraz możemy usiąść i miło spędzić razem ten ostatni wieczór. Bardzo udane wakacje, nie sądzicie?

– Cudowne – przytaknęła z całym przekonaniem Thea, zerkając przy tym na swego towarzysza. Milczał z zaciętym wyrazem twarzy i nie wyglądał na zachwyconego udanymi wakacjami. – Żadne z nas nie chce wracać do domu.

– A ja zawsze wracam bardzo chętnie – stwierdziła dziarskim tonem Kate. – Trzy tygodnie na naładowanie akumulatorów to wystarczająco dużo. Tyle spraw musiało nabierać się w biurze podczas mojej nieobecności! Trochę czasu minie, nim uporam się ze wszystkimi zaległościami. Czasem aż się zastanawiam, czy w ogóle warto wyjeżdżać.

Jasne, załatwianie korespondencji na bieżąco jest ważniejsze od spędzenia trzech tygodni z dziećmi, pomyślała nieco uszczypliwie Thea.

Wrócił Nick, nalał wszystkim wina, tymczasem Kate rozwodziła się nad tym, jak to w firmie nie dano by sobie rady, gdyby nie ona. Thea słuchała jej jednym uchem, myśląc o uśmiechu, z jakim Rhys poprzedniego wieczoru posadził ją sobie na kolanach...

– Nie masz jeszcze pierścionka – zauważyła nieoczekiwanie Kate, wskazując dłoń Thei. – Przecież mieliście całe dwa tygodnie na kupienie go. Nie ma co odwlekać takich rzeczy, przecież ślub jest całkiem niedługo, i tak będziecie mieli mnóstwo spraw do zorganizowania!

Thea musiała błyskawicznie coś wymyślić, ponieważ nie było co liczyć na pomoc Rhysa w jego obecnym stanie.

– W Londynie będzie większy wybór – odparła przytomnie.

– Trudno z tym dyskutować, fakt. Rozumiem, że wybierzesz brylant? – Z upodobaniem spojrziała na swój pierścionek zaręczynowy, bardzo masywny, wysadzany kilkunastoma małymi i dużymi kamieniami.

– Nie – odezwał się nagle Rhys. – Są zimne i nie pasują do Thei. – Sięgnął po jej dłoń, zaczął jej się przyglądać, próbując sobie wyobrazić ją z pierścionkiem. – To musi być coś innego, cieplejszego. Może szafiry?

– Uwielbiam szafiry – wyznała, skrycie napawając się jego dotykiem.

Na twarzy Kate pojawił się wyraz dezaprobaty.

– Cóż, skoro je lubisz... Nick, zobacz, co z dziećmi, za bardzo hałasują – rozkazała, a potem wróciła do przerwanej wątku: – Szczerze powiedziawszy, szafiry wydają mi się dość... – zawahała się, wyraźnie szukając alternatywy dla słowa „pospolite” – ... zwyczajne, podczas gdy brylanty to ponadczasowa elegancja.

Thea próbowała obrócić całą sprawę w żart:

– Wszystko więc się zgadza, bo ja jestem zwyczajną osobą.

– Nie, nie jesteś – warknął Rhys. – Szafiry też nie są. Są piękne i pełne ciepła. – Spojrzał wyzywająco na Kate. – Tak jak Thea.

Kiedy wreszcie zdołali wyrwać się od Paine’ów i dziewczynki poszły popływać, a oni usiedli nad basenem, Rhys skomentował ponuro:

– Jedna pozytywna strona wyjazdu to ta, że nie trzeba będzie więcej widywać tej koszarnej kobiety. Nie mam pojęcia, jak Nick z nią wytrzyma.

– Ja z kolei nie wiem, jak da się wytrzymać z nim. – Thea ucieszyła się, że wreszcie mają jakiś powód do rozmowy, choćby to była wspólna niechęć do Paine’ów. – Aha, na twoim miejscu nie liczyłabym na to, że tak łatwo się od niej uwolnisz. Przecież zaprosiła nas na oglądanie zdjęć z wakacji.

– A ty jeszcze przyklasnęłaś temu pomysłowi – wytknął ponuro.

– A co miałam zrobić? Powiedzieć, że nie przyjdziemy, bo nie zamierzamy się widywać? Zerknął na nią, lecz szybko odwrócił wzrok.

– Nie, faktycznie nie dało się inaczej.

– Ona należy do osób traktujących podobne zaproszenia poważnie – ostrzegła. – Weźmie od Lyndy twój numer telefonu, skontaktuje się z tobą i przypomni o tej wizycie. Musisz mieć przygotowaną jakąś wymówkę.

Wpatrywał się w ciemność.

– Powiem, że się rozstaliśmy – rzekł głucho.

– Spyta o powód.

– Okropnie chrapiesz.

Thea aż zaśmiała się z ulgą, uradowana pierwszym tego dnia przebłyskiem humoru Rhysa.

– Ani mi się waź!

– Nie obawiaj się, powiem prawdę. Nie, nie tę o udawaniu. Tę o Harrym. Kiedy się spotkaliśmy, właśnie zerwaliście, lecz gdy wróciłaś z wakacji, czekał na ciebie i zrozumiałaś, że to jednak on. Swoją drogą, chciałbym, żeby rzeczywiście czekał i okazał ci uczucie, na jakie zasługujesz. A zasługujesz na wszystko, co najlepsze.

Thea zirytowała się. Czemu on z takim uporem wpychał ją w ramiona Harry’ego? Czy to nie był typowo męski lęk przed odpowiedzialnością? „Zasługujesz na kogoś lepszego ode mnie” znaczyło po prostu: „Nie zamierzam się z tobą wiązać”.

Milczała, zła na niego i zadowolona z tego gniewu. Starła się go nawet w sobie podsycać, bo to dawało jej nadzieję na nieco łatwiejsze rozstanie. W dodatku każda emocja była lepsza od uczucia dojmującej pustki, jakie ją przeszywało, gdy tylko pomyślała o życiu bez Rhysa.

– Przynajmniej nie trzeba będzie już niczego udawać – zauważył po jakimś czasie.

Niech mówi za siebie! Ona będzie musiała odtąd udawać przez cały czas, maskować pogodą i uśmiechem złamane serce.

– To prawda... Ale i tak nie żałuję tej drobnej maskarady, bo będzie co wspominać – odparła z wymuszoną wesołością. – W końcu nie na każdych wakacjach człowiek się żaręca.

– Ale nie dostałaś pierścionka z szafirem – zażartował blado.

Zdobyła się na uśmiech.

– Może Harry temu zaradzi, kto wie?

Akurat! Nawet gdyby Harry chciał się oświadczyć, z całą pewnością kupiłby pierścionek z brylantem. Nigdy by nie pomyślał o wybraniu kamienia, który kojarzyłby mu się z nią.

Znowu zapadła długa cisza. Tym razem przerwała ją Thea:

– Dziewczynki będą za sobą tęsknić.

– Na pewno da się zorganizować jakieś spotkanie w Londynie, w końcu nie mieszkają tak daleko od siebie.

Da się zorganizować spotkanie... To znaczy on albo Lynda skontaktują się z Nell. Thea nie będzie do tego potrzebna. Co prawda mogłaby spróbować... Nie, nie będzie się napraszać. Miała serdecznie dość zakochiwania się bez wzajemności. Tym razem jednak nie będzie rozpaczać, tylko pozbiera się, wyjdzie do świata i wreszcie spotka mężczyznę, który zaakceptuje ją taką, jaka jest. I wreszcie będzie szczęśliwa.

Oczywiście o ile uda jej się wyrzec pragnienia, by owym mężczyzną był Rhys.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Thea wpatrywała się w sunące powoli bagaże na taśmociągu. Miała za sobą wieczorne pakowanie, pobudkę o świcie, męczącą podróż, w dodatku przez cały czas musiała powstrzymywać łzy. Nie wyobrażała sobie rozstania z Rhysem, dlatego była zadowolona, że ich walizki wciąż się nie pojawiają. Może przez pomyłkę poleciały gdzie indziej? Dzięki temu oni pobędą jeszcze trochę razem...

Niestety, Rhys już zauważył bagaż swój i Sophie, chwilę potem wyjechał kolorowy neseser Clary, a wreszcie walizka Thei. Udała, że jej nie widzi, lecz siostrzenica wskazała ją Rhysowi, więc zniknął ostatni pretekst, który pozwoliłby odwlec moment rozstania.

– A, tu jesteście! – Kate dopadła ich, nadstawiła Thei policzek do cmoknięcia. – Miło było cię poznać. Skontaktuję się z tobą przez Rhysa, ustalimy datę spotkania. – Nie czekając na odpowiedź, rzuciła: – Muszę bieć. Hugo, Damien, idziemy!

Pomaszerowała ku wyjściu dziarskim krokiem, ogromnie pewna siebie i swej kontroli nad innymi, a Thea i Rhys zostali sami. Chociaż stali w środku zatłoczonej hali, czuli się wyizolowani od reszty zaaferowanych pasażerów. Gdyby cały świat zniknął, nie zauważyliby tego.

– Jak się dostaniecie do domu? – spytał nieco sztywno Rhys. – Zostawiłem samochód na parkingu, mogę was podwieźć.

Słyszając to, Thea omal nie rozpląkała się, po raz pierwszy w życiu pożałowała bowiem, że ma kochającą rodzinę!

– Nie trzeba, Nell i mój tata mieli po nas wyjechać.

– Ach, tak... To dobrze. Nie będziecie musiały tłuc się z bagażami metrem.

– Właśnie.

Jak to możliwe? Jeszcze tak niedawno tonęli w swoich objęciach, całując się bez opamiętania, a teraz wymieniali zdawkowe uwagi.

– Chyba pora na nas – rzekł po chwili Rhys. Thea poczuła, jak wszystko w niej zamiera.

– Na nas też.

Czekała na cokolwiek – niechby spytał o numer telefonu albo chociaż napomknął mimochodem, że mogliby się kiedyś zobaczyć. On jednak już ścisnął Clary, mówiąc jej coś wesołego, żeby ją rozbawić.

Thea pochyliła się więc i ucałowała Sophie.

– Będę za tobą tęsknić.

– Kiedy cię zobaczę, ciociu?

– Nie... nie wiem. Pewnie za jakiś czas.

– Ale niedługo, prawda?

Co miała na to odpowiedzieć?

– Mam taką nadzieję.

Sophie puściła ją z ociąganiem, odwróciła się do Clary i wtedy nadszedł moment, którego Thea obawiała się najbardziej.

Przywołała uśmiech na twarz i chociaż pewnie nie wydawał się najpogodniejszy, zawsze było to lepsze niż wybuch płaczu, rzucenie się Rhysowi na szyję i błaganie go, by nie pozwolił jej odejść.

Powinien być jej wdzięczny za takie opanowanie!

– Cóż... – rzekła tylko i dzielnie uśmiechała się dalej.

– Theo... – zaczął, lecz urwał gwałtownie.

– Tak? – ponagliła, gdy milczał, on jednak zmienił zdanie i nie powiedział tego, co zamierzał.

– Chciałem... chciałem ci podziękować. Za wszystko.

– To ja powinnam ci dziękować. Dbałeś o nas, woziliś na plażę, zabierałeś na wycieczki. Gdyby nie ty, przesiedziałabym te dwa tygodnie nad basenem.

I nie przeżyłabym tego cudownego momentu, w którym zrozumiałam, że znalazłam kogoś, na kogo czekałam przez całe życie, dodała w myślach. Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek, lecz jej wargi dotknęły przy tym kącika jego ust.

Poczuła wokół siebie ramiona Rhysa. Przez chwilę trzymał Theę przy sobie, po czym puścił ją i cofnął się o krok.

– Żegnaj. – Głos zdrzął jej podejrzenie, więc mocno zacisnęła dłoń na rączce walizki. Nie rozklei się na sam koniec. Wytrzyma. – Chodź, Claro, poszukamy mamy.

Odwrociła się i odeszła, nie oglądając się za siebie, co było najtrudniejszą rzeczą w jej życiu. Niemal nieprzytomnie przeszła przez kontrolę, ledwo pamiętała o tym, by machnąć paszportem. Na szczęście miała przy sobie Clare, która po wyjściu do hali przylotów niemal od razu wyłowiła wzrokiem stojącą w tłumie Nell. Popędziła ku niej i rzuciła jej się na szyję, krzycząc:

– Mamo, mam, ale fajowe wakacje!

Niemal ścięła ją z nóg, ponieważ biedna Nell wciąż poruszała się o kulach i ledwo utrzymała równowagę. Tymczasem Thea została ciepło uściskana przez ojca.

– Witaj, duszeńko. Coś nie wyglądasz na zbytnio szczęśliwą... jak na osobę, która spędziła dwa tygodnie na Krecie – zauważył z troską.

– To ze zmęczenia, tato – skłamała. – Musiałyśmy bardzo rano wstać.

– Powiem ci coś, dzięki czemu poczujesz się lepiej – obiecała Nell, witając się z nią.

Thea poczułaby się lepiej jedynie wtedy, gdyby Rhys przepchnął się do niej przez tłum ludzi. By jednak nie robić siostrze przykrości, spytała z udawanym zainteresowaniem:

– Co?

– Harry dzwonił.

Dziwne. Przez rok myślała tylko o nim, a gdy wyjeżdżała na Kretę, oddałaby wszystko za to, by wiedzieć, czy będzie jej szukał. Teraz zaś nie mogła sobie przypomnieć, czemu to było takie ważne.

– I co powiedział? – spytała bez entuzjazmu.

– Biedactwo, ty naprawdę musisz być skonana! – stwierdziła Nell, przyglądając jej się ze zdumieniem. – Mówił, że próbuje się z tobą skontaktować, ale twoja komórka nie odpowiada od kilku dni i zaczął się poważnie niepokoić. Odparłam, że nie dzwonił do ciebie przez

prawie dwa miesiące, więc chyba trochę późno zaczął się troszczyć, czy u ciebie wszystko w porządku. W końcu poinformowałam go o twoim wyjeździe, nie podając bliższych szczegółów i kazałam czekać na twój powrót. Niech sobie poczeka, dobrze mu to zrobi.

– Niewątpliwie – zgodziła się Thea.

Harry musiał naprawdę się przejąć, skoro zadzwonił do Nell, z którą lubili się jak pies z kotem.

– Nie przepadam za nim, jak wiesz, ale naprawdę wyglądał na skruszonego i stęsknionego za tobą, więc ulitowałam się i podałam mu datę twojego przyjazdu – ciągnęła Nell z rosnącym zdumieniem, ponieważ Thea nie zaczęła na tę wieść tańczyć ze szczęścia dookoła całej hali. – Dobrze zrobiłam? – upewniła się na wszelki wypadek.

– Ależ oczywiście, dzięki! Mam tylko nadzieję, że nie zadzwoni, dopóki się nie wyśpię.

Kładła się spać, licząc na to, że gdy następnego dnia obudzi się w swoim londyńskim mieszkaniu, Rhys wyda jej się równie nierealny, jak Harry wydawał się na Krecie. Niestety, nic podobnego nie nastąpiło.

Chodziła do pracy, rozmawiała, uśmiechała się, przytakiwała, że owszem, pogoda na Krecie jest cudowna i wspaniale jest spędzić tam wakacje. I przez cały czas doświadczała uczucia przeraźliwej pustki. Bez Rhysa nic nie miało sensu. Przyszłość nie oferowała żadnej nadziei, żadnego pocieszenia. Czekwały ją długie, samotne lata, spędzone na rozpamiętywaniu dwóch tygodni, kiedy żyła naprawdę...

Gdy Harry ją zostawił, by zastanowić się, czy woli Isabelle, czy ją, była zraniona, rozżalona i nieszczęśliwa, lecz przy całej frustracji mogła normalnie żyć, pracować i jeść. Tymczasem wraz ze zniknięciem Rhysa prawie uszło z niej życie. Z największym trudem zmuszała się do naturalnego zachowania. Straciła apetyt. Nic nie sprawiało jej radości, nawet wyjątkowo piękna pogoda, tak rzadka w Londynie.

W trakcie pierwszego tygodnia po powrocie zrobiła odbitki z wakacyjnych zdjęć, lecz nie czuła się na siłach, by je oglądać, więc wysłała je Clarze. Dzień później, w piątek, Nell zadzwoniła z podziękowaniami.

– Są piękne, a w dodatku było bardzo miło zobaczyć wreszcie Sophie i Rhysa po tych wszystkich opowieściach, jakie o nich słyszałam – rzekła z entuzjazmem.

Na sam dźwięk jego imienia Theę przeszył dreszcz tęsknoty, tak silnej i bolesnej, że aż niemożliwej do zniesienia.

– Może wpadłabyś dziś na kolację? – ciągnęła Nell. – Jest tyle do obgadania!

Wieczorem siostrze wystarczył jeden rzut oka na twarz Thei, by odgadnąć, że coś jest nie tak i nie chodzi wyłącznie o stres związany z powrotem do szarej rzeczywistości.

– Co się dzieje? Czy to znowu ten przeklęty Harry? – spytała gniewnie. – Czyżby nie zadzwonił?

– Zadzwonił – odparła apatycznie Thea. – I co miał do powiedzenia?

– Że chce spróbować jeszcze raz i że mnie kocha. Jeszcze przed miesiącem wydałoby się jej to ziszczeniem najpiękniejszych snów, lecz gdy Harry zadzwonił, słuchała go jednym uchem, z roztargnieniem rysując coś długopisem na kartce.

– Isabelle znalazła kogoś i nie będzie dłużej potrzebować pomocy Harry'ego, więc jego

zdaniem nasze problemy się skończyły – relacjonowała dalej.

Nell aż prychnęła.

– Jak tylko ten nowy sobie pójdzie, ona pstryknie palcami, a Harry przyleci do niej w podskokach.

– Wiem – zgodziła się ze znużeniem Thea.

– I co mu powiedziałaś? – spytała z niepokojem siostra.

– Że za późno na zaczynanie na nowo i że mam dość bycia nagrodą pocieszenia.

– Bardzo dobrze! – zawołała z ulgą Nell. – Nie gniewaj się, ale moim zdaniem nigdy nie byłabyś z nim szczęśliwa.

– Wiem – zgodziła się ponownie. Jej głos brzmiał zupełnie bezbarwnie.

– Co z tobą? – zatroskała się Nell. – Chyba nie załujesz?

– Nie, zupełnie nie! Po prostu jestem zmęczona.

– Nonsens, nie możesz być wciąż zmęczona, wróciłaś przed tygodniem, miałaś masę czasu na... – Nagle Nell doznała olśnienia. – Ach! Chodzi o Rhysa, prawda?

– Nie wiem, o czym mówisz – broniła się Thea, lecz musiał ją zdradzić wyraz twarzy.

– Nie udawaj. Clara ciągle mi opowiada, że Sophie to, a wujek Rhys tamto... Słyszałam o waszych zaręczynach.

– Nie było żadnych zaręczyn, my tylko udawaliśmy i Clara doskonale o tym wie!

– Udawanie uczucia to niebezpieczna zabawa – zauważyła rozsądnie Nell. – Często zmienia się w rzeczywistość, nawet nie wiadomo kiedy.

– Czemu mi tego nie powiedziałaś przed moim wyjazdem na Kretę? – jęknęła Thea.

– Bo myślałam, że będziesz zajmować się moją córką, a nie zaręczać się z zupełnie obcymi ludźmi – zażartowała Nell, lecz Thea nawet nie próbowała się uśmiechnąć. – W czym właściwie problem? Na zdjęciach wygląda na bardzo sympatycznego, Clara za nim przepada i uważa, że jest stworzony dla ciebie.

– Ja też tak uważam, ale w drugą stronę to nie działa. Ja nie jestem stworzona dla niego! – Głos jej się załamał, łez nie dało się już dłużej powstrzymać i Thea rozplakała się rozpaczliwie.

Nell zerwała się z krzesła, w mig znalazła się przy siostrze, przytuliła ją mocno.

– Aż tak źle? – spytała ze współczuciem.

– Gorzej! – wyszlochała Thea. – Co jest ze mną nie tak?

– Nic!

– To czemu zawsze zakochuję się bez wzajemności? Nell podała jej paczkę chusteczek.

– Skąd wiesz, że Rhys cię nie kocha? Thea głośno wytarła nos.

– Bo mi powiedział, że nie ma czasu na angażowanie się w związek Sceptyczna mina Nell mówiła sama za siebie.

– Praktycznie nie rozstawał się z tobą przez te dwa tygodnie. To nie wygląda na niechęć do angażowania się.

– Ale wakacje rządzą się własnymi prawami i wszystko wygląda inaczej! W dodatku nic między nami nie zaszło. Przyjaźniliśmy się i już. Och, Nell, nie masz pojęcia, jak ja za nim tęsknię! – Po tych słowach nastąpił kolejny wybuch płaczu.

– Zadzwoń więc do niego.

– Nie mogę!

– Czemu nie? Przecież się przyjaźnicie, sama tak powiedziałaś, a przyjaciele mają prawo do siebie dzwonić.

– To nie do końca tak – powiedziała niewyraźnie Thea, siąkając w chusteczkę. – On wrócił do Anglii, by zajmować się córką, ma tyle do nadrobienia... Czułby się winien, gdyby ją znów zaniedbał, tym razem nie ze względu na pracę, lecz na inną osobę.

– Po pierwsze, poświęcanie na siłę całego czasu dziecku jest niezdrowe. Po drugie, skoro twoje towarzystwo sprawiało mu przyjemność, a wyraźnie tak było, to będzie mu go brakować niezależnie od tego, czy Rhysowi to na rękę, czy nie. Wcale się nie zdziwię, jeśli on zadzwoni do ciebie.

– Nawet mnie nie poprosił o numer telefonu.

– Sądząc po zdjęciach i po relacji Clary, to bardzo przytomny człowiek – zauważyła spokojnie Nell. – Zdobycie twojego telefonu nie powinno przedstawiać dla niego trudności.

– Gdyby zatęsknił, już by zadzwonił. – Chlipnęła po raz ostatni. – Skoro nie odezwał się do tej pory, to nie ma już na co liczyć.

Następnego dnia Thea wróciła z supermarketu, lecz po raz pierwszy jej sobotnie zakupy nie przedstawiały się imponująco, zapełniła nimi lodówkę ledwie w trzeciej części, czując, że i tak nie ma najmniejszej ochoty na jedzenie. Zupełnie straciła apetyt, ale nie cieszyło jej nawet to, że może wreszcie straci parę kilo. Jakie to miało znaczenie?

Nalała sobie szklankę wody niegazowanej, bo nic innego nie zdołałaby w siebie wmusić. Zauważyła, że na telefonie pulsuje dioda automatycznej sekretarki, z roztargnieniem stuknęła palcem w przycisk.

– Witaj, Theo, tu Rhys. Dostałem twój numer...

Aż podskoczyła na dźwięk znajomego głosu. Wylała na siebie całą wodę, wduśiła przycisk jeszcze raz, by usłyszeć wiadomość od początku.

– Witaj, Theo, tu Rhys. Dostałem twój numer dzięki Sophie i Clarze, przez które skontaktowałem się z twoją siostrą, a ona wyświadczyła mi tę grzeczność. Chciałbym cię prosić o pewną przysługę. Czy mogłabyś do mnie oddzwonić, gdy wrócisz? – Podyktował swój numer i zakończył prostym: – Do usłyszenia.

Musiała odsłuchać wiadomość jeszcze trzy razy, nim zdołała zapisać numer, gdyż ręce tak jej się trzęsły, że nie nadążała z pisaniem cyfr. Wreszcie spojrzała na kartkę z koślawo wypisanym numerem, a serce w niej śpiewało: To on! To on! Zadzwoił do mnie!

Usiadła, gdyż nogi się pod nią ugięły i zadzwoniła do Nell.

– A nie mówiłam, że zadzwoni? – spytała siostra bez żadnych wstępów. – To naprawdę szalenie sympatyczny człowiek, bardzo miło sobie pogawędziliśmy.

– Ale chyba nie zdradziłaś mu...

– Nie obawiaj się. Powiedziałam, że słyszałam o nim od Clary, dodałam tylko, że na pewno będzie ci bardzo miło, gdy do ciebie zadzwoni. I co? Rozmawiałaś z nim już?

– Nie, strasznie się boję – wyznała Thea. – Palnę coś głupiego i wszystko zepsuję.

– Daj spokój, nie możesz nic zepsuć. Sam cię prosi o przysługę i o telefon, nie narzucasz

więc mu się. Zadzwoń, spytaj, o co chodzi, jeśli jego prośba okaże się rozsądna, spełnisz ją, a jak nie, to nie. Oczywiście obstawiam to pierwsze, bo gdyby to był jakiś nieodpowiedzialny człowiek, w ogóle byś się z nim nie zadawała. Dzwoni. Przecież o to ci chodziło, prawda?

Prawda, tylko siostrze łatwo było tak mówić, bo to nie jej serce łomotało w piersi, a żołądek ścisnął się w supeł ze zdenerwowania. Po zakończeniu rozmowy z Nell Thea parokrotnie wyciągała rękę w stronę słuchawki i za każdym razem wpadała w panikę. Wreszcie, po serii bardzo głębokich oddechów, zebrała się na odwagę i wybrała numer. Usłyszała jeden sygnał... drugi... trzeci... Pewnie nie było go w domu.

– Rhys Kingsford, słucham.

Słuchawka omal nie wyleciała jej ze spoczonej dłoni.

– To ja – powiedziała mało inteligentnie i w sumie mało grzecznie, po czym zreflektowała się i wyjaśniła: – Thea.

– Thea!

Usłyszała po jego głosie, że się uśmiechnął.

– Dziękuję, że zadzwoniłaś – ciągnął. – Co u ciebie?

– W porządku, dziękuję – skłamała. – A u ciebie? Przez kilka chwil wymieniali podobne grzeczności. Thea spytała o to, jak Sophie zniosła powrót do szkoły i czy mają już odbitki, podczas gdy w rzeczywistości pchały jej się na usta pytania, czy tęsknił za nią, czy pamięta, jak się całowali na werandzie i czy nie mógłby jej pokochać.

– Wspomniałeś coś o przysłudze – rzekła wreszcie.

– Tak... To trochę kłopotliwa sprawa, wolałbym omówić ją w cztery oczy, gdyby to było możliwe. Ale ty w weekend pewnie jesteś zajęta?

To nie był dobry moment, by podbijać swoją wartość, stwarzając trudności. Zresztą nigdy nie należała do osób, które mówią o sobie: „Mam swoją dumę”.

– Akurat nie za bardzo. A kiedy by ci pasowało?

– Dziś wieczorem? – spytał ostrożnie.

– Dobrze, mnie też pasuje.

Umówili się na siódmą w winiarni znajdującej się w połowie drogi między nimi, co dawało Thei sześć godzin na zadbanie o wygląd i zdecydowanie, w co ma się ubrać. Rhys co prawda nie sprawiał wrażenia zakochanego i nie wyglądało na to, by zamierzał się oświadczyć albo co najmniej ją uwieść, ale gdyby rozwój wypadków doprowadził do tego ostatniego...

Po długim namyśle zrezygnowała z krótkiej spódniczki na rzecz dopasowanych czarnych spodni, które dzięki jej utracie apetytu prezentowały się na niej lepiej niż kiedykolwiek. Do nich włożyła blad różowy sweterek, kupiony za bezcen na wyprzedaży, tak mięciuteńki, że aż się prosił o dotknięcie.

Zauważyła Rhysa, gdy tylko weszła do lokalu, a na jego widok poczuła tę samą pewność, co w Agios Nikolaos. To on, mężczyzna jej życia. I czekał właśnie na nią.

Na jej widok jego twarz rozjaśniła się przepięknym uśmiechem. Wstał.

– Thea! Wyglądasz cudownie.

Przez moment nie wiedzieli, w jaki sposób powinni się przywitać, wreszcie Thea

pocałowała go w policzek.

– Miło cię znów widzieć, Rhys.

Och, to było mało powiedziane! Pożerała go wzrokiem i musiała zmobilizować wszystkie siły, by nie wtulić się w niego i nie zacząć go całować, jak wtedy na Krecie. Na szczęście Rhys podsunął jej krzesło, a sam poszedł po wino dla niej, co dało jej czas na przynajmniej częściowe pozbieranie się.

– Dużo o tobie myślałem – zaczął, gdy wrócił do stolika i postawił przed nią kieliszek wina.

Serce jej podskoczyło. Czyżby jednak?

– Tak?

– Zastanawiałem się, czy Harry zadzwonił do ciebie.

– Tak, ale... – Zawahała się. Jak mu to wyjaśnić? – Nic z tego nie wyszło – odparła w końcu, nie wchodząc w szczegóły.

– Przykro mi z tego powodu – rzekł i zabrzmiało to szczerze.

– Właściwie nic się takiego nie stało. Nell mówi, że tak będzie dla mnie lepiej i ja też jestem tego zdania.

Wiedział już więc, że jest wolna i jeśli chciał, mógł uczynić jakiś ruch... On jednak milczał, toteż Thei po paru chwilach oczekiwania nie pozostało nic innego, jak zacząć nowy temat:

– Cóż to za tajemnicza przysługa, o której wspomniałeś? Tylko mi nie mów, że dopadła cię Kate, a ty nie zdołałeś wyrwać się z jej szponów i musimy iść na wizytę, by oglądać zdjęcia.

– Nie, tym razem kłopotu narobiła Sophie. – Uśmiechnął się nieco krzywo. – Kate powiedziała o nas Lyndzie, ta wypytała o wszystko Sophie, która stwierdziła bardzo poważnie, że jesteś moją narzeczoną, ona bardzo cię lubi, ja zamierzam ci kupić pierścionek i mamy się pobrać na Gwiazdkę. Widać dziewczynki usłyszały więcej, niż nam się wydawało, co gorsza, od pewnego momentu zaczęły traktować to serio.

– I jak zareagowała Lynda? – spytała ostrożnie Thea.

– Zadzwoiła do mnie, by to wszystko potwierdzić. Gdybym zaprzeczył, Sophie wyszłaby w jej oczach na kłamczuchę, a za nic bym tego nie chciał. Postanowiłem więc poudawać jeszcze trochę, w końcu to nikomu nie szkodziło, i za tydzień czy dwa powiedzieć, tak jak to ustaliliśmy na Krecie, że pogodziłaś się ze swoim poprzednim partnerem i wróciłaś do niego.

Thea patrzyła na niego badawczo.

– Czuję, że jest jakieś „ale”.

– Ale nie przewidziałem, że Lynda koniecznie będzie chciała cię poznać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Uparła się przy tym, a mnie już brakuje wymówek – ciągnął. – Pomyślałem więc, że może byłabyś tak miła i wpadła ze mną do niej któregoś dnia, udając moją narzeczoną? Niezręcznie mi cię o to prosić, zwłaszcza teraz, gdy na pewno przykro ci z powodu Harry’ego, ale nie proszę o dużo, w sumie jakąś godzinę, najwyżej dwie.

Ogarnęła ją czarna rozpacz. Potrzebował jej zaledwie na godzinę i tylko po to, by mogła porozmawiać z jego byłą żoną?

– Potem zapraszam cię na kolację – zakończył.

O, cała wstecz, jeśli chodzi o rozpacz! Jest jeszcze nadzieja. Co prawda Rhys nie zadeklarował płomiennej miłości, ale wspólna kolacja to zdecydowanie krok w dobrym kierunku.

– To byłoby miłe.

Jego twarz rozjaśniła się.

– A więc zgadzasz się?

Ostatecznie umówili się na środę. Postanowili spotkać się po pracy na stacji metra South Kensington i pojechać razem do Wimbledonu. Thea miała więc dwa dni na przemyślenie, w co się ubrać na tę okazję. Kate na pewno opowiedziała przyjaciółce, jak to Thea chodziła w pogniecionych ubraniach, bosa i wiecznie potargana, zatem koniecznie musiała wyrzucić dobre wrażenie.

Niestety, nie miała nic, co nadawałoby się zarówno do pracy, na wizytę u atrakcyjnej, odnoszącej sukcesy Lyndy, a potem na kolację z Rhysem. Koniec końców we wtorek zaszalała i kupiła sobie klasyczną szarą garsonkę ze spódnicą przed kolano, do niej kremową jedwabną bluzkę i ładne czółenka. Nigdy nie miała nic równie eleganckiego, więc była całkiem zadowolona z zakupu, chociaż na widok rachunku zrobiło jej się trochę słabo. Zapłaciła kartą, robiąc poważny debet na koncie, lecz rozgrzeszając się myślą, że w końcu po to są karty kredytowe.

Było jednak warto, pomyślała, przeglądając się w lustrze w środę rano. Gdyby jeszcze udało się zrobić coś z włosami! Masa brązowych loczków miała się nijak do modnych gładkich włosów, które dawało się upiąć w wysoki kok. Trudno, to musi zostać po staremu.

Jej odmieniony wygląd miał tę jedną wadę, że w pracy sprowokował niezliczoną ilość komentarzy. Komplementowano ją, pytano, czemu nie ubierała się tak wcześniej, zgadywano, co się za tym kryje, a szef posunął się do stwierdzenia, że zupełnie jej nie poznał. Przesadził, rzecz jasna, bo siedziała przy swoim biurku, więc niby kim miałyby być, jak nie sobą?

Zrozumiała go jednak lepiej, gdy tego popołudnia ujrzała Rhysa i sama też go omal nie poznała. Stała w wejściu do stacji metra, otrząsając mokry parasol, bo piękna pogoda już się skończyła, gdy spostrzegła, jak on przebiega przez jezdnię. Miał na sobie ciemnoszary garnitur, w którym co prawda było mu bardzo do twarzy, lecz przez który wyglądał zupełnie inaczej, niż pamiętała.

Nieco nieśmiało pomachała do niego, gdy zatrzymał się przed bramką i zaczął się

rozglądać dookoła, szukając Thei.

– Tutaj jestem! Właśnie mnie minąłeś.

– Zupełnie cię nie poznałem! – przyznał z zakłopotaniem i przyjrzał jej się, w myślach porównując ją z kobietą, która na Krecie nosiła kolorowe, pogniecione sukienki.

– Nigdy cię nie widziałem w garsonce. Wyglądasz zupełnie inaczej.

– Miałam powiedzieć to samo o tobie, oczywiście z zamianą garsonki na garnitur.

Rhys zdołał uśmiechnąć się i skrzywić jednocześnie.

– Nienawidzę chodzić pod krawatem. Na pustyni człowiek jest wolny, więc zapomniałem, że powrót do Londynu oznacza codzienne zakuwanie się w zbroję i zakładanie stryczka na szyję.

– Na Saharze nie ma też tłoku i koszmaru codziennych dojazdów – zauważyła, patrząc na przelewające się obok nich strumienie ludzi, wnoszących do metra nieprzyjemny zapach mokrych ubrań. – O tym też pewnie nie pamiętałeś.

– Nie. – Westchnął.

Dopiero w tym momencie Thea zrozumiała, ile poświęcił dla dobra córki. Gdyby nie Sophie, zostałyby na pustyni, gdzie otaczały go przestrzeń i światło. Tam było jego miejsce, on nie należał do wielkiego miasta z jego nerwowym rytmem życia.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Ale Sophie jest tego warta, prawda?

Zajrzał w jej ciepłe, szare oczy, mocno przykrył jej dłoń swoją.

– Tak.

Garnitur zmieniał go, lecz jasne, zielonkawobrazowe oczy pozostały te same i nadal wywierały na Thei ten sam efekt, co podczas wakacji. Zrobiło jej się dziwnie ciepło i przestała zauważać, co dzieje się dookoła nich. Staliby tak nie wiadomo jak długo, lecz ktoś potrącił Rhysa, co przywróciło go do rzeczywistości.

– Byłbym zapomniał... – Sięgnął do kieszeni po obciążone aksamitem pudełeczko. – Kupiłem ci pierścionek na dzisiejszy wieczór.

Poczuła się cokolwiek niezręcznie.

– Czy to naprawdę było konieczne?

– Uznałem, że tak będzie bezpieczniej. Lynda zauważa takie rzeczy. Powiedz, co myślisz. Nie miała wyboru. Wzięła pudełeczko, otworzyła.

– Szafiry!

– Myślałaś, że zapomniałem?

Zerknęła na niego, również wracając myślami do rozmowy na tarasie domku Kate.

– Wydaje się, że to już było całe wieki temu – rzekła ze smutkiem.

Milczeli przez chwilę.

– Podoba ci się? – spytał wreszcie Rhys.

– Bardzo – odparła szczerze.

– Przymierz. – Wyjął pierścionek z pudełeczka i wsunął Thei na palec. – Mam nadzieję, że będzie pasował. Musiałem odgadnąć rozmiar na oko.

Okazał się troszkę za luźny, lecz nie aż tak bardzo. Thea zagryzła wargi, bezskutecznie

starając się nie myśleć o tym, jak by to było, gdyby Rhys kupił pierścionek i naprawdę się oświadczył.

– Rhys, ja nie mogę... – zaczęła z trudem.

– O rany, powiedz „tak”, złotko! – wrzasnął ktoś i w tym momencie uświadomiła sobie, że przyglądał im się całkiem spory tłumek ludzi.

– Nie każ mu czekać! – krzyknął jakiś młody dowcipniś. Sytuacja była tak absurda, że Thea nie wytrzymała i zaczęła się śmiać. Kąciki ust Rhysa zadręgały.

– Lepiej się zgodź, inaczej nie dadzą nam spokoju i nie przepuszczą nas – mruknął.

– W porządku, zgadzam się – powiedziała głośno, by wszyscy słyszeli.

Otrzymała takie brawa, że zaczęła rozumieć ludzi, którzy oświadczenia się w miejscu publicznym.

– Pocałuj ją! – rozległo się z tłumu i natychmiast podchwycili to inni.

– Widzisz, co narobiłeś? – odmruknęła Thea. Na jego wargach błąkał się lekki uśmiezek.

– Szkoda byłoby ich rozczarować, nie sądzisz?

Wziął ją w ramiona i po chwili rozległy się oklaski i pełne aprobaty okrzyki, lecz Thea nic nie słyszała. Zatonęła w objęciach Rhysa, czując się tak, jakby po długiej podróży wróciła do domu. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Znowu mogła go całować, dotykać... Wsunęła dłonie pod marynarkę Rhysa i mocno spłótła palce na jego plecach, jakby nie zamierzała go już nigdy puścić.

– Proszę się zaręczać gdzie indziej, blokują państwo przejście – zażądał gderliwie jakiś urzędnik, który przepchnął się przez tłum i popukał Rhysa w ramię.

Wygwizdano go, lecz gapie zaczęli się rozchodzić, gdy Rhys puścił Theę i skinieniem ręki podziękował wszystkim za wsparcie. Thea nie miała pojęcia, jakim cudem znalazła się na peronie. Nogi się pod nią uginały, ledwie mogła iść prosto.

– Przynajmniej parę osób miało dzięki nam jakąś rozrywkę – zauważył w pewnym momencie Rhys, gdy czekali na pociąg.

– Tak To było nawet całkiem zabawne – wydusiła z siebie z trudem.

– Owszem – zgodził się, lecz nie zabrzmiało to przekonująco.

Pociąg wreszcie nadjechał, tak zatłoczony, że ledwie zdołali do niego wsiąść. Thea pierwszy raz w życiu błogosławiła tłok, gdyż dzięki niemu stała przyciśnięta do Rhysa.

– Może chcesz się mnie przytrzymać? – zaproponował, więc bez wahania otoczyła go ramieniem, by korzystać z sytuacji tak długo, jak się da.

Niestety, większość pasażerów wysiadła już na Earls Court, nawet zwołniły się dwa miejsca obok siebie. Thea zaczęła nerwowo obracać pierścionek na palcu. Nie mogli tak milczeć przez całą drogę do Wimbledonu!

– Czy powinnam o czymś wiedzieć, nim poznam Lyndę? Zastanawiał się przez moment.

– Potrafi trochę onieśmielać, ale po prostu ma taki sposób bycia. Niech cię to nie zraża.

Jeśli ktoś taki jak Rhys przyznawał, że Lynda czasem onieśmielała ludzi, to Thea, niezbyt pewna siebie i cokolwiek zakompleksiona, z góry była na przegranej pozycji!

– Kate mówiła, że to prawdziwa kobieta sukcesu...

– Owszem. Jest bardzo inteligentna i ambitna. Prawdę powiedziawszy, aż się zdziwiłem,

gdy przyjęła moje oświadczenia, byłem pewien, że niżej milionera nie zejdzie...

Thea zacisnęła wargi. Widać naprawdę szalał za Lyndą, skoro prosił ją o rękę, chociaż spodziewał się odmowy. I jak musiał być wniebowzięty, gdy się zgodziła!

– Cóż, pewnie nie popełniłeś tego błędu, by oświadczać jej się na stacji metra – skomentowała niemal zgryźliwie.

Rhys aż się uśmiechnął, zaskoczony tym pomysłem.

– Nie, nie wykazałem się oryginalnością, zrobiłem to w całkiem banalny sposób – wyjaśnił jakby z lekkim zawstydzeniem. – Wiesz, restauracja, kolacja przy świecach, róże...

– Tak, to rzeczywiście zupełna sztampa – zgodziła się, starannie ukrywając zazdrość. Nie miałyby nic przeciw temu, gdyby to jej Rhys oświadczył się równie banalnie. – Ja bym chyba wolała stację metra w czasie deszczu – skłamała.

Zerknął na nią. Szare oczy błyszczały, w niesfornych brązowych włosach lśniły pojedyncze krople.

– Będę pamiętał.

Gdy wysiedli, wciąż padało, szli więc razem pod parasolem Thei, która błogosławiła angielską pogodę i modliła się w duchu, by Lynda mieszkała daleko od stacji. Najlepiej o kilka godzin spaceru... Oczywiście mieszkała bliżej, niż Thea by sobie tego życzyła.

– Denerwujesz się? – spytał Rhys, gdy stanęli pod drzwiami i Thea otrząsała parasolkę, a on wcisnął dzwonek.

– A powinnam?

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił ją.

Drzwi otworzyły się i w tym momencie Thea uświadomiła sobie, że: a) nie odpowiedział wprost, b) użył tonu, który miał dodać otuchy. I zrozumiała, czemu.

Spodziewała się ujrzeć kogoś równie sztywnego i konwencjonalnego jak Kate, tymczasem Lynda stanowiła jej zupełne przeciwieństwo. Miała wygląd egzotycznej piękności, długie ciemne włosy spływały jej na plecy, niezwykłą smukłość wyćwiczonej jogą figury podkreślały czarne dżinsy i seksowna bluzeczka bez rękawów, w którą Thea nigdy nie zdołałaby się wbić, choćby żyła tysiąc lat na ścisłej diecie.

Na domiar złego była boso, a na serdecznym palcu lewej stopy połyskiwał pierścienek. Ewidentnie nie przejmowała się tak drobnomieszczańskimi wymysłami jak przyjmowanie gości w butach. Thea poczuła się przy niej jak nudna pańcia bez krzty polotu. Podchwyciła spojrzenie, jakim Lynda błyskawicznie ją zlustrowała i nagle przestała być zadowolona ze swego wyglądu.

Rhys przyjaźnie pocałował byłą żonę w policzek.

– Zgodnie z obietnicą przyprowadziłem Theę.

– Dobry wieczór. – Thea nieco sztywno wyciągnęła rękę, obawiając się, że takie zwyczajne, formalne powitanie nie zostanie zbyt pozytywnie odebrane przez Lyndę.

– Nawet nie wiesz, jak miło jest cię wreszcie poznać. – Głos Lyndy był niski i zmysłowy. Obiema dłońmi ujęła wyciągniętą rękę Thei. – Wejdzcie.

Zaprowadziła ich do salonu, który wyglądał jak z okładki magazynu poświęconego sztuce urządzania wnętrz według zasad feng shui. Thea pomyślała o swoim pokoju dziennym, gdzie

było pełno najrozmaitszych rzeczy, przy czym nic do niczego nie pasowało. Dotąd wydawał jej się wesoły i wygodny, lecz z perspektywy domu Lyndy stał się brzydki i zagracony.

Nagle na schodach rozległ się tupot stóp i po chwili do pokoju wpadła Sophie.

– Ciocia Thea! – krzyknęła i rzuciła się ku niej.

– Stęskniłam się za tobą, Sophie – wyznała Thea, ściskając ją i powstrzymując łzy wzruszenia. – Clara też.

Lynda zaśmiała się, lecz trochę dziwnie.

– Dużo słyszałam o Clarze. To chyba niezła artystka! Aha, czyli słyszała o niej od Kate i pewnie powtórzyła jej wyrażenie.

– Owszem, moja siostrzenica jest nieprzeciętna.

– Chodź, pokażę ci mój pokój – Sophie pociągnęła Theę za rękę.

– A nie przywitasz się z tatą? – zgaśniła ją Lynda.

– Przepraszam, tatku. – Sophie skoczyła ku niemu, by uściskać i jego. – Ale to dlatego, że tak się strasznie ucieszyłam na widok cioci.

Z żartobliwym uśmiechem uszczypnęła ją w nos.

– Doskonale rozumiem, jak się czujesz.

– No chodź, ciociu!

Thea obejrzała i pochwaliła pokój dziewczynki, zadziwiająco podobny do pokoju Clary. Nawet to samo zdjęcie trzymały oprawione na biurku – zrobiony któregoś dnia przez Nicka portret całej ich czwórki nad basenem. Dziewczynki stały w środku, Rhys i Thea po bokach, wszyscy wyglądali na bezgranicznie szczęśliwych. Serce jej się ścisnęło na ten widok.

– Dobrze nam było na Krecie...

Sophie pokiwała głową i westchnęła ciężko.

– Spytałam tatę, czy w przyszłym roku też pojedziemy. – I co odpowiedział?

– „Zobaczymy”. – Dziewczynka zrobiła rozczarowaną minę. – Tylko tyle!

– Rodzice często tak odpowiadają, obawiam się. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Miło tu u ciebie, ale muszę zejść na dół i porozmawiać z twoją mamą.

Gdy wchodziły do salonu, tamci dwoje siedzieli na sofie, pogrążeni w rozmowie. Lynda pochyliła się ku Rhysowi, a mowa jej ciała zdawała się sugerować, że nie był jej obojętny. Thea zmrużyła oczy. Czyżby tak się sprawy miały?

– O, jesteście! – Lynda zauważyła je i wyprostowała się.

– Siadaj, Theo, napijemy się. Rhys, obsłużysz nas, prawda? Wiesz, gdzie wszystko jest.

– Oczywiście. – Wstał, uśmiechając się do Thei. – Czego się napijesz, kochanie?

Przez moment – koszmarny moment – myślała, że mówił do swojej byłej żony. Potem przypomniała sobie o pierścionku na swoim palcu.

– Tego, co zwykle – odparła z niewinną miną.

– Czy mogę dostać lemoniady z puszki? – spytała Sophie.

– Wykluczone! Doskonale wiesz, że w domu nie ma nic puszkowanego – ucięła ostro Lynda. – Rhys, czy ty jej pozwalasz pić lemoniadę?

– Czasami – odkrzyknął z kuchni.

– A nie powinieneś. Te wszystkie napoje są sztucznie barwione i pełne niezdrowych

dodatków.

– Ale mammo...

– Dość! Wracaj do siebie i bierz się za grę na skrzypcach, jeszcze dzisiaj nie ćwiczyłaś. Tata przyjdzie posłuchać, a ja porozmawiam z naszym gościem.

– Chcę zostać z ciocią Theą.

Starannie wyregulowane brwi Lyndy uniosły się wysoko.

– Podczas wakacji nabrałaś zwyczaju wyklócania się o wszystko i nie podoba mi się ta nowa moda. Marsz na górę! I bez dyskusji.

Naburmuszona Sophie wyszła z salonu, zaraz potem wrócił Rhys, który podał byłej żonie szklankę ciemnego i mętnego soku, zaś dla siebie i Thei miał po kieliszku białego wina.

Lynda z gracją usiadła na podłodze w pozycji lotosu i upiła nieco soku.

– Imbir i żurawiny z organicznych upraw – wyjaśniła, widząc spojrzenie Thei. – Bardzo zdrowe.

– Z pewnością – rzekła uprzejmie Thea.

– Kochanie, powiedziałam Sophie, że przyjdiesz do niej posłuchać, jak gra na skrzypcach – dodała Lynda, gdy Rhys chciał usiąść na kanapie obok Thei.

„Kochanie”? Thea znów zmrużyła oczy. Czy pani domu do wszystkich tak mówiła, czy to było celowe przejęzyczenie w odwecie za to, jak Rhys zwrócił się do narzeczonej?

Próbował oponować, lecz Lynda miała na to znakomitą odpowiedź:

– Podobno chciałaś się nią zajmować, by nadrabiać stracony czas – przypomniała z przyganą. – A może tylko tak mówiłaś?

Nie pozostało mu nic innego, jak iść na górę i zostawić nieco zdenerwowaną Theę w towarzystwie Lyndy.

– No, to teraz możemy spokojnie porozmawiać. Mam nadzieję, że moje zainteresowanie tobą nie wyda ci się nietaktowne. Chciałabym jak najlepiej poznać osobę, z którą moja córka będzie spędzała sporo czasu.

– Rozumiem.

– Ponadto zależy mi na dobru Rhysa. Skrzywdziłam go ogromnie, po moim odejściu przez długi czas nie potrafił sobie ułożyć życia na nowo. W pewnym sensie czuję się odpowiedzialna za jego przyszłość. – Jakby z zakłopotaniem spuściła wzrok. – Nie wiem, jak to powiedzieć, ale... ale chciałabym mieć pewność, że znalazł właściwą osobę. On zasługuje na szczęście, to naprawdę wyjątkowy człowiek.

– Wiem, dlatego się w nim zakochałam – odparła Thea, starając się w żaden sposób nie zdradzić narastającej irytacji. – Sugerujesz, że nie jestem właściwą osobą?

Lynda uniosła dłonie w obronnym geście.

– Och, proszę, nie zrozum mnie źle! Możliwe, że jesteście stworzeni dla siebie, ale jeśli nie, to lepiej jest zrozumieć to zawczasu. Ja tylko próbuję was uchronić przed popełnieniem pomyłki. Nikt nie wie lepiej ode mnie, jaką tragedią jest rozwód.

Nikt? Thea pomyślała o swojej siostrze. Nell miała bez porównania cięższe przejścia od Lyndy, która sama spakowała manatki i zostawiła męża, bo nie uśmiechało jej się siedzenie z nim na pustyni.

– Na czym opierasz przypuszczenie, że nasz związek miałby okazać się pomyłką? – spytała zimno Thea.

– Cóż, Kate powiedziała mi parę rzeczy, które same w sobie nie są złe, ale... Z tego, co wiem, pracujesz jako sekretarka, tymczasem Rhys jest właściwie intelektualistą, czasem nawet mnie onieśmielała jego wiedza. – Zaśmiała się, jakby chciała pokazać, że rozumie, jak nieprawdopodobnie to zabrzmiało. – On ma naprawdę wspaniały umysł. Potrzebuje kogoś na swoim poziomie.

Co oczywiście wykluczało Theę... Zastanowiła się, czy nie powiedzieć o swoim dyplomie. Nie, nie warto zadawać sobie trudu, bo to i tak niczego nie zmieni. Wcale nie chodziło o to, czy Thea nadaje się dla Rhysa, lecz o to, by żadna go nie dostała i nie wyrwała spod wpływu Lyndy. Miał cały czas tańczyć tak, jak ona mu zagra.

Podobnie było z Harrym i Isabelle.

– Do stworzenia udanego związku trzeba mieć nie tylko podobne wykształcenie, ale i doświadczenia – ciągnęła niestrudzenie Lynda, cały czas tonem głosu i wyrazem twarzy okazując pełne serdeczności zatroskanie. – To stwarza płaszczyznę, na której można budować. Rhys ma za sobą lata życia na innym kontynencie, małżeństwo, ty zaś prawie nie wyjeżdżałaś z kraju, a przede wszystkim... Nie byłaś nigdy zameżna, prawda?

– Nie.

– I nie masz dzieci?

– Nie. – Thea czuła się tak, jakby właśnie ponosiła spektakularną klęskę na rozmowie kwalifikacyjnej. – Ale bardzo je lubię. Często zajmuję się moją siostrzenicą.

– Tak, zorientowałam się – rzekła bez szczególnego entuzjazmu Lynda. – Z tego, co słyszałam, Clarze pozwala się na dużo więcej niż Sophie, prawda?

Aluzja była jasna – Thea jest nieodpowiedzialna i nie potrafi zajmować się dziećmi. Niestety, nawet nie mogła się odciąć, to w końcu była matka Sophie.

– Nie da się porównać opieki nad cudzymi do posiadania własnych. Oczywiście nie twoja wina, że ich nie masz – stwierdziła łaskawie Lynda, na co Thea omal nie zgrzytnęła zębami. – Nie wiesz, co się czuje, biorąc w ramiona nowo narodzone dziecko albo obserwując jego pierwszy krok... Tobie te doświadczenia są obce, tymczasem Rhys dobrze je zna. Spójrz, w najważniejszych życiowych sprawach więcej was dzieli, niż łączy, a czy to pozytywnie rokuje poważnemu, długotrwałemu związkowi? Na czym go zbudujecie? – dopytywała się Lynda pełnym troski głosem, który doprowadzał Theę prawie do szału. A najgorsze było to, że Lynda miała rację.

– Musisz zadać sobie pytanie, co macie z Rhysem wspólnego.

Thea pomyślała o dwóch tygodniach na Krecie. O wspólnym wpatrywaniu się wieczorami w rozgwieżdżone niebo. O poczuciu bezpieczeństwa w obecności Rhysa. O tym, co czuła, ilekroć się do niej uśmiechnął, ilekroć jej dotknął. O pustce, która zapanowała w jej sercu, gdy ich drogi się rozeszły.

Podniosła wzrok i spojrzała Lyndzie prosto w oczy.

– Kochamy się. Tamta westchnęła.

– Sama miłość czasem nie wystarcza... Będę z tobą szczerą. Przewidziałam, że Rhys, by

zatrzeć bolesną pamięć naszego rozvodu, będzie próbował się związać z pierwszą kobietą, jaką pozna.

– To w Maroku nie ma kobiet?

– Uciekanie się do ironii to bardzo negatywna reakcja – wytknęła jej Lynda. – Ja przecież tylko próbuję wam pomóc! Rhys przez kilka lat był w szoku, nie szukał towarzystwa kobiet, a teraz, ledwie wrócił do Londynu, spotkał ciebie. Czy to dziwne, że dla waszego dobra staram się upewnić, czy nie robicie czegoś, co unieszczęśliwi was oboje?

Urwała na chwilę. Jeśli oczekiwała wyrazów wdzięczności za swoją troskę, to mogła długo czekać. Thea zacisnęła zęby.

Tracąc nadzieję na podziękowania ze strony gościa, pani domu dodała:

– Rhys wrócił po to, by zająć się Sophie, nim będzie za późno na nawiązanie kontaktu z córką. Ma bardzo wiele do nadrobienia i powinien się tym zająć, nim zaangażuje się w nowy związek.

Skąd ona to знаła? Pomyśl, że dla dobra córki należy zrezygnować z nowego związku, pochodził więc od Lyndy. Bardzo sprytne. I bardzo skuteczne. Gdy na horyzoncie zjawiała się jakaś kobieta, wystarczało zagrać na poczuciu winy byłego męża.

Thea nie zamierzała pokazać po sobie, że została pokonana z kretesem, więc uśmiechnęła się słodko.

– Rhys sam zdecyduje, co będzie dla niego najlepsze – odparła. – Ja ze swojej strony mogę tylko powiedzieć, że kocham jego i kocham Sophie. Kocham go bardzo, chcę spędzić z nim resztę życia. Może nie mamy... – Urwała, widząc, jak piękne oczy Lyndy rozszerzają się gwałtownie.

Obróciła się i zauważyła, że w progu stoi Rhys.

– Długo tu jesteś? – spytała ostro Lynda.

– Wystarczająco długo – odparł, podszedł z uśmiechem, stanął za kanapą i położył dłoń na karku Thei. Aż przymknęła oczy z rozkoszy. – Ja też cię kocham – rzekł cicho.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Thea milczała w drodze powrotnej na stację. Przestało padać, lecz było szaro i ponuro – zupełnie tak samo, jak w duszy Thei.

Lynda w żadnym wypadku nie zamierzała spuścić Rhysa ze smyczy. Nie kochała go i nie chciała dla siebie – to stało się jasne w trakcie rozmowy – lecz nie zamierzała też oddać go innej. Z wielu powodów wygodnie jej było mieć go w pobliżu, w dodatku Lyndzie pochlebiała rola jedynej miłości Rhysa, której utraty wciąż nie zdołał do końca przeboleć. Gdyby znalazł szczęście u boku kogo innego, pierwsza żona natychmiast spadłaby z piedestału... Dlatego też wmawiała mu, pod pozorem troski o dobro jego i o dobro córki, że nie był gotów na nowy związek.

Zmierzyć się z Lyndą i wyrwać Rhysa spod jej wpływu? Thea potrafiła sobie wyobrazić, co by się działo dalej. Tamta, udając przyjaźń, nieustannie torpedowałyby wspólne poczynania Thei i Rhysa. Gdyby tylko mieli zaprosić gości, iść do teatru czy wyjechać na weekend, w ostatniej chwili pilnie wzywałyby byłego męża, by ten zajął się Sophie, na przykład zawiózł ją na lekcję gry na skrzypcach albo zabrał do siebie na noc, bo Lynda udaje się na konferencję.

Thea oczywiście nie mogłaby mieć do niego pretensji o to, że stara się być dobrym ojcem. Ciągłe stawiany przed koniecznością wyboru między nią a Sophie, musiałby za każdym razem wybierać córkę. Lynda nieustannie manipulowała jego poczuciem winy, podsycając je.

Zawalczyć więc o niego, czy też raczej odejść, pozwalając, by sam zdecydował, czego chce? Z jednej strony Thea wiedziała, że prawdziwa miłość nie trafia się aż tak często, skoro więc zawitała do jej życia, należy uczynić wszystko, by dać jej szansę – stworzyć związek i pielęgnować go, żywiąc nadzieję na to, że podobne uczucie obudzi się w końcu i w sercu Rhysa.

Z drugiej jednak strony nieustanne ingerencje Lyndy mogły zniszczyć to, co wspólnie zbudowali. Po każdym telefonie żądającym jego przyjazdu, Rhys czułby się rozdarty, a w Thei narastałaby gorycz. W końcu nie zostałyby już nic pięknego...

W taki właśnie sposób Isabelle konsekwentnie niszczyła jej związek z Harrym.

Nie, Rhys musi sam podjąć decyzję, czy jest gotów rozpocząć nowe życie i czy jest w nim miejsce dla Thei.

- Jesteś bardzo milcząca – zauważył.
- Przepraszam, zamyśliłam się.
- Wyglądasz na smutną. Czy myślałaś o Harrym?
- W pewnym sensie – odparła wymijająco.

Zawahał się.

- Chcesz o tym porozmawiać?
- Nie. Ale dziękuję.

Bez słowa skinął głową, a Thea była mu wdzięczna za tyle zrozumienia. Harry nigdy nie

potrafiłby postąpić podobnie, naciskałby tak długo, aż wydusiłby z niej wszystko.

– Powiedz mi, jak poszło ci z Lyndą – zaproponował po chwili.

– Cóż... – Zastanawiała się przez chwilę, jak najlepiej ubrać to w słowa. – Nie jest zbyt przekonana do naszych zaręczyn.

– Jak to? – wybuchnął z oburzeniem Rhys. – A ja usłyszałem, że jest nimi zachwycona!

Męska naiwność nie ma granic, pomyślała Thea.

– Tak, ale to było, zanim mnie poznała – zauważyła. – Jej zdaniem nie jestem odpowiednią partnerką dla ciebie.

Zmarszczył brwi.

– A niby dlaczego nie? – spytał gniewnie, jakby zapomniał, że cała sprawa dotyczy przecież nie prawdziwych zaręczyn, lecz udawanych.

– Ponieważ nie mamy wiele wspólnego. Przynajmniej ona tak twierdzi. – Zerknęła na niego. – Nie słyszałaś tej części rozmowy?

– Nie. Słyszałem tylko, jak powiedziałaś, że mnie kochasz. Milczała przez chwilę.

– I co? Brzmiało to przekonująco?

– Bardzo.

Udawaj, że to nic dla ciebie nie znaczy, przypomniała sobie surowo. Obróć to w żart.

– Ty też byłeś bardzo przekonujący. Ta ręka na moim karku... Dobre posunięcie.

Zerknęła na niego ponownie, ich spojrzenia zetknęły się. Oboje szybko odwrócili wzrok. Znowu zapadła cisza, w której było słychać jedynie ich kroki na mokrym chodniku.

– Nie rozumiem, co w ogóle Lyndzie do tego – warknął ponuro.

– Nie wiem, w każdym razie dostarczyła nam dobrego pretekstu do zerwania. Przemysleliśmy jej słowa i doszliśmy do wniosku, że faktycznie mamy niewiele wspólnego, więc nasze małżeństwo byłoby pomyłką.

Rhys milczał ponuro, idąc obok niej z zaciętym wyrazem twarzy. Odezwał się dopiero wtedy, gdy mieli skręcić w ulicę prowadzącą prosto do stacji metra.

– Kawalek dalej jest miła restauracja. – Wskazał przed siebie. – Może tam zjemy kolację?

Thea zebrała się w sobie.

– Jeśli nie masz nic przeciw temu, zrezygnuję z niej.

– Nie jesteś głodna?

– Niespecjalnie.

Na jego twarzy odbiło się zdumienie, gdy przypomniał sobie, jakie ilości jedzenia Thea potrafiła pochłaniać na Krecie.

– Może więc innym razem? Co byś powiedziała na piątek? Masz czas?

– Chyba... chyba nie jest to dobry pomysł – rzekła z trudem. – Chwilowo sprawy trochę się skomplikowały.

– Rozumiem...

Zapadła niezręczna cisza. Stali na rogu, nie patrząc sobie w oczy. Wreszcie Thea opamiętała się i ściągnęła z palca pierścioneł.

– O mały włos zapomniałabym o nim. Weź, bo jeszcze go zabiorę przez pomyłkę.

Rhys nawet nie drgnął.

– Czemu go nie zatrzymasz? – spytał nieswoim głosem. – Przyjmij go jako podziękowanie.

– Za co?

– Za dzisiejszy wieczór. Za Sophie. – Zawahał się. – Za Krete...

– Nie mogę – odparła ze ściśniętym gardłem. – To zbyt kosztowny prezent. – Bez powodzenia starała się uśmiechnąć. – W dodatku i tak nie mogłabym go nosić, to przecież pierścionek zaręczynowy.

– Masz rację – odebrał go od niej, schował do kieszeni.

– To ja już pójdę – odezwała się po chwili milczenia.

– Odprowadzę cię do domu.

– Nie bądź niemądry, nie ma takiej potrzeby, jest jeszcze jasno.

W końcu udało jej się go przekonać, by nie jechał z nią do domu, a jemu udało się ją przekonać, że przynajmniej odprowadzi ją na stację.

– Dziękuję za dzisiejszy wieczór – rzekł dość sztywno, gdy stanęli przy bramkach i Thea szukała karty w torebce.

Znów spróbowała się uśmiechnąć, a rezultat nie wypadł ani trochę lepiej niż poprzednim razem.

– Było bardzo miło zobaczyć Sophie – zapewniła. Znalazła kartę i starała się odsunąć od siebie myśl o tym, jak na stacji South Kensington całowała się namiętnie z Rhysem tuż przed przejściem przez bramkę. Teraz nie mogła liczyć na nic podobnego...

– Pójdę już.

– Do widzenia, Theo.

Przeszła przez bramkę, po czym zerknęła przez ramię. Rhys stał, patrząc za nią posepnie. Chciała zawrócić, powiedzieć, że zmieniła zdanie, chętnie pójdzie na kolację i pozwoli się odprowadzić do domu. Wtedy jednak byłoby jeszcze trudniej rozstać się z nim. Musiała odejść, zostawiając mu czas do namysłu.

– Ale dlaczego? – jęknęła Nell. – Nawet nie dałaś mu szansy, by wybrał między tobą a Lyndą!

– Niestety, to nie jest wybór między nami dwiema, tylko między mną a Sophie, tak to urządziła Lynda. I Rhys musi wybrać córkę, nie ma innego wyjścia.

Nie wróciła do domu, tylko pojechała wprost do siostry i rozbeczała się dosłownie już na progu.

– Mam dość facetów z emocjonalnymi problemami i ciągnącą się za nimi skomplikowaną historią – chlupała żałośnie nad filiżanką herbaty. – Następnym razem poszukam sobie kogoś, kto nie ma podobnych problemów.

– W takim razie zacznij się rozglądać wśród nastolatków – poradziła trzeźwo Nell. – Mężczyzna w twoim wieku będzie miał za sobą co najmniej jeden poważniejszy związek, małżeński czy nie. Gdybyś nie była tak skołowana i wykończona przez tę historię z Harrym, rozumiałabyś to i nie bałabyś się stawić temu czoła.

– Nell, ja się przede wszystkim boję, że jak Lynda będzie nas tak bez końca szarpać, to

zmienię się w jakąś wredną, zgorzkniałą babę i wreszcie się znenawidzimy.

– Trzeba więc pracować nad tym, by nie zgorzknieć i by się nie znenawidzić. W każdy wartościowy związek należy włożyć sporo wysiłku. Oczywiście będą pojawiać się okresowe trudności, ale pokaż mi parę, między którą zawsze wszystko układa się gładko. – Przerwała na chwilę, po czym podjęła już łagodniejszym tonem: – Nie każdy ma tyle szczęścia co ty, nie każdemu jest dane kochać kogoś równie mocno, jak ty kochasz Rhysa. Nie marnuj tego daru tylko dlatego, że wolałabyś mężczyznę z zupełnie czystą kartą. Sophie zawsze będzie stanowić część jego życia, zresztą przecież to dzięki niej jest człowiekiem, jakiego znasz i podziwiasz. Weź też pod uwagę, jak znakomicie się składa, że obie ogromnie się polubiłyście. Czy można życzyć sobie czegoś lepszego?

– A co z Lyndą? – spytała niepewnie Thea, która powoli zaczynała powątpiewać w słuszność swojej decyzji. A jeszcze kwadrans wcześniej była tak pewna, że dobrze zrobiła i że Nell ją poprze!

– Na pewno od czasu do czasu będzie wam sprawiać kłopoty, ale na twoim miejscu raczej bym jej współczuła, niż się na nią gniewała.

– Współczuć jej? – powtórzyła z niedowierzaniem Thea. – Przecież ona jest piękna, inteligentna, odnosi sukcesy...

– Ale jest przeszłością Rhysa, a ty możesz stać się jego przyszłością. Chyba oczywiste, co jest lepsze.

Rozmowa z siostrą wcale nie pocieszyła Thei, która popadła w czarną rozpacz, dochodząc do wniosku, że pogrzebała swoją jedyną szansę na szczęście. Czekala na jakiś znak od Rhysa, lecz minął wrzesień, drzewa zaczęły tracić liście, a jej nadzieja, i tak wątła, z każdym dniem stawała się coraz słabsza, wreszcie zgasła zupełnie.

– Czemu do niego nie zadzwonisz? – dopytywała się z troską Nell, patrząc na zgaszone oczy siostry.

– Nie mogę. Myślałam o tym wielokrotnie, nawet sięgałam po słuchawkę, ale co ja mu powiem? „Wcale nie udawałam, kiedy mówiłam, że cię Kocham. Czy to zaproszenie na kolację nadal jest aktualne?”

– Po prostu zadzwoń, przywitaj się i zobaczysz, jak sytuacja się rozwinie.

– Nell, on ani razu nie powiedział, że mu na mnie zależy. I widać mu nie zależy, skoro się nie kontaktuje.

– Dziwisz mu się? Pewnie myśli, że ty nie jesteś zainteresowana, skoro tak zdecydowanie odrzuciłaś zaproszenie na kolację – argumentowała Nell.

Thea westchnęła ciężko.

– Trudno, podejść do tego fatalistycznie. Jeśli ma z tego coś być, to będzie, a jak nie, to pewnie Lynda trafiła w sedno. Niewiele nas łączy.

Oprócz poczucia humoru i wspomnienia cudownych dni na Krecie, pomyślała. Oraz ust stworzonych jakby specjalnie dla siebie.

– Uwierz mi, to on musi zdecydować, czego naprawdę chce – powtórzyła nie wiedząc który raz. Naraz usłyszała, jak trzasnęły drzwi wejściowe. – Czy to Gara wróciła?

– Tak, Simon obiecał odwiedzić ją do domu. Poszła grać w kregle z Sophie.

– Cześć, ciociu! – wrzasnęła Clara i rzuciła się Thei na szyję. – Strasznie długo cię nie widziałam!

– Cały tydzień – sprecyzowała Thea ze śmiechem. – Co u Sophie?

– W porządku.

Gdybyż mogła spytać i o Rhysa! Ale Clara nie odpowiedziałaby jej przecież na pytanie, czy o niej myślał, czy za nią tęsknił, czy również męczył się nocami w pustym, zimnym łóżku...

– Ciociu, pójdziesz ze mną na łyżwy? – spytała błagalnie Clara. – Zrobili nowe lodowisko, ale tata nie chce mnie tam zabrać, a mama nie może z tą nogą.

– Nie jeździłam na łyżwach od lat, a i wtedy ledwo umiałam utrzymać się w pionie. Nie będziesz miała ze mnie żadnego pożytku.

– Ciociu, prooooszę! Będzie fajnie, zobaczysz! Cóż było począć?

– Dobrze, skoro tak ci zależy, pójdziemy w przyszły weekend.

W ciągu tygodnia Clara zadzwoniła dwukrotnie, by upewnić się, że ciocia nie zapomniała o swojej obietnicy.

– Tylko bądź koniecznie o drugiej, ciociu!

– Trochę się boję – wyjawiała Thea, gdy posłusznie zjawiała się w sobotę o czternastej w domu siostry. – Na pewno się wywrócę. Obym teraz ja nie złamała nogi!

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła Nell, której oczy dziwnie lśniły. – O, jest Clara. Biegnijcie, dziewczyny!

– Życz mi szczęścia – mruknęła Thea.

Ku jej zaskoczeniu Nell objęła ją i uściskała serdecznie.

– Życzę ci dużo szczęścia – wygłosiła z powagą.

– Hej, żartowałam przecież! Nell uśmiechnęła się zagadkowo.

– Życzenia nigdy nie zaszkodzą.

Thea przestała zaprzętać sobie głowę bardzo nietypowym zachowaniem siostry, gdy tylko weszły z Clarą na lód. Obie chwiałały się na wszystkie strony i właściwie nie było wiadomo, która którą podtrzymuje. Staraly się jechać przy samej bandzie, lecz co chwila musiały wymijać innych łyżwiarzy, równie niepewnych swoich umiejętności.

Nagle Clara, od samego początku rozglądająca się na boki, zdecydowanie zaciągnęła Theę na środek lodowiska.

– Tu jest więcej miejsca – oznajmiła zdecydowanie.

– To chyba nie jest dobry po... – Urwała, widząc zbliżającą się ku nim parę.

Rhys i Sophie!

Serce fiknęło jej koziółka, nogi rozjechały się pod nią i klapnęła na siedzenie, przewracając również siostrzenicę. Obie dziewczynki natychmiast zaczęły chichotać jak szalone, a Rhys pospieszył Thei z pomocą.

– Sam ledwo trzymam się na nogach – zdradził z zakłopotaniem. – Ale postaram się...

Nie mogła oderwać od niego oczu, nie mogła uwierzyć, że to nie sen. Bała się, że gdy tylko pomoże jej wstać, oddali się. Nie miała pojęcia, co powiedzieć, by go przy sobie zatrzymać. Przypomniała sobie radę Nell, by się przywitać i zobaczyć, jak rozwinie się

sytuacja.

– Cześć – powiedziała drżącym głosem. Rhys uśmiechnął się.

– Cześć.

– Tato, ja teraz pojeżdżę z Clary, a wy z ciocią możecie sobie usiąść – powiedziała Sophie i już chwilę potem dziewczynki jechały ramię w ramię, przy czym nagle okazało się, że żadna nie musi się nikogo trzymać.

– To co? Usiądziemy? – spytał Rhys Theę, która ledwo zauważyła zniknięcie ich podopiecznych.

– Jeśli mam się stąd ruszyć, chyba będę musiała się ciebie przytrzymać – rzekła bez tchu.

Mocno wziął ją za rękę.

– Ty trzymaj się mnie, a ja ciebie i razem jakoś damy sobie radę.

Dojechali do bandy, zeszli z lodu, usiedli na krzeselkach w pierwszym rzędzie. Rhys ani na moment nie puszczał ręki Thei. Dotyk jego ciepłej dłoni napełniał ją nie tylko poczuciem bezpieczeństwa, ale i poczuciem pewności. Właściwie nie musieli już nic mówić, nagle wszystko stało się zupełnie jasne.

– Czy to był pomysł Clary? – spytała wreszcie po jakimś czasie Thea.

– Chyba wspólny. Na pewno Sophie wybrała miejsce. – Rozejrzał się po rzęsiście oświetlonej hali, przyglądając się rzędom plastikowych zielonych krzesełek oraz tłumowi na lodowisku. – Ona chyba jeszcze nie zna słowa „romantyczny”...

– Czyli wiedziałeś o ich planie!

– Dopiero od wczoraj. Sophie widziała się z Clary, pojechałem ją odebrać, spotkałem twoją siostrę, niezmiernie miłą, swoją drogą, i z zachowania całej trójki wywnioskowałem, że coś się święci.

– To Nell wiedziała? – zakrzyknęła Thea i nagle przypomniała sobie dziwne zachowanie siostry i jej życzenia.

– Tak, ale też od wczoraj, nasze panny obmyśliły wszystko zupełnie same. Uznały, że oboje jesteśmy nieszczęśliwi, więc trzeba coś z tym zrobić.

– Byłeś nieszczęśliwy? – spytała cicho. Spojrzał jej prosto w oczy.

– Tak. Tęskniłem za tobą. Bardziej, niż wydawało mi się to możliwe.

– Ja też za tobą tęskniłam.

Wyciągnął drugą dłoń, a Thea ujęła ją mocno.

– Kocham cię – wyznał. – Zakochałem się tego ranka, gdy siedziałaś na moim tarasie. Powąchałaś kawę i uśmiechnęłaś się do mnie, a ja przepadłem.

– Czemu mi nic nie powiedziałaś?

– Ponieważ nie chciałem się do tego przyznać nawet przed samym sobą. Powtarzałem sobie, że powinienem poświęcić cały mój czas Sophie, lecz przy tobie niełatwo było dotrzymać tego postanowienia. Rozgrzeszałem się jednak myślą, że szukam twojego towarzystwa, bo przecież udajemy parę. Ale z każdym dniem, z każdym pocałunkiem coraz trudniej było mi pamiętać o udawaniu...

– Wiem.

– Wiesz?

– Tak. Ja również ciągle o tym zapomniałam. I też nie spodziewałam się tego uczucia i jak ty, broniłam się przed nim.

– Nie sądziłem, że mogłabyś mnie pokochać. – W jego głosie zabrzmiała niepewność. – Czyli i z twojej strony to nie było tylko udawanie?

– Nie. I niczego nie udaję teraz.

W odpowiedzi pocałował ją. Otoczyła jego szyję ramionami i całowali się tak w uniesieniu i zachwycie, siedząc na twardych plastikowych krzeselkach, gdy tuż obok nich ludzie śmigali na łyżwach, śmiali się, nawoływali, przewracali się.

Oprzytomnieli, dopiero słysząc głośne oklaski. Clara i Sophie przechylały się przez bandę, a na ich buziach malował się wraz satysfakcji.

– Możemy być druhnami?

Rhys westchnął.

– Idźcie sobie – zażądał, nie wypuszczając Thei z objęć.

– Jeszcze nie poprosiłem jej o rękę.

– Tato, to co ty robiłeś tyle czasu? – Sophie aż wzniosła oczy do nieba. – Ciociu, zgadzasz się, prawda?

Thea zaczęła się śmiać.

– Chwileczkę, kto tu się oświadcza?

– Powiedziałaś, że wolisz oświadczyły w miejscu publicznym niż w restauracji przy świecach, bo to sztampowe.

– Zaczął się podnosić. – W takim razie idę po mikrofon, żeby wszyscy mogli usłyszeć.

Na poły rozbawiona, na poły przerażona, pociągnęła go w powrotem na krzeselko.

– Jest już wystarczająco publicznie!

– W takim razie... Wyjdiesz za mnie?

– Ciociu, powiedz: „tak” – wysyczała scenicznym szeptem Clara.

– Tak – powtórzyła posłusznie Thea. Rhys zwrócił się do dziewczynek:

– Czy teraz pójdziecie sobie wreszcie? Chciałbym pocałować Theę i niepotrzebna mi do tego wasza obecność.

– Ojejku! – Skrzywiły się, ale po chwili odjechały, pomachawszy im wesoło.

– Tato, nie zapomnij o pierścionku! – krzyknęła jeszcze Sophie.

– O jakim pierścionku? – zamruczała parę minut później Thea, gdy na moment przestali się całować. – Ach, o tym! Musiałeś być bardzo pewny siebie, skoro go wzięłeś.

– Nie – zaprzeczył z powagą. – Wziąłem go, ponieważ mimo wszystko miałem nadzieję.

– Wyjął z kieszeni znajome pudełeczko i wsunął Thei na palec pierścionek z szafirami. – Wcale nie wiem, czy Lynda zauważyłaby jego nieobecność tamtego wieczoru. Tak naprawdę wymyśliłem to sobie, żeby mieć pretekst do dania ci go. Chciałem, żebyś nosiła pierścionek ode mnie. Kiedy mi go zwróciłaś, odebrałem to jak policzek.

– Nie chciałam! – Pocałowała go, by mu to wynagrodzić. – Już nigdy ci go nie zwrócę, obiecuję.

Siedzieli wtuleni w siebie, nie bacząc na zimno, podczas gdy Clara i Sophie szalały na lodowisku, wielce zadowolone z siebie.

– Zmarnowaliśmy tyle czasu. – Thea westchnęła. – Czemu nie powiedziałeś mi na Krecie, co czujesz?

– Po pierwsze, sądziłem, że wciąż kochasz Harry’ego. Po drugie, sam nie byłem pewien swoich uczuć. To tylko letnia przygoda, tłumaczyłem sobie. Zapomnę, ledwie wrócę do Londynu. Ale nie mogłem zapomnieć. Kiedy Lynda zechciała cię poznać, uchwyciłem się tego, bo miałem powód, by do ciebie zadzwonić i zobaczyć się z tobą. I ledwie cię znowu ujrzałem, stało się jasne, że to coś więcej niż letnia przygoda. – Ujął jej twarz w dłonie. – To nie wakacje miały na mnie taki wpływ, tylko ty. – Zajrzał w ciepłe, szare oczy. – Już zawsze będziesz tylko ty...

Pocałował ją, przypieczętowując obietnicę.

– Czemu więc wtedy nic nie powiedziałeś?

– Zamierzałem to zrobić, dlatego zaprosiłem cię na kolację. Ale ty się wycofałaś po konfrontacji z Lyndą.

– To dlatego byłeś zły, tak?

– Tak, i to na nas wszystkich. Na Lyndę, bo się wtrącała, na ciebie, bo dałaś się zastraszyć, i na siebie, bo nie umiałem wyprostować tej sytuacji. W dodatku cały czas myślałaś o Harrym, sama tak powiedziałaś. Postanowiłem o tobie zapomnieć. Ale trudno było, bo Sophie ciągle pytała, kiedy cię znowu zobaczy i przypominała, jak fajnie było na Krecie, kiedy byliśmy zaręczeni. Nie mogłem tego znieść, więc w końcu powiedziałem jej, że kochasz kogoś innego, co zamyka sprawę.

– Biedna Sophie – rzekła ze współczuciem Thea. Rhys zachnął się.

– Biedna Sophie wcale nie chciała o tym słuchać. Powtórzyła wszystko Clarze, która stwierdziła, że jesteśmy głupi, bo jakbyśmy byli mądrzy, to na Krecie zaręczylibyśmy się naprawdę.

Thea oparła głowę na jego ramieniu, a Rhys wtulił twarz w jej włosy.

– To przerażające, jak często ona ma rację...

– Co więcej, powiedziała Sophie, jak to Harry do ciebie wydzwaniał, a ty pogoniłaś mu kota, koniec cytatu. Oczywiście Sophie powtórzyła wszystko mnie i to mi dało do myślenia. A jeśli faktycznie wasze ostateczne zerwanie wcale cię nie obeszło, bo już go nie kochałaś?

– Pewnie, że nie – zamruczała, całując go w szyję. – Byłam bez reszty zajęta tobą.

Poczuła, jak Rhys się uśmiecha, uniosła głowę i znów zaczęli się całować.

– A co będzie z Sophie? – spytała po jakimś czasie Thea. – Nie chcę, żebyś czuł się rozdarty między nami.

– Najważniejsze, że ona nie będzie czuła się w żaden sposób rozdarta. Sama widziałaś, jak bardzo jej zależy na naszym ślubie. Będzie częścią naszego życia, przepada za tobą i wiem, że ty za nią też. A co do mojego ewentualnego rozdarcia... Bałem się, czy wiążąc się z tobą, w jakiś sposób jej nie zdradzę, ale odbyłem wczoraj na ten temat długą rozmowę z twoją siostrą, która powiedziała pewną bardzo mądrą rzecz.

– Mianowicie?

– Że najlepsze, co mogę zrobić dla córki, to dać jej przykład, że dwoje ludzi może stworzyć dobry, pełen miłości związek.

Kochana Nell, pomyślała z wdzięcznością Thea.

– Może faktycznie nie mamy zbyt wiele wspólnego – ciągnął Rhys. – Ty nie znasz się na skalach, a ja nie lubię chodzić na zakupy i opalać się, ale nie wyobrażam sobie, że mógłbym kochać kogoś innego i śmiać się z kimś innym. Czy trzeba czegoś jeszcze?

– Nie – oświadczyła z przekonaniem Thea, ponownie przyciągając go do siebie, spragniona kolejnego pocałunku.

Thea stała na środku sali bankietowej udekorowanej ozdobami świątecznymi, trzymając kieliszek z szampanem. Na kominku płonął ogień, tańczące płomienie rzucały ciepłe błyski na obrączkę Thei oraz na srebrne i złote bombki, zwisające z gałęzi ogromnej choinki. Cały hotel pięknie przystrojono na święta.

Dzieci, podekscytowane weselem i perspektywą otrzymania następnego dnia wymarzonych prezentów, szalały po całej sali. Thea ledwie zdążyła cofnąć się o krok, by na nią nie wpadły, bawiąc się w pociąg. Clara i Sophie oczywiście wodziły rej, obie ubrane w zielone sukienki, które lepiej oddawały ich żywiołowy charakter niż pastelowe odcienie, jakie zwyczajowo nosiły druheny. Thei marzyło się, by każda miała wpiętą we włosy pojedynczą różę, lecz dziewczynki uparły się przy małych diademach oferowanych przez sklep, w którym narzeczeni kupowali stroje dla siebie i druhen. Thea próbowała im wyperswadować ten pomysł, lecz musiała ulec, ponieważ nieustannie przypominały jej, że gdyby nie one, w ogóle nie doszłoby do żadnego ślubu!

Dla siebie wybrała garsonkę z kremowego jedwabiu, lecz na tym jej elegancja się kończyła, ponieważ włosy nie chciały poddać się fryzjerce i jak zwykle kręciły się po swojemu. Thea machnęła na to ręką. Była zbyt szczęśliwa, by przejmować się fryzurą.

Nagle wpadł na nią Damian – a może Hugo? – pędzący za pozostałymi dziećmi. Thea omal nie oblała się szampanem.

– Musimy zaprosić Kate – tłumaczyła Rhysowi, gdy rozsyłali zaproszenia. – Gdyby nie ona, nigdy nie wpadlibyśmy na ten cudowny pomysł, by wziąć ślub na Gwiazdkę.

Gdyby nie Kate, nigdy nie udawaliby zakochanych.

A gdyby nie udawali, to kto wie, czy Thea stałaby teraz z obrączką na palcu, patrząc, jak parę kroków dalej jej mąż rozmawia z jej ojcem.

– Zorganizowaliście wszystko w dwa miesiące? – wykrzyknęła ze zgrozą Kate, ledwie zdążyła złożyć im życzenia. – W dodatku znaleźliście wolną salę w samą Wigilię!

– Mielśmy szczęście, ktoś odwołał rezerwację.

Kate była wyraźnie rozdarta między zadowoleniem, że kolejna para dotychczasowych singli wzięła ślub, a irytacją, że poradzili sobie bez jej pomocy. Przecież bez rad Kate nic nie miało szans się udać, pomyślała z rozbawieniem Thea.

– Z czego się śmiejesz? – zainteresował się Rhys, podchodząc do niej.

– Myślałam o tym, jakie mam szczęście.

– Zabawne, ja myślałem o tym samym, bo stoisz w znakomitym miejscu.

Zaskoczona, rozejrzała się dookoła, a potem, tknięta przecuciem, spojrzała do góry. Dokładnie nad jej głową wisiał wielki pęk jemioli. Część gości zauważyła to również i

zaczęła im się wyczekująco przyglądać.

Thea roześmiała się.

– Wiecznie całujemy się na czyichś oczach. Czy dla odmiany nie mógłbyś mnie pocałować, gdy nie będziemy mieli widowni?

Objął ją i przyciągnął do siebie.

– Już niedługo, kochanie – obiecał.

HARLEQUIN®

Światowe Życie™

ISBN 978-83-13-00638-1 40 zł w tym 0 zł VAT III DEJ 5 389994



Carole Mortimer
Świąteczne spotkanie

CAROLE MORTIMER

Świąteczne spotkanie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Rozumiem, że chrzciny to wielka uroczystość, ale czy nie za wcześnie na ich opijanie?

Molly zastygła z kieliszkiem w pół drogi do ust. Niestety, szampan bynajmniej nie zastygł i chłodny strumyczek pociekł jej po ręce i nadgarstku, mocząc rękaw żakietu.

– Nawet w twoim wypadku.

Oburzona podniosła wzrok na mężczyznę obserwującego ją od drzwi. Oczy miał niebieskie, o tak ciemnym odcieniu, że zdawały się niemal czarne.

Gideon Webber...!

Właśnie on musiał ją przyłapać na ukradkowym popijaniu, prawda? Właśnie on!

To z jego powodu wymknęła się tutaj: wiedziała, że będzie potrzebować każdej odrobiny sił, jeśli ma mu stawić czoło tego ranka. Tyle tylko, że mieli się spotkać nieco później. Zerknęła w jego stronę i zauważyła na aroganckiej twarzy ten sam wyraz pogardy co podczas ostatniego spotkania. Ostatniego i jedyne!

Trzeba przyznać, że wyglądał równie pociągająco, jak trzy lata temu, kiedy się widzieli: włosy o dziwnym, miodowoblond odcieniu, kobaltowe oczy, długi nos i pięknie rzeźbione usta, kwadratowy zdecydowany podbródek.

– Cóż to ma znaczyć? – prychnęła, choć równocześnie odstawiała kieliszek.

Sięgnęła do torebki w poszukiwaniu chusteczek, w które przezornie się zaopatrzyła. Ostatnie, na co miała ochotę, to rozszłochać się na chrzcinach bratanka.

Gideon Webber wzruszył szerokimi ramionami, wciąż z pogardliwym uśmiechem na ustach.

– Jak mi się zdaje, lubisz sobie wypić kieliszek albo, ściślej biorąc, kilka kieliszków. Spotkaliśmy się dotąd tylko dwa razy i zawsze coś popijałaś.

– Ostatnim razem to był alka-seltzer – broniła się, patrząc na niego z niechęcią.

– No właśnie – przytaknął drwiąco. – Pamiętam, jak ci radziłem, żebyś raczej zaaplikowała sobie klina.

Molly gwałtownie wciągnęła oddech, słysząc jego celowo obraźliwy ton.

Obawiała się tego dnia od chwili, kiedy Crystal powiedziała jej, kogo wybrała na troje chrzestnych małego Petera. W końcu jednak zdołała przekonać sama siebie, że Gideon Webber jest zbyt dobrze wychowany, by napomknąć o ich ostatnim pamiętnym spotkaniu. Jeśli sądzić po ich obecnej rozmowie, było jasne, że całkowicie się pomyliła co do tego... tego...

W innych okolicznościach nazwałaby go zabójczo przystojnym, „powalająco fantastycznym” facetem, jak mawiała jedna z jej przyjaciółek. I był fantastyczny, bez dwóch zdań. Niestety, należał także do nielicznych ludzi, którzy widzieli ją lekko zawianą.

Pora przejąć kontrolę nad konwersacją, postanowiła stanowczo.

– To były wyjątkowe okoliczności – oznajmiła.

Uniósł brwi.

– A dzisiaj?

– Och, daj spokój – prychnęła niecierpliwie. – Wypiłam najwyżej dwa łyki. – Sięgnęła po kieliszek i napiła się ostentacyjnie. – Teraz trzy.

Spojrzała na niego wyzywająco.

– Skoro tak twierdzisz – odparł z jawnym sceptycyzmem.

Molly poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. Cholera, facet traktuje ją niczym alkoholickę, która co chwila wymyka się, by sobie pociągnąć w samotności... Westchnęła z irytacją.

– Tak twierdzą. – Kiwnęła głową na potwierdzenie. – Ja tylko... tylko...

Och, daj spokój, Molly, skarciła sama siebie, zniecierpliwiona.

– Nie powinniśmy już wychodzić do kościoła?
– zakończyła szybko.

– Crys przysłała mnie właśnie w tej sprawie – potwierdził sucho.

Crys go przysłała? Chociaż czemu nie? Przyjaciółka nie miała pojęcia, jak bardzo Molly obawia się ponownego spotkania z tym mężczyzną. I tak powinno zostać!

Odstawiła kieliszek.

– Ja jestem gotowa.

Sklonił ironicznie głowę i otworzył jej drzwi.

– Panie przodem – zaprosił uprzejmie.

Wyprostowała się, świadoma, że on śledzi wzrokiem każdy jej ruch – i świadoma, co widzi: drobną rudą kobietę o ciepłych brązowych oczach – zwykle

skrzących się wesołością! – w eleganckiej sukni i żakiecie do kompletu, o zgrabnych nogach.

– Jeszcze jeden drobiazg – mruknął Gideon, kiedy go mijala w przejściu.

Czujnie uniosła wzrok.

– Tak...?

Uśmiechnął się chłodno.

– Nikt ci nie mówił, że rudowłose kobiety nie powinny nosić pewnych odcieni różu?

Uwaga była tak nieoczekiwana, tak obraźliwa, że przez parę chwil Molly gapiała się na niego z otwartymi ustami, niczym złota rybka w akwarium.

Komplet ogromnie się jej spodobał, więc zdecydowała się go kupić, chociaż nie była do końca pewna, czy do twarzy jej w tym kolorze. To tyle, jeśli chodzi o dobre samopoczucie! W jej oczach błysnął gniew. Popatrzyła na Gideona wyniośle.

– Większość mężczyzn byłaby zbyt dobrze wychowana, żeby powiedzieć coś takiego – rzuciła jadowicie.

Wydawał się rozbawiony.

– Większość mężczyzn nie potrafiłaby sobie przypomnieć, co ich żona nosiła dzień wcześniej, nie mówiąc już o tym, czy było jej w tym do twarzy!

– Molly! – zawołała z ulgą Crys z drugiego końca korytarza. – I Gideon! – dodała, podchodząc do nich szybko. – Już myśleliśmy, że postanowiliście razem uciec!

Molly prychnęła, nawet nie próbując sprawdzić, jak zareagował Gideon. Łatwo mogła sobie wyobrazić pogardę na jego twarzy.

Tym bardziej że miała na sobie tak nietwarzowy strój!

Niech go licho, że jej o tym powiedział; czuła się teraz zdecydowanie źle i nawet wypity szampan nie mógł tego zmienić. Musi jednak jakoś przetrwać ten dzień; wieczorem, kiedy znajdzie się w swoim pokoju, będzie mogła do woli tupać i krzyczeć ze złości.

Przyjaźniły się z Crystal od czasów szkolnych, choć ich kariera potoczyła się różnymi drogami. Crys została szefową modnej restauracji i gwiazdą programu kulinarnego, Molly tymczasem zajęła się aktorstwem.

Trzy i pół roku wcześniej Crys wyszła za męża, lecz małżeństwo skończyło się tragicznie zaledwie po paru miesiącach, kiedy jej mąż, James, umarł na raka. Przed niespełna dwoma laty – ku zachwytowi Molly – Crys poznała i pokochała jej przyrodniego brata Sama; mały Peter James był ich pierwszym dzieckiem. Stąd chrzciny, wyprawione trzy dni przed Bożym Narodzeniem.

Jedyny przykry akcent stanowił fakt, że młodzi małżonkowie na jednego z chrzestnych wybrali Gideona Webbera, starszego brata Jamesa.

Co stawiało Molly w trudnej sytuacji. Jej jedyne spotkanie z Gideonem nie było przyjemne i nie wątpiła, że on nie darzy jej ciepłymi uczuciami. Ponieważ jednak już wcześniej zgodziła się zostać matką chrzestną, nie wypadało nagle oświadczyć, że zmieniła zdanie.

By sobie dodać odwagi, uzbroiła się w każdy możliwy sposób – nowa fryzura, nienaganny makijaż, nowy kostium – a nawet odrobina szampana dla odprężenia! Nie wzięła tylko pod uwagę, że Gideon, jak

jego brat, jest projektantem wnętrz. I od razu zauważy, że barwa jej stroju nie pasuje do rudych włosów!

Całe szczęście, że Crys przerwała ich rozmowę, ratując Molly od dalszych obraźliwych komentarzy tego aroganta.

W zamieszaniu zbiorowego wymarszu Molly znalazła się w jednym aucie z ojczymem; jej matka i drugi ojciec chrzestny postanowili jechać z Gideonem jego ciemnozielonym jaguarem, podczas gdy Sam i Crys podróżowali osobno z dzieckiem.

Merlin, owczarek irlandzki Sama, wierny strażnik małego Petera Jamesa, smutno patrzył za nimi z podjazdu, kiedy wyruszali w kierunku kościoła przez piękne Yorkshire.

– Matthew, co mama dzisiaj włożyła? – zapytała Molly na próbę.

Ojczym zmarszczył brwi, namyślając się w skupieniu.

– Hm – odparł po chwili – chyba coś niebieskiego. Albo raczej zielonego. Sukienkę, a może żakiet ze spódnicą... W każdym razie prawie na pewno zieloną albo niebieską.

To dowodziło jednoznacznie, że Gideon Webber nie był przeciętnym mężczyzną. No cóż, o tym wiedziałam już wcześniej, przyznała Molly z westchnieniem.

Marzyła, żeby ten dzień wreszcie się skończył. Jutro goście wyjadą i będzie mogła spokojnie cieszyć się świętami w towarzystwie Crys, Sama i Petera Jamesa. Rodzice wyjeżdżali następnego dnia w cieplejsze strony – co w grudniu mogło oznaczać dowolną stronę świata.

Ostatecznie to nie tak długo – jeden dzień, a właściwie parę godzin. Potem Gideon Webber zniknie i Molly zanurzy się w świąteczną atmosferę.

– Szampana?

Obejrzała się ze zmarszczonym czołem i natychmiast rozpogodziła na widok Davina Stronga – aktora grającego w serialu, do którego scenariusz pisał jej brat. Wybrano go na drugiego ojca chrzestnego. Wysoki, ciemnowłosy i przystojny, około czterdziestki, David był jedną z gwiazd *Baileya*. Przed paroma miesiącami stracił żonę w wypadku samochodowym i ból wciąż jeszcze dało się wyczytać w jego rysach i przygaszonym spojrzeniu.

– Dzięki.

Parę razy spotkali się towarzysko i doskonale czuła się w jego obecności. Przyjęła od niego kieliszek, nie zdołała jednak zapanować nad nerwowym impulsem i rozejrzała się czujnie po pokoju, czy Gideon nie patrzy. Zmarszczyła brwi zirytowana, kiedy z drugiego końca pomieszczenia uniósł swoją szklankę wody mineralnej w drwiącym toaście. Poczowała, że policzki znowu robią jej się gorące. Do licha z tym facetem. Za kogo on się uważa? Za jednoosobową komisję antyalkoholową?

Raz jeszcze pożałowała, że to on zobaczył ją wtedy, przed trzema laty. Choć w światku aktorskim częste są skłonności do czegoś mocniejszego, Molly rzadko piła – przekonała się, że alkohol niezbyt dobrze komponuje się z porannymi zdjęciami i wieczornymi występami w teatrze. Pewnie dlatego jedna butelka wina wystarczyła, by zupełnie ścięło ją z nóg!

Ale przecież miała powody do rozpacz. Świadomość, że zakochała się w żonatym mężczyźnie, który jasno oświadczył, że nie zamierza rezygnować z małżeństwa, każdą kobietę mogła wpędzić w alkoholizm! Poza tym chodziło tylko o jedną butelkę białego wina, a nie całą skrzynkę, jak niedwuznacznie sugerował Gideon.

Zejdź na ziemię, rozkazała sobie surowo i skupiła uwagę na Davidzie Strongu. Ostatecznie jest prawie tak przystojny jak Gideon – a o ile sympatyczniejszy!

– Miło cię znowu widzieć – powiedziała życzliwie.

– Ciebie też. – Skinął głową. Kiedy się uśmiechał, wokół jego brązowych oczu tworzyły się drobne zmarszczki. – Z tego, co słyszę, już niedługo będziemy się spotykać znacznie częściej...

Ach, więc ktoś mu powiedział. Pewnie Sam w geście życzliwości wobec swego najlepszego aktora. A może tajemnicę zdradził ktoś inny?

Rzuciła Davidowi pytające spojrzenie.

– To źle?

– Skądże – odparł, obdarzając ją swoim słynnym uśmiechem, który zdobył mu zastępy wielbicielek wśród kobiet oglądających serial. – Czas najwyższy, żeby Bailey znalazł sobie kogoś na stałe – dodał.

Molly niezupełnie o to chodziło. Trochę krępował ją fakt, że Sam obsadził w jednej z głównych ról własną siostrę. Co gorsza, była to rola mocno zwariowanej partnerki głównego bohatera!

Przez ostatnich parę lat pracowała głównie w teatrach, a niekiedy także filmach amerykańskich i aż do niedawna zamierzała pozostać za oceanem na stałe.

Parę miesięcy temu Sam przysłał jej scenariusz nowej serii *Baileya* z tajemniczym liścikiem: „Pisałem rolę Daisy, mając przed oczyma Ciebie, więc tylko Ty możesz ją zagrać. Przyjeżdżaj. Potrzebuję Cię!”. To wystarczyło, by wzbudzić jej ciekawość.

Chociaż po przeczytaniu scenariusza zaledwie jednego odcinka wcale nie była przekonana do nowej roli!

Daisy była przebojową i niebezpiecznie dociekliwą panią detektyw, a przy tym kobietą rozczulającą naiwną, jeśli chodzi o ciemne strony ludzkiej natury, i nieustannie padającą ofiarą wypadków – wydawało się niemal, jakby przedmioty same się na nią rzucały.

To mam być ja? – zastanawiała się trochę zaskoczona. Była przebojowa, to prawda, i nieco ekscentryczna. Ale nie miała pewności, czy pozostałe cechy postaci do niej pasują – bez względu na to, co sądził Sam.

Jednak po przesłuchaniu, które odbyło się w Anglii przed paroma tygodniami, reżyser wydawał się zadowolony i bez wahania zaproponował jej kontrakt na następną serię odcinków. Sądziła, że nikt o tym nie wie, lecz najwyraźniej się pomyliła; okazało się to jedną z owych powszechnie znanych tajemnic!

– Chodziło mi o to, czy nie masz nic przeciwko temu, że będę z tobą występować? – uściśliła z powagą.

David uniósł ciemne brwi.

– Reżyser zapewniał, że na zdjęciach próbnych wypadłaś doskonale; co miałoby mi przeszkadzać?

Wzruszyła ramionami speszona.

– Rozumiesz... Sam jest moim bratem. Niektórzy

mogliby pomyśleć, że to dlatego dostałam rolę...

– Skrzywiła się.

– To się nazywa nepotyzm – wtrącił ktoś nieuprzejmie.

Gideon Webber. Oczywiście. Nie tracił żadnej okazji, żeby ją obrazić.

Czy matce chrzestnej wypada pobić ojca chrzestnego? – zastanowiła się Molly przelotnie. Chyba nie. Szkoda.

– Gideon! – David przywitał ciepło drugiego mężczyznę, dając jej czas na opanowanie impulsu. – Miło cię znowu widzieć.

Znowu? – zdziwiła się Molly. Od kiedy to aktorzy telewizyjni i projektanci wnętrz obracają się w podobnym towarzystwie? Przybywając do Anglii, liczyła, że nie zdarza się to nigdy, lecz najwyraźniej się pomyliła.

– Nie ma mowy o żadnym nepotyzmie – dodał z uśmiechem David. – Słyszałem, że ta dama potrafi zagrać wszystko, nawet zdjętą skarpetkę.

– A ja słyszałem, że także każdą inną część garderoby – odparł sucho Gideon.

Oburzone prychnięcie Molly zagłuszył donośny śmiech Davida, który najwyraźniej wziął to za żart. Molly знаła prawdę. Spojrzała na Gideona ze złością. Jego twarz wyrażała otwartą drwinę.

– Skąd wiedziałeś, że ma się rozebrać w czwartym odcinku? – zapytał żartobliwie David.

– Po prostu się domyśliłem – odpowiedział, nie odrywając od niej spojrzenia.

Molly żałowała, że nie może się nad tym zastanowić na osobności. Będzie się musiała rozebrać? Zajęta

przeprowadzką i urządzeniem mieszkania, nie miała czasu przeczytać dalszych odcinków *Baileya*.

Miała niezłą figurę, z wszystkimi krągłościami we właściwych miejscach, ale i tak nie czuła się przekonana, czy chce się pokazywać bez ubrania. Nawet z kimś tak miłym jak David.

Jeśli jednak sądzić z wyrazu twarzy Gideona Webbera, on nie uważał jej ciała za godne pokazywania.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jak śmie!

Molly prezentowała się naprawdę dobrze – żadnych waleczków tłuszczu, pełne piersi, wąska talia i biodra, kształtne nogi – co jej ma do zarzucenia? Spojrzała na niego z wyzywająco uniesionym podbródkiem, po czym zwróciła się z uśmiechem do Davida:

– To może być całkiem zabawne.

Miała nadzieję, że nie odgadł jej zdenerwowania. Nikt nie wspomniał ani słowem o rozbieranej scenie, a Molly podpisała już kontrakt. Niech no tylko dopadnie Sama!

– Też tak myślę. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Muszę przyznać, że udane małżeństwo Sama zdecydowanie ożywiło serial!

– Wydają się tacy szczęśliwi, prawda? – mruknął ze smutkiem Gideon, patrząc w kierunku Sama i Crys rozmawiających cicho ze sobą.

– Jasne, że tak – burknęła Molly ze złością.

Chyba Gideon nie uważa, że Crys nie ma prawa być szczęśliwa tylko dlatego, że kiedyś była żoną jego brata? Molly wiedziała, że Crys bardzo kochała Jamesa, ale miała dopiero dwadzieścia dziewięć lat. Gideon z pewnością nie uważa, że Crys powinna pozostać niezamężna do końca życia? Zresztą w takim wypadku

nigdy by się nie zgodził zostać ojcem chrzestnym Petera.

Spojrzał na nią surowo.

– W takim razie miejmy nadzieję, że to się nie zmieni – rzucił ostro.

Zmarszczyła brwi zdziwiona.

– A czemu miałyby się zmieniać?

– Tych dwoje przecierpiałoby już swoje – wtrącił cicho David.

Molly wiedziała, o co mu chodzi: niedawna strata Crys była oczywista, a Sam wiele lat nawet nie spojrzał na kobietę, odkąd dwanaście lat wcześniej eksnarzczona urządziła na niego publiczną nagonkę. Uznała jednak, że to okrutne rozmawiać na podobne tematy w obecności Davida.

– Masz rację – przyznała, kładąc mu rękę na ramieniu. – Prawda, Gideonie? – dodała znacząco.

– Chyba tak... tak – potwierdził lekkim tonem, lecz kiedy na nią spojrzał, w ciemnych oczach na krótko błysnęło inne, znacznie silniejsze uczucie.

O co mu chodzi? Ten mężczyzna był dla niej zbyt skomplikowany, zbyt tajemniczy. Poczula zbliżający się ból głowy. Wciągnęła powietrze i stanowczo odwróciła wzrok od jego skupionego spojrzenia.

– Przepraszam was obu, ale chciałabym jeszcze parę minut porozmawiać z rodzicami, zanim odjadą – dodała przeproszająco.

– Nie zamierzam cię zatrzymywać – zapewnił ją Gideon.

Skoro tak pragnie unikać jej towarzystwa, to czemu

w ogóle podszedł i zaczął rozmowę? – pomyślała ze złością.

– Do zobaczenia później. – David uśmiechnął się do niej.

– Z przyjemnością – odparła życzliwie i, nie poświęcając Gideonowi najmniejszej uwagi, ruszyła w kierunku matki i ojczyma.

Do diabła z tym facetem. Do diabła. Do diabła!

Dzisiejsze chrzciny miały być wspaniałą rodzinną uroczystością, pełną ciepła i miłości, i zachwytów nad małym Peterem Jamesem. Zamiast tego, przez Gideona Webbera, zmieniły się dla Molly w istny koszmar. Zamierzała go przerwać przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

– Znowu ty! – westchnęła z odrazą, kiedy następnego ranka weszła do kuchni, żeby sobie zrobić filiżankę kawy, i wpadła na Gideona, najwyraźniej zajętego tym samym.

Poprzedniego dnia wymówiła się z udziału w przyjęciu zaraz po wyjściu rodziców, tłumacząc się – całkowicie szczerze – bólem głowy. Nie miała pojęcia, że Gideon także spędził noc w domu Sama i Crys.

– Znowu ja – potwierdził, uśmiechając się z zadowoleniem na widok jej niechęci. – Kawy?

Po szoku, jaki właśnie przeżyła, odpowiedniejsza byłaby brandy. Ale to tylko by go utwierdziło w przekonaniu o jej alkoholizmie.

– Chętnie – wykrztusiła przez zaciśnięte gardło.

Co on tu jeszcze robi? – zastanawiała się nerwowo.

Nietypowo jak na grudzień świeciło słońce i śpie-

wały ptaki, więc schodziła do kuchni w doskonałym nastroju, pełna oczekiwań na nadchodzący dzień. Widok Gideona wszystko zepsuł.

– Proszę... – Wsunął jej do ręki kubek parującej kawy. – Głowa nadal cię boli? – dodał złośliwie.

To przez niego dostała migreny! Na jego widok znowu poczuła pulsowanie za oczami.

– Nie byłem pewien, czy pijesz z cukrem – dodał przeciągle, kiedy usiadła, pociągnęła pierwszy łyk... i omal się nie udławiła. Kawa nie tylko była bez cukru, ale i piekielnie mocna.

– Jest okej – sapnęła z oczyma pełnymi łez po silnym klepnięciu w plecy, które zaaplikował jej Gideon. Cienka zielona bluza nie mogła złagodzić siły uderzenia.

Czemu po prostu nie zapytał, jaką kawę lubi? A może to dla niego zbyt łatwe? Zapewne, odpowiedziała samej sobie z irytacją. Poza tym pozbawiłoby go to okazji, żeby najpierw doprowadzić ją niemal do uduszenia, a potem walnąć ze wszystkich sił.

Okej, więc z jakiegoś powodu został na noc. Mogła się z tym pogodzić, ale czemu nie zbiera się do wyjazdu?

– Crys i Sam zabrali małego i Merlina na spacer po wrzosowiskach – wyjaśnił Gideon krótko, po czym usiadł naprzeciw niej przy kuchennym stole.

Ponieważ wstała dość późno, nie zdziwiło jej, że brat i Crys zajęli się swoimi sprawami. Niepokoiło ją jednak, że pozostawiono ją sam na sam z mężczyzną, który w oczywisty sposób nią pogardzał.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – rzuciła ze skrepo-

waniem, kiedy wciąż siedział naprzeciw, spokojnie popijając kawę.

Uniósł z ironią brwi.

– To znaczy?

Wzruszyła ramionami.

– Zrób sobie śniadanie... Spakuj się.

Wyjedź!

Im szybciej się wyniesie, tym szybciej ona będzie się mogła odprężyć – rzecz, na którą nie miała najmniejszych szans w jego obecności. Zdawało się, że każda jego wypowiedź kryje drugie dno.

– Nie mam ochoty na śniadanie – odparł spokojnie.

– Ale jeśli ty byś chciała...

– Nie, dziękuję.

A co z pakowaniem? Włożył dzisiaj swobodny strój, dopasowane czarne dżinsy i ciemnobłękitny podkoszulek, więc miał do spakowania przynajmniej garnitur...

– Szkoda, że wczoraj wyszłaś z przyjęcia tak wcześnie – rzucił.

Chyba za nią nie tęsknił? A może po prostu brakowało mu kogoś, na kim mógłby ostrzyć swój jadowity dowcip? To zapewne było bliższe prawdy.

– Płakaliśmy ze śmiechu, kiedy David opowiadał co bardziej pieprzne historie ze swojej kariery aktorskiej – wyjaśnił.

Nietrudno było uwierzyć. Z własnego doświadczenia wiedziała, że znacznie więcej dzieje się za kulisami niż na scenie. Na szczęście nigdy dotąd nie pracowała z Davidem, więc żadna z opowieści nie mogła jej dotyczyć. Skrzywiła się w uśmiechu.

– Z pewnością każdy z nas mógłby opowiedzieć coś podobnego.

– Nawet ty?

Dlaczego zabrzmiało to jak: „Szczególnie ty”?
A może po prostu była przeczulona?

Zwilżyła wargi. Kawa niewątpliwie ją rozbudziła, ale nie ugasiła porannego pragnienia.

– Gideon, myślę, że powinniśmy porozmawiać...

– Cześć wam – przywitał się serdecznie David, wchodząc do kuchni.

On także miał na sobie swobodny strój i włosy zmierzwione od snu.

Molly gapiała się na niego w milczeniu, oszołomiona. Więc on też został na noc? Jak się zdaje, przez wczesne pójście spać wczorajszego wieczoru straciła znacznie więcej niż parę frywolnych historii.

– Nie wiem, czy to zasługa Yorkshire, powietrza czy szampana – oznajmił radośnie, nalewając sobie kawy i pijąc mocny napar z widoczną przyjemnością – ale spałem doskonale.

Zajął miejsce między nimi.

– Gdzie się podziewa nasz chrześciak? – dodał z zaciekawieniem.

Ich chrześciak... Molly pierwszy raz uświadomiła sobie, że ich trójka została połączona na zawsze. Nic w tym złego, jeśli chodzi o Davida, ale Gideon Webber to całkiem inna historia!

– Na spacerze z rodzicami i psem – wyjaśnił Gideon. – Musisz wybaczyć Molly, Davidzie. Niestety, nie należy do rannych ptaszków – dodał cierpko i spojrzał na nią drwiąco.

To prawda, nie była tego ranka w najlepszej formie – ale to z winy spotykających ją co i chwila niespodzianek. Zwykle budziła się pełna chęci do życia.

Chociaż zdawało jej się, że Gideon nie ma na myśli tego ranka... Popatrzyła na niego zwięzonymi oczami.

– Nie przywykłam do towarzystwa od samego rana – rzuciła ze skrzepowaniem.

– Doprawdy? – Uniósł brwi niedowierzająco.

Więc rzeczywiście chodziło mu o tamto. Osądził ją i wydał wyrok na podstawie tamtego jednego ranka sprzed trzech lat – jednego jedyne go ranka, kiedy... Kiedy wstała rozczochrana i zapuchnięta z braku snu. Kiedy widać było po niej, że wypila zbyt wiele wina. Kiedy widział ją ubraną jedynie w koszulę innego mężczyzny.

To prawda, ale istniało wytłumaczenie wszystkiego, co zobaczył – albo zdawało mu się, że zobaczył. Bardzo jednak wątpiła, by chciał je usłyszeć. Albo w nie uwierzyć!

Wstała gwałtownie.

– Chyba wyjdę na spotkanie Samowi i Crys – rzuciła.

Miała nadzieję, że kiedy wróci, po Gideonie nie będzie już śladu. Choć z drugiej strony wątpiła, by wyjechał bez pożegnania.

– Jeśli zaczekasz chwilę, pójdę z tobą – zaofiarował się David, podnosząc się z miejsca. – A ty, Gideonie? – ponaglił dziarsko.

– Idźcie sami. – Pokręcił głową. – Muszę zadzwonić w parę miejsc.

– W takim razie do zobaczenia później.

A zatem spodziewał się go zobaczyć tego dnia. Nie była to żadna pociecha dla Molly. Skoro Gideon zamierzał dzwonić, to jak długo planował zostać?

– O co chodzi z wami dwojgiem? – spytał David parę minut później, kiedy szli żwirowanym podjazdem. – Z tobą i Gideonem – wyjaśnił, kiedy udała zdziwienie.

– Mną i...? O nic – mruknęła. – O nic zupełnie – powtórzyła stanowczo, bo nie wyglądała na przekonanego.

David uniósł brwi.

– Odniosłem zupełnie inne wrażenie. Daj spokój, Molly, będziemy ze sobą pracować ładnych parę miesięcy. I tak się dowiem, z kim jesteś związana. – Uśmiechnął się chłopięco.

– Z pewnością nie z Gideonem Webberem! – prychnęła, czując, jak czerwienieją jej policzki. – Ten facet obraża mnie za każdym razem, kiedy otwiera usta – dodała z niesmakiem.

Wiedziała, że to prawda, i знаła tego przyczynę. Co jednak mogła poradzić? Jeśli będzie protestować zbyt stanowczo, Gideon uzna to za potwierdzenie jej winy. A przecież nie mogła nie protestować. Wyglądało na to, że sytuacja jest bez wyjścia.

Nie znaczy to, żeby wcześniej nie miewała romantycznych związków z mężczyznami. Ale Gideon Webber był świadkiem tego jedyne go razu, kiedy zrobiła z siebie kompletną idiotkę.

David zachichotał.

– Gdybyśmy byli nastolatkami, uznałbym, że mu się podobasz.

– Ale nie jesteśmy – mruknęła Molly ze złością.

Z tego, co dotąd widziała, doszła do wniosku, że Gideon nigdy nie był nastolatkiem – z niemowlęcia zmienił się od razu w złośliwego typu, jakim był teraz.

– I zapewniam cię, że mu się nie podobam – dodała z ciężkim westchnieniem.

– Wielka szkoda, co? – zażartował David.

– Nie, dzięki. – Molly skrzywiła się. – Silni, milczący mężczyźni nigdy nie robili na mnie wrażenia – dodała z wyższością.

Chociaż miała głębokie przekonanie, że Gideon nie pozostanie długo milczący. W tej chwili jego niechęć wrzała tuż pod powierzchnią, ale wcześniej czy później spróbuje wyrzucić z siebie wszystko, co sądzi o ich pierwszym spotkaniu.

– Skoro tak twierdzisz – ustąpił David, jasno dając do zrozumienia, że nie wierzy w szczerłość jej zapewnień.

No cóż, z pewnością nie należał do mniejszości, jeśli o to chodzi; Gideon też nie wierzył w ani jedno jej słowo.

– Piękna okolica, prawda? – zaczął się zachwycać, kiedy ruszyli dalej po rozległych gruntach. – Sądziłem, że Sam zwariował, gdy postanowił się tu zakopać, ale teraz go rozumiem. Szczególnie odkąd się ożenił z Crys. Przyjaźnisz się z nią od dawna, prawda? – dodał z zaciekawieniem.

– Od czasów szkolnych.

– Więc musiałaś znać także Jamesa Webbera.

Molly zmarszczyła czoło na wzmiankę o młodszym bracie Gideona. Spojrzała ukradkiem na Davida, do-

szukując się podtekstów w jego słowach. Jego jednak całkowicie pochłaniało piękno okolicy.

– Tak, poznałam go na uniwersytecie – potwierdziła spokojnie. – Prawdę mówiąc, to ja ich sobie przedstawiłam – dodała ze smutkiem.

Mimo woli czuła wyrzuty sumienia, jakby w jakiś sposób była winna choroby i śmierci Jamesa.

David spojrział na nią z zainteresowaniem.

– Więć Gideona też musiałaś znać? Pracowali razem.

Na szczęście Gideon, o dziesięć lat starszy od brata, nigdy nie przyłączył się do ich paczki przyjaciół. Molly spotkała go jeden jedyny raz. I ten jeden raz wystarczył w zupełności!

Popatrzyła na Davida z przyganą.

– Tracisz czas, doszukując się nie wiadomo czego. Ja i Gideon Webber bardzo się nie lubimy.

Wykrzywił się.

– Czy Crys o tym wie?

Molly ściągnęła brwi.

– Oczywiście, że nie – oznajmiła stanowczo.

– Czemu by miała wiedzieć?

Wzruszył ramionami.

– Ponieważ... O, tam są – ruchem głowy wskazał nadjeżdżającego land rovera. – Wybacz, że z tobą nie zaczekam – dodał pośpiesznie, zawracając w stronę domu – ale Merlin ciągle jeszcze nie zdecydował, czy ma mnie uważać za przyjaciela czy za wroga!

Molly zaśmiała się ze zrozumieniem; Merlin wydawał się bardzo groźny, dopóki się go nie poznało lepiej. Czy ściślej, dopóki on kogoś nie poznał. Sama

zawarła z nim znajomość, jeszcze gdy był szczeniakiem. Patrzyła, jak brat i Crys wysiadają z auta, a potem wyjmują małego Petera.

– Zdawało mi się, że towarzyszył ci David?

Crys rozejrzała się wokół. Wyglądała uroczo ze swymi rozpuszczonymi srebrnoblond włosami, delikatną twarzą i zamglonymi szarymi oczyma. Mimo że urodziła Petera zaledwie parę miesięcy wcześniej, zachowała smukłą, dziewczęcą sylwetkę.

Molly kiwnęła głową z uśmiechem.

– Wystraszył się, że Merlin nie do końca go zaakceptował.

Sam pokręcił głową z rozbawieniem i poklepał psa po głowie.

– Tyle razy mu powtarzałem, że Merlin go nie ugryzie, póki David nie ugryzie Merlina.

– Z pewnością to go przekonało. – Crys zachichotała. – Pora na śniadanie! – oznajmiła dziarsko, podając dziecko Molly. – Racuchy dla wszystkich!

Molly wolno ruszyła za obojgiem. Zwykle uwielbiała racuchy przyjaciółki – lekkie, puszyste i wyśmienite – lecz humor zepsuł jej widok ciemnozielonego jaguara na podjeździe, świadczący, że Gideon wciąż nie wyjechał.

– Może udławi się racuchem twojej mamy – zwróciła się z nadzieją do małego Petera, kiedy ten obudził się z drzemki. – Wiem, wiem, to twój ojciec chrzestny – dodała przeproszająco – ale masz przecież jeszcze jednego, nie?

– Mówisz sama do siebie? – rozległ się ironiczny, łatwo rozpoznawalny głos.

Podniosła szybko wzrok i zobaczyła Gideona idącego w kierunku kuchennego wejścia. Merlin radośnie kroczył u jego boku. Mężczyzna uniósł brwi, wyraźnie ubawiony jej zaskoczeniem.

– Musiałem coś zabrać z samochodu.

Zapewne oczekiwała zbyt wiele, licząc, że przy okazji zapakował walizkę?

– Rozmawiam z Peterem – wyjaśniła speszona.

Uśmiechnął się drwiąco.

– Pogawędka z trzymiesięcznym niemowlęciem niewątpliwie ma wiele zalet; taki maluch nawet nie może się odciąć!

Inaczej niż jego ojciec chrzestny, mający odpowiedź na wszystko! Molly spojrzała na niego chłodno.

– To rzeczywiście niezwykle u mężczyzny – zgodziła się oschle.

– I jeszcze niezwyklejsze u kobiety – mruknął cicho Gideon, po czym otworzył jej drzwi, ucinając dalszą rozmowę.

W kuchni panowała radosna, pogodna atmosfera. Crys mieszała ciasto, tymczasem Sam i David nakrywali do stołu.

Falcon House był to spory, dwupiętrowy budynek, ale Crys i Sam uwielbiali prywatność i większość rzeczy robili sami. W pracy pomagała im tylko kobieta z wioski przychodząca trzy razy w tygodniu; gotowaniem Crys zajmowała się osobiście.

Mimo sporych rozmiarów był to zdecydowanie dom rodzinny – pełen ciepła, miłości i śmiechu – i Molly zwykle uwielbiała tu przyjeżdżać. Dlaczego

Gideon Webber musiał się tu zjawić i wszystko zepsuć?

Wyglądało jednak na to, że tylko ona tak uważa. David i Sam niewątpliwie cieszyli się z towarzystwa gościa; co do Crys, to właśnie gawędziła z nim przyjaźnie, smażąc racuchy.

Czy to jedynie przyjaźń, czy może coś więcej? – przemknęło przez myśl Molly, siedzącej z dala od wszystkich z Peterem na rękach. Z pewnością nie ze strony Crys – jej miłość do Sama była bezgraniczna. Gideon jednak w jej towarzystwie zachowywał się zdecydowanie swobodniej niż w kontaktach z pozostałymi. Uśmiechał się szeroko, obejmując Crys ciepłym spojrzeniem...

Co ona sobie wyobraża? Że Gideon kocha się skrycie w Crys? Mężczyzna, którego dotąd uważała za niezdolnego do miłości?

Śmieszne, zbeształa sama siebie. Znał Crys od lat, był jej eksszwagrem – to oczywiste, że ją lubi; tylko niechęć skłania Molly do doszukiwania się w tym czegoś więcej.

– Zadowolona? – zapytał Sam, który zbliżył się cicho do niej.

Stanowczo odsunęła od siebie dręczące myśli i z uśmiechem podniosła wzrok na brata. Wysoki, ciemnowłosey, był nie tylko odnoszącym sukcesy scenarzystą, ale też ideałem męskiej urody. Molly uwielbiała go od siedemnastu lat – od dnia, kiedy się dowiedziała, że jej matka zamierza wyjść za jego ojca.

– Jasne – zapewniła wesoło. – Jak mogłoby być inaczej, skoro trzymam na rękach swojego ulubionego bratanka? – dodała żartobliwie.

Sam przykucnął obok i pogładził delikatnie synka po policzku.

– Jedynego bratanka... chyba że coś przeoczyłem?
– Spojrzał z uczuciem na żonę, która nakładała właśnie racuchy na talerz.

– Jesteś pewna, że widok małego cię nie przygnębia? – spytał z nagłą przenikliwością.

Na to trudniej było odpowiedzieć. W chwili obecnej Molly nie była z nikim związana; przed wyjazdem z Nowego Jorku zerwała dość powierzchowny związek ze znanym aktorem. Niedawno skończyła jednak dwadzieścia dziewięć lat i jeśli miała być ze sobą szczerą, zazdrościła przyjaciółce kochającego męża i uroczego dziecka.

Nie ma co gdybać, napomniała siebie smutno. Bez mężczyzny – kochającego czy nie – mogę zapomnieć o rodzinie. Skrzywiła się lekko.

– Najwyraźniej ci umknęło, że chwilowo nie jestem z nikim związana.

Wzruszył ramionami.

– A co myślisz o Davidzie i Gideonie?

Zmarszczyła brwi na nagłą zmianę tematu.

– W jakim sensie?

Teraz to Sam się skrzywił.

– Zdaje się, że Crys typuje któregoś z nich na twójego przyszłego męża i ojca dzieciom.

– Co takiego? – Molly aż sapnęła i wyprostowała się sztywno na krześle.

– Nie wspominaj jej, że się wygadałem – poprosił pośpiesznie. – Zdaje się, że szczęście rodzinne uderzyło jej do głowy i postanowiła zostać swatką – dodał

z czułością. – Chciałaby, żeby wszyscy byli równie szczęśliwi, jak my.

Molly zamrugła oszołomiona.

– W porządku, ale...

– Zapewniała mnie, że obaj są całkowicie wolni – drażnił się z nią Sam.

– Być może... – nieznacznie podniosła głos – ale David niedawno owdowiał. A co do Gideona, to nie...

– Ani słowa Crys – ostrzegł ją cicho. – Położę Petera i możemy się brać do jedzenia – oznajmił zwykłym tonem, po czym wziął synka na ręce i zaniósł do kołyski stojącej w rogu kuchni.

W jaki sposób Crys zamierza ją wyswatać z Davidem albo Gideonem?

Molly miała rozpocząć pracę z Davidem dopiero pod koniec stycznia, a z Gideonem wcale nie zamierzała się widywać – kiedy więc miałyby się odbyć swaty?

Miała niemiłe przeczucie, że nie spodoba jej się odpowiedź na to pytanie.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Wszyscy się najedli? – spytała Crys wesoło pół godziny później.

W ciągu tej półgodziny zdumienie Molly bynajmniej nie zmalowało. Wiedziała, jak szczęśliwa jest obecnie przyjaciółka, ale przez myśl jej nie przeszło, że Crys spróbuje zapewnić podobne szczęście także jej – ani że posunie się do tego, by wybrać dwóch potencjalnych kandydatów do ręki Molly.

I to w dodatku Davida Stronga oraz Gideona Webbera...

David był jednym z najmiłszych znanych jej mężczyzn. Doskonale czuła się w jego towarzystwie i nie mogła się doczekać, by z nim zacząć pracę – ale wiedziała, że nie doszedł jeszcze do siebie po niedawnej stracie.

Co do Gideona Webbera...

Jedyną pociechę stanowiła dla niej myśl, że Gideon – mimo całej życzliwości wobec Crys – z pewnością wpadłby we wściekłość na wieść o jej planach.

– Moja żona ma swój cel w tym, że was tak dokarmia – zauważył Sam żartobliwie, kiedy na jej kolejne nalegania zaczęli zapewniać, że nie przełknęli-by już ani kęsa.

Crys uśmiechnęła się niezmiészana.

– Przez to całe zamieszanie w związku z chrzcina-
mi nie mieliśmy czasu wyjąć ozdób świątecznych ani
ubrać choinki – wyjaśniła. – Sam musi zadzwonić
w parę miejsc, więc pomyślałam, że może mielibyście
ochotę się tym zająć.

– Nie ma sprawy – zapewnił natychmiast David.

– Pomogę z przyjemnością – rzucił Gideon.

Molly była tak zaskoczona dalszą zwłoką w wy-
jeździe obu mężczyzn, że milczała. Te święta za-
czynały wyglądać zupełnie inaczej, niż się spodzie-
wała.

– A ty, Molly? – Sam obrócił się do siostry, jak
gdyby wyczuł jej zmieszanie.

Nic dziwnego – od zawsze byli sobie bliżsi niż
niejedno „prawdziwe” rodzeństwo.

– Zamierzałem zabrać Petera ze sobą, ale jeśli
wolałabyś się nim zająć, zamiast rozwieszać dekoracje...

Molly była gotowa zająć się wszystkim, co pozwoli
jej uniknąć towarzystwa Gideona. Już otwierała usta,
by przyjąć propozycję brata, gdy napotkała wyzywają-
ce spojrzenie drugiego mężczyzny. Zarumieniła się
lekką; czuła doskonale, że Gideon zdaje sobie sprawę
z jej skrępowania – i świetnie się bawi.

Zacisnęła wargi i popatrzyła na niego gniewnie,
a potem z uśmiechem zwróciła się do brata.

– Dzięki za sugestię, ale wiesz, jak lubię rozwie-
szać ozdoby.

I jak niewiele miała do tego okazji podczas pobytu
w Ameryce. Ozdabianie nowojorskiego mieszkania
zwyczajnie nie miało sensu. Nie mogła się doczekać

udziału w rodzinnych świętach i nie zamierzała pozwolić, by Gideon pozbawił ją przyjemności.

– Wiem doskonale. – Sam zmierzwił jej włosy.
– Kiedy była mała, upierała się, by je rozwieszać już w listopadzie i nie zdejmować do lutego!

Rumieńce na policzkach Molly pociemniały; starannie unikała wzroku Gideona, pewna, że dostrzegłaby jedynie drwinę.

– Zmieniłam się od tamtej pory. – Skrzywiła się onieśmielona. – Ale nadal uwielbiam święta – przyznała pokornie.

– Nie ma w tym nic złego – zapewnił David.

– Nic, zupełnie – dodał Gideon cicho.

Spojrzała na niego ostro, spodziewając się zwykłej pogardy, lecz zamiast tego odkryła, że patrzy na nią w zamyśleniu, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. O co znowu mu chodzi? – zdziwiła się.

Drwiąco pochylił głowę.

– Zawsze uważałem, że ktoś, kto lubi święta, nie może być zły do szpiku kości – mruknął wyzywająco.

Długą chwilę mierzyli się spojrzeniami; Molly pierwsza odwróciła wzrok i rozejrzała się po pokoju. Crys nadal uśmiechała się pogodnie, David i Sam sprząтали ze stołu po posiłku.

Czyżby tylko ona zwróciła uwagę na obraźliwy ton Gideona? Najwyraźniej tak było – chyba nikt prócz niej nie dostrzegł niechęci, jaką ją darzył. Popatrzyła na niego znowu, wyzywająco unosząc podbródek.

– Więc jakie są twoje uczucia względem świąt?

Skrzywił się w niewesołym uśmiechu.

– A jak sądzisz?

Molly widziała, że jej opinia tak naprawdę wcale go nie obchodzi.

– Nie mam pojęcia – odparła szczerze.

Nie starczyłoby jej życia, by zgłębić kierujące nim uczucia i motywy – i nie zamierzała tracić nawet chwili na rozważania.

Uśmiechnął się wesoło.

– Ja też zawsze uwielbiałem święta – przyznał.

Rozbroiły ją nie słowa, lecz właśnie towarzyszący im uśmiech: odmienił jego twarz, aż stała się chłopięca i sympatyczna – dwie cechy, których nigdy wcześniej nie kojarzyła z wyniosłym i aroganckim Gideonem Webberem.

– To dobrze – rzuciła niezręcznie.

Zdawało się, że zlągodniało nawet jego spojrzenie.

– Nie to się spodziewałaś usłyszeć, prawda? – rzucił.

Jeśli w ciągu ostatniej doby nauczyła się czegoś o tym mężczyźnie, to tego, że zawsze spodziewać się po nim można było czegoś nieoczekiwanego; nigdy nie dało się przewidzieć, co powie lub zrobi za chwilę. Wzruszyła lekceważąco ramionami.

– Nie ma znaczenia, czego się spodziewałam lub nie, prawda? – zauważyła.

– Dla mnie nie – potwierdził oschle.

To wszystko wyjaśnia, prawda? – pomyślała. Dokładnie to samo czuła w stosunku do niego. Jej oczy błysnęły humorem; tym razem spojrzała na niego swobodnie.

– Cieszę się, że to wyjaśniliśmy, a ty? – rzuciła żartobliwie.

Czy jej się zdawało, czy dostrzegła cień podziwu? Być może; lecz jego miejsce tak szybko zajęła drwina, że było oczywiste, że Gideon wcale nie jest tym zachwycony.

Trudno. Była tym, kim była – chociaż on najwyraźniej uważał ją za kogoś zupełnie innego!

Bez słowa przyglądał jej się kilka sekund ze zwężonymi oczyma, po czym odwrócił się z tajemniczym uśmiechem.

O co mu chodzi? – zastanowiła się Molly drugi raz w ciągu ostatnich paru minut. Dlaczego ten facet zawsze wygląda, jakby wiedział coś, o czym ona nie miała pojęcia – niczym kot, który zjadł śmietanę?

Natychmiast skarciła się za tę dziwną myśl; jeśli Gideon przypominał jakieś zwierzę, to tygrysa na łowach. A ona była zdobyczą...

– Po południu możemy się wybrać razem na poszukiwanie choinki – mówił właśnie Sam.

– Wspaniale – zawołał David z radością.

– Prawdziwe, tradycyjne święta – zgodził się Gideon i znowu spojrzał na Molly, unosząc ironicznie brwi.

– Nie cieszysz się, że Crys i Sam zaprosili nas wszystkich na święta? – dodał ciszej.

Poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy, kiedy prawda wreszcie dotarła do niej w całej okazałości. Ani David, ani Gideon nie zamierzali wyjechać tego dnia. Ani następnego. Ani jeszcze następnego. Podobnie jak ona zostali zaproszeni na cały okres świąteczny.

Czemu nie domyśliła się wcześniej? Przecież to było oczywiste od dawna: obaj zostali na noc i nie

sprawiali wrażenia, że zamierzają wkrótce wyjechać. Zanosilo się, że spędzą ze sobą co najmniej najbliższe cztery dni!

– Nadal uwielbiasz święta? – mruknął jej drwiąco do ucha znajomy głos.

To prawda, że jej wiara w świąteczny nastrój ogólnej życzliwości została właśnie wystawiona na ciężką próbę – ale tak, nadal uwielbiała święta, bez względu na to, z kim je spędzała.

Obróciła się gwałtownie, chcąc to zakomunikować Gideonowi, i przekonała się, że on stoi znacznie bliżej, niż się spodziewała. Był tuż obok, nachylony nad nią. Słowa zamarły jej na wargach i niemal przestała oddychać pod jego skupionym spojrzeniem.

Naprawdę był niezwykle przystojny z włosami opadającymi uroczo na czoło, ciemnymi oczyma, patrycjuszowskim nosem i pięknie wykrojonymi ustami.

– Byłaś w tym roku grzeczna? – zapytał cicho.

Może i przystojny, ale kiedy tylko otworzył usta, czar pryskał. I całe szczęście, biorąc pod uwagę, że uległa jego urokowi na parę – szalonych! – minut.

Gwałtownie wciągnęła oddech.

– Ja...

– Pośpieszcie się, wy dwoje – ponaglił ich David wesoło. – Mamy sporo roboty.

Molly z zapalem przyłączyła się do niego i Crys w drodze na strych. Czują jednak podążające za sobą spojrzenie Gideona.

Wieczorem tego samego dnia, po kąpieli, wciąż

jeszcze perorowała ze sobą półgłosem, zawiązując pasek szlafroka.

Dzień nie okazał się taki zły; rozwieszanie ozdób było całkiem przyjemnie i niezbyt męczące, kolacja została przygotowana i zjedzona w miłym nastroju, rozmawiali z ożywieniem. Nawet potem, kiedy zagrali w monopol, nie było tak źle, jak się obawiała – mimo że Gideon ograł wszystkich bez trudu.

Wszystkie pozory wskazywały, że dzień się udał. Wydawało się, że tylko ona zdawała sobie sprawę z obraźliwego podtekstu kryjącego się niemal za każdą skierowaną do niej uwagą Gideona. Trwało to bez chwili przerwy przez cały dzień – z takim natężeniem, że Molly z wielką ulgą opuściła towarzystwo pod pretekstem, że chce się wykąpać.

– Zawsze jestem grzeczna – mruzczała z irytacją, otwierając drzwi sypialni.

I zaraz potem wrzasnęła głośno na widok jakiejś postaci stojącej pod oknem.

– Miło mi to słyszeć – odparł Gideon sucho. – Ale czy musisz tak krzyczeć? – skrzywił się lekko i wszedł w krąg światła padającego od lampki nocnej.

Nadal miał na sobie podkoszulek i spodnie.

– Tak, muszę! – burknęła z wściekłością. – Co ty tu robisz, do diabła?!

Patrzyła na niego gniewnie, wciąż z sercem bijącym szybko po niedawnym szoku.

– Czekam na ciebie, oczywiście – odparł niewzruszenie. – Mogłabyś zamknąć drzwi? Nie chciałbym zwracać na siebie więcej uwagi niż to konieczne.

Nie chciałby...! Sądziła, że przynajmniej na dziś

tortury dobiegły końca, tymczasem on bezczelnie wparował do jej sypialni!

Nie zrobiła najmniejszego ruchu w kierunku drzwi.

– Zaraz wychodzisz – oznajmiła stanowczo. – Prawdę mówiąc, nie wiem, co ci przyszło do głowy, żeby tak po prostu się tutaj pakować...

– Wspomniałaś wcześniej, że musimy porozmawiać.

Wzruszył ramionami.

Spojrzała na niego oburzona. Rzeczywiście mówiła, że muszą porozmawiać – chciała rozwiać kilka jego błędnych wyobrażeń na jej temat. Ale to nie była właściwa pora ani miejsce na podobne dyskusje.

– Nie teraz. I z pewnością nie tutaj – odparła niecierpliwie. – Masz pojęcie, co wszyscy sobie pomyślą, jeśli cię tu zobaczą?

Crys z pewnością zacznie wybierać materiał na suknię ślubną...

– Dlatego sugerowałem, byś zamknęła drzwi – wyjaśnił chłodno.

Po zastanowieniu uznała, że to może nie taki zły pomysł. Kiedy to zrobiła i obróciła się z powrotem do niego, przyglądał się jej z uniesionymi pytająco brwiami.

– Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem ci w schadzce?

Biorąc pod uwagę, że jedynym potencjalnym kandydatem był David, Molly uznała to za dowód szczególnie złego smaku.

– Nie powinieneś sądzić wszystkich według siebie – prychnęła z niechęcią.

Zmrużył oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał lodowatym tonem.

– Och, wszystko wygląda zupełnie inaczej, jeśli dotyczy ciebie, prawda? – zadrwiła.

Prawdę mówiąc, nie myślała o niczym konkretnym; uznała po prostu, że to dobra riposta. Najwyraźniej jednak trafiła w czuły punkt.

– Ty... – urwała, kiedy rozległo się pukanie, i spojrziała na niego przerażona.

– Molly? – rozległ się zaniepokojony głos Sama.
– Nie chcę ci przeszkadzać, ale Crys twierdzi, że słyszała przed chwilą, jak krzyczałaś.

Molly oskarżycielsko popatrzyła na Gideona, nie mając pojęcia, co robić. Jeśli otworzy drzwi, będzie musiała jakoś wytłumaczyć obecność Gideona; jeśli tego nie zrobi, Sam uzna to za rzecz podejrzaną.

– Myślę, że powinnaś otworzyć – mruknął Gideon cicho.

– Och, więc myślisz? – odpowiedziała równie cicho. – Nie doszłoby do tego, gdybyś pomyślał o konsekwencjach tej wizyty!

Uśmiechnął się niewesoło.

– Jeśli chodzi ci o to, że przyszedłem cię uwieść...

– Chyba żartujesz – przerwała z oburzeniem.

– Molly? – Sam wydawał się naprawdę przejęty.

– Wszystko w porządku – zawołała głośniej; podeszła i lekko uchyliła drzwi, by brat nie mógł zajrzeć do wnętrza. – Wszystko w porządku. Tylko... zobaczyłam pająka i...

– A wszyscy wiemy, jak je lubisz – zażartował

i zaofiarował się natychmiast: – Zaraz się z nim rozprawię.

– Nie, dam sobie radę – zapewniła, nie ruszając się z miejsca. – Widzisz...

– Rzecz w tym – włączył się Gideon, stając obok niej – że ja też usłyszałem jej krzyk i już wyrzuciłem bestię za okno.

Molly zamknęła na chwilę oczy, marząc, by wszystko okazało się jedynie złym snem. Lecz to nie był koszmar; z koszmaru można się obudzić! Otworzyła oczy i przekonała się, że Sam przygląda się jej z namysłem zielonymi oczyma. Po tym, co mówił wcześniej o planach Crys, nietrudno było odgadnąć, co sobie myśli – ani czyja to wina.

– To miło z twojej strony, Gideonie – zwrócił się do drugiego mężczyzny.

– Gideon słynie z życzliwości. – Molly nie mogła sobie darować sarkazmu.

Drań nie poznałby życzliwości, choćby się na niego rzuciła i ugryzła go w nos!

Na Gideonie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

– Skoro wszystko już dobrze, to dobranoc. – Sam uśmiechnął się z domyślnym błyskiem w oku.

– Sprawdź, czy nie zostały jeszcze jakieś pająki, i też będę się zbierał – odezwał się Gideon swobodnie.

Molly uśmiechnęła się z wysiłkiem, kiedy brat odwrócił się i ruszył do własnej sypialni, a potem zwróciła się do Gideona:

– Patrz, co narobiłeś! – wybuchnęła zdenerwowana. – Sam nie bardziej wierzy w twoją misję wybawicielską niż ja!

Zdziwiony wzruszył ramionami.

– Nie? Mnie wydawała się całkiem przekonująca. Tym bardziej że jak się okazuje, naprawdę nie lubisz pajaków – dodał złośliwie.

Zmrużyła oczy. Całe życie nienawidziła pajaków. Nie miało to żadnego racjonalnego wyjaśnienia i dobrze o tym wiedziała, ale mimo to nie była w stanie pokonać lęku i obrzydzenia.

– Więc co według Sama robię w twoim pokoju?
– ponaglił ją z niewinnym wyrazem twarzy.

– Z pewnością potrafisz to wydedukować sam!
– sapnęła wzburzona.

Gideon uniósł brwi.

– Wszyscy są przekonani, że poznaliśmy się wczoraj rano na chrzcinach. Czyżbyś zwykle zapraszała mężczyzn do swojego pokoju po tak krótkiej znajomości?

– Czy ja...? To ty wparowałeś do mojej sypialni!
– przypomniała mu oburzona.

Wystarczy, że Sam – a teraz z pewnością także Crys – wie o wizycie Gideona w jej sypialni. Znajdowała się u kresu wytrzymałości: jeszcze jedna obelga i pobije tego drania.

– Nigdzie nie wparowałem – odparł spokojnie.
– Po prostu czekałem, aż wrócisz z łazienki.

– Nie miałaś prawa – rzuciła zdesperowana.
– Wspomniałam, że powinniśmy porozmawiać, ale w tej chwili nie mam do tego nastroju – dodała z irytacją.

Zapadło krótkie milczenie; Gideon przyglądał się jej w zamyśleniu.

– A do czego masz nastrój? – mruknął w końcu cicho.

Otworzyła szerzej oczy, rozwścieczona oczywistą sugestią zawartą w jego słowach.

– Ty arogancki...

– Nie powiedziałbym.

Złapał ją za nadgarstek, zanim zdążyła mu wymierzyć policzek. A potem pochylił się i pocałował ją prosto w usta.

Molly była tak zaskoczona nieoczekiwanym pocałunkiem, że przez parę długich sekund stała jak skamieniała w jego ramionach, pozwalając mu na pieszczotę. Pełną wyrachowania pieszczotę...

Ta myśl ją otrzeźwiła; powstrzymała przed pokusą, by odwzajemnić pocałunek. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu bowiem, naprawdę miała ochotę to zrobić.

W którymś momencie w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin – za skarby świata nie potrafiłaby powiedzieć w którym – Gideon Webber zaczął jej się wydawać pociągający!

Nie mogło to być wtedy, kiedy się nad nią znęcał. Ani kiedy z niej drwił. Mimo wcześniejszego nieudanego romansu nie była przecież masochistką i z pewnością świadomie nie pozwoliłaby sobie na fascynację kimś równie aroganckim i nieznośnym. A jednak z jakiegoś względu pozwoliła...

I dlatego Gideon musi natychmiast przestać ją całować!

– Nie! – zaprotestowała stanowczo i zaczęła się wrywać z jego uścisku.

Odruchowo przyciągnął ją mocniej do siebie i przyjrzał jej się uważnie swymi błękitnymi oczyma.

– Nie?

– Nie! – powtórzyła niewzruszenie, patrząc na niego z gniewem. – Znam doskonale twoją opinię na mój temat...

– Doprawdy? – zadrwił. Opuścił ramiona i cofnął się o krok. – Z jakiegoś powodu bardzo w to wątpię – dodał.

Tym razem bez trudu zniosła jego ironiczne spojrzenie.

– Musiałabym być kompletną idiotką, żeby tego nie wiedzieć – prychnęła. – A wbrew temu, co sobie myślisz, nie jestem! Z jakiegoś powodu wbiłeś sobie do głowy, że jestem jakąś *femme fatale*...

– Z jakiegoś powodu? – powtórzył, kręcąc głową z niesmakiem. – Nie wyobraziłem sobie ciebie tamtego dnia w pokoju Jamesa. Ani tego, że poza koszulką... jego koszulką... nie miałaś na sobie nic – dodał znacząco. – To chyba wystarczające powody, nie sądzisz?

Wciągnęła głęboko powietrze, czując, jak czerwienieją jej policzki.

– Z pozoru tak. Ale...

– Chyba nie zaczniesz mnie przekonywać, że tylko przez przypadek Crys znajdowała się wtedy w trasie, promując swoją najnowszą książkę kucharską?

Molly długą chwilę patrzyła na niego bez słowa. Chyba nie sądził... Usiadła na łóżku, gapiąc się na niego z niedowierzaniem. Wiedziała, że ma o niej złą opinię, ale...

Pokręciła głową w oszołomieniu.

– Nigdy nie porozmawiałeś z Jamesem o tamtym ranku? Nie zapytałeś go?

– Nie – uciął szorstko. – Powiedziałem mu jedynie, jakim jest idiotą, że ryzykuje małżeństwo z Crys dla przelotnego romansu z kimś twojego pokroju – zakończył ponuro.

Molly czuła się jak odrętwiała – nie mogła myśleć, nie mogła mówić, mogła jedynie wpatrywać się w niego wstrząśnięta. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że...

– Więc teraz już wiesz – podjął, kiedy nie odpowiedziała. – Tego chciałeś, kiedy wspominałeś o naszej rozmowie? Żeby wyciągnąć to wszystko na światło dzienne? Żebyśmy przestali zachowywać pozory uprzejmości?

– Trudno to nazwać uprzejmością – odparła dotknięta, wciąż nie mogąc się pogodzić z tym, o co ją oskarża.

Wierzył, że miała romans z jego bratem Jamesem!

Skrzywił się lekko.

– Zapewniam cię, że przy Crys i Samie starałem się być uprzejmy – burknął. – Crys najwyraźniej nic nie wie o tobie i Jamesie...

– Bo nic między nami nie było! – zaprotestowała gorąco.

Mimo to czuła, że w uszach Gideona jej słowa brzmią co najmniej fałszywie. Nawet jeśli są prawdziwe.

– Najwyraźniej nic na tyle ważnego, by James chciał to wyznać Crys na łożu śmierci – stwierdził pogardliwie i pokręcił głową z niesmakiem. – Przynajmniej za to można być wdzięcznym!

- Ale...
- Ale ja o tym wiem i ty też – ciągnął szorstko.
- Więc zostawmy ten temat, dobrze?
- Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.
- Nie sądzisz chyba, że mogłabym...
- Kto wie, do czego jesteś zdolna? – przerwał jej brutalnie. – Podobno Crys to twoja najbliższa przyjaciółka, a mimo to wykorzystałaś jej nieobecność, żeby wskoczyć do łóżka z jej mężem.
- To było niewiarygodne. Och, z pewnością w pełni wyjaśniało zachowanie Gideona w stosunku do niej – tyle tylko, że nie miało nic wspólnego z tym, co się rzeczywiście wydarzyło trzy lata temu.
- Cała ta sytuacja ma tylko jedną dobrą stronę – ciągnął nieustępliwie.
- Tak?
- Crys jest teraz żoną twojego przyrodniego brata. Gdybyś kiedyś chciała zrzucić ciężar z sumienia, z pewnością cię to pohamuje. Mało prawdopodobne, by chciała pozostać żoną faceta, którego siostra romanowała z jej pierwszym mężem.
- Chwileczkę...
- Straciłem na ciebie dość czasu – burknął Gideon, lekceważąco machnąwszy ręką.
- Molly patrzyła otępiała. To było gorsze, znacznie gorsze niż wszystko, co mogłaby sobie wyobrazić. Och, wiedziała, że za ostentacyjną niechęcią Gideona muszą się kryć jakieś powody, i domyślała się, że ma to związek z ich spotkaniem przed trzema laty, ale nigdy nie sądziła...
- Uważaj, Molly – ostrzegł ją szorstko. – Nie

pozwolę ci nigdy powiedzieć niczego, co mogłoby zranić Crys. Jasne?

Przelknęła z trudem ślinę.

– Całkowicie.

Pokiwała głową, zastanawiając się, czy Gideon jest całkowicie szczery. Jego opiekuńczość wobec Crys wskazywała na coś więcej niż przywiązanie szwagra do eksszwagierki. Prawdę mówiąc, Molly nie interesowało to szczególnie – znacznie bardziej niepokoiły ją wyobrażenia Gideona na jej temat.

Crys była jedną z najbliższych jej osób. Podobnie jak James, którego poznała nieco wcześniej. I tym dla niej pozostał do końca: przyjacielem, nikim więcej.

– Doskonale – zakończył Gideon z satysfakcją.
– W takim razie nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Może tylko jedno...

– Proszę – zaprotestowała Molly słabo, unosząc dłoń do skroni. – Słyszałam dość obelg jak na jeden wieczór.

Westchnęła ciężko.

Zatrzymał się w drzwiach.

– Och, nie zamierzałem cię obrażać – zapewnił swobodnie.

– Nie? – spytała z niedowierzaniem.

– Nie – zapewnił chłodno. – Chciałem powiedzieć, że skłamałem, jeśli chodzi o tego pająka. Dalej siedzi na suficie dokładnie nad twoją głową. Dobrej nocy!

I wyszedł.

Molly nie zwróciła na to uwagi. Jedno spojrzenie na sufit upewniło ją, że Gideon nie kłamał.

Zerwała się z łóżka tak szybko, że omal się nie przewróciła, wpatrując się z odrazą w długonogiego, tłustego stwora.

Świnia!

Łajdak!

Sadysta!

Bynajmniej nie miała na myśli pająka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy spojrzała na siebie w lustrze następnego ranka, pierwsze określenie, jakie jej przyszło do głowy, brzmiało: „śmierć na urlopie”. Zmierzwiłone, sterzące we wszystkie strony włosy otaczały bladą twarz z ciemnymi kręgami pod oczyma.

Co gorsza, nie był to pierwszy lepszy ranek, lecz Wigilia. Ona tymczasem czuła się jak najdalsza od świątecznego nastroju. Spędziła bezsenną noc, na zmianę patrząc z nienawiścią na pająka i rozmyślając o wszystkim, co usłyszała od Gideona. Wierzył, że wdała się w romans z mężem najlepszej przyjaciółki!

A jeśli powie Crys, że pod jej nieobecność zastał u Jamesa Molly w mocno niekompletnym stroju? Czy przyjaciółka uwierzy w jej niewinność?

Zapewnił, że nie zamierza tego robić, żeby nie sprawiać Crys przykrości. Czy jednak kiedyś nie zmieni zdania, szczególnie jeśli przestanie to odpowiadać jego planom?

Po długich, bezsennych rozmyślaniach Molly doszła do mało krzepiącego wniosku, że zwyczajnie tego nie wie. Oznaczało to, że mimo awersji do Gideona będzie musiała z nim porozmawiać.

Najpierw jednak musi coś zrobić ze swoim wyglądem.

Zadała sobie niemało trudu. Umyła włosy i układała je tak długo, aż spłynęły jedwabście na jej ramiona. Nałożyła makijaż, by ukryć bladość i podkrążone oczy. Starannie dobrała strój: bluza w kolorze spłowiałej pomarańczy i czarne obcisłe dżinsy. Niestety, nie zmieniło to faktu, że czuła się do cna wyczerpana.

Niech diabli porwą tego faceta – i jego podejrzliwy umysł. Gdyby nie on, rozkoszowałaby się właśnie rodzinnymi świątami w towarzystwie Crys, Sama i małego Petera.

– Znowu ostatnia? – zadrwił Gideon, kiedy zjawiała się w kuchni tuż po dziewiątej.

Oczywiście musiał być pierwszą osobą, na jaką się natknęła – i nie był sam. Obok niego przy kuchennym stole siedziała Crys. Kiedy Molly nalewała sobie kawy, przyjaciółka zwróciła się do niej z ciepłym uśmiechem.

– Sam i David zabrali Petera na przechadzkę, żeby mogła trochę odetchnąć. Mały nie chciał się uspokoić; rzucał się całą noc. – Skrzywiła się zaniepokojona.

– Znam to uczucie. – Molly kiwnęła głową, popijając gorący napój.

– Sam mówił, że wczoraj wieczorem znalazłaś pająka w swoim pokoju – dodała współczująco.

Molly popatrzyła zimno na Gideona.

– To prawda – potwierdziła lakonicznie.

I ten sadysta zostawił ją sam na sam z pająkiem do rana.

Sadysta przyglądał jej się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Jakie to szczęście, że Gideon go wyrzucił – ciągnęła pogodnie Crys.

Nic podobnego: szczegółowo opowiedział Molly, co o niej myśli – a potem zostawił ją z bestią!

– Prawda? – odpowiedziała na głos, nie patrząc na Gideona.

Nie czuła się na siłach, by mierzyć się z jego pogardą – nawet wyrażoną jedynie spojrzeniem.

– Mogłabym pożyczyć twój samochód? Chciałabym pojechać do miasteczka – zwróciła się do przyjaciółki. – Muszę jeszcze zrobić parę drobnych zakupów.

W nocy przyszło jej do głowy, że nie ma prezentów dla Davida ani Gideona. Nie można powiedzieć, żeby szczególnie chciała obdarować tego ostatniego – chyba że arsenikiem – lecz z pewnością wyglądałoby dziwnie, gdyby on jeden nic od niej nie otrzymał. Nie było rady: musiała coś kupić. Coś absolutnie bezosobowego, zdecydowała – na przykład bilet w jedną stronę na biegun północny. Z pewnością czułby się tam doskonale, wśród lodu i śniegu.

– Ja też niedługo wybieram się do miasteczka – odezwał się Gideon. – Możesz pojechać ze mną.

Molly poczuła na plecach zimny dreszcz na myśl o tym, by spędzić choć chwilę w jego towarzystwie teraz, gdy czuła się słaba i bezbronna. Nie próbowała wcale ukryć swoich uczuć, kiedy popatrzył na nią wyzywająco.

– Doskonały pomysł! – Crys na szczęście była zwrócona do Gideona i nie zauważyła reakcji Molly.

– Skoro tam będziecie, moglibyście kupić gazetę i odebrać mięso od rzeźnika?

– Z przyjemnością – zapewnił usłużnie.

– To świetnie. – Crys uśmiechnęła się szeroko i wstała. – Pójdę po listę zakupów.

Rzeczywiście świetnie, powtórzyła w myślach Molly. Wiedziała, że musi przyjąć propozycję. Zresztą czemu nie? W normalnej sytuacji byłoby to całkowicie naturalne. Tyle tylko, że nie było nic „naturalnego” w emocjach, które niczym wyładowania elektryczne przeskakiwały między nią i Gideonem.

– Wyglądasz na zmęczoną.

Było to stwierdzenie, nie pytanie – i zdecydowanie niepożądane, jeśli chodzi o Molly. Znowu popatrzyła na niego gniewnie.

– Ciekawe, czyja to wina? – rzuciła cierpko.

Skrzywił się lekko.

– Z tonu twojego głosu wnioskuję, że moja...?

– Słusznie wnioskujesz. To...

– Już jestem. – Crys wróciła z zamówieniem. – To w tym sklepie przy placyku, nie w głębi ulicy – wyjaśniła, zupełnie nieświadoma napięcia między pozostałą dwójką.

– Na pewno go znajdziemy – zapewnił ją Gideon, podnosząc się z miejsca. – Molly? – przynaglił ostentacyjnie.

– Naturalnie – zapewniła bez entuzjazmu. – Wezmę tylko płaszcz; spotkamy się przy samochodzie.

Wyszła, nie czekając na jego odpowiedź. Potrzebowała paru minut w samotności – by zebrać siły i upewnić się, że usunęła wszelkie ostre przedmioty ze swojej

torebki, na wypadek gdyby nasza ją ochota zamordować Gideona podczas wspólnej jazdy.

Zielony jaguar okazał się bardzo wygodny – przyznała to niechętnie parę minut później, kiedy wyjeżdżali na główną drogę. Ciepły i sympatyczny. Niestety, był to tylko samochód. Właściciel zupełnie nie odpowiadał temu opisowi.

Chyba jednak zbyt ciepły i wygodny, pomyślała parę minut później, kiedy głowa zaczęła jej się kiwać, a powieki same opadły.

– Naprawdę jesteś zmęczona – zauważył z namysłem Gideon, widząc jej wysiłki, by nie zasnąć.

– Przecież mówiłam – prychnęła ze złością.

Przez kilka długich sekund w aucie panowała cisza, potem mężczyzna westchnął.

– Chyba potraktowałem cię trochę zbyt surowo wczoraj wieczorem – przyznał z ociąganiem.

Molly obróciła głowę i rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie. Czyżby to były przeprosiny za wczorajsze oskarżenia?

Zerknął na nią przelotnie; uniósł brwi, kiedy napotkał jej czujny wzrok.

– Chodzi o pająka – wyjaśnił.

Miała rację: nie zamierzał się wycofać z zarzutów.

– Naprawdę całą noc nie spałaś ze strachu? – spytał z lekkim rozbawieniem, co w jej oczach kompletnie unieważniło przeprosiny.

– Nie ma się czym przejmować – rzuciła lekceważąco, nie chcąc okazywać przy nim słabości.

Wzruszył ramionami.

– Nie przejmowałbym się, ale wyglądasz na bardzo wyczerpaną.

– Rozumiem, że „bardzo wyczerpana” znaczy w tym wypadku „okropnie”? – odparła z niechęcią.

To tyle, jeśli chodzi o umyte włosy i makijaż.

Znowu wzruszył ramionami.

– No, cóż...

Molly poczuła, jak ze złości krew napływa jej do twarzy. Spojrzała na niego wściekła.

– Czy ty mówisz czasem coś miłego? – spytała jadowicie.

– Często. – Skinął głową, zupełnie niespeszony.

– Na przykład w porównaniu z tym, co miałaś na sobie w sobotę, dzisiaj idealnie dobrałaś kolory.

Komplement był tak nieoczekiwany, że Molly odebrało mowę.

Znowu na nią zerknął i lekko zmarszczył brwi.

– Czy to nie było miłe?

Westchnęła głęboko i dopiero teraz uświadomiła sobie, jaka była napięta. Rozsiadła się wygodniej na fotelu. Problem w tym, że w ustach tego faceta nawet „miłe” rzeczy brzmiały podejrzenie.

– Dziękuję – mruknęła.

– Nie ma za co. Jeśli chcesz, po powrocie odśzukam tego pająka i wyrzucę go za okno – dodał cicho.

Pokręciła głową ze znużeniem.

– Nie ma potrzeby.

Spojrzał zdziwiony.

– Sama się z nim rozprawiłaś?

– Nie – przyznała ponuro. – Tylko o ile wiem, nie

ruszył się z miejsca nad łóżkiem, więc nie będziesz go musiał odszukiwać.

Między brwiami Gideona pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Zwykle nie jestem mściwy – wyjaśnił lekko speszony.

Molly skrzywiła się.

– Ale dla mnie z radością robisz wyjątek?

Zmarszczka stała się głębsza.

– Nie z radością... Naprawdę całą noc nie spałaś z tego powodu?

– Naprawdę. – Skinęła głową, czując niesmak wobec samej siebie. – Nie mogłam przecież iść po Sama, żeby mi pomógł, skoro z takim przekonaniem oznajmiłeś, że już po wszystkim.

Gideon zacisnął wargi.

– Czuję się naprawdę podle – mruknął.

Spojrzała pytająco.

– Jak bardzo?

– Bardzo – przyznał niechętnie.

– Tak bardzo, żeby wysłuchać, co ja mam do powiedzenia o tamtym poranku sprzed trzech lat?

– zapytała z wielkim naciskiem, nieco zaskoczona, że zdobyła się na to mimo wyczerpania.

Wyprostował się sztywno.

– Nie – odparł szorstko. – Mam wyrzuty sumienia, że zostawiłem cię sam na sam z pajakiem, skoro tak bardzo się ich boisz. Ale to nie znaczy, że dam sobie wmówić, że tamtego ranka nie widziałem tego, co widziałem.

Szorstki. Nieustępliwy. Przemądrzały. Jak miała

przemówić do rozsądku komuś takiemu? Nie mogła, brzmiała nieprzyjemna odpowiedź. To jednak nie powstrzymało jej przed próbą.

– Jednakże – podjął Gideon, zanim zdążyła sformułować odpowiedź – chętnie zawrę z tobą rozejm na czas świąt.

– Cóż za wspaniałomyślność – prychnęła zniecierpliwiona.

Groźnie zacisnął wargi.

– Na więcej nie masz co liczyć – dodał ostro. – Prawdę mówiąc, jeśli o mnie chodzi, to jedyne, na co możesz liczyć.

Jej zdanie zupełnie go nie obchodziło! I w dodatku, żeby nie zepsuć świąt pozostałym, musiała się zgodzić na jego propozycję.

Skrzywiła się ironicznie.

– Rozumiem, że rozejm kończy się z wybiciem północy po świątach?

Odpowiedział równie ironicznym uśmiechem.

– Prawdę mówiąc, zamierzałem zostać do dwudziestego ósmego; zdołasz wytrwać tak długo?

– To nie ja się zachowuję nieuprzejmie! – odparowała.

Gideon wzruszył szerokimi ramionami.

– Tak czy inaczej jestem gotów zaryzykować.

Molly ugryzła się w język, by powstrzymać ciętą uwagę, bo nie byłby to najlepszy sposób na rozpoczęcie rozejmu. Nie oznaczało to jednak bynajmniej, że pozbyła się morderczych zamiarów wobec aroganta.

– Doskonale – rzuciła przez zaciśnięte zęby.

Obrócił głowę i spojrzał na nią kpiąco.

– Co więc zamierzasz mi kupić w prezencie?

Drgnęła zaskoczona jego przenikliwością, zaraz jednak smutno pokręciła głową.

– Myślałam o butelce arszeniku, ale to by było zbyt ostentacyjne!

Ku jej zaskoczeniu Gideon roześmiał się szczerze ubawiony. I znowu zupełnie odmieniło to jego twarz, nadając jej chłopięcy wygląd; jego spojrzenie wydało się teraz ciepłe i życzliwe.

– Może odrobinę – przyznał, wciąż uśmiechając się lekko.

– A co chciałbyś dostać? – zapytała zaciekawiona.

Nie miała pojęcia o jego zainteresowaniach i gustach. W żadnej dziedzinie.

Przyjechał sam, więc najwyraźniej nie był obecnie z nikim związany – w przeciwnym razie na pewno spędzałby święta ze swoją wybranką. Pozostawało jednak pytanie: jakie kobiety go interesują? Najwyraźniej nie drobne, rude i cierpiące na arachnofobię.

Skąd mi to przyszło do głowy? – pomyślała zirytowana. Wystarczająco źle, że ten facet robi na mnie wrażenie; lepiej, żeby się mną nie interesował.

W dodatku podejrzewała, że Gideona pociągają wiotkie jasne blondynki o szarych oczach. Takie jak Crys...

– No cóż, nie lubię czekolady i mam spory zapas płynu po goleniu... – odpowiedział wolno. – Jak sądzisz, czy książka byłaby odpowiednio bezosobowa? – dodał pytająco, znowu jakby czytając w jej myślach.

Molly poczuła, że się czerwieni. Czy ten facet wie wszystko?

– Tak – potwierdziła z lekkim skrępowaniem.
– Masz jakąś konkretną na myśli?

Z pewnością coś bardzo uczonego, pomyślała złośliwie.

Wzruszył ramionami.

– Jest jedna, którą chciałem sobie kupić od dawna. Najpierw czekałem, żeby się pojawiło wydanie w miękkich okładkach, a potem o niej zapomniałem...

– Tak? – ponagliła sucho.

Przemknęło jej przez myśl, czy ma na koncie dość pieniędzy na prezent, na który Gideon najwyraźniej nie mógł sobie pozwolić. Przeprowadzka do Europy okazała się dość kosztowna, biorąc pod uwagę transport wszystkich rzeczy przez ocean. Z drugiej strony, zaliczała się przecież do szczęśliwych dziesięciu procent aktorów mających stałe zatrudnienie.

Gideon spojrzał na nią uważnie.

– A może już o czymś myślałaś? To znaczy, poza arsenikiem – zapytał.

Pokręciła głową.

– Niestety. – Ciekawe, co by powiedział na bilet w jedną stronę na biegun północny. – Będę wdzięczna za każdą wskazówkę – zapewniła energicznie i przypomniała sobie, że nie wie też, co kupić Davidowi.

Na moment zaprzątnęło ją pytanie, co Gideon ma dla niej z okazji świąt... Z pewnością wiedział wcześniej, że spędzą je razem, więc kupił dla wszystkich prezenty przed przyjazdem do Yorkshire. Biorąc pod

uwagę, jaką miał opinię na temat Molly, należało się obawiać najgorszego.

Gideon skinął głową.

– Okej. Jednym z moich ulubionych komików jest Billy Connolly i...

– Niemożliwe! – zawołała i natychmiast zarumieniła się mocno, gdy sobie uświadomiła, jak to zabrzmiało. – To znaczy chciałam powiedzieć... Billy Connolly to...

Umilkła, nie kończąc, i tylko wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Billy Connolly był to jej najukochańszy komik. W ostatnich latach okazał się także doskonałym aktorem. Nigdy, przenigdy nie pomyślałaby, że Gideon Webber także go lubi.

– Wpływ otoczenia – przyznał sucho, najwyraźniej uznając jej reakcję za potępienie. – Polubiłem go w czasie studiów i tak już zostało.

Molly czytała już książkę, o której mowa, napisaną przez żonę słynnego komika. Uznała ją za poruszającą i tragiczną. Na szczęście poczucie humoru głównego bohatera pomagało mu przetrwać wszelkie nieszczęścia, jakie go spotykały. Długą chwilę nie mogła się otrząsnąć z zaskoczenia, że jej zainteresowania podziela Gideon Webber.

– Lubię Connolly’ego od bardzo dawna – przyznała w końcu, starając się nie zdradzić ze swoimi uczuciami. Jeszcze niedawno przysięgłaby, że nie mają z Gideonem nic wspólnego. – Książka jest świetna – zapewniła i celowo zmieniła temat. – A co powinnam dać Davidowi?

– Proste – odparł z uśmiechem. – Wczoraj wieczno-

rem z nim rozmawiałem; on też jej nie czytał, a miałby wielką ochotę.

To mogła zrozumieć znacznie łatwiej... Chociaż czy nie będzie się to wydawało niegrzeczne, jeśli im kupi to samo?

Gideon zerknął na nią spod oka.

– Zapewniam cię, że obaj będziemy zachwyceni.

– Doskonale – zgodziła się szybko.

Doszła do wniosku, że biorąc pod uwagę matrymonialne zamiary Crys, bezosobowy podarunek to najlepsze wyjście z sytuacji. Trudno było o nich zapomnieć – tym bardziej że kiedy odjeżdżali, przyjaciółka odprowadziła ich na podjazd i bacznie obserwowała.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Gotowe – oznajmił Gideon z satysfakcją, kiedy wielki pajak wyleciał za okno.

– Dziękuję – odpowiedziała Molly ze skrępowaniem.

Odwiedziny mężczyzny w jej sypialni drugi raz w ciągu dwudziestu czterech godzin zupełnie wytrąciły ją z równowagi.

Wspólna wyprawa do miasta przebiegła zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażała. Sądziła, że Gideon zostawi ją i zajmie się własnymi sprawami, więc będzie mogła samotnie przejść się po miasteczku. On tymczasem wydawał się całkiem zadowolony z okazji, żeby pospacerować w jej towarzystwie. Nawet kiedy weszła do księgarni po książki, po prostu zaczął przed wejściem, a potem podjął wspólną przechadzkę.

Ogromnie zbiło ją to z tropu – ogłędnie mówiąc. Wszyscy wokół promienieli świątecznym nastrojem; w niczym nie przypominało to szaleńczej krzątaniny i pośpiechu, jaki Molly zostawiła za sobą w Londynie. Zdawało się, że każdy ma czas, by przystanąć na krótką pogawędkę ze znajomymi, chociaż większość ugięła się pod ciężarem pięknie opakowanych paczek. Domy udekorowane różnobarwnymi światełkami dopełniały radosnego obrazu.

W otoczeniu takiej życzliwości i dobrej woli trudno było się dąsać – nawet Gideon zdawał się odprężony, chociaż wciąż zachowywał się z rezerwą. Jego zachowanie rozbudziło w niej nadzieję, że święta nie okażą się tak przykre, jak się obawiała.

– Ciekawe, gdzie się wszyscy podziali? – spytała, marszcząc brwi.

Marzyła, by jak najszybciej pozbyć się gościa ze swojego pokoju, lecz zarazem nie chciała, by go ktoś zobaczył. Parę chwil wcześniej wrócili z miasteczka; po drodze kupili obiecaną gazetę i odebrali mięso od rzeźnika.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Może pojechali gdzieś na lunch i uznali, że my zrobimy to samo.

Jasne, już widziała siebie i Gideona zasiadających do wspólnego posiłku: bez wątpienia skończyłoby się to dla obojga poważną niestrawnością. Chociaż biorąc pod uwagę zapał Crys jako swatki, Molly nie zdziwiłaby się wcale, gdyby przyjaciółka zostawiła ich samych dla ugruntowania znajomości.

– Może – skrzywiła się. – W takim razie...

– Cześć wam! – W drzwiach sypialni stanął David.

– Pamiętacie może, czy chorowaliście na wietrzną ospę?

– Słucham? – spytał Gideon zaskoczony

Drugi mężczyzna oparł się swobodnie o framugę.

– Zdaje się, że mały Peter marudził z powodu wysypki na buzi i klatce piersiowej. Lekarka właśnie go bada, żeby stwierdzić, czy to nie ospa wietrzna – wyjaśnił.

– Biedactwo – westchnęła Molly ze współczuciem. – Pójdę do Crys...

David powstrzymał ją gestem.

– Nie, jeśli nigdy nie chorowałaś – ostrzegł.

– Chorowałam – uspokoiła go. – Moja mama twierdzi, że zanim skończyłam rok, przesłam wszystkie choroby dziecięce – dodała ponuro.

– Czemu mnie to nie dziwi? – mruknął Gideon.

Spojrzała na niego urażona.

– A ty miałaś ospę wietrzną?

Westchnął ciężko.

– Tak się składa, że nie – przyznał niechętnie.

– Niedobrze – skrzywił się David. – Jeśli to rzeczywiście wiatrówka, to Peter zarażał najbardziej od chrzcin – wyjaśnił, kiedy Gideon pytająco uniósł brwi.

Molly opanowała uśmiech. Żal jej było małego Petera, ale myśl o aroganckim Gideonie Webberze złożonym niemocą w łóżku i pokrytym okropnymi cętkami mogłaby rozbawić każdego.

– Może powinieneś wyjechać? – zaproponowała lekkim tonem.

– Obawiam się, że to nie wchodzi w grę – wtrącił się David. – Ponieważ wszyscy mieliśmy kontakt z małym, musimy tu zostać co najmniej pięć dni, by sprawdzić, czy któreś z nas nie zachoruje. Tak powiedziała lekarka.

Pięć dni? Molly liczyła, że już za dwa dni uwolni się od towarzystwa Gideona! Widząc jednak jego ironiczny grymas, starannie ukryła przerażenie.

– Sprawdzę, co tam u nich – oznajmiła energicznie, odwracając się plecami do Gideona i jego wszystkich spójrzeń.

Biedny Peter wyglądał na bardzo nieszczęśliwego, kiedy weszła do jego pokoju parę chwil później. Błada, wystraszona Crys trzymała go na rękach.

– Jak się czuje? – zapytała Sama, z niepokojem patrzącego na synka.

– Popularnie nazywa się to pokrzywką – odpowiedziała zamiast niego młoda pani doktor. – Trochę swędzi, ale na szczęście nie towarzyszy jej gorączka ani inne przykre objawy – dodała uspokajająco. – Biedny maluch ma po prostu dość wszystkiego; tak, Peterze? – Poglaskała go pocieszająco. – I to jeszcze w pierwsze święta w życiu!

Peter – mimo zaczerwienionych policzków i nieszczęśliwej miny – rzeczywiście wyglądał lepiej niż jego rodzice, stwierdziła Molly.

– To doskonała nowina – uśmiechnęła się uspokojona.

– Prawda? – odpowiedziała z uśmiechem lekarka, wyraźnie zadowolona, że może porozmawiać z kimś poza przerażonymi rodzicami. – Jestem pewna, że wysypka szybko zejdzie i mały wkrótce odzyska humor. Gdyby jednak zaczął marudzić, proszę mnie wezwać bez najmniejszych oporów. Mam dyżur przez całe święta – dodała smutno.

– Współczuję – westchnęła Molly, odprowadzając ją do wyjścia.

Kiedy mijaly salon, światełka na choince błysnęły wesoło. Lekarka wzruszyła ramionami.

– Nie miałam wyjścia; moi współnicy mają rodziny i chcieliby spędzić trochę czasu w domu.

Wyglądała na trzydzieści parę lat i była bardzo

ładna – rzeczowa blondynka o niebieskich oczach; zdawało się niesprawiedliwe, że spędzi święta sama.

– Wszystko w porządku? – spytał David, wynurzając się z salonu.

Lampki niewątpliwie były jego dziełem; ani Sam, ani Crys nie mieli do tego głowy. Molly wycofała się do kuchni, kiedy rozpoczął swobodną rozmowę z lekarką, odprowadzając ją do drzwi. Z powodu zamieszania z Peterem najwyraźniej nikt nie pomyślał o obiedzie, a z pewnością nie była to właściwa chwila, by w tej sprawie zasięgać rady Crys. Wystarczył jednak rzut oka do lodówki, by Molly znalazła wielki garnek rosółu. Na stole już wcześniej zauważyła bagietki.

– Och! – zawołała zaskoczona, kiedy odwróciła się i omal nie wpadła na stojącego tuż za nią Gideona; poruszał się cicho jak kot.

– Spokojnie. – Wyjął jej z rąk ciężkie naczynie.
– Gdzie to postawić?

Molly nie dała się sprowokować i powstrzymała się od cisnącej się jej na usta odpowiedzi.

– Na kuchence – rzuciła energicznie. – Zdaje się, że Crys i Sam powinni zjeść coś solidnego po dzisiejszych przeżyciach – dodała.

Gideon skinął głową.

– Z pełnym żołądkiem wszystko wygląda lepiej.

Molly nie była o tym przekonana – nawet cały sagan zupy nie wystarczyłby, by zmienić jej nastawienie do wspólnych świąt z Gideonem. Mężczyzna uśmiechnął się, jakby odgadł jej myśli.

– No, prawie – dodał kpiąco.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Może zająłbyś się nakrywaniem do stołu i przyszedł do czegoś, zamiast mnie dręczyć? – zaproponowała ze złością.

Zapaliła gaz pod garnkiem i zaczęła kroić bagietkę. Gideon nie ruszył się z miejsca.

– Uważasz, że cię dręcę? – mruknął cicho.

Molly z wysiłkiem przełknęła ślinę.

– Sam wiesz najlepiej! – prychnęła, doskonale zdając sobie sprawę, że w jej głosie brak przekonania.

Co ten facet ma w sobie, że tak bardzo narzuca się jej jego obecność? Jego fizyczna obecność – zręczne ruchy muskularnego ciała. Prawdę mówiąc, w tej chwili narzucały jej się one tak silnie, że ledwie mogła oddychać, nie wspominając już o odsunięciu się od niego.

Ciemnoniebieskie oczy trzymały jej wzrok na uwięzi.

– W jaki sposób cię dręcę? – ponaglił cicho.

Jego usta znajdowały się zaledwie parę centymetrów od jej ust.

W jaki sposób ją dręczył? W każdy. Przez swoje komentarze niszczył jej pewność siebie. Przez swoją fizyczność...

Nie chciała o tym myśleć.

– To doskonale, że Peter jednak nie ma wiatrówki – oznajmił radośnie David, wchodząc do kuchni.

Molly kilkanaście sekund wpatrywała się w milczeniu w Gideona, niezdolna się wyrwać spod jego natarczywego spojrzenia. Poczowała, jak błędną jej policzki – zdawała sobie sprawę, że to ostatni człowiek,

który powinien wywierać na nią tak wielki wpływ. Więc czemu na to pozwalała?

Był dla niej nieuprzejmy, obrażał ją przy każdej sposobności. Uważał, że oszukała swoją najbliższą przyjaciółkę. I w dodatku nawet go nie lubiła. A mimo to kiedy na nią patrzył, nie mogła oddychać, nie wspominając już o jasnym myśleniu. Niedobrze.

– O, obiad... wspaniale – mruknął z zadowoleniem David, zaglądając do garnka.

Molly z wysiłkiem oderwała spojrzenie od Gideona i uśmiechnęła się do drugiego mężczyzny.

– Może któryś z was powiedziałby Crys i Samowi, że zaraz będzie obiad? – rzuciła lekko. – Wiem, że Peter źle się czuje, ale powinni coś zjeść.

– Ja pójdę – zaoferował się Gideon. – W razie czego zostanę na górze z małym, gdyby nie chcieli go zostawiać samego.

Popatrzyła na niego.

– To miło z twojej strony – mruknęła.

Zatrzymał się w drzwiach.

– Potrafię być miły – zapewnił ją z wysiłkiem, po czym zdecydowanym krokiem ruszył na górę.

Molly skrzywiła się, czując, że znowu popełniła gafę. Ale wiedziała też, że trudno byłoby jej powiedzieć coś, czego Gideon nie uznałby za obraźliwe.

– Sprzeczka kochanków?

Obróciła się gwałtownie do Davida obserwującego ją z kpiącym uśmiechem. Wzruszył ramionami, widząc jej niezadowolenie.

– Sam wspomniał, że Gideon obronił cię wczoraj przed pajakiem. Dzisiaj rano pojechaliście razem do

miasteczka, a parę minut temu widziałem go w twojej sypialni – wyliczał. – Co innego miałem sobie pomyśleć?

– Nie to, co pomyślałeś – burknęła Molly ze złością.

– Nie?

– Nie! – rzuciła sfrustrowana. – To wszystko przez Crys... chyba zdajesz sobie sprawę, że próbuje mnie swatać? A ty jesteś drugą ofiarą – dodała i z satysfakcją zobaczyła zaskoczenie na jego twarzy.

– Ja? – wyjąkał zdumiony. – Myślałem, że Gideon? Więc kogo Crys wybrała dla mnie?

– Mnie. W zasadzie jest jej obojętne, którego z was wybiorę.

– Dzięki! – skrzywił się David.

– Nie ma za co. – Uśmiechnęła się, bawiąc się jego skrepowaniem po niedawnych docinkach.

Zmarszczył brwi.

– A ja sądziłem, że chciała być dla mnie miła i dlatego zaprosiła mnie na święta!

– Ależ chciała – zapewniła go pośpiesznie Molly.
– To jedna z najmiłszych osób na świecie.

– Cieszę się, że wreszcie się co do tego zgodziliśmy – wtrącił Gideon, niespodziewanie wchodząc do kuchni i spoglądając na nią kamiennym wzrokiem.

Przez chwilę wytrzymała jego oskarżycielskie spojrzenie, lecz potem odwróciła wzrok. Wiedziała doskonale, co sobie pomyślał, ale nie umiała się obronić przed jego głęboko zakorzenionymi uprzedzeniami.

– Przyjdą do nas? – zapytała niewinnie.

– Tylko Sam – odparł. – Crys zje coś później; na

razie prześpi się przy małym. Po takiej niespokojniejszej nocy pewnie potrzebuje snu bardziej niż jedzenia – dodał opiekuńczo.

Molly doskonale to rozumiała. Skinęła głową.

– Pójdę później, żeby ją zmienić.

Gideon popatrzył jej w oczy.

– To miło z twojej strony – rzucił oschle.

Drwiąco. Pogardliwie. Okej, więc żadne z nich nie ma zbyt dobrej opinii o drugim. Jeśli jednak się nie pohamują, zepsują święta nie tylko sobie, ale i pozostałym.

– Mama zawsze mi powtarzała, że uprzejmość jest cnotą – odparła swobodnie, nalewając rosół na talerze.

– Podobnie jak lojalność – mruknął szorstko.

Molly zeszywniała; doskonale zrozumiała przytyk.

– I uczciwość – zakończyła wyniośle i popatrzyła na niego wyzywająco.

– Hej, można się włączyć do rozmowy? Czy to wasza prywatna potyczka? – przerwał im David.

Prawda – oboje zupełnie o nim zapomnieli, przyznała Molly ze skruchą. Uśmiechnęła się przeproszająco.

– Obiad na stole – oznajmiła i zwróciła się do Sama, który właśnie wszedł do kuchni: – Jak się miewają Crys i Peter?

Brat skrzywił się lekko.

– W porządku. – Kiwnął głową. – Tego tylko nam było trzeba na dodatek do... Nieważne – mruknął zmieszany.

Molly spojrzała na niego uważnie.

– Na dodatek do...? – ponagliła, mając nadzieję, że jej sprzeczki z Gideonem nie stały się publicznym problemem.

– Nieważne – powtórzył Sam zdecydowanie.

Usiadł i z roztargnieniem zabrał się do jedzenia.

– Ale Diana... doktor Chisholm – zaczął David i poprawił się pośpiesznie, widząc ich zdziwione spojrzenia – powiedziała, że nie przewiduje żadnych komplikacji.

– Nie chodzi o Petera – uspokoił go Sam. – Po prostu martwię się o Crys, to wszystko. – Wzruszył ramionami. – Traktuje nasze małżeństwo i urodziny Petera jak drugą szansę od życia. Nie chcę, żeby coś to zepsuło – dodał.

– Ale co mogłoby się stać? – Molly popatrzyła na brata zdziwiona.

– Nic – wtrącił szorstko Gideon.

Nie podniosła wzroku, ale mimo to poczuła na sobie jego karcące spojrzenie. Więc poranne zakupy, a nawet pomoc w pozbyciu się pająka stanowiły jedynie chwilowy rozejm; Gideon nadal jej nie wierzył, gdy w grę wchodziło szczęście Crys.

Jego nieufność była nie tylko nieuzasadniona, ale i bardzo obraźliwa. I kolejny raz stawiała pod znakiem zapytania jego prawdziwe uczucia wobec Crys.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Jadę do miasteczka po parę ostatnich drobiazgów, o których zapomnieliśmy – oznajmił David wkrótce po obiedzie. – Ktoś ma ochotę wybrać się ze mną?

Sam udał się na piętro, żeby posiedzieć z Crys i Peterem; zabierając rosół i bagietkę dla żony. Molly pozostało niewiele do zrobienia, pomijając zapakowanie prezentów – i, oczywiście, służenie Gideonowi za cel sarkastycznych uwag.

– Możesz iść – zachęcił ją teraz, ledwie podnosząc wzrok znad czytanej gazety. – Zostanę tu na wypadek, gdyby Sam i Crys czegoś potrzebowali.

Na jej policzki wypłynął gniewny rumieniec: najwyraźniej Gideon uznał, że potrzebne jest jego pozwolenie! Albo chciał, by poczuła wyrzuty sumienia, bo woli odetchnąć świeżym powietrzem i uwolnić się na chwilę od jego towarzystwa.

– A cóż to...? – mruknął nagle, wbijając wzrok w gazetę, zanim zdążyła obmyślić dostatecznie kąśliwą odpowiedź.

– O co chodzi? – Molly spojrzała na niego z niepokojem.

– Hm... – David zajrzał mu przez ramię. – Niezła fotografia, tylko...

– No właśnie: tylko! – burknął z rozdrażnieniem Gideon i wstał, gniewnie ściskając gazetę w dłoniach. – Samowi i Crys się to nie spodoba. – Ponuro zmarszczył brwi.

– O co chodzi? – powtórzyła Molly bardziej natarczywie i podeszła, by spojrzeć samej.

Gwałtownie wciągnęła oddech.

Niedzielne chrzciny były całkowicie prywatnym wydarzeniem przeznaczonym wyłącznie dla rodziny i przyjaciół, lecz zdjęcie w gazecie świadczyło, że dowiedział się o nich przynajmniej jeden fotoreporter. Nie tylko się dowiedział: najwyraźniej ukrył się i zrobił im zdjęcie, kiedy wychodzili z kościoła. Dumni rodzice stali pośrodku, Gideon, David i Molly po bokach – wszyscy szczegółowo podpisani.

– O, nie! – jęknęła Molly, doskonale wiedząc, jak zareaguje na to Sam.

Przed dwunastoma laty eksnarzeczona zmieniła jego życie w piekło, a kłamstwa, jakie rozgłaszała na jego temat prasie, zmusiły go, by się ukrył przed światem na odludziu w Yorkshire. Małżeństwo z Crys zmieniło go w pewnym stopniu, nie na tyle jednak, by się ucieszył na widok swoich zdjęć w gazecie.

– Cholera – warknął gniewnie Gideon. – Dlaczego nie zostawiać ich w spokoju?

– Bo to sensacja. – David z filozoficznym spokojem wzruszył ramionami. – Miałem ten sam problem pół roku temu... po śmierci Cathy. – Pokręcił głową. – Nie ma na to rady.

– I to jeszcze teraz, kiedy Sam i Crys tak się martwią Peterem – zauważyła Molly. – Zmarszczyła

czoło. – Może byłoby lepiej, gdybyś zgubił gdzieś tę gazetę, Gideonie – poradziła. – W razie czego powiemy Crys, że zapomnieliśmy kupić.

– Bez obaw, tak właśnie zamierzam zrobić – zapewnił. – A przede wszystkim dowiem się, kto im sprzedał tego newsa.

Z obrzydzeniem cisnął gazetę na stół.

– Kto im sprzedał? – powtórzyła Molly. – Myślisz, że ktoś ich powiadomił o uroczystości?

– Oczywiście, że tak – burknął. – Sam od lat ukrywa miejsce swojego zamieszkania, a teraz wszyscy, nawet jeśli nie znają jego dokładnego adresu, to wiedzą, w jakiej okolicy znajduje się jego dom.

Molly patrzyła na niego pobladła. Po bolesnych doświadczeniach Sam miał powody strzec swojej prywatności. Szczególnie odkąd miał Crys i Petera.

– Ale kto mógł zrobić coś takiego? – Oszołomiona pokręciła głową.

– No właśnie: kto? – powtórzył zimno Gideon.

Gwałtownie podniosła wzrok, czując na sobie jego spojrzenie. Chyba nie sądził...? Z pewnością nie podejrzewał jej, że brała udział w czymś równie odrażającym?

– W artykule towarzyszącym zdjęciu kilka razy wspomniano o nowych odcinkach *Baileya* i grających w nich aktorach – zauważył cierpko.

Gideon nie miał pojęcia o wstrząsie, jaki w życiu jej i rodziców wywołały kłopoty Sama przed dwunastoma laty. Nieustająca nagonka ze strony prasy doprowadziła do tego, że rodzice musieli się przeprowadzić,

a sama Molly – zmienić szkołę, by uniknąć ciągłych ataków. To wtedy poznała Crys i się z nią zaprzyjaźniła.

Ale na tym właśnie polegał problem Gideona, prawda? Chodziło o Crys: Gideon myślał jedynie o tym, by ją chronić.

– Chętnie się przejadę do miasteczka – oznajmiła sztywno Davidowi, starannie unikając wzroku drugiego mężczyzny.

Czuła, że wciąż się jej przygląda. Musi się stąd wyrwać choć na chwilę, inaczej gotowa go pobić!

– To świetnie. – David uśmiechnął się wesoło. – Nie przejmowałbym się aż tak tą publikacją, Gideonie – doradził poważnie. – Są święta; kiedy wszyscy wrócą do pracy, nie będą już o tym pamiętać.

Molly nie była tego pewna i z twarzy Gideona wyczytała, że on również ma wątpliwości. Niewiele jednak mogli poradzić: następnego dnia przypadało Boże Narodzenie. A Gideon rzucający na wszystkie strony oskarżenia bynajmniej nie ułatwiał sytuacji! Podobnie jak gniewne reakcje Molly.

Dlatego lepiej będzie, jeśli na jakiś czas opuści całe towarzystwo. Lepiej dla Gideona – ona sama wolałaby otwarcie wyjaśnić parę spraw.

– Gotowa? – ponaglił David.

Więcej niż gotowa, by się uwolnić od męczącej obecności Gideona, wyszła szybko z domu, nawet się nie żegnając. On najwyraźniej winił ją za wszystko co złe.

Kto jednak powiadomił prasę? Nie ona, tego była pewna!

– Nie martw się! – pocieszył ją David po dłuższej chwili milczenia. – Wszystko będzie dobrze!

– Wcale nie – odparła ponuro. – Gideon uważa, że to ja przekazałam wiadomość dziennikarzom.

– Z pewnością tak nie myśli – zapewnił ją z uśmiechem. – Złości się, bo cię lubi.

– Chyba żartujesz! – prychnęła Molly.

– Nie twierdę, że jest z tego powodu szczęśliwy – dodał – ale naprawdę cię lubi. – Skinął głową z przekonaniem. – Odrobina zazdrości, że to ze mną spędzisz popołudnie, dobrze mu zrobi!

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Jesteś równie niedorzeczny jak Crys – mruknęła z niechęcią. – Nie lubię Gideona. – W tej chwili jeszcze mniej niż dotąd, dodała w duchu. – A on nie lubi mnie. Kropka.

– Jasne. – David nie wydawał się przekonany.

– Naprawdę – dodała, rzucając mu ostrzegawcze spojrzenie. – Im szybciej święta się skończą i uwolnię się od jego obecności, tym lepiej. Nie znoszę tego faceta! – zapewniła gorąco, przypominając sobie jego oskarżycielskie spojrzenia.

Nie mogła jednak zaprzeczyć przed sobą, że robił na niej wrażenie. Ale to, że narzuca się jej jego fizyczna obecność, jeszcze nie znaczy, że go lubi.

Oczywiście, że nie.

– Ja osobiście nawet go lubię – powiedział David wolno. – A on najwyraźniej bardzo ceni sobie Crys.

– Aż za bardzo – rzuciła Molly, zanim zdążyła się powstrzymać, i natychmiast pożałowała swojej otwartości.

Czuła sympatię do Davida, ale nie zamierzała się z nim dzielić swoimi podejrzeniami.

– Chciałam powiedzieć...

– Zapomnij o tym, Molly. – Ścisnął ją za rękę. – To ciekawy pomysł, ale na twoim miejscu bym w to nie wierzył – rzucił lekko.

– Masz rację – odparła z wdzięcznością.

Naprawdę powinna być ostrożniejsza.

– Mówię poważnie. – David posłał jej ciepłe spojrzenie. – Spróbuj na to spojrzeć z jego punktu widzenia...

– Muszę? – skrzywiła się.

Zaśmiał się cicho i pokręcił głową z lekką wymówką.

– Z tego, co wiem, Crys to jedyna bliska osoba, jaka mu została. Jego rodzice zmarli wiele lat temu. Crys była żoną jego młodszego brata. – Wzruszył ramionami. – W każdym razie ja tak to widzę. Sam bardzo się zbliżyłem do rodziców Cathy po jej śmierci – dodał.

Można było i tak patrzeć na tę sytuację. Molly jednak nie do końca dała się przekonać. Chociaż zdecydowanie milej byłoby wierzyć, że mężczyzna, który ją pociąga, nie jest z nikim związany.

– Zanim znowu zaczniesz swoje: nikomu nie powiedziałam o niedzielnych chrzcinach – oznajmiła Molly, kiedy po powrocie zabrała się do przygotowywania kolacji i nagle przyłapała Gideona stojącego za nią z ponurym wyrazem twarzy.

Crys nadal była na górze, całkowicie pochłonięta dzieckiem.

– Ja... – Urwał, kiedy odezwał się telefon. – Mogłabyś odebrać?

Molly spojrzała na swoje mokre i brudne ręce – właśnie obierała ziemniaki.

– Może umknęło to twojej uwagi, ale jestem trochę zajęta! – burknęła zirytowana.

Westchnął ciężko.

– A gdybym cię bardzo poprosił? – dodał z wysiłkiem.

Zamrugła ze zdziwienia: to coś nowego.

– No? – ponagliła oschle, kiedy nadal milczał.

Jego oczy błysnęły wojowniczo.

– Proszę – mruknął po chwili przez zaciśnięte zęby.

– Nie ma sprawy – zadrwiła, szybko wytarła ręce i sięgnęła po słuchawkę. – Tak?

Odpowiedziała jej cisza.

– Halo? – powtórzyła bardziej stanowczo. – Jest tam kto?

Usłyszała cichy trzask i rozległ się sygnał. Odłożyła wolno słuchawkę i spojrzała ostro na Gideona.

– Co to znaczy? – spytała.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami. – Ale to trzeci raz, odkąd wyszliście z Davidem. Chciałem sprawdzić, czy stanie się to samo, kiedy to nie ja odbiorę.

– Ktoś odłoży słuchawkę? – spytała wolno.

– Właśnie. – Gideon wsunął ręce do kieszeni. – Najwyraźniej nie chodziło także o ciebie – dodał z powątpiewaniem.

Molly pokręciła głową.

– Może to zwyczajna pomyłka?

– Trzy razy w ciągu trzech godzin? – odparł sceptycznie. – Nie bądź śmieszna.

Jej oczy błysnęły oburzeniem.

– Ja jestem śmieszna? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Za każdym razem, kiedy zdarza się coś złego, automatycznie zakładasz, że jestem w to wmieszana. Z pewnością sądziłeś, że mam też coś wspólnego z tymi telefonami? – dodała oskarżycielsko.

– Raczej nie, skoro stoisz obok – odparł cierpko.

Pokręciła głową z niesmakiem.

– To chyba jedyny argument na moją korzyść.

Gideon westchnął ciężko, najwyraźniej próbując się opanować.

– Słuchaj, przykro mi z powodu tego, co mówiłem wcześniej w związku z tekstem w gazecie...

– Naprawdę? – spytała z niedowierzaniem.

– Naprawdę – przyznał niechętnie, z napiętą twarzą.

Zmarszczyła czoło i nagle przyszła jej do głowy nowa myśl.

– A może dzwoni dziennikarz, który napisał tamten artykuł? Jak sądzisz?

– To możliwe – przyznał z ociąganiem. – Ale czemu odkładałby słuchawkę?

Wzruszyła ramionami.

– Bo chce rozmawiać z Crys albo Samem?

– Musiałyby znać ich głosy. – Gideon nie wyglądał na przekonanego. – À propos, wyrzuciłem gazetę.

– Nie wątpiłam, że to zrobisz – odparła z widocznym sarkazmem.

– Molly...

– Gideon – przerwała mu stanowczo. – Może ten fakt ci umknął, ale próbuję ugotować kolację dla nas wszystkich.

Wskazała ziemniaki i kaczkę czekającą w brytfannie na włożenie do pieca.

Chwilę patrzył na nią zdziwiony, potem w jego oczach błysnęło rozbawienie.

– Naprawdę potrafisz gotować?

Święta to czas życzliwości i dobrej woli, przypomniała sobie Molly stanowczo. Zrobiła głęboki wdech, żeby się opanować.

– Z pewnością lepiej od ciebie – odparła z wysiłkiem; kaczka będzie smakowała znacznie lepiej, jeśli przed upieczeniem nie wyląduje na głowie tego aroganta.

– Też tak sędzę – zgodził się bez oporów. – Jedyne, co wiem o gotowaniu, to że kucharza należy podlewać winem. Czerwone czy białe? – zaproponował swobodnie.

Molly wytrzeszczyła na niego oczy z niedowierzaniem. Właśnie kiedy zamierzała zabić tego faceta, on nagle powiedział coś miłego i kompletnie zbił ją z tropu.

– Czerwone, proszę – odpowiedziała zmieszana, po czym odwróciła się szybko i włożyła kaczkę do pieca. – A żeby cię uspokoić co do moich umiejętności kucharskich – dodała – to kiedy „odpoczywałam” przed pięcioma laty – mówiła oschłym tonem, doskonale zdając sobie sprawę, że Gideon wie, że w świecie aktorskim określenie to oznacza „bez pracy” – poma-

gałam Crys w restauracji. Nigdy nie osiągnęłam takiej wprawy jak ona, ale... Och! – wykrzyknęła, bo kiedy się obróciła, Gideon stał krok za nią. Nagle zaparło jej dech.

– Z ust mi to wyjęłaś – mruknął, nie robiąc najmniejszego ruchu, by jej podać trzymany w ręce kieliszek.

Zdawało się, jakby czas stanął w miejscu. W domu panowała niezwykła cisza, rozlegało się tylko równe tykanie zegara. Merlin drzemał obok kuchenki.

Molly zaschło w ustach. Ledwie mogła oddychać, każdym nerwem świadoma obecności Gideona. Nigdy jeszcze nie reagowała tak na żadnego mężczyznę. Co by powiedział, gdyby się przekonał, że nigdy jeszcze nie miała kochanka?

No cóż, sposób wydawał się raczej drastyczny, ale z pewnością skutecznie by go przekonał, że jego podejrzenia na temat jej romansu z Jamesem były całkowicie nieusprawiedliwione.

– Czemu uśmiechasz się, jakbyś wiedziała coś, czego ja nie wiem? – spytał; w jego oczach znowu pojawiła się czujność.

Czar prysnął... I całe szczęście. Molly westchnęła i z ulgą cofnęła się o krok.

– Zastanawiałam się, kiedy wreszcie dostanę obiecane wino – rzuciła w natchnieniu, równocześnie oddychając głęboko, by odzyskać nad sobą kontrolę.

Chwile zapomnienia w obecności Gideona zdarzały jej się coraz częściej. W przyszłości – to znaczy przez najbliższe trzy dni – powinna się postarać spędzać z nim jak najmniej czasu.

Popatrzył ze ściągniętymi brwiami na kieliszek w swojej dłoni, jakby zdziwiony jego widokiem.

– Co mam robić? – spytał energicznie, a potem postawił wino na blacie obok jej ręki.

Wyjść z kuchni i dać mi parę minut odetchnąć od swojej obecności – miała ochotę powiedzieć. Jednak na widok swobodnego gestu, jakim sięgnął po nóż do warzyw, straciła przekonanie, czy sugestia odniosłaby skutek.

– Dokończ obieranie ziemniaków, jeśli możesz – rzuciła lekko, a sama zaczęła przygotowywać brukselekę z migdałami.

Nie miała najmniejszych złudzeń, jakoby panujące między nimi milczenie było pełne życzliwości. Wystarczyło jedno słowo, by niechęć zapłonęła na nowo.

Życzliwość i dobra wola – akurat!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Czyż to nie piękna scena domowej harmonii?
– mruknął z aprobatą David parę chwil później.

Molly rzuciła mu przez ramię ostrzegawcze spojrzenie. Domowa harmonia, jeszcze czego; Gideon był udomowiony mniej więcej w takim stopniu jak tygrys. A po ostatnich dziesięciu minutach, spędzonych w napiętej ciszy, wątpiła, czy choćby wiedział, co znaczy słowo „harmonia”.

– Brakuje ci tylko fartuszka, Gideonie, i będziesz wyglądał jak podkuchenna – zadrwił David.

– Przydadz się na coś i nalej nam wina – odparł tamten niezmiyszany.

– Z przyjemnością. – David napełnił ich kieliszki.
– Wybaczcie, że się nie przyłączę, ale ktoś musi was zawieźć wieczorem do kościoła.

Molly zupełnie zapomniała o wcześniejszych planach, żeby się udać na pasterkę.

– Myślisz, że Crys i Sam zdecydują się jechać?

– Pewnie nie – skrzywił się David. – Ale to nie powód, żebyśmy my rezygnowali.

– Z czego? – spytała Crys we własnej osobie, wchodząc do kuchni. – Och, dzięki, Molly. – Objęła przyjaciółkę, kiedy zobaczyła prawie gotową kolację.
– Przepraszam, że tak was zostawiłam na cały dzień.

– Jak się czuje mały? – spytał łagodnie David.

– Znacznie lepiej, dzięki. – Crys westchnęła z ulgą; wyglądała na znacznie spokojniejszą niż przedtem.

– Zasnął, więc Sam powinien się też zjawić za parę minut. O czym rozmawialiście? – spytała z zaciekawieniem, przyjmując z uśmiechem kieliszek wina od Gideona.

– O pójściu na pasterkę – wyjaśnił David.

– O, tak, musicie się wybrać koniecznie – zawołała z zapalem. – Pojechaliśmy z Samem w zeszłym roku i było pięknie...

Urwała, kiedy zadzwonił telefon. Molly zamarła i spojrzała szybko na Gideona. Również na jego twarzy malował się niepokój.

– Ja odbiorę – oznajmił Sam, który właśnie się zjawił, i sięgnął po słuchawkę. – Tak? Przy telefonie. Och, lepiej, dzięki – odpowiedział ciepło po chwili.

Sądząc z jego reakcji, nie był to tajemniczy nieznanomy.

– Znacznie lepiej – ciągnął dalej Sam. – Nie, naprawdę nie ma potrzeby, żeby się pani fatygowała. Chociaż... – Zakrył słuchawkę dłonią. – Czy obiadu starczy jeszcze dla jednej osoby? – spytał cicho.

– Bez problemu – odparła Molly, zastanawiając się, o kogo chodzi. Ton Sama był życzliwy i pogodny, więc z pewnością nie chodziło o dziennikarza.

– Może by pani wpadła na kolację? Nie, z pewnością nie będzie pani przeszkadzać – dodał stanowczo. – Zaczynamy około ósmej, więc siódma trzydzieści będzie idealna. Kilkoro z nas wybiera się później do kościoła, więc gdyby miała pani ochotę... Doskonale,

to do zobaczenia później. – Odłożył słuchawkę. – Diana Chisholm przyjdzie na kolację – oznajmił tryumfalnie.

– Och, to wspaniale. – Crys uśmiechnęła się zadowolona. – Martwiłam się, że spędzi święta samotnie.

Jedynie David wyglądał na niezadowolonego.

– Nie przesadzacie? Może od razu zaprosicie całe miasteczko! Wybaczcie – mruknął i wyszedł z kuchni.

– Co mu się stało? – Sam popatrzył za nim zaskoczony.

Crys skrzywiła się i westchnęła.

– To jego pierwsze święta bez Cathy. Pójdę z nim porozmawiać.

– Ja to zrobię. – Gideon odstawił kieliszek. – To męska sprawa – uciął jej protesty. – Rozmowa ze mną będzie dla niego mniej krępująca. Chyba że ty chciałaś to zrobić? – zwrócił się do Molly, która przyglądała mu się pełna wątpliwości.

Gideon w roli pocieszyciela: dobre sobie!

Drwina w jego oczach świadczyła, że znowu błędnie odgadł jej myśli.

– Skąd – zapewniła lekko. – Sam powiedziałaś, że to męska sprawa.

Rzuciła mu wyzywające spojrzenie. David zupełnie jej nie interesował w taki sposób, jak sugerował to Gideon; nie zamierzała jednak wyprowadzać go z błędu. Mężczyzna wpatrywał się w nią kilka długich sekund, potem zdecydowanie skinął głową i wyszedł.

– No, no – mruknął Sam. – Co tu się działo przez cały dzień? – Spojrzał pytająco na Molly.

Poza tym, że najpierw Gideon obrażał ją przy

każdej okazji, a potem niemal ją pocałował; że w gazecie ukazało się zdjęcie z chrzcin – co dało Gideonowi okazję do kolejnych jadowitych uwag – a na koniec prześladował ich tajemniczy rozmówca – nic, zupełnie nic!

O tym wszystkim nie zamierzała jednak wspominać ani słowem.

– Zwykle świąteczne sprzeczki – rzuciła lekceważąco.

I szybko zapytała Crys, jaki sos woli do kaczki: jabłkowy czy pomarańczowy. Podczas gdy dyskutowały z ożywieniem, brat patrzył na nią rozbawiony, jakby doskonale rozumiał jej zamiary. Jego przenikliwość zawsze ją zdumiewała – miała tylko nadzieję, że Sam nie odgadł także jej uczuć wobec Gideona. Były tak poplątane i sprzeczne, że sama nie potrafiła dojść z nimi do ładu.

O wilku mowa... Zesztywniała, kiedy wszedł z powrotem do kuchni z szerokim uśmiechem. Najwyraźniej misja się powiodła.

– Wszystko w porządku? – spytała Crys.

– David za chwilę zejdzie – zapewnił Gideon. – Postanowił się przebrać przed posiłkiem. Wystarczyło wspomnieć, jak miło będzie zjeść kolację w towarzystwie pięknej i uzdolnionej kobiety.

Och, a ja czym niby jestem? – pomyślała Molly zirytowana. Siekaną wątróbką? W opinii Gideona pewnie tak, przyznała niechętnie.

– Oczywiście nie licząc was, piękne panie – dodał oschle Gideon.

– Za późno – roześmiała się Crys i wzięła Molly

pod rękę. – Co powiesz na to, żebyśmy się też przebrały do kolacji? A dżentelmeni niech tymczasem nakryją do stołu.

– Doskonały pomysł! – zawołała Molly i obie ruszyły na piętro.

Crys pokręciła głową, kiedy razem wspinały się po szerokich schodach.

– Powiedz, co się naprawdę działo, kiedy my zajmowaliśmy się Peterem? – spytała zaciekawiona.

– Niewiele – rzuciła lekko Molly, starając się zapanować nad wyrazem twarzy.

– Kłamczucha! – zaśmiała się przyjaciółka. – Wiadzę, że całkiem nieźle dogadujecie się z Gideonem.

– Jeśli chodzi ci o to, że do tej pory nie walnęłam go w głowę patelnią, to tak, dogadujemy się doskonale – prychnęła Molly.

Crys uśmiechnęła się szerzej.

– Gideon jest kochany.

Molly omal nie spadła ze schodów. Gideon? Kochany?

– Może w twoim towarzystwie – mruknęła. – Przy mnie zachowuje się zupełnie inaczej. Chyba po prostu nie lubi aktorek – dodała, żeby nie martwić przyjaciółki.

– Ale przecież wyrzucił pająka...

– Crys, nie uda ci się mnie z nim wyswatać.

– Sam ci wszystko wypaplał – rzuciła Crys oburzona.

– Nic podobnego. – Molly nie zamierzała w to wplątywać brata. – Musiałabym być ślepa, żeby się nie zorientować. Proszę, daj z tym spokój. Nie jestem

w typie Gideona, a on z pewnością nie jest w moim – dodała stanowczo. – Nigdy nie lubiłam takich aroganckich typów macho.

– Ale...

– Przepraszam, moje panie... – rozległ się lodowaty głos Gideona za ich plecami – Chciałbym przejść.

Molly zamknęła oczy, potem otworzyła je i spojrzała w sufit. I zamarła. Nad jej głową widniała róża – znak firmowy Jamesa. Z wielkim wysiłkiem opanowała napływające falą uczucia. Obróciła się szybko, licząc, że Crys nie zauważyła jej reakcji ani nie domyśliła się jej przyczyny – niepotrzebnie się jednak martwiła. Inaczej Gideon, przekonała się z przerażeniem. Patrzył na nią z wysuniętą gniewnie szczęką i błyszczącym wzrokiem.

– Do zobaczenia później – wyjąkała i szybko ruszyła w stronę swojego pokoju.

Z ulgą zamknęła za sobą drzwi. Nie było sensu tłumaczyć się przed Gideonem – i tak by jej nie uwierzył. Zwłaszcza że chodziło o Jamesa...

Omal się nie przewróciła, kiedy ktoś gwałtownie pchnął drzwi jej pokoju. W progu stał Gideon.

– Co ty wyprawiasz? – burknął wściekły, wchodząc do środka.

Z trudem przełknęła ślinę. Udawanie, że nie rozumie, o co mu chodzi, nie miało sensu. Z drugiej strony i tak nie uwierzyłby, gdyby mu powiedziała prawdę: że przez krótką chwilę poczuła niezwykłą bliskość z Jamesem i zapewniła go w duchu, że Crys znowu jest szczęśliwa.

Wiedziała, jak głupio by to zabrzmiało. I jak nie-

przekonująco – szczególnie w uszach kogoś mającego o niej tak złą opinię jak Gideon.

– Kiedy wreszcie przestaniesz się zachowywać jak zakochana idiotka? – warknął, zanim zdążyła coś powiedzieć. – James nie żyje – dodał brutalnie, a potem złapał ją za ramiona i lekko potrząsał. – Nie żyje, rozumiesz? Kiedy się wreszcie z tym pogodzisz!

Molly poczuła, jak krew odpływa jej z policzków. Nie zaprzeczała temu, że James nie żyje, ale to nie powód, by o nim nie pamiętać. Szczególnie w święta – czas radości i miłości, lecz także wspomnień o tych, których już nie ma.

Pokręciła głową.

– Pogodziłam się...

– Nieprawda. – Potrząsał nią znowu. – Nie wierzę.

– Nie obchodzi mnie, co myślisz... – mruknęła ze ściśniętym gardłem.

– W takim razie...

Bez ostrzeżenia, bez żadnej wskazówki, co zamierza zrobić, nachylił się i pocałował ją w usta. Była zbyt zaskoczona, by zareagować, kiedy przyciągnął ją mocno do siebie, objął i zaczął gwałtownie pieścić wargami jej usta.

Jej oszołomienie trwało jednak tylko chwilę; już po chwili zaczęła się opierać. Odepchnęła go od siebie i odwróciła głowę, żeby uniknąć dotyku jego ust.

– Przestań! – szepnęła, patrząc na niego z urazą. – Gideon, przestań! – zawołała znowu.

Znieruchomiał; blady, z ponurą twarzą spoglądał na

nią zwężonymi oczyma, wciąż mocno trzymając ją za ramiona. I całe szczęście – nie była pewna, czy zdołałaby się utrzymać na nogach, gdyby ją puścił.

– Proszę, przestań... – jęknęła głosem drżącym ze wzburzenia.

Czuła, że po prostu nie zniesie więcej. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny wydawały jej się niczym stulecie. A dzień jeszcze nie dobiegł końca.

Gideon zamrugał, wciąż ze zmarszczonymi brwiami. Pokręcił głową.

– Co ja robię, do diabła? – mruknął po chwili zmieszany, wypuścił ją gwałtownie i cofnął się o krok.

Molly z trudem przełknęła ślinę.

– Nie wiem. Ale mam wrażenie, że po zastanowieniu będziesz tego bardzo żałował – dodała drżącym głosem.

Jedyne, czego była absolutnie pewna, to że nie miał najmniejszego zamiaru jej pocałować – w tamtym momencie zapewne wydało mu się to po prostu najszybszym sposobem, żeby ją uciszyć.

Wpatrywał się w nią przez kilka długich, zapierających dech chwil; nie była pewna, co zamierzał zrobić. Biorąc pod uwagę, co się stało, sam chyba też tego nie wiedział. Wreszcie znowu pokręcił głową z posepnym wyrazem twarzy.

– Przepraszam za... cokolwiek to było – wyrzucił gwałtownie i odwrócił się, najwyraźniej zaskoczony własnym postępowaniem.

Molly ścisnęło się serce.

– Gideon! – zawołała, kiedy otwierał drzwi.

– Tak? – Spojrzał na nią.

Zagryzła wargę, nie wiedząc, co powiedzieć; wiedziała tylko, że nie chce, by odszedł tak po prostu, skoro zostało między nimi tak wiele niewypowiedzianych spraw.

– Chodzi o Jamesa. Ja... my wszyscy wciąż za nim tęsknimy – powiedziała zduszonym głosem.

Miała wrażenie, jakby to zasmuciło go jeszcze bardziej.

– Jak się zdaje, niektórzy z nas bardziej niż inni – rzucił szorstko i wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

Molly siadła ciężko na łóżku i ukryła twarz w dłoniach. Gorące łzy popłynęły jej po policzkach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Wyglądasz fantastycznie! – oznajmił z podziwem David, kiedy wkrótce później weszła do salonu, by wraz z pozostałymi wypić drinka przed kolacją. – Jak pani Mikołajowa – dodał z żartobliwą nutką w głosie. Najwyraźniej otrząsnął się już z poprzedniego smutku.

Albo starannie go ukrywał.

Molly doskonale zrozumiała przytyk: miała na sobie długą do kolan, jedwabną sukienkę w chińskim stylu. Makowa czerwień z pewnością zdaniem pewnej osoby nie pasowała do jej płomienistych włosów.

Gideon wydawał się niezwykle milczący. Stał samotnie przy kominku, elegancki w ciemnym smokingu i śnieżnobiałej koszuli. Oraz chłodny i odległy niczym lodowy posąg.

Molly szybko odwróciła wzrok i z uśmiechem spojrzała na Sama, który podał jej kieliszek szampana.

– Co świętujemy? – spytała żartobliwie.

– Nieco spóźniony początek świąt – odparł. – Diana jest na górze z Crys i bada Petera, który zresztą miewa się znacznie lepiej – dodał z zadowoleniem.

– To świetnie. – Molly odetchnęła z ulgą. – Zdecydowanie zasługuje na toast.

Upiła łyk wina, nie patrząc na Gideona – nie chciała

wiedzieć, czy ją obserwuje. Miała wrażenie, że po niedawnej scenie w sypialni patrzenie na niego będzie raczej trudne.

– Gdzie Merlin? – spytała o pierwsze, co jej przyszło do głowy.

Sam uniósł drwiąco brew.

– Pilnuje Petera. Nie... – Umilkł, kiedy dobiegł ich dzwonek telefonu z kuchni. – Komu przyszło do głowy dzwonić w Wigilię? – zdziwił się.

– Ja odbiorę, to pewnie moi rodzice – oznajmiła Molly pośpiesznie, odstawiła kieliszek i ruszyła do telefonu. Nie chciała, żeby coś zepsuło nastrój Crys i Samowi – teraz, gdy Peter najwyraźniej wydobrał.

– Pozwól mnie – rzucił Gideon, który dotarł do drzwi salonu w tym samym momencie.

Poczuła, jak rumieniec wypływa jej na policzki; spuściła wzrok.

– Doskonale – mruknęła i odwróciła się szybko, chcąc się znaleźć możliwie daleko, zanim zauważy jej zmieszanie.

Ponieważ mimo całej złości i gwałtowności Gideona wiedziała, że w głębi duszy chciała odpowiedzieć na jego pocałunki; złagodzić jego gniew; poznać zmysłowego mężczyznę kryjącego się pod chłodną powierzchownością. Zabawne, biorąc pod uwagę, jaka pogarda dla niej biła z każdego jego słowa i gestu...

– Grosik za twoje myśli? – zażartował David, stając obok niej i z powrotem wkładając jej kieliszek do ręki.

Smutno pokręciła głową.

– Sama nie mogę się w nich doszukać sensu, więc jak ty mógłbyś to zrobić?

Wzruszył ramionami.

– Dziwna z nas zbieranina, nieprawdaż? – mruknął pośepnie, kiedy Diana Chisholm i Crys weszły do salonu. Obie odpowiedziały uśmiechem na pytające spojrzenie Sama. – Sam, Crys i mały Peter są na swoim miejscu. Ale potem mamy doktor Chisholm: piękną kobietę około trzydziestki, ale najwyraźniej bez reszty oddaną karierze. Dalej ty: siostra Sama i przyjaciółka Crys; jedyna z nas mająca prawo dzielić z nimi święta. No i ja, oczywiście, bojący się gdziekolwiek wyjść, by nie prześladowały mnie wspomnienia wspólnych świąt z Cathy – uśmiechnął się smutno.

– Daj spokój. – Położyła mu współczująco rękę na dłoni. – Nie rób sobie tego, Davidzie – powtórzyła.

Choć równocześnie ciekawiło ją, jakie wytłumaczenie znalazłby dla obecności Gideona.

Kiedy jednak Crys podeszła z Dianą, by oficjalnie ją przedstawić, stało się jasne, że Molly nie usłyszy opinii Davida na temat Gideona. Szkoda.

Gdzie właściwie się podział? Minęło sporo czasu, odkąd poszedł odebrać telefon; co go zatrzymało?

– Wybaczcie – mruknęła i wycofała się, pozostawiając melancholijnego Davida w bardziej kompetentnych rękach.

Znalazła Gideona w kuchni; stał przy oknie zapatrzony na rozgwieżdżone niebo. Zatrzymała się w wejściu, nie chcąc przerywać jego zamyślenia.

– Kiedy się na nie patrzy, dociera do nas, jak bardzo mało znaczymy, prawda? – odezwał się cicho, właśnie kiedy zamierzała cicho odejść. Odwrócił się do niej z twarzą ukrytą w cieniu. – Wiesz, że wiele

z nich zniknęło tysiące lat przedtem, zanim ich światło do nas dobiegło? Dość...

– Czy wyście obaj z Davidem zapomnieli wziąć dzisiaj prozac? – przerwała rzeczowo. – Zrobiliście się tacy refleksyjni!

Zastanowiło ją, jak ją rozpoznał – była pewna, że jej kroków nie było słyhać na miękkim dywanie. Gideon wpatrywał się w nią przez kilka sekund, a potem jego usta zadrżały, a oczy błysnęły, jakby próbował stłumić śmiech.

– Na szczęście zawsze możemy liczyć, że nas sprowadzisz na ziemię. – Śmiał się teraz otwarcie.

Wzruszyła ramionami, nie wiedząc, jak to potraktować – w końcu jednak uznała to za komplement.

– Kto dzwonił tym razem? – spytała.

– Moja asystentka. – Skrzywił się. – Jeden z klientów chce, żebym dzień po świętach poleciał do Wiednia.

– Ani chwili wytchnienia – rzuciła drwiąco i nagle zaczęła się zastanawiać, czy Gideona łączą z asystentką jedynie zawodowe relacje. Trochę dziwne, żeby szukać pracodawcy akurat w Wigilię, tylko po to, by go powiadomić o zleceniu.

Natychmiast zbesztala się za podobne myśli. Co ją obchodzi, jakie relacje Gideon utrzymuje ze swoją asystentką?

– Nic podobnego. – Pokręcił stanowczo głową. – Zresztą jestem zajęty prawie do Wielkanocy. – W trzech krokach pokonał kuchnię. – Chodź, przyłączmy się do pozostałych. – Ujął ją pod rękę. – A swoją drogą David miał rację. Wyglądasz rewelacyjnie w tej sukience.

Molly była tak zaskoczona nieoczekiwanym komplementem, że stanęła jak wryta, wytrzeszczając na niego oczy. Poświęciła wiele czasu i uwagi swojemu wyglądowi, ale ostatnie, czego się spodziewała, to że jej wysiłki doceni właśnie Gideon.

– Cóż, sam też się nieźle prezentujesz – wyjąkała, by ukryć zmieszanie.

Uśmiechnął się szelmowsko.

– Widzę, że oboje wzięliśmy za to pigułki na uprzejmość – mruknął, lecz zaraz spoważniał. – Molly, obawiam się, że przedtem sprawy wymknęły mi się nieco spod kontroli i...

– Proszę – przerwała gwałtownie, nie mogąc dłużej znieść jego spojrzenia. – Zapomnijmy o tamtym.

Przechylił głowę, ujął ją pod brodę tak, że musiała mu spojrzeć w oczy.

– Czy to możliwe? – spytał.

No, cóż – nie w jej wypadku; gdzieś w głębi duszy wciąż jeszcze pragnęła się dowiedzieć, dokąd mogłyby doprowadzić te pocałunki, gdyby ich nie przerwała.

– Oczywiście, że tak – zapewniła dziarsko. – Są święta – dodała z determinacją. – Powinniśmy odnosić się do siebie z życzliwością.

Skrzywił się lekko.

– Podziwiam twoje zamiary, nawet jeśli uważam je czasem za zbyt ambitne.

Szczególnie w odniesieniu do nich dwojga.

– Hm. No, cóż. – Wzruszyła ramionami. – Lepiej przyłączmy się do pozostałych, zanim nasze pigułki przestaną działać.

Ku jej zdziwieniu Gideon tym razem roześmiał się

głośno. Kiedy się śmiał, nie mogła oderwać od niego oczu.

– Wiesz... – pokręcił głową, kiedy się trochę opanował – ...jesteś zupełnie inna, niż się spodziewałem.

– Powiedział to wyraźnie zaskoczonym tonem.

– Tak? – spytała czujnie.

Skrzywił się.

– Tak.

Wzruszyła ramionami.

– Prawdę mówiąc, od początku wiedziałam, że tak będzie. Ale to tylko moja prywatna opinia, okej?

Kilka długich chwil przyglądał się jej ze ściągniętymi brwiami, potem znów ujął ją pod rękę i otworzył drzwi do salonu.

– Lepiej przyłączmy się do pozostałych – powtórzył poważnie.

Molly nie była pewna, w jakiej fazie znajdują się ich wzajemne relacje po tej ostatniej uwadze, ale po rozmowie przynajmniej mogli spędzić Wigilię w miłej atmosferze. Zrezygnowali ze wzajemnych docinków; również David najwyraźniej otrząsnął się z ponurego nastroju i gawędził pogodnie z Dianą o jej pracy.

Pod koniec posiłku na chwilę przyłączył się do nich także mały Peter, znacznie spokojniejszy mimo różowej wysypki.

Telefon dzwoniący szósty raz tego dnia odezwał się więc zdecydowanie nie w porę.

– Teraz ja odbiorę – oznajmiła Molly stanowczo. – O tej porze to z pewnością pomyłka – dodała, spoglądając na zegarek.

– Pójdę z tobą – odezwał się Gideon i także wstał z miejsca. – Zresztą muszę zadzwonić.

W drodze do kuchni rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Zaczną coś podejrzewać, jeśli co chwila będziemy się razem wymykać – prychnęła.

– Wszystkiego najlepszego – odpowiedział oschle i podniósł słuchawkę, zanim Molly zdążyła choćby wyciągnąć po nią rękę.

– Halo? Nie, to nie Sam – odpowiedział wolno.

– Czy mam mu coś... Cholera – burknął i odwiesił słuchawkę. – Rozłączyła się – wyjaśnił zniecierpliwiony.

– Ona? – zdziwiła się Molly.

– Ona.

Poruszyła się skřępowana.

– Czemu tak mi się przyglądasz? – spytała, obawiając się bardzo, że chwilowy rozejm właśnie dobiegł końca.

– Bo nie ma tu Sama i nie mogę tak patrzeć na niego – burknął i zaczął się nerwowo przechadzać po kuchni.

Obserwowała go uważnie, zupełnie nie wiedząc, co się kryje za jego ponurą twarzą. Ściągnęła brwi.

– Gideon...

– Co ten twój brat sobie wyobraża? – warknął ze złością. – Ma piękną żonę, udanego synka...

– Co ty sugerujesz? – Molly aż zeszywniała z oburzenia.

– To zwykły scenariusz, prawda? Kochanka dzwoni, bo jej ukochany mężczyzna spędza święta z rodziną, a ona czuje się opuszczona... Potrafisz znaleźć inne wyjaśnienie?

Zatrzymał się przed nią i spojrział oskarżycielsko.

– Nie, ale wiem jedno: Sam nie ma kochanki.

– Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Nie rozumiem, jak możesz choćby sugerować coś takiego. Chyba że szukasz pretekstu, by ich skłócić z powodu własnych uczuć do Crys – dodała z oburzeniem.

Gideon zamarł w bezruchu.

– A co ma znaczyć ta uwaga? – spytał groźnie.

Molly wyzywająco uniosła głowę.

– Łatwo się domyślić, że zakochałeś się w Crys – rzuciła oskarżycielsko.

Jak Gideon może oskarżać Sama o niewierność! Być może brat nie zakochał się w Crys od pierwszego wejrzenia, przypomniała sobie z nostalgią, ale teraz nie widział poza nią świata.

Każdy by się tego domyślił – każdy z wyjątkiem Gideona.

Sądząc z niebezpiecznego błysku w jego oczach, jedyne, co czuł w tym momencie, to gniew – na Molly.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Patrzyła na niego z obawą, niepewna, co będzie dalej – pigułki uprzejmości najwyraźniej przestały działać.

– Jak śmiesz mi zarzucać coś podobnego? – spytał oburzony.

– Jak śmiesz oczerniać przede mną Sama? – odparła gorąco, zaciskając pięści.

Niecierpliwie pokręcił głową.

– Zapomnijmy o tym na chwilę. Skupmy się na...

– Nie! O niczym nie będziemy zapominać! – przerwała zdecydowanie. – Twoje oskarżenia... twoje podejrzenia, tylko dlatego, że...

– Radziłbym ci, żebyś nie powtarzała tego, co powiedziałaś o moich uczuciach do Crys – wtrącił przez zaciśnięte zęby.

Molly spojrzała na niego śmiało.

– Dlaczego nie? Bo tylko tobie wolno oskarżać innych o niskie motywacje? A może dlatego, że to zbyt bliskie prawdy? Och!

Tym razem zdążyła nabrać powietrza, zanim jego usta spadły na jej wargi. Lecz z jakiegoś powodu ten pocałunek nie był tak gniewny jak poprzedni. Gideon ujął jej twarz i delikatnie muskał wargami jej wargi. Zalała ją fala gorąca; poczuła, jak wzbiera w niej

palące pragnienie. Instynktownie przyłgnęła do niego całym ciałem. Pragnęła go. Tak bardzo go pragnęła!

Gideon przesunął wargami po jej szyi, zaczął pieścić zagłębienie u jej nasady. Molly zadrżała z pożądania i przytuliła go mocno do siebie. Westchnęła, kiedy ugryzł leciutko płatek jej ucha, niemal jęknęła, kiedy po chwili znowu zaczął pieścić jej usta.

– Ehem – zabrzmiał czyjś ironiczny głos. – Kiedy już skończysz uwodzić moją młodszą siostrzyczkę – dokończył przeciągle Sam, kiedy odskoczyli od siebie gwałtownie – możecie się oboje pożegnać z Dianą. Dostała nagle wezwanie i musi wcześniej wyjść.

Molly musiała się zastanowić przez parę chwil, o kogo chodzi. Sądząc z wyrazu twarzy Gideona, on też miał z tym kłopot. Mimo to ochłonął nieco szybciej niż ona, wyprostował się i skinął zdecydowanie głową.

– Pójdę pierwszy – oznajmił i wyszedł z kuchni.

Molly westchnęła i zamknęła na moment oczy; z pewnością tylko sobie wyobraziła to, co się stało. W pieścizotach Gideona nie było gniewu ani niechęci. A w każdym razie ona dostrzegła coś zupełnie innego. Potrzebowała czasu, żeby przemyśleć wszystko spokojnie.

Kiedy otworzyła oczy, Sam przyglądał się jej z czułością i rozbawieniem.

– Chcesz mi coś wyznać, siostrzyczko? – spytał łagodnie.

Nie, póki sama tego nie zrozumie. O ile to kiedyś nastąpi. Zwłaszcza że Gideon pocałował ją, kiedy go oskarżyła o uczucie do Crys.

– Nic podobnego – rzuciła lekko, a potem podeszła i ujęła go za rękę. – Chodźmy się pożegnać z Dianą.

– Nie ma sprawy. – Skinął głową. – Ale nie wyobrażaj sobie, że uda ci się w nieskończoność unikać odpowiedzi. – Między tobą i Gideonem z pewnością coś jest – dodał z przekonaniem.

Między nią i Gideonem zdecydowanie coś było – nie wiedziała tylko co.

I niewiele rozjaśniło jej się w głowie, kiedy parę godzin później siedziała sama z małym Peterem – nalegała, że z nim zostanie, by wszyscy pozostali mogli się udać na pasterkę.

– Jesteś idealnym towarzyszem – mruknęła do malucha śpiącego w kołysce. – Całkowicie nieskomplikowany. Płaczesz, kiedy jesteś głodny, i śpisz, kiedy się najesz.

Peter uśmiechnął się przez sen, jakby ze zrozumieniem.

– Co powinnam zrobić, jak sądzisz? – ciągnęła dalej, podchodząc do okna i patrząc na pełne gwiazd niebo, podobnie jak Gideon nieco wcześniej.

Gideon.

Ostatnio każda myśl – wszystko, co mówiła, nieodmiennie wracało do Gideona. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę okoliczności, ale chętnie by od niego odpoczęła na jakiś czas. Powiedzmy, dziesięć lat.

– Całuj się ze mną, a nawet nie jestem pewna, czy mnie lubi. Gdybyś mnie o to spytał wczoraj, byłabym pewna, że nie!

Skrzywiła się. Była tego pewna nawet dzisiaj rano. A mimo to wieczorem...

W jego ostatnim pocałunku nie było wcześniejszej pogardy ani gniewu. Tylko co? Naprawdę nie wiedziała. Ale Gideon pociągał ją coraz bardziej. Być może nawet więcej niż pociągał. Co to znaczy? Przecież chyba nie to, że się w nim zakochała!

Molly jęknęła z rozpaczą, kiedy uświadomiła sobie, że już to zrobiła; że każde słowo i gest Gideona wywierają na niej takie wrażenie, jakiego dotąd nie wywierały słowa żadnego mężczyzny.

Wspaniale! Kolejna wpadka. Znowu się zakochała w nieodpowiednim mężczyźnie. Powinna...

Ze zdziwieniem zauważyła światła samochodu na końcu podjazdu; spojrzała na zegarek. Dopiero północ – za wcześnie na domowników. W najbliższej okolicy nie było jednak innych domów.

Niemal w tej samej chwili zobaczyła, jak auto zawraca i znika na głównej szosie. Najwyraźniej ktoś pomylił drogę.

Nigdy sobie nie uświadamiała, jak dziwnie jest być samej w tym wielkim domu. Dotąd zawsze towarzyszyli jej Sam albo Crys. Z pewnością nie chciałaby tu mieszkać samotnie.

– Dobrze, że tu jesteś – rzuciła do Merlina, który podniósł głowę i spojrział na nią, jakby odgadł jej myśli. – Chodź, przygotujemy grzane wino i słodkie babeczki dla naszych kołędników.

Mimo to zasłoniła w kuchni wszystkie okna, zanim wzięła się do przygotowań.

– Na wszelki wypadek – wyjaśniła Merlinowi.

Kiedy wreszcie usłyszała zgrzyt żwiru pod kołami zielonego jaguara, odetchnęła z wielką ulgą. Każde skrzypnięcie gałęzi na zewnątrz, szelest liści, a nawet stukanie w rurach centralnego ogrzewania wywoływało u niej nerwowy dreszcz.

– Och, jak miło! – zawołała Crys, kiedy weszła do środka z zarumienionymi policzkami i poczuła kuszące zapachy babeczek i wina. – Jak Peter? – dodała zaraz z niepokojem.

– Śpi, ale możesz do niego zajrzeć, jeśli chcesz – odparła Molly, uśmiechając się do wchodzących Sama i Davida. I zaraz odwróciła wzrok, bo do kuchni wszedł Gideon.

Cały czas jednak była świadoma jego obecności, kiedy stał przy kuchence, grzejąc dłonie. Znacznie wyraźniej, odkąd sobie uświadomiła, że głupio zakochała się w tym mężczyźnie. W porównaniu z tym jej poprzedni wybór wydawał się szczytem rozsądku.

Wyjęła babeczki z pieca.

– Ktoś ma ochotę? – zapytała ze spuszczoneym wzrokiem, starając się przypadkiem nie spojrzeć na Gideona.

– Dzięki. – David odstawił wino i poczęstował się.
– Nie wiem jak wy, ale ja lecę z nóg. Zaraz idę spać.

– Ja też – zgodziła się Molly szybko.

– Wyprowadzę Merlina – oznajmił Sam. – Zostaw mi jedną babeczkę, Molly, okej?

– Nie ma sprawy – zapewniła. – Gideon, masz ochotę? – spytała nagle, wciąż na niego nie patrząc.

– Dzięki – mruknął i wyciągnął rękę. Silną, kształtną i porośniętą jasnymi włosami. Molly nagle zupełnie

straciła zainteresowanie jedzeniem. – Ty nie jesz?
– spytał.

– Eee... nie. – Kompletnie zaschło jej w ustach.
– Jadłam wcześniej – rzuciła i odwróciła się.

Ręka drżała jej lekko, kiedy sięgała po wino. Sytuacja stawała się coraz bardziej nie do zniesienia.

– Już po północy, więc wesółych świąt, Molly.
– David zbliżył się i pocałował ją w oba policzki.
– Nawzajem.

Uśmiechnęła się i serce nagle zabiło jej mocniej, kiedy sobie wyobraziła, że Gideon mógłby zrobić to samo. Właśnie się zastanawiała, jak by na to zareagowała, kiedy w drzwiach stanął zaniepokojony Sam.

– Merlin uciekł i nie odzywa się, kiedy go wołam
– rzucił z irytacją. – Pomożecie mi go poszukać?
– Spojrzał na Davida i Gideona.

– Ja pójdę – zaofiarowała się Molly, widząc lekką obawę na twarzy Davida. – David jest zmęczony, a ja chętnie się przejdę.

Odstawiła kieliszek i wzięła szal oraz płaszcz z wieszaka za drzwiami.

– Mam u ciebie dług wdzięczności – uśmiechnął się David, kiedy wychodziła w ślad za Samem i Gideonem.

– Uważaj, bo zamierzam to wykorzystać – rzuciła żartobliwie w odpowiedzi.

Wciąż z uśmiechem na ustach zamknęła za sobą drzwi i naraz znalazła się twarzą w twarz z Gideonem. Jej uśmiech zbladł.

– Jakie to wzruszające – mruknął z ironicznym skrzywieniem warg.

Już otwierała usta, by odpowiedzieć coś ostro, lecz zrezygnowała w ostatniej chwili. To nie ma sensu. Gideon nigdy nie zmieni opinii na jej temat; po co się męczyć?

– Mieliliśmy szukać Merlina – przypomniwała.

Sklonił głowę i gestem zaprosił ją, by ruszyła przodem. Usłuchała chętnie – w ciemności nie będzie widać jej zarumienionych policzków i błyszczących oczu.

– Molly?

Zamarła na dźwięk jego głosu; poczuła, jak napinają się mięśnie jej ramion. Odwróciła się do niego wolno, z czujnym wyrazem twarzy.

– Tak?

Przyglądał jej się chwilę ze zmarszczonymi brwiami, potem westchnął.

– Nic. – Pokręcił głową niecierpliwie. – Chodźmy poszukać tego głupiego psa.

Chociaż jednak nawoływali i rozglądali się wszędzie, Merlina nie było. Kiedy spotkali się ponownie przed domem, Sam wydawał się raczej zaniepokojony niż rozgniewany.

– Pewnie znowu ściga króliki – uspokoiła go Molly.

– Być może – odparł wolno. – Tylko że...

Urwał; wszyscy troje usłyszeli skomlenie i drapanie. Sam szybko obszedł dom, Molly i Gideon szli za nim. Zobaczyli, jak otwiera drzwi szopy, w następnej chwili Merlin radośnie skoczył mu na powitanie.

– Psst, obudzisz Petera – mruknął Sam, gładząc psa w zamyśleniu.

– Wszystko w porządku? – spytał Gideon.

– Hm... – Sam wyprostował się. – Zastanawiam się, jakim cudem Merlin zamknął się w szopie, to wszystko. – Wzruszył ramionami. – Pewnie wcześniej zostawiłem drzwi otwarte – zdecydował.

– Znalazł się, a to najważniejsze – oznajmiła Molly i wzięła go pod rękę. – Wracajmy, bo zimno – dodała.

Ale w głębi ducha wcale nie czuła się spokojna. Dziwne telefony, światła samochodu na podjeździe, a teraz Merlin zamknięty w szopie.

Sam mógł zapomnieć ją zamknąć i Merlin mógł przypadkowo zatrzaskać się w środku. Tyle tylko, że wymagało to zbyt wielu zbiegów okoliczności...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Czekasz na Mikołaja? Chcesz mu osobiście powiedzieć, jaka byłaś grzeczna przez cały rok? – odezwał się dobrze znany drwiący głos, kiedy dwie godziny później siedziała samotnie w kuchni, pijąc kawę.

Wciągnęła raptownie powietrze, a potem wypuściła je w ciężkim westchnieniu.

– Mama zawsze mi powtarzała: Jeśli nie masz nic miłego do powiedzenia, lepiej nie odzywaj się wcale! – prychnęła, odwracając się do wejścia, gdzie stał Gideon.

Po powrocie Sam zaprowadził Merlina do kuchni, a potem wszyscy udali się na górę do swoich sypialni. Molly przebrała się i położyła do łóżka, nie mogła jednak zasnąć. W końcu poddała się, wciągnęła dżinsy i starą bluzę Sama i zeszła na dół zrobić sobie kawy.

Sądząc z wyglądu, Gideon także zamierzał położyć się spać. Zamiast smokingu miał na sobie spłowiałe denimy i ciemnobłękitny podkoszulek. Szczerze mówiąc, wyglądał niepokojąco atrakcyjnie.

Podszedł do ekspresu, nalał sobie kawy, a potem usiadł naprzeciw Molly.

– Odkąd poznałem Caroline, nie mogę się nadziwić jej urodzie i wdziękowi – rzucił w rozmarzeniu.

Molly zmierzyła go czujnym wzrokiem.

– Trudno uwierzyć, jak to możliwe, że jestem jej córką, tak? – mruknęła ironicznie.

Uśmiechnął się lekko.

– Tego nie powiedziałem.

– Nie musiałeś – odparła. – Ty...

– Molly, nie przyszedłem się z tobą kłócić – przerwał jej spokojnie.

Przyglądała mu się przez kilkanaście długich sekund; odpowiadał niezwruszonym spojrzeniem.

– Więc po co przyszedłeś? – spytała w końcu cicho.

Wzruszył ramionami.

– Pewnie z tego samego powodu co ty; bo nie mogę spać.

Skrzywiła wargi.

– Też się martwiłeś, że Mikołaj nie uzna cię za grzecznego?

Uśmiechnął się, słysząc ciętą ripostę.

– Niewykluczone – przyznał. – Ale w gruncie rzeczy chodzi o coś innego – spowaźniał i ściągnął brwi. – Molly, co tu jest grane?

Spojrzała na niego z niepokojem. Czyżby jej uczucie tak bardzo rzucało się w oczy? Jeśli tak...

– Mówię o tych telefonach – wyjaśnił.

Jej oczy błysnęły gniewem.

– To nie kochanka Sama!

Skinął głową.

– Miałaś rację.

– Cóż za wspaniałomyślność! – prychnęła.

Gideon westchnął.

– Proszę, zapomnijmy na chwilę o naszych sprzeczkach i skupmy się na tej drugiej sprawie, okej?

O naszych sprzeczkach... Właściwie nie chodziło już o sprzeczki, prawda? Gideon albo ją obrażał, albo całował. A co do jej własnych uczuć...

– Jakiej drugiej sprawie? – spytała niecierpliwie, żałując, że nie została w swojej sypialni.

Po kolejnej rozmowie z Gideonem nie ma co marzyć o zaśnięciu!

– O telefonach. Nie irytuj się znowu – mruknął ze znużeniem. – Wysłuchaj mnie do końca, dobrze? Musisz przyznać, że było w nich coś dziwnego.

– Tak – przyznała szybko.

– Potem Merlin zniknął i znaleźliśmy go zamkniętego w szopie. Co tu się dzieje? – Spojrzał pytająco na Molly. Zagryzła dolną wargę. – Co jeszcze się stało? – spytał przenikliwie.

Naprawdę tak łatwo ją przejrzeć?

Wzruszyła ramionami.

– Może to przypadek...

Nachylił się zaniepokojony.

– Co?

– Jakiś samochód wjechał na podjazd, kiedy byliście w kościele. Zaraz zawrócił – dodała szybko, widząc niepokój na jego twarzy. – Może to Diana Chisholm skończyła wcześniej wizytę i chciała jechać z nami do kościoła, a potem zorientowała się, że już późno, i zmieniła zdanie.

– Może – przyznał. – Zadzwońię do niej jutro, żeby się upewnić.

Molly zmarszczyła czoło, widząc, że w dalszym ciągu zachował poważny wyraz twarzy.

– A co się dzieje twoim zdaniem?

– Nie mam pojęcia – przyznał szczerze.

Mimo to była przekonana, że stworzył sobie własną koncepcję. Nie mogła zaprzeczyć, że nie tylko myśli o Gideonie nie pozwoliły jej zasnąć. Zastanawiała się także, czy istnieje związek między tajemniczymi telefonami, widzianym przez nią samochodem i zniknięciem Merlina.

– To pewnie bez znaczenia – stwierdziła. Spojrzała na niego surowo. – Nie wspominaj o tym Samowi ani Crys – ostrzegła.

– Nie jestem głupi – odparł ostro.

Nigdy go za takiego nie uważała. Chociaż przypisywała mu wiele innych cech. Westchnęła głęboko i podniosła się z miejsca, żeby odstawić pusty kubek do zlewu.

– Pora wracać do łóżka.

Gideon uniósł brew.

– To zaproszenie?

Szybko odzyskał zwykły nastrój. Molly popatrzyła na niego jadowniczo.

– A jak sądzisz?

Skrzywił się i uśmiechnął lekko.

– Myślę, że nie powinienem się spodziewać innej odpowiedzi niż przecząca. Ale co szkodzi zapytać!

W jego wypadku szkodziło. Ponieważ gdyby raz znalazła się w jego ramionach, bardzo szybko zapomnialaby, że Gideon jej nie znosi. A konsekwencje tego byłyby bardzo smutne.

– Chyba nic – przyznała oschle.

Wiedziała, że powinna już iść, lecz dziwnie nie miała na to ochoty. Ta krótka rozmowa w środku nocy

przypominała rozejm. Jutro z pewnością walka rozpocznie się na nowo.

Gideon spojrział z zainteresowaniem na jej bluzę.

– To Sama? – spytał.

Sięgała jej niemal do kolan; rękawy trzeba było podwinąć, żeby nie zasłaniały jej rąk.

– Mam nadzieję – odparła z ironią. – W przeciwnym razie znaczyłoby to, że okropnie schudłam.

– Nic ci nie brakuje – mruknął.

Oddech utknął Molly w gardle; otworzyła szeroko oczy. Czyżby Gideon właśnie obdarzył ją komplemencem? Niemożliwe.

Uśmiechnął się nieznacznie na widok jej niedowierzania.

– Nie oszczędzałem cię przez ostatnich parę dni, prawda? – dodał cicho.

Molly obserwowała go czujnie.

– Ja ciebie też nie – przyznała ostrożnie, przypominając sobie, jak się rozgniewał na wzmiankę o uczuciach do Crys.

Ale z drugiej strony nie zaprzeczył im całkowicie, przypomniała sobie i poczuła falę chłodu.

Wstał gwałtownie.

– Na przyszłość trzymaj wyobraźnię na wodzy – doradził sucho.

Uniosła wojowniczo podbródek.

– Zdaje się, że oboje nas trochę poniosło – odparła. – Pewnie nie ma żadnego związku między telefonami, samochodem i zaginięciem Merlina. Wszystko przez święta; trudno nie dać się ponieść emocjom. – Pokręciła lekceważąco głową.

– Myślisz, że to wszystko wyjaśnia? – mruknął cicho i podszedł bliżej. – Że to dlatego mam ochotę cię uderzyć albo pocałować? I do ostatniej chwili nie wiem, co weźmie górę? – Pokręcił głową. – Czy to znaczy, że za dwa dni to szaleństwo się skończy? – dodał z nadzieją.

Wpatrywała się w niego w milczeniu, doskonale świadoma, jak niebezpieczna jest ta sytuacja – dla niej. Kochała tego mężczyznę; co jednak Gideon czuł wobec niej?

– Sądzę, że tak. – Skinęła głową.

– Szkoda – odpowiedział, patrząc jej prosto w oczy.

Molly oblizwała wargi, przełknęła z trudem ślinę. Co chciał przez to powiedzieć? Chyba nie sprawiało mu przyjemności to, co działo się z ich emocjami za każdym razem, gdy się spotykali?

– Bardzo przyjemnie cię całować, wiesz? – dodał.

W jej oczach błysnął niepokój; atmosfera zmieniła się tak szybko: od niechęci do bliskości w ciągu paru sekund. To nie tak powinno być. Zupełnie nie tak. Popatrzyła na niego z jawną drwiną.

– Tak mi mówiono.

Gwałtownie poderwał głowę i zacisnął wargi. Chwilę mierzyli się gniewnym wzrokiem. Molly pierwsza spuściła oczy, nie mogąc znieść dłużej jego spojrzenia. Czowała ciepło jego ciała, lekki zapach wody po goleniu.

– Zrobiłaś to celowo – szepnął nagle, ujmując ją za ramiona.

Oczywiście, że tak – w jaki inny sposób miała

zerwać chwilową bliskość, pogłębiającą się z sekundy na sekundę? Wyglądało jednak na to, że tylko pogorszyła sytuację: Gideon dotykał jej teraz. A za każdym razem, kiedy to robił, miękły jej kolana.

– Dlaczego, Molly? – Lekko pokręcił głową.
– Przed czym uciekasz?

– Przed tobą, oczywiście – szepnęła, patrząc na niego z niedowierzaniem. – Trudno uznać za przyjemność kontakt z kimś, kto na zmianę ma ochotę mnie całować lub bić.

Gideon znieruchomiał, jego oczy pociemniały.

– W tej chwili chciałbym cię pocałować – mruknął.

– Wiem.

Wiedziała o tym od paru minut – trudno się było nie zorientować. Dokąd by ich to jednak zaprowadziło? Dlatego lepiej dla wszystkich, jeśli do niczego nie dojdzie.

Kłopot w tym, że chciała, by ją pocałował; pragnęła z całego serca, by dokończyli to, co zaczęli.

– Molly! – zdążył szepnąć jej imię, a potem jego wargi znowu wzięły w posiadanie jej usta.

Miał rację. To było szaleństwo. Ale szaleństwo, którego nie potrafiła powstrzymać, podobnie jak on. Odwzajemniła pocałunek i przywarła do niego całym ciałem. Objęła go za ramiona, a potem wplotła palce w jego włosy. W oszołomieniu uświadomiła sobie, że kiedy Sam wcześniej im przerwał, stłumiła swoje uczucia tylko na chwilę. Teraz znowu ogarnęło ją pożądanie, któremu nie mogła się oprzeć.

Gideon lekko uniósł głowę i popatrzył na nią.

– Co to jest, że zawsze całujemy się w kuchni?
– mruknął z lekką ironią, muskając wargami jej skroń.

– Bo to najcieplejsze miejsce w domu? – zasugerowała.

Każdym nerwem czuła jego bliskość.

Przyjrzał się jej ciemnymi, niezgłębionymi oczyma.

– Mnie jest bardzo ciepło. Tobie nie?

Czy było jej ciepło? Cała płonęła!

– W miarę – odpowiedziała cicho, nagle zawstydzona.

Panująca w domu cisza sprawiała, że Molly miała wrażenie, jakby byli jedynymi ludźmi na świecie.

– Chodźmy do salonu – zaproponował, ujmując ją za rękę.

Molly zawahała się. W salonie wciąż jeszcze płonął ogień. I stała tam sofa – bardzo wygodna. Lecz ten mężczyzna okazywał jej wyłącznie pogardę. Pokręciła głową.

– Gideon, myślę, że nie...

– Nie myśl – szepnął cicho, ujmując twarz. – Za każdym razem, kiedy ktoś z nas zaczyna myśleć, wszystko się psuje. – Nachylił się i długo całował ją w usta. – Nie myśl, Molly.

Nie mogła. Nie wtedy gdy całował ją z taką bolesną namiętnością. Kiedy skierował się do salonu, ruszyła za nim.

Miała rację co do sofy: okazała się bardzo wygodna. Molly opadła na poduszki, Gideon położył się obok.

– Naprawdę wyglądałaś pięknie w tej czerwonej

sukni – powiedział, wodząc wargami po jej szyi.
– Marzyłem cały wieczór, żeby ją z ciebie zerwać!
– dodał.

Serce Molly drgnęło z radości. Westchnęła, kiedy zaczął ją pieścić.

Schodząc na filizankę kawy, włożyła džinsy i bluzę na gołe ciało. Gideon jęknął z aprobatą, kiedy natrafił dłonią na jej nagą pierś. Ujął ją i zaczął gładzić delikatnie, równocześnie nadal całując usta. Molly straciła poczucie czasu: istniał tylko on, dotyk jego warg i dłoni. Konwulsyjnie zacisnęła ręce, kiedy przesunął wargi ku jej piersi i dotknął językiem sutka. Czuła każdy jego mięsień i ścięgno, kiedy leżał przytulony do niej na sofie, z nogami splecionymi z jej nogami.

– Pragnę cię, Molly – jęknął, wracając ku jej wargom i znowu ujmując jej piersi w dłonie. – Tak bardzo cię pragnę.

Ona też go pragnęła – zbyt mocno, by mu odmówić czegokolwiek. Z lekko zarumienioną twarzą i oczyma lśniącymi w półmroku uniósł głowę, by na nią spojrzeć. Ujął ją pod brodę, gładząc kciukiem jej wargi, opuchnięte od pocałunków.

– Powiedz, że ty też mnie pragniesz – szepnął natarczywie.

Nie musiała tego mówić – z pewnością było to dla niego oczywiste. Zdawało się, że nawet krew płynie żywiej w jej żyłach, sprawiając, że czuła wyraźnie każdy centymetr ciała, od palców stóp po czubek głowy.

– Powiedz, Molly! – poprosił znowu. – Powiedz, że... – Nagle urwał. – Co to było?

Ściągnął brwi, nasłuchując. Molly także usłyszała głośny szmer w głębi domu.

– Sanie zaprzężone w osiem reniferów? – spytał bez przekonania.

Molly uśmiechnęła się niepewnie.

– Jakoś w to wątpię – odparła ze smutkiem, trochę skrępowana nagością.

Leżeli przytuleni do siebie, nadzy do pasa.

– Ja też. – Pokręcił w oszołomieniu głową i uniósł się lekko. – Co u...? – dodał, kiedy ciszę rozdarło nagle głośne szczekanie Merlina. – Jeśli go nie uciszymy, zbudzi cały dom!

Podniósł się zdecydowanie i wyszedł z pokoju. Molly potrzebowała nieco więcej czasu, by odzyskać równowagę. Wciąż drżąc z pożądania, patrzyła, jak on wychodzi. Włożyła bluzę.

Gdyby Merlin nie zaczął szczekać, z pewnością wyznałaby Gideonowi, jak bardzo go pragnie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Uciszenie Merlina nie szło Gideonowi najlepiej. Szczekanie i ciche warczenie wciąż niosły się po domu, coraz głośniejsze w miarę, jak Molly zbliżała się do kuchni.

Kiedy weszła do środka, pies skrobał do drzwi, a mężczyzna próbował go uciszyć – to łagodnie, to ostro, na koniec przysiadł w kucki i starał się przytrzymać psa siłą. Merlinowi bardzo się to nie spodobało; obnażył zęby i warknął gniewnie.

– Chce, żeby go wypuścić – zauważyła Molly.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł – odparł Gideon oschle.

Popatrzyła zdziwiona

– Czemu? – spytała.

– Bo... bo tak – uciał krótko, prostując się i patrząc z niezadowoleniem na skomlącego pod drzwiami psa.

– Nie wątpię, że do tej pory wszystkich obudził.

– To prawda – przerwał mu zachrypnięty głos Sama. – Cisza, Merlin – rozkazał.

Pies usłuchał, choć nadal warował przy drzwiach, dysząc szybko. Sam przeczesał palcami zmierzwione włosy.

– Fantastyczne święta. – Zaspany, pokręcił głową z ironią.

– Prawda? – zgodził się Gideon.

Molly nie potrafiła podnieść na niego wzroku, czuła jednak, że uwaga skierowana jest także do niej. Też się z tym zgadzała. Nie miała pojęcia, czym się to wszystko skończy – ale musi się skończyć.

– Co mu się stało? – Sam przyglądał się psu ze zmarszczonymi brwiami.

– Coś go zaniepokoiło – wyjaśnił Gideon. – Kot, a może lis.

Wzruszył ramionami.

– Rozumiem – powiedział wolno Sam. Zdawało się, że pierwszy raz spojrzął na nich dwoje przytomnie; powiódł zdziwionym spojrzeniem po ich kompletnych strojach. – A wy oboje rzuciliście się na dół, żeby go uciszyć?

– Tak...

– Nie – przerwała zdecydowanie Molly, czując, jak czerwienieją jej policzki. – Byliśmy już na dole, piliśmy kawę. Nagle Merlin jakby oszalał – dodała z niepokojem.

– Hm... No, cóż. – Sam westchnął ze znużeniem. – Teraz najwyraźniej się uspokoił. – Pies wciąż leżał obok drzwi, ale nie wyglądał już na zaniepokojonego. – Spróbuję jeszcze złapać trochę snu, zanim znowu się coś zdarzy – dodał ponuro.

Molly wiedziała, że ona nie zmruży oka – myśli o Gideonie i chwili dzielonej z nim bliskości wystarczająco, by nie zasnęła przez tydzień.

– Jestem pewien, że to było chwilowe i Merlin nie będzie już przeszkadzał – zapewnił go Gideon. – Dobranoc, Molly – zwrócił się do niej znacząco.

Popatrzyła na niego, zdziwiona tą oczywistą próbą pozbycia się jej – ich sypialnie mieściły się na tym samym piętrze, nie byłoby więc nic dziwnego w tym, że oboje wyjdą razem.

Chyba że żałował tego, co przeżyli przed kwadranssem.

– Dobranoc – rzuciła ze złością.

Szybko ruszyła do swojego pokoju, zamknęła drzwi i dopiero wtedy oparła się o nie bez sił. Jak mógł być tak zmienny? W jednej chwili mówił jej, że jest piękna, a w następnej chłodno życzył dobrej nocy. Mógł – jeśli nie chciał, by ktoś się dowiedział, że omal się nie kochali. Jeśli żałował, że do tego doszło.

No cóż, ona też tego żałowała. Ale nie tak bardzo jak faktu, że się w nim zakochała.

– Uwielbiam święta, a ty? – oznajmiła radośnie Crys następnego dnia, kiedy wszyscy razem zgromadzili się wokół choinki, żeby otworzyć prezenty.

Sam rozpalił ogień w kominku i zapalił lampki; nawet śnieg zaczął padać, jakby dla podkreślenia uroczystego nastroju.

– Ja też – przytaknęła Molly z wymuszoną wesolnością.

Wystarczyło jedno spojrzenie na Gideona i jego zniechęcającą minę – jak zawsze. To wczorajsza zmysłowość i delikatność stanowiły odstępstwo od normy.

– Dla ciebie. – Sam podał jej niekształtną paczuszkę owiniętą w kolorowy papier.

Jedno spojrzenie na bilecik zdradziło, że to prezent od Davida. Molly spojrzała na niego, zanim ją otwarła.

– Wszelkie pretensje powinnaś kierować do Crys! To ona mi powiedziała, że je zbierasz!

Molly już wiedziała, co znajdzie w środku. Roześmiała się na widok różowej świnki z czerwoną różą w ryjku.

– Zaczynam żałować, że ode mnie dostałeś tylko książkę – odparła z uśmiechem.

– Ale jaką! – zaprotestował. – Niewiele będziecie mieli ze mnie pożytku przez najbliższe dni!

Dlaczego o tyle łatwiej było jej żartować z Davidem niż z Gideonem – mężczyzną, którego kocha? Zapewne właśnie dlatego, że go kocha, wyjaśniła sobie ponuro. Nie miała pojęcia, co on do niej czuje. Chociaż sądząc z wyrazu jego twarzy, po wczorajszych wydarzeniach darzył ją jeszcze większą pogardą niż dotąd.

– Znowu dla ciebie. – Sam podał jej drugą paczkę.

Ręce zaczęły jej drżeć, kiedy na bileciku przeczytała: „Od Gideona”. Żadnego cieplejszego słowa, choćby „wszystkiego najlepszego”. I papier w zimne srebrne dzwonki. Wszystko to sprawiło, że całkowicie zaskoczyło ją to, co znalazła wewnątrz: piękny kaszmirowy szal w intensywnie różowym odcieniu.

– To ten odcień, który pasuje do twoich włosów.

Gwałtownie podniosła wzrok. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że Gideon podszedł do niej i uważnie się jej przygląda.

– Jest piękny – powiedziała szczerze. – Dziękuję. Uśmiechnął się lekko.

– Bolało?

Wzruszyła ramionami.

– Tylko trochę.

– To już coś. – Jego uśmiech stał się szerszy.

Prezent głęboko ją wzruszył. Z pewnością nie było w nim nic bezosobowego – wręcz przeciwnie.

– Pora na śniadanie – oznajmiła Crys, wstając z miejsca.

– Pomogę ci – zaofiarowała się natychmiast Molly, wdzięczna za wymówkę, dzięki której mogła zerwać nieć bliskości, jaka znowu nawiązywała się między nią i Gideonem.

– Wszyscy pomożemy. Nie będziecie harować w kuchni cały dzień – zaprotestował stanowczo.

– Och, nie martw się – odparła z uśmiechem Crys.

– Nie będziecie tu siedzieć z założonymi rękami; zajmiecie się Peterem.

A my tymczasem sobie poplotkujemy, domyśliła się Molly, idąc za przyjaciółką. Bez wątpienia Sam opowiedział żonie o spotkaniu nad ranem. Molly jednak nie zamierzała się zwierzać nikomu – nawet Crys.

– No, opowiadaj – zachęciła przyjaciółka, kiedy tylko znalazły się we dwie.

Molly westchnęła, wiedząc, że udawanie nie ma sensu; Crys potrafiła być niezwykle uparta.

– Nie mogłam spać i zesłam na dół, żeby sobie zrobić kawy. Pół godziny później zjawił się Gideon.

Lekceważąco wzruszyła ramionami. Crys odwróciła się od lodówki, skąd wyjmowała jajka, i spojrzała na nią z wyrzutem.

– To wszystko?

– Mniej więcej.

Molly całą uwagę skupiła na nakrywaniu do stołu.

Crys nie musi wiedzieć, o ile więcej. Przyjaciółka miała jednak odmienne zdanie.

– I? – ponagliła.

– I nic – odparła Molly. – Wypiliśmy kawę, a potem Merlin zaczął szczekać.

A między jednym i drugim zupełnie straciłam serce oraz parę innych drobiazgów.

– Nie rozumiem was dwojga. – Crys spojrzała zdesperowana. – Gideon to fantastyczny facet. Ty jesteś urocza...

– Dzięki.

– Moglibyście chociaż poflirtować... przynajmniej, żeby zrobić mi przyjemność! – zakończyła z wyrzutem.

Molly nie mogła się nie roześmiać.

– To miło z twojej strony, ale już ci mówiłam: tracisz czas, jeśli chodzi o mnie i Gideona. Przykro mi.

– Usmaż jajka – mruknęła Crys niezadowolona.

Molly żałowała, że równie łatwo jak przyjaciółki nie może przekonać swojego serca.

Do wieczora, kiedy wszyscy opadli z sił po obfitej kolacji, zamieniła z nim zaledwie parę słów – a i tak większość z nich dotyczyła drobiazgów w rodzaju prośby o podanie soli.

Dzięki temu zdołała choć częściowo odbudować swoje siły, mocno nadwerżone przez nocne spotkanie. Poczula się nawet na tyle silna, że bez obaw zgodziła się przyłączyć do Sama i Gideona odbywających wieczorny spacer z Merlinem. Po całym dniu spędzonym na jedzeniu, rozmowach i oglądaniu

telewizji – w tym świątecznego odcinka *Baileya* – myślała o tym z przyjemnością.

Co prawda, sądząc po wyrazie twarzy Gideona, jemu ten pomysł nieszczególnie się podobał. Jego problem.

Przez jakiś czas szli w milczeniu; światło księżycy odbite od cienkiej warstewki śniegu rozjaśniało mrok.

– Cieszę się, że z nami poszłaś, Molly – odezwał się nagle Sam. – Gideon opowiedział mi, co się działo przez ostatnich parę dni. Uważam, że powinnaś wiedzieć...

– Nie zgadzam się – przerwał mu ostro Gideon.

– Czemu?

– Bo nie – uciął szorstko mężczyzna.

Molly pobladła. Jak Gideon mógł powiedzieć jej bratu, co zaszło w nocy? Jak mógł?

– Rozumiem, że chcesz ją chronić – podjął Sam – ale Molly nie jest dzieckiem...

– Właśnie – prychnęła upokorzona.

Gdyby Gideon był choć trochę dżentelmenem, nie wspomniałby o tym nikomu – nie mówiąc o jej własnym bracie.

– Molly...

– Och, daj spokój, Sam – przerwała mu wzburzona.

– Gideon powiedział aż za dużo – dodała z gniewem, patrząc na drugiego mężczyznę w półmroku. – Jesteś bez wątpienia najbardziej aroganckim, okropnym facetem, jakiego zdarzyło mi się spotkać – zwróciła się do niego oskarżycielsko.

– Molly, pozwól mi wyjaśnić... – spróbował Sam.

– Daj spokój – uciszył go Gideon. Jego twarz

pociemniała. – Molly z pewnością uważa, że ma podstawy do takiej opinii na mój temat.

– Pewnie, że mam! – burknęła, zaciskając pięści. – Mogłabym powiedzieć jeszcze wiele, ale nie martw się, nie zamierzam tego robić – dodała, widząc niepokój na twarzy Sama. – Wracam do domu – rzuciła niespodziewanie, obróciła się na pięcie i odeszła zdecydowanym krokiem.

Nim uszła tuzin kroków, łzy popłynęły jej po twarzy. Otarła je niecierpliwie i ruszyła biegiem.

Jak on mógł?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Nie możesz teraz wyjechać! – zaprotestowała z oburzeniem Crys, kiedy następnego dnia Molly zeszła do kuchni przed lunchem i powiedziała o swoich zamiarach.

Molly rozumiała jej intencje, rozumiała też jednak – po kolejnej bezsennej nocy – że po prostu nie może zostać ani chwili dłużej.

Nigdy nie przebaczy Gideonowi tego, co zrobił. Jej upokorzenie sięgnęło szczytu wczorajszego wieczoru, gdy po powrocie ze spaceru Gideon zwyczajnie ją zignorował. Siedziała i rozmawiała z Davidem, kiedy wszedł, po czym przeprosił i udał się na górę do swojej sypialni. Molly odczekała parę minut i z ulgą wycofała się także, by lizać rany w zaciszu swojego pokoju.

– Ruch na drogach będzie dzisiaj mniejszy, a poza tym nie skończyłam się jeszcze rozpakowywać po przeprowadzce. – Skrzywiła się na myśl o nieporządku, jaki zostawiła w Londynie.

Crys nie wydawała się przekonana.

– Przecież to święta. Sam, przemów jej do rozsądku – zwróciła się do męża, który właśnie wszedł do domu po spacerze z Merlinem. – Chce dzisiaj wyjeżdżać.

Molly poczuła, jak rumieniec wypływa jej na policzki, kiedy brat spojrział zdumiony. Przecież powinien rozumieć przyczyny jej decyzji. Nie chciała psuć świąt pozostałym, ale wiedziała, że napięte stosunki między nią i Gideonem i tak zwarzyłyby uroczystą atmosferę. A ponieważ Gideon raczej nie zamierzał ich opuścić, pozostawało jej tylko jedno.

– Molly? – odezwał się Sam pytająco.

– Wiesz najlepiej, czemu muszę to zrobić – zawołała zdesperowana.

– Nie wiem – odparł wolno. – Wybaczysz mi, jeśli zabiorę Molly i chwilę pogadam z nią w gabinecie?
– zwrócił się do żony.

– Jeśli zdołasz ją przekonać do pozostania, możesz ją tam trzymać cały dzień – zapewniła. – Albo raczej: jeśli nie zdołasz jej przekonać, po prostu ją zamknij na klucz.

Sam zaśmiał się i nawet Molly musiała się uśmiechnąć. Wiedziała jednak, że nic z tego nie wyjdzie.

– Ktoś wyjeżdża? – spytał szorstko Gideon, wchodząc do kuchni.

Molly zeszywniała na dźwięk jego głosu; spojrzała na niego czujnie.

– Ja – oznajmiła z determinacją.

Błękitne oczy obserwowały ją spokojnie przez kilka długich sekund.

– Trochę to niewdzięczne, nie sądzisz? – mruknął na koniec chłodno.

Poczuła, jak się rumieni. Gideon musiał doskonale rozumieć jej motywę.

– Nie zwracaj na nią uwagi – zwróciła się do niego

Crys. – Sam zaraz jej to wybije z głowy – dodała z przekonaniem.

– Pozwól, że ja z nią porozmawiam – odparł mężczyzna.

To już była przesada.

– Lepiej nie, dzięki – mruknęła z niechęcią Molly.

Był ostatnim człowiekiem, z którym miała ochotę konwersować – i ostatnim, który zdołałby ją namówić do pozostania.

– Sam – Gideon zignorował jej protesty i zwrócił się do jej brata – Peter chyba się obudził. A Crys jest zajęta lunchem... Idziemy, Molly.

Ujął ją pod ramię i praktycznie wyprowadził z pomieszczenia.

– Co ty wyprawiasz? – spytał surowo, a kiedy próbowała mu się wyrwać, dodał: – Przestań się szarpać, zrobisz sobie krzywdę.

– W przeciwnym razie ty mi ją zrobisz? – zawołała oskarżycielsko, nadal starając się uwolnić.

Gideon zatrzymał się gwałtownie i spojrzał jej prosto w twarz.

– Ja? – rzucił. – Czym cię niby skrzywdziłem, do cholery?

Całował ją, aż zakręciło jej się w głowie. Pieścił ją. Sprawił, że się w nim zakochała.

Oddychała ciężko ze wzburzenia.

– Nie mam ci absolutnie nic do powiedzenia.

– Szkoda, bo ja mam parę rzeczy do powiedzenia tobie! – burknął, wciągnął ją do salonu i wreszcie puścił, po czym stanowczo zamknął drzwi.

Ten pokój, w którym omal się nie kochali. Sofa, na

której byli tak blisko. Zbyt blisko. Molly odwróciła się plecami do sofy i niepokojących wspomnień i spojrziała gniewnie na Gideona.

– Mów! – Wyzywająco uniosła podbródek.

Gideon przez kilka chwil przyglądał jej się zirytowany, potem niecierpliwie pokręcił głową.

– Jesteś najbardziej upartą osobą... – Wsunął ręce do kieszeni. – Molly, nie sądzę, że to dobry pomysł, by teraz wyjeżdżać... Jest coś... – Urwał i westchnął ciężko. – Naprawdę wolałbym tego teraz nie wyjaśniać. – Pokręcił głową.

– Nie musisz niczego wyjaśniać – zapewniła go pogardliwie. – Już się domyśliłam, że popełniłeś błąd, całując mnie wczoraj w nocy.

– Myślisz, że o to chodzi?

Zmrużył oczy; napięty mięsień pulsował na jego zaciśniętej szczęce.

– A o co innego? – spytała z ironią. – Ale nie musisz się martwić. Zapewniam cię, że ja przynajmniej postaram się zapomnieć, co zaszło.

– Sądzisz, że tego nie wiem? – Wciągnął gwałtownie oddech. – Dałaś to całkowicie jasno do zrozumienia, unikając mojego towarzystwa – dodał oskarżycielsko.

– A co miałam robić? – zadrwiła. – Snuć się za tobą niczym jakaś zakochana idiotka?

W jej głosie brzmiało oburzenie – tym większe, że tak właśnie miałyby ochotę postąpić. Kiedy na niego patrzyła, kiedy znajdowała się w jego obecności, przypominała sobie, że go kocha. Tak bardzo chciałyby się do niego przytulić i usłyszeć, że wszystko w porządku,

że on też ją kocha. Dawno jednak przestała wierzyć w bajki. Och, wiedziała doskonale, że Gideon czuje do niej pożądanie – po tym, co przeżyli w nocy, trudno było zaprzeczyć – ale doskonale potrafił się bronić przed głębszym uczuciem.

– Okej – westchnął ciężko. – Rozumiem, że chcesz mieć ze mną jak najmniej do czynienia. Ale czy musisz z tego powodu wyjeżdżać? Do tej pory udawało nam się unikać kontaktów.

– Nie chcę tu zostać.

Nawet jednak kiedy to mówiła, słyszała, że w jej głosie brak przekonania, które czuła jeszcze parę minut temu.

– To nieprawda i dobrze o tym wiesz. – Gideon westchnął. – Nie chcesz jedynie mojej obecności. Pytanie brzmi więc: czy chcesz, żebym to ja wyjechał?

Otworzyła szerzej oczy.

– Mówisz serio?

Zacisnął wargi.

– Tak.

Molly wpatrywała się w niego uważnie. Naprawdę był gotów to zrobić? I czy ona ma prawo o to prosić? Obliznęła wargi.

– Ja...

Umilkła, kiedy doleciał ich dźwięk dzwonka.

– Oczekujemy kogoś? – Zmarszczyła brwi.

– Nie mam pojęcia – odparł posępnie Gideon.

– Zostań tutaj; zobaczę, o co chodzi – poleciał i wyszedł z pokoju.

Jeszcze czego, odpowiedziała w myślach.

Kiedy stanęła w korytarzu, Gideon właśnie otwierał drzwi. Rzucił jej gniewne spojrzenie.

– Diana! – zawołał chwilę później z wielką życzliwością.

– Mam nadzieję, że nie przyjechałam za wcześnie – przeprosiła lekarka. – Witaj, Molly – dodała z uśmiechem.

– Z całą pewnością nie za wcześnie. – Gideon odsunął się na bok. – Tym bardziej że przybywasz z darami – dodał, kiedy torba w jej rękach brzęknęła cicho.

– Chciałam się jakoś odwdzińczyć – wyjaśniła Diana. – Poza tym jeden z moich współników niespodziewanie zgodził się wziąć dyżur, więc mam dzisiaj wolne.

– To doskonale! – zawołała Molly ze szczerą radością. – A jeśli wypijesz za dużo, Sam i Crys z pewnością pozwolą ci zostać na noc.

– Mam nadzieję, że to nie będzie potrzebne, ale dzięki – odpowiedziała lekarka. – Po drodze tutaj widziałam sporo policji; z pewnością polują na pijanych kierowców wracających z pubów. – Skrzywiła się lekko.

– Prawdę mówiąc, przyjechałaś w samą porę, żeby wyperswadować Molly wyjazd do Londynu – dodał Gideon.

– Och, nie możesz tego zrobić! – zawołała Diana. – Sama przyjechałam tu z Londynu trzy lata temu. W święta to najsmutniejsze miejsce pod słońcem, jeśli nie masz rodziny.

Każde miejsce jest smutne, jeśli nie jest się z tymi,

których się kocha, pomyślała Molly. Ale równie bolesne było dla niej zostać tutaj z Gideonem, który nie odwzajemniał jej miłości.

– Zostań – nalegała Diana. – Tak bardzo chciałam z tobą porozmawiać. David wspomniał, że wystąpisz w nowych odcinkach *Baileya*.

– Jak on mógł. Davidzie! – Molly otworzyła drzwi do biblioteki, gdzie siedział przy oknie z zamkniętą książką na kolanach. – A podobno to kobiety plotkują! – dodała, wchodząc do środka przed Dianą i Gideonem.

David wydawał się trochę zaskoczony widokiem pani doktor.

– Co znowu zrobiłem? – spytał smutno.

Molly wyczuła, że spędził dość czasu na niewesołych rozmyślaniach; ujęła go za rękę.

– Chodźmy wszyscy do kuchni. Pomożemy Crys i Samowi w gotowaniu i napijemy się wina – proponowała.

– Doskonały pomysł – zgodził się David. – Prowadź, Makdufie.

W zamieszaniu towarzyszącym otwieraniu wina, nalewania go do kieliszków i pomaganiu Crys, decyzja Molly została zapomniana przez wszystkich. Z całą pewnością celowo, pomyślała Molly, ale wydawało jej się niegrzeczne upierać się dłużej. Poza tym Crys przygotowała taki wyśmienity obiad.

– Szkoda, że nie wróciłaś wczoraj, żeby pojechać z nami do kościoła – rzucił lekko Gideon, kiedy siedzieli przy stole.

Diana skrzywiła się.

– Nie wiem, jak to jest, ale dzieci bardzo lubią się rodzić w święta. To, o którym mowa, nie chciało zaczekać nawet na karetkę, więc sama musiałam odebrać poród. Byłam wolna dopiero około pierwszej.

Molly posłała Gideonowi ostre spojrzenie, pewna, że celowo wspomniał o ubiegłym wieczorze, by się upewnić, czy to samochód Diany pojawił się na podjeździe. Ze słów lekarki wynikało, że nie. Najwyraźniej jednak nie zamierzał o tym dyskutować z Molly, bo starannie unikał jej spojrzenia. Prawdę mówiąc, ignorował ją przez cały posiłek i ostentacyjnie całą uwagę koncentrował na Dianie.

Co gorsza, Crys niedwuznacznie go do tego zachęcała.

– Co ty znowu knujesz? – spytała Molly przyjaciółkę, kiedy poszły do kuchni po deser.

– Słucham? – zdziwiła się Crys, ale jej oczy błysnęły szelmowsko.

– Wiesz doskonale. Gideon i Diana?

– Ach, to. – Przyjaciółka skinęła głową. – Nie sądzisz, że zachowujesz się teraz trochę jak pies ogrodnika?

Molly poczuła, jak czerwienieją jej policzki.

– Nie bądź śmieszna – prychnęła.

Crys roześmiała się cicho i zaczęła przygotowywać krem do pomarańczy, które przez noc marynowały się w likierze.

– Przecież musisz sobie zdawać sprawę z tego, że to ciebie Gideon kocha! – wybuchnęła Molly gwałtownie.

Crys znieruchomiała i wytrzeszczyła oczy.

– I kto tu teraz jest śmieszny? – mruknęła po chwili. – Jest bratem Jamesa – powiedziała z naciskiem. – Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy, ale zapewniam...

– To po nim widać, kiedy na ciebie patrzy – upierała się Molly. – On cię uwielbia.

– Mam nadzieję – przerwała jej Crys. – Bo ja jego też. Po śmierci Jamesa jest jedyną bliską osobą, jaka mi została. Ale to wszystko. Czy dlatego trzymasz się z dala od Gideona?

– Trzymam się od niego z dala, jak to ujęłaś, bo on mnie nie lubi – odparła niecierpliwie.

– Bzdura! – odparła Crys z przekonaniem. – Jeśli chcesz usłyszeć moją opinię, nie dałaś mu szansy, żeby...

– Nie chcę – przerwała zdecydowanie.

– Okej. – Crys wzruszyła ramionami. – W takim razie weź pomarańcze, a ja zabiorę krem. A jeśli się pomyliłam i rzeczywiście chcesz Gideona, to zacznij mu to okazywać – doradziła. – W przeciwnym razie Diana może cię uprzedzić.

Jeśli chce Gideona... Pragnęła go jak nikogo w życiu, ale...

W jej relacjach z nim zawsze było jakieś „ale”. I wciąż uważała, że Crys niesłusznie lekceważyła jego uczucia do siebie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Molly siedziała na dywaniku przed kominkiem obok małego Petera. Pozostali drzemali na krzesłach po obfitym obiedzie.

– Lubisz dzieci, prawda?

Drgnęła na dźwięk głosu Gideona, który usiadł obok. Ściągnęła brwi.

– Chyba wszyscy je lubią – odparła cicho.

Wzruszył ramionami.

– Nie jestem przekonany. Moja własna matka nie była szczególnie opiekuńcza. – Skrzywił się lekko.

Molly otworzyła szeroko oczy.

– Przecież urodziła ciebie i Jamesa?

Skinął głową.

– Ja byłem koniecznym „dziedzicem”. James urodził się dziesięć lat później przez przypadek. Nigdy nie dała mu o tym zapomnieć – dodał posępnie. – Kiedy miał zaledwie cztery lata, opuściła nas, zabierając większość pieniędzy ojca.

Molly zamrugała zaskoczona tym zwierzeniem ze strony mężczyzny, którego uważała za całkowicie samowystarczalnego. Może jednak jego zachowanie miało swoje przyczyny?

Uśmiechnął się lekko, widząc wyraz jej twarzy.

– Nie tego się spodziewałaś, prawda?

Widząc jego zamożność i pewność siebie, uznała, że zawsze wiódł wygodne życie. Czemu jednak uznał, że w ogóle zastanawiała się nad jego przeszłością?

– Ojciec starał się, jak mógł. Posłał mnie na uniwersytet, dla Jamesa znalazł opiekunkę, a potem szkołę z internatem – ciągnął cicho. – Niestety, zmarł na atak serca, kiedy ja miałem lat dwadzieścia, a brat zaledwie dziesięć.

Zmarszczyła czoło.

– Czemu mi o tym wszystkim opowiadasz? – spytała ze zdziwieniem.

Roześmiał się.

– Szczerze? Nie mam pojęcia! – przyznał. – Może z powodu tego, jak łagodnie odnosisz się do Petera. Albo pod wpływem świątecznej atmosfery. A może po prostu zbyt wiele wypilem!

Molly przyglądała mu się parę chwil – włosom miękko opadającym na czoło, łagodnie spoglądającym oczom... Nawet wyraz jego ust złagodniał teraz, gdy patrzył na śpiące dziecko.

– Nie odpowiedziałas przedtem na moje pytanie... Chcesz, żebym wyjechał?

– Nie chcę – zapewniła pośpiesznie.

Nigdy nie chciała go pozbawiać towarzystwa przyjaciół – a szczególnie teraz, gdy wiedziała, jak wiele dla niego znaczą.

Wydawało się, że odgadł jej myśli, bo skrzywił się pogardliwie.

– Nie użalaj się nade mną, Molly – rzucił cierpko.
– Zapewniam cię, że doskonale sobie radzę.

Była to prawda. Zdobył silną pozycję w zawodzie, nieźle mu się powodziło, brakowało mu jedynie rodziny – lecz to zapewne kwestia wyboru. Molly nie wątpiła, że wiele kobiet było pod jego urokiem i marzyło, by wyjść za niego za mąż. Choćby ona...

Wyprostowała się. Wiedziała doskonale, że Gideon nie może się tego domyślić.

– Wcale się nad tobą nie użalam – zapewniła, biorąc Petera na ręce. – Jest uroczy, prawda? – dodała, patrząc na malucha, który wtulił się w jej szyję i prawie od razu usnął.

Gideon uśmiechnął się przelotnie.

– Z pewnością znalazł sobie wygodne miejsce do spania!

Molly spojrzała uważnie; czy jej się zdawało, czy też dosłyszała w jego głosie tęskną nutę? Z pewnością jej się zdawało; sądząc z tego, jak się do niej odnosił w czasie obiadu, nie należało go posądzać o to, by pragnął spać na jej ramieniu.

– Położę go do kołyski – zaproponował.

Kiedy sięgał po dziecko, musnął lekko pierś Molly. Miała wrażenie, że jej skóra płonie w miejscu, którego dotknęły jego palce. Zrobił to przypadkiem czy celowo? – zastanawiała się, patrząc, jak układa małego i nakrywa go kocem. Nadal nie znalazła odpowiedzi na to pytanie, kiedy wrócił do niej.

– Zabierzemy Merlina na spacer? – zaproponował cicho, wyciągając do niej dłoń.

– Niezły pomysł – zgodziła się i wstała bez jego pomocy.

Gideon uśmiechnął się ponuro i włożył rękę do kieszeni.

– Ubierz się ciepło – doradził w drodze do kuchni.
– Zapowiadali śnieg.

Molly włożyła kozuch i z lekkim zawstydzeniem owinęła się różowym kaszmirowym szalem otrzymanym w prezencie. Podobał się jej tak bardzo; byłoby głupotą nie założyć go tylko dlatego, że go dostała od Gideona.

– Poczekaj... ja to zrobię – powiedział. Poczula ciepły dotyk jego palców na policzkach. – Naprawdę pięknie kontrastuje z twoimi włosami... ale wiedziałem, że tak będzie. – Skinął głową z satysfakcją.

Spojrzała na niego spod rzęs.

– Dziękuję – szepnęła zmieszana.

Zaśmiał się swobodnie.

– Nie ma za co. Chodźmy.

Otworzył drzwi. Na dworze rzeczywiście było zimno; schowała ręce do kieszeni. Uszczęśliwiony Merlin odbiegł daleko od nich, zafascynowany bielą, która pokryła świat.

– Nie sądziłaś, że będę cię pamiętał, prawda?
– odezwał się Gideon cicho po tym, gdy dłuższy czas szli w milczeniu.

Więc znowu do tego wrócili? Więc nie było szans na wzajemną tolerancję? Skuliła się jakby z zimna, potem westchnęła zniecierpliwiona.

– Gideon, zaprosiłeś mnie na przechadzkę, żeby się ze mną znowu kłócić?

Jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu, błękitne oczy błysnęły.

– Może to zaskakujące, ale nie!

Pokręciła głową.

– Więc okazujesz to w bardzo dziwny sposób!

– Zatrzymała się gwałtownie przy furtce prowadzącej do szosy. – Ile razy mam ci powtarzać, że nigdy nie miałam romansu z Jamesem?

Patrzył na nią nieruchomo z nieprzeniknioną twarzą.

– Nie sądzę, żebyś mi kiedyś o tym mówiła.

Molly ściągnęła brwi.

– Oczywiście, że tak! – prychnęła i ruszyła przed siebie, gotując się z oburzenia, gdy nagle poczuła, jak Gideon chwyta ją mocno za rękę i obraca twarzą do siebie. – Puść mnie – rozkazała chłodno.

Ku jej zdumieniu usłuchał natychmiast i cofnął się o krok.

– Nie, nigdy tego nie zrobiłaś, Molly – zapewnił cicho.

Rzeczywiście, nie mogła sobie przypomnieć, żeby mu to wyraźnie powiedziała. Ale mimo to...

– Tak czy inaczej, nie miałam romansu z twoim bratem. I mężem Crys – dodała. – Crys jest moją najbliższą przyjaciółką. Nigdy bym jej nie skrzywdziła. – Rozpalała się coraz bardziej. – To prawda, byłam w ich mieszkaniu tamtej nocy, ale nie z powodu romansu z Jamesem. Gdybyś choć trochę mnie znał...

– Wierzę ci.

– ...uwierzyłbyś mi, kiedy powiedziałam, że...

– Wierzę ci.

– ...to prawda... Słucham?

Spojrzała pytająco na Gideona, kiedy dotarł do niej sens jego słów.

Popatrzył na nią ze skupieniem.

– Powiedziałem, że ci wierzę – powtórzył łagodnie.

– Och – mruknęła.

Westchnął głęboko.

– Teraz to ty mi nie wierzysz.

– Czy to dziwne? – W jej oczach błysnął gniew.

– Od naszego spotkania w niedzielę oskarżasz mnie o wciąż nowe niedyskrecje. Trochę trudno nagle przyjąć, że mi wierzysz.

Po ciągłych złościwościach i atakach Molly poczuła nagle, jakby ktoś usunął jej ziemię spod nóg. Gdzie się podziała jego niechęć? Dlaczego stał się dla niej tak miły?

– Czy pomoże, jeśli cię przeproszę za wszystkie niemiłe uwagi, jakie robiłem przez ostatnie dni? – spytał posępnie.

– Mogłoby pomóc – przyznała ostrożnie.

Gideon westchnął ciężko.

– Uważam, że powinniśmy porozmawiać, a nie jestem pewien, czy to najlepsze miejsce.

– Wszystko w porządku, proszę państwa?

Molly obróciła się gwałtownie na dźwięk obcego głosu i otworzyła szerzej oczy, widząc przy furtce policjanta oraz stojący na szosie radiowóz.

Gideon uśmiechnął się uspokajająco.

– Owszem. Właśnie wprowadzamy psa.

– Państwo zatrzymali się w Falcon House u Wyn-gardów?

– Tak. Są jakieś nowe wieści?

Policjant skinął głową.

– Właśnie jadę do pana Wyngarda. Nie będę państwu przeszkadzał.

Molly patrzyła za nim ze ściągniętymi brwiami, nie rozumiejąc, o co chodzi. Nie miała pojęcia, co policjant mógłby mieć do zakomunikowania Samowi. Gideon jednak najwyraźniej to wiedział.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– Okej – zwróciła się stanowczo do mężczyzny.
– O co tu chodzi? I proszę, nie obrażaj mojej inteligencji, odpowiadając, że nic – dodała z naciskiem.

Gideon uśmiechnął się lekko.

– Nie miałem takiego zamiaru. Sądzę jednak, że będzie lepiej, jeśli zrobi to Sam.

– Ale...

– To naprawdę nie zależy ode mnie, Molly – prze-rwał jej. – Może zrozumiesz moje zachowanie w ostatnich dniach – dodał z namysłem.

– Na to bym nie liczyła – mruknęła i ruszyła w kierunku domu.

– Tego się obawiałem.

Gideon dołączył do niej po paru krokach; Merlin posłusznie pobiegł za nimi.

Prychnęła drwiąco.

– Nie wierzę, żeby spędzało ci to sen z powiek.

– Bardzo byś się zdziwiła – odparł cicho.

– Fakt – przyznała cierpko.

Odetchnął głęboko, żeby się opanować.

– Rzeczywiście skomplikowałem sprawy między nami, prawda?

– Nigdy nie było żadnych „nas” – zapewniła go Molly.

Tuż przed wejściem do domu złapał ją za ramiona tak mocno, że aż zabolalo, i obrócił do siebie.

– Czy zgodzisz się przynajmniej porozmawiać ze mną na osobności, kiedy policjant wyjdzie?

– Po co? – Westchnęła.

– Zgodzisz się? – Potrząsnął nią lekko.

– Skoro tak ci na tym zależy – zgodziła się, chcąc jak najszybciej znaleźć się w środku.

Kiedy parę sekund później weszła do salonu, nikt już nie drzemał. Crys i Sam siedzieli na brzegu sofy, David i Diana na krzesłach. Policjant stał przed kominkiem; skinął przybyłym i kontynuował wyjaśnienia.

– Godzinę temu panna Gibson miała wypadek samochodowy. Niestety, zginęła.

Panna Gibson? Rachel Gibson? Eksnarzeczona Sama, która dwanaście lat wcześniej zmieniła jego życie w piekło?

– Jak to się stało? – spytał Sam, obejmując żonę.

– Jej samochód wypadł z szosy i stoczył się ze stromego zbocza. Nie żyła już, kiedy przyjechało pogotowie. Przykro mi, że zjawiam się z taką wiadomością akurat w święta – dodał przepraszająco – ale biorąc pod uwagę zarzuty przeciw niej... – umilkł znacząco.

– Jakie zarzuty? – zwróciła się Molly do Gideona.

– To ta Rachel Gibson?

– Tak – potwierdził. – Chodź. – Objął ją za ramiona, zaprowadził do biblioteki i nalał jej whisky z karafki. – Wypij – polecił, przyklękając obok fotela, w którym usiadła.

Molly usłuchała oszołomiona, lecz jej umysł pracował na najwyższych obrotach.

– Śledziła Sama, tak? – spytała domyślnie. – To ona dzwoniła w Wigilię. I te hałasy ostatniej nocy, które zaniepokoiły Merlina... to ona zamknęła psa w szopie, tak?

– Tak sądzimy – przyznał posepnie Gideon – chociaż nigdy już się tego nie dowiemy.

Molly zadrżała. Chociaż ona i jej rodzice wiele wycierpieli z powodu Rachel, nikt nie życzył jej śmierci.

– Przecież minęło dwanaście lat! – jęknęła.

– To prawda – przyznał Gideon z wysiłkiem. – Ale w ostatni weekend wydarzyło się coś, co całkowicie zburzyło jej równowagę psychiczną. – Zmarszczył brwi. – Od tamtej pory szuka jej policja.

– Co się stało? – Molly nie zamierzała ustąpić.

Odetchnął głęboko.

– Zabiła mężczyznę, z którym mieszkała. Przyłapała go z inną kobietą i...

Molly przełknęła ślinę.

– Jak?

– Nie musisz tego wiedzieć.

– Powiedz! – zażądała stanowczo.

– Nożem – odparł beznamiętnie. – Zdołała uciec, ale on się wykrwawił, zanim przyjechała policja.

Molly poczuła mdłości. To mógł być Sam, pomyślała. Gdyby nie zerwał narzeczeństwa...

Trwało kilka minut, zanim odzyskała równowagę, ale kiedy to się stało, jej mózg znowu zaczął funkcjonować bez zarzutu. Wyprostowała się.

– Cały czas wiedziałeś o tym wszystkim – rzuciła oskarżycielsko.

– Dowiedziałem się dopiero wczoraj – poprawił stanowczo. – Sam wspomniał, że musi zadzwonić; chodziło o telefon na policję. Rachel Gibson zauważyła w okolicy i policjanci z czystej grzeczności chcieli go o tym poinformować.

– Mój Boże, a Crys też wiedziała? – Molly zmarszczyła czoło, kiedy ta myśl przyszła jej do głowy.

Jeśli tak, z tym większym szacunkiem będzie myślała o przyjaciółce; nic w jej zachowaniu nie wskazywało, że ma jakieś problemy.

Gideon uśmiechnął się niewesoło.

– Sam nie ma przed nią tajemnic.

– Inaczej niż ty przede mną – burknęła Molly i dopiła whisky. – Teraz pewnie znowu mnie oskarżysz o pijaństwo?

Nie mogła nie czuć złości na Gideona i Sama, że potraktowali ją jak dziecko. Gideona jednak miała przed sobą, i to na nim postanowiła wyładować gniew.

– Molly...

– Nie dotykaj mnie! – burknęła, podnosząc się z miejsca.

– Nie było sensu niepokoić także ciebie...

– Nie będziesz mi mówił, kiedy powinnam się niepokoić – prychnęła gniewnie. – Jesteś najbardziej aroganckim, szowinistycznym draniem, jakiego znam. To ty powstrzymałeś Sama, kiedy mi chciał wszystko wyjaśnić. – Przypomniała sobie słowa brata i ostrzeżenie Gideona. – Jakbym to słyszała: „Nic nie mów

małej kobiecie” – rzuciła drwiąco. – „Będzie się niepotrzebnie martwić”.

– To nie było...

– Właśnie, że tak! – rzuciła gniewnie. – Wiesz co? Idź do diabła!

Obróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju. Kiedy dotarła do swojej sypialni, rzuciła się na łóżko. Gniew wkrótce zmienił się w łzy. Płakała nad biedną Rachel i jej obsesją. Płakała nad nieporozumieniami między nią i Gideonem. Lecz przede wszystkim płakała, bo nadal go kochała.

– Hej, Molly. – Parę minut później Crys zjawiała się w jej pokoju i usiadła na łóżku. Molly płakała tak gorzko, że nawet jej nie usłyszała. – Już po wszystkim.

Przytuliła ją do siebie.

– Z czyjego powodu płaczesz? Biednej Rachel czy Gideona?

Molly odsunęła się, by spojrzeć na przyjaciółkę.

– Aż tak bardzo to widać?

Crys uśmiechnęła się uspokajająco.

– Tylko ja się domyśliłam. Gideon nie ma o niczym pojęcia, zapewniam – dodała smutno. – Sądząc z tego, co mi przed chwilą powiedział, jest przekonany, że go nienawidzisz. – Spojrzała pytająco na Molly.

Ta pociągnęła nosem i otarła oczy.

– To on mnie nienawidzi – zaprotestowała. – A wszystko dlatego... dlatego, że... Crys jest coś, co powinnam ci była powiedzieć już dawno – oznajmiła.

– O Jamesie i... o mnie.

Crys ściągnęła brwi.

– Tak?

Molly zamknęła na chwilę oczy, odetchnęła głęboko i zaczęła:

– Z pewnością pamiętasz mój tragiczny romans z Derekiem. Ostrzegałaś, żebym się w to nie pakowała, ale ja nie słuchałam. – Westchnęła ciężko. – Wszystko skończyło się właśnie tak, jak przepowiadałaś. Byłam zdruzgotana, kiedy wrócił do żony.

Crys spojrzała zaniepokojona.

– Chyba nie kochasz go nadal?

– Nie, oczywiście, że nie – zapewniła pośpiesznie Molly. – Nigdy ci nie powiedziałam, że tego wieczoru, kiedy się dowiedziałam, upiłam się...

– Trudno się dziwić. O ile pamiętam, bez uprzedzenia zjawił się z ekszoną na przyjęciu, na którym mieliście wystąpić razem – zauważyła z wymówką.

Molly skrzywiła się na wspomnienie.

– Tamtej nocy...

– Wypiłaś nieco więcej niż zwykle. James zapewniał, że wcale nie byłaś bardzo pijana.

– James ci powiedział? – Zamrugła zdumiona.

– Oczywiście – rzuciła Crys swobodnie. – Bardzo się ucieszyłam, że miał się kto tobą zaopiekować.

– Ale ja... cały ten czas... nic mi nie mówiłaś.

Crys uśmiechnęła się smutno.

– Co miałam powiedzieć? Derek był wielkim egoistą i głęboko cię zranił; nie było sensu przywoływać całej tej sprawy, skoro najwyraźniej nie miałaś na to ochoty.

Molly pokręciła głową oszołomiona.

– Nie mogę w to uwierzyć...

Przyjaciółka uśmiechnęła się.

– Wiedziałam i nigdy nie podejrzewałam, że było w tym coś niestosownego. Czemu bym miała podejrzewać? – dodała spokojnie.

– Cóż, Gideon uznał, że to nie w porządku! – prychnęła z niesmakiem Molly.

– Gideon? – Crys wyglądała na zaskoczoną, po chwili jednak pokiwała głową ze zrozumieniem. – Ach, dlatego, że rano odwiedził Jamesa i cię zobaczył? Chyba nie sądził, że ty i James macie romans? – Aż wstrzymała oddech, kiedy przyszło jej to do głowy. – Nie! To niemożliwe. Prawda? – Zmarszczyła czoło. – Naprawdę tak pomyślał? – I wybuchnęła śmiechem.

– Crys, to wcale nie jest zabawne – burknęła Molly.

Czuła ulgę, że przyjaciółka od początku знаła prawdę, lecz jej rozbawienie nieco ją dotknęło.

– Nie, masz rację – zgodziła się Crys, uspokajając się trochę. – Oboje z Gideonem jesteście zupełnie zwariowani, wiesz? – Wstała. – Ty myślisz, że on się kocha we mnie... A on posądza ciebie o romans z Jamesem. Jak na parę całkiem inteligentnych ludzi zachowujecie się bardzo głupio.

– Dzięki! – skrzywiła się Molly.

Wcale nie była przekonana, czy zgadza się z oceną przyjaciółki.

– Nie ma za co – odparła tamta ironicznie. – Chyba jednak mogę wam to wybaczyć, skoro mimo wszystkich komplikacji zdołaliście się w sobie zakochać.

– Gideon nie jest we mnie zakochany – zaprotestowała Molly.

– Och, jest... oczywiście, że jest – zapewniła przyjaciółka z przekonaniem. – Jak sądzisz, kto mnie tu przysłał? Kto w tej chwili przechadza się nerwowo po kuchni, czekając, aż przyjdę i zapewnię, że wszystko już z tobą dobrze?

Molly przełknęła z trudem ślinę i znieruchomiała; nieśmiała nadzieja obudziła się w jej sercu.

– Gideon? – spytała pełna nadziei.

– A kto inny – skinęła głową Crys, podnosząc się z łóżka. – Chodź ze mną na dół...

– Nie mogę! – zawołała Molly, nerwowo kręcąc głową. – A jeśli się pomyliłaś?

– Nie pomyliłam się.

– Ale jeśli?

– Nie pomyliłam się – powtórzyła przyjaciółka stanowczo. – Chociaż może kuchnia to nie najwłaściwsze miejsce... Okej. – Kiwnęła głową na znak, że podjęła decyzję. – Zostań tutaj, a ja przyślę Gideona...

– Nie przyjdzie – oświadczyła Molly z przekonaniem.

– Zobaczymy – mruknęła Crys. – Tylko nie siedźcie tu zbyt długo. W przeciwnym razie zjawi się Sam i zażąda, żeby Gideon potraktował cię jak przyzwoitą kobietę! – Uśmiechnęła się szeroko.

Molly zmarszczyła czoło.

– Wolalabym, żebyś przestała się z tego wyśmiewać.

– Mogę zostać twoją druhną? – ciągnęła Crys niezrażona. – Nigdy jeszcze nie byłam i, rozumiesz...

– Och, idź sobie! – burknęła zirytowana Molly.

– Idę, idę. Tylko nie próbuj uciekać po rynnice;

z nogą w gipsie nie będziesz wyglądać elegancko jako panna młoda!

Kiedy tylko znalazła się sama, Molly zdesperowana pokręciła głową. Crys robiła się równie złośliwa jak Sam. Co jednak nie zmieniało faktu, że właśnie teraz rozmawia z Gideonem. Czy się nie pomyliła? Czy Gideon naprawdę zaraz tu przyjdzie?

Odpowiedź na to pytanie miała otrzymać w ciągu najbliższych kilku minut.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

– Crys powiedziała, że czujesz się już trochę lepiej? Serce Molly podskoczyło, kiedy zobaczyła Gideoną stojącego niepewnie w drzwiach sypialni z czujnym wyrazem błękitnych oczu.

– Eee... tak. – Skinęła głową. – Przepraszam, że na ciebie krzyczałam... przedtem.

Świetnie, zbesztala w myślach sama siebie; zachowujesz się jak nieśmiała idiotka.

– To zrozumiałe, biorąc pod uwagę sytuację – wycofał się nieoczekiwanie. – Zachowałem się arogancko. Nie powinienem był prosić Sama, żeby nic ci nie mówił.

To było aroganckie, ale mogło też mieć inną przyczynę.

– Dlaczego to zrobiłeś, Gideonie? – spytała.

Wciągnął gwałtownie powietrze.

– Ja... czy mogę wejść? – Skrzywił się. – To trochę krępujące stać w korytarzu na oczach wszystkich.

– Naturalnie – zaprosiła go i stanęła pod oknem, kiedy wszedł do wnętrza i zamknął za sobą drzwi. Przyglądała mu się nieufnie, kiedy stał przy wejściu, zaciskając dłonie. Gideon uśmiechnął się ze skrępowaniem, najwyraźniej równie zmieszany jak ona.

– Ja... – Urwała i pokręciła głową; nie wiedziała nawet, co chce powiedzieć.

– Czy to coś zmieni, jeśli powiem, że nie kocham Crys? – zapytał nagle.

Molly poczuła, jak ściska ją w dołku. Okej, więc on nie kocha Crys... ale to nie musi znaczyć, że kocha Molly. Zagryzła wargę.

– Ja też nigdy nie kochałam Jamesa – przyznała schrypniętym głosem.

– Wiem. Jestem ci winien przeprosiny za to... za to, co mówiłem przez kilka ostatnich dni. – Pokręcił głową, zirytowany własnym zachowaniem, i włożył ręce do kieszeni. – Tamtego ranka zobaczyłem cię w sypialni Jamesa i...

– Wyciągnąłeś własne wnioski? – dokończyła.

Pokręcił głową.

– Nie, zupełnie nie o to chodzi. – Znowu uśmiechnął się z napięciem. – Popatrzyłem na ciebie... zaspaną, z rozczochranymi włosami, w tej niedorzecznej koszuli i... – Wciągnął gwałtownie powietrze. – Byłaś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu! – dokończył szorstko.

Molly otworzyła szerzej oczy ze zdumienia.

– Wyglądałaś okropnie! Nie mogłeś... Naprawdę tak pomyślałeś? – Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Naprawdę. – Skinął głową. – Ale wyglądało na to, że należysz do mojego brata – dodał z wysiłkiem.

– To nieprawda – zawołała Molly zdesperowana. – Ile razy mam ci to powtarzać?

– Ani razu – uspokoił. – Widzisz, to nie robiło różnicy; i tak zakochałem się w tobie tamtego ranka...

– Niemożliwe! – westchnęła.

– Ależ tak. I spędziłem następnych parę miesięcy, powtarzając sobie, jakim jestem głupcem... że to szaleństwo, że byłoby lepiej dla wszystkich, gdybym po prostu zapomniał o tamtym spotkaniu. Prawie zdołałem przekonać sam siebie. – Skrzywił się ponuro. – Póki nie zobaczyłem cię znowu w dniu chrzcina...

– Byłeś dla mnie okropny – przypomniała mu stłumionym głosem.

Iskierka nadziei płonęła w niej coraz większym płomieniem. Czy Gideon naprawdę powiedział przed chwilą, że kocha ją od trzech lat?

– Wiem – przyznał. – Zrobiłem to celowo. Nie mogłem uwierzyć, że nadal czuję do ciebie to samo. Sądziłem, że miałaś romans z Jamesem; wiedziałem, co by to oznaczało dla Crys... i mimo to nadal cię kochałem.

Molly ściągnęła brwi.

– Nie kochałam Jamesa, ale to fakt, że wtedy byłam zakochana w kimś innym – dodała szybko. – Tamten mężczyzna znajdował się w separacji z żoną. Poprzedniego wieczoru postanowił do niej wrócić. Dlatego zobaczyłeś mnie w nie najlepszej formie. – Skrzywiła się lekko.

– To nie miało znaczenia – zapewnił stanowczo. – I nadal nie ma. Chyba że wciąż go kochasz? – dodał niepewnie.

Gideon niepewny? Dotąd nie sądziła, że jest zdolny do takiego uczucia! Czy jednak nie powiedział ledwie przed chwilą, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia? Oblizwała suche wargi.

– Nie, już go nie kocham – odpowiedziała cicho.

– Jak bym mogła, skoro kocham ciebie? – dodała niemal nieśmiało.

W jego ciemnobłękitnych oczach błysnęło uczucie. Ruszył w jej stronę, potem zatrzymał się zmieszany. To Molly pokonała dwa ostatnie dzielące ich kroki i praktycznie rzuciła mu się w ramiona. Objęła go w pasie i mocno przyciągnęła do siebie.

– Kocham cię – powtórzyła. – Tak bardzo cię kocham.

Ujął jej twarz w dłonie.

– Wyjdiesz za mnie? – spytał. – Przysięgam, że będę cię kochał do śmierci.

– Tak – wyznała zduszonym głosem, mając ochotę śmiać się i płakać równocześnie.

A kiedy się pochylił, by ją pocałować z ogromną czułością, wiedziała, że znalazła w końcu mężczyznę swojego życia.

– Wyglądasz uroczo – zapewnił Gideon. – Choć nie wiem, czy powinienem był sugerować, żebyś włożyła koszulę Davida. – Zmarszczył brwi. – Teraz mam ochotę rzucić cię na łóżko i się z tobą kochać!

Molly roześmiała się cicho.

– Nie tutaj, skarbie.

Rozejrzała się po zatłoczonym studiu; reżyser i technicy krzatali się na planie *Baileya*, a David czekał już w łóżku, żeby wyszła z przylegającej łazienki.

– Później – zgodził się z ociąganiem.

– Później – obiecała.

Byli małżeństwem już trzy miesiące. Spędzali ra-

zem sporo czasu także w pracy, bowiem Gideon, jak się okazało, został scenografem serialu.

Przytulila się do męża.

– Całe szczęście, że ta scena wypadła teraz. Za parę miesięcy nie mogłabym jej zagrać.

Gideon spojrzał zaniepokojony.

– Czemu nie? Coś się stało?

– Nic zupełnie. – Roześmiała się uspokajająco. – Ale ciekawe, jak Sam poradzi sobie z faktem, że dziewczyna Bailey jest w ciąży – dodała z ironią, obserwując, jak znaczenie tych słów dociera do Gideona.

– Molly... – szepnął na koniec, przyglądając jej się z niedowierzaniem.

Oparła czoło o jego pierś.

– Za mniej więcej siedem miesięcy Peter będzie miał kuzyna – potwierdziła.

– Ty... ja... – Gideon najwyraźniej miał problemy z mówieniem, ale w jego spojrzeniu była sama miłość.

– Czy to nie wspaniałe?

– Nie chciałbym wam przeszkadzać – zawołał David jakiś czas później – ale zasnę, jeśli wreszcie się nie zjawisz, Molly.

Gideon popatrzył smutno.

– Zdaje się, że jesteś potrzebna na planie.

– Zdaje się, że David nabrał wielkiego mniemania o sobie po ostatnim weekendzie w Yorkshire w towarzystwie Diany Chisholm – zauważyła Molly.

– To dobra wiadomość – uśmiechnął się.

– Prawda? – odpowiedziała uśmiechem. – Znosi się na kolejny ślub.

Gideon zachichotał cicho.

– Robisz się równie okropna, jak Crys z tymi swatami.

Molly dotknęła jego policzka.

– Może dlatego, że też bym chciała, żeby wszyscy byli równie szczęśliwi jak ja – odparła poważnie.

Pokręcił głową.

– To niemożliwe.

Całkowicie się z nim zgadzała.

– Molly! – zawołał David żałośnie.

– Muszę iść.

Gideon skinął głową.

– Później uczymy wielką nowinę.

– Możemy pójść do „Crystal” – zgodziła się radośnie.

W restauracji Crys zawsze były dla nich wolne miejsca.

– Sądziłem, że zostaniemy w domu.

– To jeszcze lepiej – przytaknęła radośnie.

– Molly, jeśli nie zjawisz się w ciągu dziesięciu sekund, sam po ciebie pójde – ostrzegł David.

– Później – rzuciła Gideonowi, odchodząc pośpiesznie.

– Zawsze! – zawołał za nią.

Co za wspaniałe słowo!